

ŚWIATOWY FENOMEN!



ULTIMA

L.S. HILTON

L.S. HILTON

ULTIMA

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Różycka



Tytuł oryginału:

Ultima

Copyright © L S Hilton 2016

Originally published in the English language as Ultima
by Bonnier Publishing Fiction, London

The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2018 for the Polish edition

by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation

by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Gray318 & Blacksheep-uk.com

Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Zdjęcie autorki: © Derrick Santini

Redakcja: Łukasz Kuć

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Edyta Antoniak-Kiedos

ISBN: 978-83-8110-740-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Z podziękowaniami dla Michaela Platta

Prolog

W noc przed aukcją szliśmy przez miasto, trzymając się za ręce. Patrzyłam na Londyn jakby nowymi oczyma. Był wyjątkowo łagodny wieczór, latarnie wzdłuż Embankment rozświetlały taflę wijącej się jak ogon rzeki, a w St. James's Park nieruchome cienie pod ciężkimi od letniego listowia drzewami mieniły się odcieniami fioletu.

Później, w naszej sypialni, kiedy mnie pocałował, na jego ustach nadal majaczył mój zapach. Nie zapalając światła, otworzyłam okno. Chciałam poczuć na swojej rozgrzanej skórze słodkie, brudne londyńskie powietrze. Następnie uklęknęłam nad jego twarzą, a moje wargi sromowe rozchyliły się wokół jego języka. Powoli wygięłam się do tyłu w kierunku jego fiuta i podparłam na rękach. Moje ciało trwało naprężone w oczekiwaniu jak struna, a potem on obrócił mnie na bok, tak że nogi wyciągnęłam wzdłuż jego klatki piersiowej. Pocałował mnie w kostkę i wśliznął się we mnie. Poruszał się leniwie, przytrzymując mnie otwartą dłońią za brzuch.

– *Ti amo*, Judith. Kocham cię.

– Udowodnij to.

– Gdzie mam ci się spuścić?

Wszędzie, wykrzyknęłam w duchu.

– W cipę. Spuść mi się we włosy, do gardła, na skórę, w tyłek. Pragnę cię do ostatniej kropli. Chcę cię pić, upić się twoją spermą.

Znowu mnie obrócił, tak że klęczałam na czworaka, trzymając się rękami wezgiłowia. Chwytał mnie za nadgarstek, wykręcił mi rękę i przytrzymał ją na plecach, tak że padłam twarzą na poduszki. Wtedy wszedł we mnie z całą mocą jednym, ciężkim ruchem. Rozłożyłam szerzej nogi, otwierając przed nim swoją wilgotną szparkę.

– Jeszcze?

Kolejne pchnięcie.

– Jeszcze?

Ukląkł za mną i wsunął we mnie palec, potem dwa, a w końcu trzy.

– Chcę usłyszeć, jak o niego błagasz. No, dalej, błagaj o mojego fiuta.

– Proszę, nie przestawaj. Musisz mnie zerznąć. Proszę.

– Grzeczna dziewczynka.

Byłam tak mokra, że aż ześliznął się ze mnie, ale potem przeszył mnie znowu. Sięgnęłam pod udem i ujęłam w dłoń jego jądra, a on zaczął poruszać się szybciej, docierając do mojego najczulszego punktu, aż w końcu doszłam, wijąc się z rozkoszy i wydając z siebie pojedynczy, gwałtowny jęk.

– A teraz odwróć się i otwórz usta.

Później, gdy już leżeliśmy, ucałowałam go w powieki, kąciki ust i delikatne zagłębienie pod uchem.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – Położyłam głowę w zgięciu jego szyi, ustami wyczuwając znajomy, miarowy puls.

– O co tylko chcesz, kochanie.

– Kiedy dokładnie zamierzałeś mnie zabić?

Nadal leżał spokojnie. Nie wyczułam napięcia ani żadnej innej reakcji. W końcu uniósł się na łokciu i dotknął wargami moich ust. Był to pocałunek z czułą obietnicą bólu.

– Jutro, kochanie. Albo pojutrze.

CZEŚĆ PIERWSZA

MATERIAŁ

1.

Sześć miesięcy wcześniej

Nigdy przedtem nie byłam na południu Włoch i wszystko wskazywało na to, że ta wizyta będzie nie tylko krótka, ale też i ostatnia. Głównie dlatego, że Romero da Silva, inspektor włoskiej *Guardia di Finanza*, celował mi prosto w serce. Staliśmy gdzieś na kalabryjskiej plaży – a dokładniej: na betonowej platformie wrzynającej się we wzburzone, pachnące siarką morze. Jakieś sto metrów dalej cumował potężny, zardzewiały tankowiec połączony grubą, gumową rurą ze znajdującym się obok nas sześciennym budynkiem oczyszczalni wody. Rozważałam, czy nie popłynąć do tego statku, ale da Silva ostrzegł mnie już, że jeśli nie zabije mnie on, to wcześniej czy później zrobią to prądy morskie. I chociaż w ciągu ostatnich kilku godzin rozumiałam, że przy jego umiejętności prowadzenia podwójnego życia, zwodzenia i oszukiwania moje zabiegi trąciły amatorszczyzną, uwierzyłam mu. Z drugiej strony, ryzyko mnie zawsze kręciło. No i widziałam coś, czego da Silva nie widział: za jego plecami powoli, acz zdecydowanie wzdłuż plaży szedł w naszym kierunku mężczyzna. Nie był raczej przypadkowym spacerowiczem, ponieważ trzymał w rękach karabin.

– Albo zakończymy wszystko tutaj, albo wrócisz ze mną i sprawdzimy, czy uda nam się przez jakiś czas razem pracować.

Głos da Silvy był równie opanowany jak jego dłoń na pistolecie.

– Pracować razem? – syknęłam.

Mogłam pomyśleć o wszystkich rzeczach, jakie zrobiłam,

zdarzeniach, które mnie tu przywiodły, o tym, kim byłam i kim się stałam. Ale nie pomyślałam.

– No, dalej – odparłam. – Zrób to. Strzelaj.

W chwili, gdy rozległ się strzał, da Silva wyglądał na bardziej zaskoczonego ode mnie, ale trudno się dziwić – drugi raz w ciągu tygodnia ktoś próbował mnie zabić. Jednak kula nie została wystrzelona z caracala da Silvy, który nadal celował w moją klatkę piersiową, tylko zza jego pleców, z plaży. Zachowując pozycję, inspektor powoli odwrócił głowę, aż zobaczył postać u podnóża klifu. Mężczyzna wystrzelił ostrzegawczo w powietrze. Kusiło mnie, by zauważyć, że przynajmniej tamten traktuje sprawę poważnie, ale to nie był odpowiedni moment. Czułam, jak w ostrym, grudniowym powietrzu rozchodzi się zapach prochu.

– Dziewczyna. Zostaw dziewczynę! – krzyknął nieznajomy.

– Umiesz pływać? – syknęłam do mojego niedoszłego zabójcy.

– Prądy – odpowiedział powoli da Silva. – One naprawdę mogą zabić.

– Złap się mnie – poleciłam. – Puść mnie przodem, a potem chwyć się rury.

– A jeśli cię zastrzeli?

– Przed chwilą sam chciałeś to zrobić.

– Dziewczyna! – Mężczyzna wycelował w nas. Da Silva rzucił się w przód, chwycił mnie za ramię, przyciągnął do siebie, a następnie wykonał piruet, zupełnie jakbyśmy tańczyli. Teraz to on miał za plecami falujące morze, a karabin był wymierzony we mnie. Niezbyt korzystna zmiana.

– Powiedziałem: puść ją! – Nieznajomy zbliżał się zaśmieconym brzegiem. Zastaniając się moim ciałem, z ręką pod moją brodą da Silva zrobił krok w tył, a potem jeszcze jeden. Po kolejnym poczułam, jak rozluźnia uścisk i w końcu mnie puszcza. Natychmiast padłam na beton i w tym samym momencie usłyszałam nad głową świst kuli. Rozległ się plusk, a potem zapadła długa cisza. Odwróciłam głowę. Chwilę wcześniej da Silva powiedział mi, że prądy wykończyłyby mnie w kilka minut, ale jemu udało się dożyć do rury. Zapłótna

niej ręce i przykleił do niej obmywane spienionymi falami ciało. Mężczyzna z karabinem zaczął biec wzdłuż plaży. Wiedziałam, że za jakieś dwadzieścia sekund mnie dopadnie, więc nie miałam zbyt wiele czasu do namysłu. Rura znajdowała się naprawdę niedaleko i wystarczyłoby kilka ruchów ramion, bym do niej dotarła. Przetoczyłam się po betonie, wstrzymałam oddech i wpadłam do wody.

Da Silva nie kłamał. Prąd podpowierzchniowy był tak silny, że niemal go słyszałam – gęsty, natarczywy nurt wijący się poniżej dudniącej pod wpływem ciśnienia rury. Zimno zaparłoby mi dech w piersiach, ale prąd zrobił to wcześniej. Puchowa kurtka, teraz przypominająca grubo przemoczony całun, owinęła mi się wokół głowy. Oślepią solą morską panicznie młóciłam ramionami wodę, szukając punktu zaczepienia, aż w końcu wynurzyłam się na powierzchnię. W chwili, gdy próbowałam się chwycić karbowanej powierzchni rury, kolejny pocisk przeszył powietrze. Zarzuciłam jedną nogę na gumę i otarłam się twarzą o oślizłą powierzchnię. Kołysząc się na falach, zębami ściągnęłam kurtkę z ramienia i wyjęłam prawą rękę z rękawa. Chwyciłam nią rurę i uwolniłam lewą rękę, a wtedy fala uderzyła mnie prosto w twarz i stęchła woda ściągnęła ze mnie w końcu ten cholerny ciuch. Byłam mniejsza niż da Silva, a rura zbyt szeroka, bym mogła się pod nią schronić i nadal oddychać. Musiałam posuwać się wzdłuż niej do połowy wynurzona, podciągając się na rękach. W ten sposób widziałam przynajmniej, co się dzieje, ale pożałowałam tego, gdy zobaczyłam, że nieznajomy z plaży siada okrakiem na rurze w miejscu, gdzie łączyła się ona z platformą, i szykuje się do kolejnego strzału. Po chwili wystrzelił znowu, ale nie celował we mnie. Musiał zejść niżej, więc da Silva zapewne był w wodzie. Mężczyzna z karabinem poruszał się ostrożnie naprzód jak Komancz, ściskając udami grubą gumową kolumnę. Na kołyszącym się tankowcu nie widać było żywego ducha. Czy to tam się zmierzymy? O ile oczywiście dotrzemy na pokład... Nie miałam żadnego narzędzia do obrony poza spinką do włosów schowaną w tylnej kieszeni džinsów. Włożyłam je zeszłego wieczoru

w Wenecji, kiedy byłam jeszcze przekonana, że da Silva chce mnie aresztować pod zarzutem morderstwa. Kiedy życie było jeszcze spokojne. Gdybym miała czas, mogłabym się rozmarzyć.

Była to szpiczasta, dziesięciocentymetrowa spinaka typu „krokodylek”, którą można spiąć włosy w kok. Rozprostowałam skostniałe palce i wyciągnęłam ją z kieszeni. Myśl, Judith. Spinaka to żadna broń, nawet gdyby facet z karabinem pozwolił mi się zbliżyć. Co prawda wykazał się rycerskością, ale wątpiłam, żeby miał jakieś skrupuły, jeśli chodzi o „szkody uboczne”. Wetknęłam krokodylka między zęby i ruszyłam dalej, rozpaczliwie pokonując kilka kolejnych metrów, a potem nabrałam powietrza i ześliznęłam się bokiem do wody, chwytając rurę nogami i jednocześnie sięgając po spinkę. Z zaciśniętymi powiekami, by chronić oczy przed solą, dotknęłam pod udem sztywnych gumowych fałd, a następnie wbiłam w nie metalowe ostrze krokodylka. Weszło gładko. Z całej siły trzymając się rury, natychmiast wyciągnęłam spinkę.

Sprężona woda wystrzeliła na zewnątrz, gwałtownie zarzucając gumową kolumną w prawo niczym ogonem gigantycznego grzechotnika. Strumień momentalnie wypchnął mnie na powierzchnię, a chwilę później kolejna fala wciągnęła mnie pod wodę. Próbowiałam opleść rurę rękami, ale była zbyt gruba i nie miałam żadnego punktu zaczepienia, więc fala znowu buchnęła we mnie i ponownie wepchnęła mnie pod powierzchnię. Po kilku ruchach ramion wynurzyłam się, lecz czułam, że nurt nadal ciągnie mnie w kierunku tryskającego strumienia. Facet z bronią zniknął. Dysząc, przebierałam nogami i odkrztuszałam palącą gardło wodę morską. Tankowiec nadal znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, ale prąd pchał mnie z zatrważającą prędkością w przeciwnym kierunku. Wiedziałam, że nie ma sensu opierać się wodzie. Czułam się wyczerpana i obciążona ubraniami. Pozostało mi tylko dryfowanie. Bezradnie unosiłam się przez chwilę na falach. Pozwoliłam, by głowa opadła mi z powrotem na powierzchnię nieczułej głębi. Zdumiona spostrzegłam, że nie czuję już zimna.

– Hej! Tutaj!

Zastanawiałam się przez chwilę, dlaczego nie słyszę silnika łodzi. Również głos da Silvy niemal całkowicie zagłuszyła pieśń świszczących w mojej głowie kul. Mimo to jego krzyki zmąciły mój dziwny, łagodny spokój. *Dlaczego nie zrezygnował i po prostu mnie nie zostawił?* Pomyślałam, że mogę przynajmniej pozbawić go tej satysfakcji. Przestałam poruszać nogami i ześliznęłam się w otchłań morza.

Kiedy otworzyłam oczy, było ciemno. To znaczy, miałam wrażenie, że jest noc, ponieważ spod czarnych jak węgiel chmur co jakiś czas błyskał sierp księżyca. Obudziło mnie zimno. Moje ciało obleczone w przemoczone, sztywne od soli ubrania drżało, a zęby szczękały jak u nakręcanej zabawki. Leżałam chyba na drewnianym dnie, które boleśnie uderzało mnie w plecy, ilekroć łódka podskoczyła na fali. Szum silnika wwiercał się soplami w moje pulsujące uszy. W poświęceniu rzucanej przez rząd ledowych świateł na rufie ujrzałam da Silvę siedzącego spokojnie za sterem. Przez chwilę myślałam, że mogę być w piekle – może zostałam skazana na wieczny rejs Styksem w towarzystwie da Silvy? – ale ból w udach i dokuczliwe pragnienie sugerowały, że nadal przebywam w świecie żywych. I nie była to wcale pocieszająca myśl. Gdy próbowałam usiąść, uderzyłam głową w tylną ławkę. Słyszając to, da Silva się odwrócił.

– Czyli nic ci nie jest.

Moja naga prawa ręka była niewygodnie wyciągnięta nad głowę. Kiedy spróbowałam nią poruszyć, poczułam jak metal wokół nadgarstka ociera się o mokrą skórę. Da Silva przykuł mnie kajdankami do ławki.

– Obok ciebie stoi butelka wody.

Wyczułam po omacku plastikową szyjkę. Evian smakowała lepiej niż Chateau Lafite rocznik siedemdziesiąty trzeci.

– Ty gnoju – zagałam rozmowę.

– Nie rozumiem...

– Ocaliłam ci życie. Tam na plaży! Facet mógł cię zastrzelić.

Zastrzeliłby mnie zamiast ciebie!

– Ja też cię uratowałem, prawda?

Musiałam przyznać, że była w tym pewna logika.

– Dokąd płyniemy?

– Zamknij się.

– Zimno mi.

– Zamknij się.

Wyciągnęłam obolałe nogi jak mogłam najdalej, ale między moimi stopami a da Silvą nadal była znaczna przerwa. Wiedziałam, że nawet jeśli uda mi się wykopać go za burtę, skuta kajdankami nie dosięgnę rumpla. A co potem? Nie miałam przy sobie pieniędzy, telefonu ani dokumentów. Gdybym dotarła na ląd – nawet nie miałam pojęcia, jak daleko od niego jesteśmy – mogłabym ewentualnie przejechać autostopem te ponad tysiąc kilometrów do swojego mieszkania w Wenecji. Mieszkania, w którym obecnie znajdowały się zwłoki. Niezbyt zachęcająca perspektywa. Poza tym czułam się okropnie. Mdlilo mnie po opiciu się słonej wody, bolały mnie posiniaczone kończyny i w grudniową noc drżałam z wyziębienia w przemoczonych dżinsach i koszulce z krótkim rękawem. Rzucona gdzieś na koniec świata, tkwiłam na łódce ze skorumpowanym włoskim gliniarzem, który – najwyraźniej sam również ścigany – kilka godzin temu zamierzał mnie zabić. Nieźle wakacje.

– Skąd masz łódź?

– Powiedzmy, że pożyczyłem. Z tankowca. Nie miałem czasu, by pytać o pozwolenie, więc ją po prostu odcumowałem.

– Widziałeś, co się stało z naszym przyjacielem?

– Mówiłem ci, że z tymi prądami nie ma żartów. Już nam nie zagraża. A tak na marginesie, chyba kazałem ci się zamknąć?

– Muszę się wysikać – jęknęłam.

– Możesz sikać w spodnie. Nie rozkuję cię.

– Uroczo.

– Miałaś się, kurwa, zamknąć.

Nie miałam nic do roboty, więc zajęłam się obserwowaniem chmur

rozciągniętych w mroku jak pajęczyna. Kiedy się znudziłam, przeniostałam wzrok na da Silvę. A gdy i to mnie znużyło, jakimś cudem zasnęłam.

Kolejny raz obudziłam się, słysząc chrobot wyciąganej na brzeg łodzi. Da Silva pochylał się, by mnie rozkuć, subtelnie umieścił kolano na moim brzuchu i oparł się na nim całym ciężarem ciała. Słyszając kroki na piasku, zorientowałam się, że nie jesteśmy sami, chociaż widok przystaniąta mi klatka piersiowa da Silvy.

– Możesz zepchnąć łódź. – Głos włoskiego gliniarza brzmiał spokojnie, ale pod zapachem soli na jego skórze wyczułam woń potu. Bał się. – Wstawaj.

Podniosłam się ostrożnie. Tył łódki nadal znajdował się na wodzie. Poczułam jak czyjeś ręce wsuwają mi się pod pachy i unoszą moje ciało. Wpatrywałam się w ciemność, próbując dostrzec twarz, ale gdy tylko moje stopy dotknęły dna łodzi, ktoś przewiązał mi oczy, szybko i profesjonalnie. Wiedziałam, iż nie ma najmniejszego sensu krzyżeć.

– Wy ją będziecie prowadzić, ja pójdę za wami. – Da Silva mówił po włosku, ale jakimś specyficznym południowym dialektem, który ledwie rozumiałam.

Poczułam, jak dwóch mężczyzn chwyta mnie za łokcie.

– Tędy, *signorina*. – Mówiący zionął cebulą i rybą. Moje zdrętwiałe z zimna nogi protestowały, gdy chwiejnym krokiem próbowałam wspiąć się po stromym brzegu.

– Chwileczkę. Zatrzymujemy się. – Rybny mówił tonem opanowanym i rzeczowym, jakby przeprowadzał taką akcję już wiele razy. – Teraz wsiądziemy do samochodu. Dobrze. *Attenzione alla testa*¹.

Pod swymi posiniaczonymi plecami poczułam miękką, skórzaną poduszkę. Rybny nachylił się nade mną i zapiął mi pas, podczas gdy samochód osiadł pod ciężarem pozostałych mężczyzn. Zrobiło się ciepło, rozkosznie, kojąco, luksusowo. Gdybym mogła trwać w tym stanie, umarłabym szczęśliwa.

1 *Attenzione alla testa* (wł.) – Uwaga na głowę.

Najpierw próbowałam liczyć sekundy, by się zorientować, jak bardzo oddaliliśmy się od morza, ale szybko przestałam. Wiedziałam, że strategie stosowane w przypadku porwania nie bardzo mi się przydadzą, ponieważ nie było osoby, której by na mnie tak zależało, że porywacze mogliby jej wysłać moje obcięte ucho. Prawdopodobnie wieźli mnie na wieś, w jakieś odludne miejsce, by mnie zastrzelić i wrzucić moje ciało do rowu.

– Czas wysiadać. – Usłyszałam głos da Silvy, gdy ucichł silnik. Powtórzyliśmy niewygodny manewr z dłonią Rybnego na mojej głowie.

– Tutaj.

Lęk ścisnął mnie za serce. Zebrałam resztki sił, by powstrzymać chęć ucieczki. Usłyszałam szcęk klucza w zamku, a potem ktoś popchnął mnie kilka kroków do przodu. Głośny trzask. Mimowolnie zadrzałam, ale to był jedynie odgłos zapalanego światła, które delikatnie rozjaśniło mrok pod opaską na moich oczach.

– Stój w miejscu – rozkazał da Silva. – Kiedy usłyszysz, że drzwi się zamykają, możesz rozwiązać przepaskę, ale nie wcześniej. Okej?

Zmusiłam się do kiwnięcia głową. Ponownie usłyszałam kroki, skrzypienie zawiasów, trzaśnięcie drzwiami. Zapadła cisza zakłócana jedynie brzęczeniem nagiej żarówki.

Pomieszczenie wyglądało jak garaż albo przybudówka: ściany z pustaków, zakurzona, betonowa podłoga, żadnych okien. W jednym rogu leżał brudny, niebieski śpiwór, obok stało plastikowe krzesło ogrodowe, a przy nim wiadro. Na krzesle leżała męska koszula oraz złożony z zadziwiająco starannością ręcznik. Obok ujrzałam dwulitrową butelkę wody oraz porcelanowy talerz w kwiaty, a na nim kanpkę i pomarańczę. Nic więcej. Przez kilka minut drżałam pod ścianą, nasłuchując, czy nie wracają. Gdy uznałam, że jestem całkiem sama, rzuciłam się na kanpkę. Wielkimi kęsami pożerałam suche kawałki chleba z szynką, łykami wody przepychając je przez moje podrażnione solą gardło. *Kiedy ostatni*

raz jadłam? Dwa dni temu? Kiedy skończyłam, nabrałam wody w dłoń i obmyłam z soli piekącą twarz, a potem odkleiwszy od nóg mokre dzinsy, ściągnęłam je z siebie i włożyłam koszulę. Pomarańczę zostawiłam sobie na później. Miło będzie czekać na coś smacznego.

Zrobiłam kilka rundek po betonowej podłodze, rozprostowując zmęczone kończyny – ot, i cała rozrywka na ten wieczór. Przez jakiś czas nastuchiwałam ponownie pod drzwiami, ale niczego nie usłyszałam – ani odgłosu zapalanej zapalniczki, ani stłumionych rozmów, ani niecierpliwego szurania. Po tej stronie nie było klamki. Popchnęłam drzwi i przez moment czekałam na odgłos odryglowywania. Gdziekolwiek byłam, na razie mnie tu zostawili. Usiadłam na podłodze, obrałam pomarańczę i podzieliłam ją na części. *Czy karmiliby mnie, gdyby chcieli mnie zabić? A tak w ogóle, to kim oni są?* Pewnie kolegami da Silvy, chociaż raczej nie nosili mundurów *Guardia di Finanza*. Zatechły śpiwór nie wyglądał zachęcająco, ale wsunęłam się do niego, opatuliłam i zwinęłam w kłębie jak larwa. Światło nagiej żarówki rzucało cienie w zakurzonych rogach pomieszczenia.

Rozdarta pomiędzy wyczerpaniem a czujnością na zmianę budziłam się i zasypiałam. Kiedy zapadałam w sen, podświadomość wyświetlała mi przed oczami serię obrazów z ostatnich kilku dni: szkielet Alvina Spencera opadający z trzaskiem na podłogę mojego mieszkania w Wenecji, przesłuchanie przez da Silvę na komisariacie, długą, odbywającą się w ciszy podróż wzdłuż włoskiego wybrzeża. Po przebudzeniu próbowałam zebrać myśli, ale kiedy Cameron Fitzpatrick wszedł przez drzwi ze stertą zakrwawionej bielizny, zdałam sobie sprawę, że nadal jestem pogrążona w gorączkowych majakach. Fitzpatrick nie żył. Wiedziałam o tym, ponieważ zabiłam go kilka lat wcześniej w Rzymie. Da Silva też tam wówczas był. Po chwili zobaczyłam, jak inspektor steruje łodzią pod sennym, czarnym niebem, którego fale zaraz zmieniły się w wodę wypełniającą wannę – zimną, pachnącą migdałami wodę, która łagodnie, bardzo

delikatnie ciągnęła mnie w dół...

Obudziło mnie własne chrapliwe sapanie. Leżałam zeszywniała na betonowej podłodze w mdłej poświacie żarówki. Z początku nie miałam pojęcia, czy minęło kilka minut czy dni. Pod drzwiami dostrzegłam ledwie widoczną smugę światła. Przyczołgałam się do niej w śpiworze jak gąsienica, chwyciłam butelkę z wodą i z trudem usiadłam.

Wydawało mi się, że gram w grę, której zasady sama wymyśliłam, a okazało się, że przypadkiem wplątałam się w zupełnie inną. W grę, która zaczęła się dawno temu i której zasad nie znałam.

Wygrzebałam się ze śpiwora, otrząsnęłam się i próbowałam zebrać skołowane myśli.

Słyszac cichutki szmer, zadrzałam. *Szczur? Cholera, a może skorpion?* Ale to był tylko żuk – wielkości mojego kciuka, z grubym, błyszczącym pancerzem. Obserwowałam przez, jak mi się wydawało, kilka godzin, jak bezsensownie trzepoce skrzydłami o betonowe ściany, aż w końcu padł na podłogę, żałośnie pomachał nogami i chyba zdechł. Ostrożnie pstryknęłam jego kruchy pancerz. Nie poruszył się. Za to ja, co ciekawe, wyraźnie się ożywiłam. Używając papieru, w który była zawinięta kanapka, podniosłam robala, położyłam go na środku podłogi i podarłam na kawałki skórkę pomarańczy. Następnie chwyciłam za pasmo swoich zmatowiałych od soli morskiej włosów i pociągnęłam, aż udało mi się je wyrwać, a potem owinęłam je wokół jednego z kawałków skórki. *Oto Judith.* Położyłam ją obok żuka. *A to będzie da Silva. Romero da Silva. Który cały czas był obok.* Da Silva był gliną. *Skorumpowanym gliną. Przywiózł mnie tutaj, do Kalabrii. Po co?* Ułożyłam kolejne kawałki skórki wokół żuka jak cyfry na tarczy zegara. Po zewnętrznej stronie każdego z kawałków paznokciem napisałam inicjał. To Rupert, mój dawny szef, kierownik działu w londyńskim domu aukcyjnym British Pictures, gdzie kiedyś pracowałam jako stażystka, a potem asystentka. A tutaj – wyrzyłam kolejną literę – to marszand Cameron Fitzpatrick. Rupert i Fitzpatrick próbowali naciągnąć dom akcyjny, sprzedając falsyfikat. Po tym, jak Rupert mnie zwolnił, ukradłam ten

obraz, a następnie zabiłam Fitzpatricka. Usunęłam z okregu częśćkę skórki oznaczoną „F”. Przy sprzedaży falsyfikatów Fitzpatrick współpracował z włoskim bankiem oraz mężczyzną, którego znałam pod nazwiskiem Moncada. Podpisałam fragment skórki „M” i szybko położyłam obok kolejny kawałek. To Cleret. Renaud Cleret. Kolega da Silvy z policji. Zabiłam go. Pstryknięciem wystrzeliłam skórkę poza krąg.

Co potem? Poczułam się pobudzona, miałam cel. *Potem przeprowadziłam się do Wenecji i przybrałam nową tożsamość.* Judith Rashleigh zniknęła. Stałam się Elisabeth Teerlinc, kuratorką wystaw i właścicielką galerii Gentileschi. Ostrożnie wyciągnęłam nitkę ze stęchłej koszulki i owinęłam ją wokół skórki Judith. A potem wokół kolejnej, oznaczonej literą „K” – jak Kazbich. Moncada handlował z Kazbichem, który z kolei działał na zlecenie Baleńskiego. Następny kawałek skórki. Kazbich i Baleński wspólnie prali brudne pieniądze pozyskane ze sprzedaży broni i lokowali je w dziełach sztuki. Pstryknięciem wyrzuciłam poza krąg Moncadę i Baleńskiego. *Obaj już nie żyją. Kto więc został?*

Piórko ze śpiwora oznaczyło kolejną postać: Jermołow. Paweł Jermołow, bogaty rosyjski kolekcjoner sztuki. Kazbich próbował sprzedać mu Caravaggia. A przynajmniej twierdził, że to Caravaggio. Razem z Jermołowem rozpracowałam powiązanie pomiędzy Kazbichem, Moncadą i Baleńskim. Jermołowa zostawiłam w kręgu. Jediną rzeczą, której do tej pory nie rozumiałam i nie dostrzegałam, była obecność da Silvy, który cały czas czaił się w ciemności. Cały czas mnie obserwował. Mamrotałam nad kupką śmieci jak kapłanka voodoo. „A” – jak Alvin Spencer. Alvin mi po prostu... zawadzał. Błąkający się po świecie sztuki szczył z kontaktami w domu aukcyjnym, w którym dawniej pracowałam. Trochę za bardzo się mną interesował, dlatego musiał zniknąć. Niestety, jakimś cudem nie całkiem pozbyłam się dowodów. Wzięłam do ręki kawałek skórki i położyłam go obok żuka. Da Silva dowiedział się o Alwinie i udawał, że chce mnie aresztować. Tyle że tego nie zrobił. Leżałam i kontemplowałam ułożone w mozaikę fetysze.

Da Silva chciał, żebym dla niego pracowała. Tak powiedział na plaży. A jeśli nie zechcę? Pewnie łatwiej będzie pozbyć się mnie tutaj niż w Wenecji. Wiedziałam, że z pewnością ma kontakty, znajomych, których może wezwać – takich jak mężczyźni, którzy przywieźli mnie tutaj. Gdziekolwiek jest owo „tutaj”. Mafia. Uznałam, że łatwiej będzie mi się przetoczyć niż wstać, gdyż moje nogi nie były w najlepszej formie, więc podczołgałam się do obierek i ułożyłam je ponownie wokół żuka. Moncada pracował dla mafii. Kazbich i Balański też mieli z nią powiązania. Da Silva był brakującym ogniwnem. Podekscytowana podreptałam ludzikami ze skórek bliżej żuka. Byłam jak dziecko bawiące się figurkami z klocków Lego.

Mieszkając w Wenecji, dowiedziałam się całkiem sporo na temat mafii – na przykład tego, że wielu wpływowych ludzi we Włoszech nadal zaprzecza jej istnieniu. Jedną z takich osób był na przykład arcybiskup Palermo, który jakieś dwadzieścia lat temu był przesłuchiwany w procesie przeciwko mafii i zapytany o to, czym ona jest, odpowiedział, że o ile mu wiadomo, to marka detergentu. A później okazało się, że kościół na Sycylii miał bliskie powiązania z bossami Cosa Nostry. To publiczne zaprzeczenie stanowi najlepszy dowód na to, że mafia do cna przeniknęła włoskie społeczeństwo. Bo jeśli udało jej się zwerbować biskupa, to dlaczego nie policjanta? To by tłumaczyło łatwość, z jaką da Silva zdołał mnie tu przywieźć. Ale skoro miał takie powiązania, to kim był ów zabójca z plaży, którego ciało spływało teraz ku wybrzeżu Apulii? Gdy stanęłam oko w oko z tym pytaniem, mój przemoczony umysł odmówił posłuszeństwa i ponownie zasnęłam, tym razem głęboko. A kiedy się przebudziłam, światło pod drzwiami zdążyło już zniknąć.

Leżałam na boku z głową na śpiworze. Musiałam znowu zasnąć. Była noc i zrobiło się jeszcze zimniej niż wcześniej. Czułam, że w niewidocznym świetle za murami mojego więzienia panuje jeszcze gęstszy i jeszcze łagodniejszy bezruch. Mój wzrok powędrował w kierunku ułożonej przeze mnie i tylko dla mnie

zrozumiałej mozaiki. Poza kręgiem leżała kulka z chleba. Podniosłam ją i zaczęłam obracać w palcach, aż zmiękła, a wtedy uformowałam z niej kształt, który miał przypominać maleńkie, pulchne ciało. *Katherine. Moja siostrzyczka Katherine.*

W komisariacie w Wenecji przyznałam się do zabicia Alvina Spencera. Cóż innego mogłam zrobić, skoro jego zwłoki siedziały na fotelu w moim mieszkaniu? Nie byłam w stanie się ich pozbyć. A kiedy da Silva zapytał mnie, dlaczego to zrobiłam, do głowy przyszła mi jedynie Katherine. Moja biedna mała siostrzyczka, która utonęła w pachnącej migdałami kąpieli.

Nigdy nie myślałam o Katherine. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Ponieważ kiedy to robiłam, wspomnienia zaczynały się mieszać i zacierać, mętne jak woda po dodaniu do niej olejku. *Wiesz, co zrobiłaś. Ale to nie była twoja wina. Nie była, prawda? To była wina twojej matki.*

Pospiesznie zgarnęłam wszystkie elementy układanki, chwiejnym krokiem przeszłam przez pomieszczenie i wrzuciłam je do służącego za toaletę wiadra. Tam było ich miejsce. Żuk podskoczył obrzydliwie pośród śmieci.

Nie jestem w stanie powiedzieć, ile czasu spędziłam w tym prowizorycznym więzieniu, ale były to chyba trzy dni. Drugi raz obudziłam się, gdy za plecami usłyszałam walenie w drzwi. Głos mówiący po włosku z silnym akcentem, który rozpoznałam jako należący do Rybnego, kazał mi stanąć w rogu twarzą do ściany i zawiązać na oczach przepaskę. Pędem wykonałam polecenie. Potem usłyszałam skrzypnięcie trzech rygli i Rybny wszedł do środka. Nie odezwał się. Słyszałam, jak przechodzi przez pomieszczenie i stawia coś na posadzce, a potem lekkie chlupotanie, gdy zabrał wiadro. Cieszyłam się, że musi to robić, bo to go upokarzało. Drzwi ponownie się otworzyły i zamknęły. Przez tę krótką chwilę próbowałam poczuć zapach spalin albo liści oliwnych, może nawozu lub choćby chleba – czegokolwiek, co mogłoby sugerować, gdzie się

znajduję. Ale czułam jedynie woń kurzu. Znowu usłyszałam dźwięk ryglowania i głos Rybnego informujący, że mogę już zdjąć przepaskę z oczu. Podbiegłam do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać. Rozpoznałam cichnący odgłos kroków Rybnego, a potem dźwięk odpalanego silnika.

Dostawa składała się z kolejnej butelki wody, paczki wilgotnych chusteczek, jeszcze jednej kanapki z szynką, paczki herbatników z czekoladą, małego, postrzępionego ręcznika, banana i jogurtu truskawkowego. Żadnej łyżeczki. Obmyłam się najlepiej, jak mogłam, i włożyłam z powrotem wilgotne dżinsy, które zaczynały już pachnieć stęchlizną. Nadal owinięta śpiworem zjadłam powoli przyniesiony posiłek, świadomie smakując każdy kęs. Miło by było zapalić, ale uznałam, że krótki detoks mi nie zaszkodzi. Wyczyściłam zęby wilgotną chusteczką i szorstkim wnętrzem skórki od banana.

Ta sama procedura powtórzyła się kolejnego dnia. Część czasu spędziłam, chodząc w tę i z powrotem i dla rozgrzewki robiąc pompki oraz burpees, czyli ćwiczenie łączące przysiad, deskę i wyskok. Plastik z kubka po jogurcie był zbyt cienki, by zrobić z niego jakąś broń, ale pomyślałam, że mogę się zacząć za drzwiami, zamachnąć się na Rybnego wiadrem i uciec, gdy on będzie ocierał z oczu moje siki. Odgłos jego kroków sugerował, że schodził w dół, a potem skręcał w lewo, w kierunku samochodu, więc mogłam pobiec w prawo. Tylko dokąd? Nawet jeśli Rybny nie miał przy sobie broni, nie było pewności, że jest sam. No i nie miałam też butów, ponieważ tenisówki, które włożyłam w Wenecji, zniknęły w morzu. Panująca wokół cisza wskazywała na to, że znajduję się na odludziu, więc musiałam sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie: Jeśli nawet zdołam uciec z tej komórki – czy co to właściwie jest – to jak daleko zdołam dobiec po nierównym terenie ścigana przez jednego lub więcej mężczyzn, z których jeden będzie nieźle wpieniony po kąpieli w gównie? Czy dałabym radę udusić Rybnego przepaską na oczy? Nie byłaby to moja pierwsza próba morderstwa w tym stylu, ale tym razem nie miałabym po swojej stronie ani przewagi siły, ani elementu zaskoczenia. A w porównaniu z Alvinem Spencerem, który

zginął w mojej wannie w Wenecji, Rybny na pewno był profesjonalistą.

Mogłam też przywitać Rybnego nago i zaproponować mu rżnięcie w zamian za moją wolność. I bez patrzenia w lustro wiedziałam, że nie wyglądam zachęcająco, ale nawet smrodliwe rżnięcie to nadal rżnięcie, a sam Rybny też nie wyglądał mi na czyścioszka. Uznałam jednak, że nawet gdybym poszła na całość, raczej nie udałoby mi się wypieprzyć go tak skutecznie, by sprzeciwił się da Silvie i mnie wypuścić. A to oznaczało, że plan ten, jakkolwiek zabawny, był jednak do dupy. Zresztą gdyby da Silva planował mnie zabić, już by to zrobił. Czyż nie wspominał, że mam dla niego pracować? Posiadałam więc coś, czego nadal potrzebował, coś, co mogłam zrobić, nawet jeśli wartość tego czegoś liczona była w kanapkach i bananach.

Od zawsze wyznawałam zasadę, że nawet jeśli ktoś postanowi nie być szczęśliwym, to nie ma powodu, dla którego nie mógłby dobrze się bawić, dlatego sprzeciwiałam się tej niewoli w znacznie mniejszym stopniu, niż można by się spodziewać. Jako że nie miałam się czego obawiać, lęk w niczym nie mógł mi pomóc, toteż po prostu postanowiłam go nie odczuwać. Godziny się dłużyły, a ponieważ nie działo się nic nieprzewidzianego, na co musiałabym reagować, zaczęły one na mnie działać wręcz hipnotycznie – i działanie to z każdą chwilą się potęgowało. Efektem było przyjemne otępienie, a nawet spokój. Spałam, wykonywałam ćwiczenia, odmieniałam rosyjskie czasowniki albo rozmyślałam o obrazach. Słyszałam, że aby nie zwariować, więźniowie recytują wiersze lub fragmenty Biblii, ja natomiast odbywałam w wyobraźni spacer po National Gallery, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam prawdziwe malarstwo. Najczęściej wracałam pamięcią do jednego dzieła: Aleja w Chantilly Cezanne'a. Podziwiałam je wiele razy. Kompozycja w odcieniach zieleni przedstawia leśną ścieżkę przedzieloną drewnianą barierką; widać suchą ziemię, a w tle niskie, białe budynki na tle jaskrawopomarańczowej kuli wschodzącego lub zachodzącego słońca. Na pierwszy rzut oka obraz wydaje się spokojny, nawet

beznamiętny, ale po chwili obserwator dostrzega niezwykłą grę światła, która została na nim uchwycona tak sprytnie, że liście zdają się poruszać pod wpływem oddechu. Scena wydaje się nieruchoma, a jednak niezmiernie żywa.

2.

Albo caracal przetrwał kąpiel w morzu, albo da Silva celował do mnie z innej broni. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, stanęłam posłusznie w rogu, czekając na Rybnego i następną kulinarną niespodziankę, toteż na dźwięk znajomego głosu aż zadrżałam.

– Możesz już wyjść.

Po kilku dniach spędzonych w świetle nagiej żarówki kolory zimowego krajobrazu zawirowały mi przed oczami jak na obrazie Kandinsky'ego. Kiedy chwiejnym krokiem podeszłam do drzwi, uderzył mnie niezwykle melanz zieleni i złota, błękitu i szarości. Barwy mieniły się w zimowym słońcu na zboczach skalistej kotliny otoczonej smukłymi dębami i niskimi krzewami, całość zaś spowita była w ostrą woń mirtu, kompostu i sosny. Da Silva, który ponownie wystąpił w mundurze, pachniał intensywnie żelem do kąpieli i wodą kolońską, podczas gdy ja byłam boleśnie świadoma swoich matowych, tłustych włosów i nieprzyjemnego zapachu z ust. Nigdzie nie widziałam Rybnego.

– Wesółych świąt. – Da Silva wręczył mi plastikową reklamówkę. – Idź i się przygotuj.

Klarowne powietrze sprawiło, że miejsce, w którym przebywałam, wydało mi się jeszcze bardziej obskurne. Była to komórka z pustaków – zapewne jakiś magazyn – przed którą w rogu podwórza rdzewiała sterta maszyn rolniczych. Miałam wrażenie, że znajdujemy się gdzieś wysoko. Zajrzałam do torby: kolejna butelka z wodą, wilgotne chusteczki, szczoteczka i pasta do zębów, mydło, dezodorant i grzebień. Nie zważając na to, że da Silva stoi za moimi plecami, mierząc do mnie z pistoletu, z trudem odkleiłam od ciała i zdjęłam obrzydliwie brudne dżinsy oraz koszulkę i zaczęłam się myć. Z włosami niewiele mogłam zrobić, ale po odświeżeniu ust miętową pastą i umyciu się mydłem i zimną wodą mineralną poczułam się wspaniale.

– To nie to, do czego przywykłaś.

Inspektor wręczył mi granatowe spodnie od dresu, białą, bawełnianą koszulkę i błyszczącą kurtkę puchową, do tego bieliznę z supermarketu i parę ohydnych, ciemnoczerwonych mokasynów ze sztucznej skóry.

– Wybrałem rozmiar na oko. Poza tym, większość sklepów była zamknięta z powodu świąt. – W głosie da Silvy pobrzmiwała przeprasząca nuta.

– Są w porządku. A spluwę możesz schować, nie będzie ci potrzebna.

– Na wszelki wypadek jeszcze się wstrzymam. Skończyłaś? To chodź. I załóż z powrotem opaskę na oczy.

Wziął mnie pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Trzymał broń wycelowaną w moje serce, które mimo to biło spokojnie. Fascynujące, do czego człowiek może się przyzwyczaić. Gdy stopy z trudem niosły mnie w dół stoku, poczułam dziwną tęsknotę za swoją spokojną celą. Po chwili da Silva obrócił mnie i zdjął mi opaskę z oczu.

– Rety.

Staliśmy na nierówno wybetonowanej drodze, na szczycie klifu. Widok przed nami rozciągał się na wiele kilometrów: najpierw strome, pokryte lasami zbocza, a dalej rozległa równina schodząca do intensywnie niebieskiego morza, którego brzeg zdołały srebrne plaże.

– Pięknie tutaj. – Dotychczas Kalabria wydawała mi się obskurną norą, ale z tej wysokości autostrady i koszmarne, niedokończone budowle były niewidoczne dla moich wygłodniałych oczu. Da Silva wskazał na lewo.

– Tam się urodziłem. W Siderno.

– I tam właśnie jedziemy?

– Może. Ale najpierw musimy kogoś odwiedzić. Wsiadaj do samochodu. – Lufa pistoletu nadal wbijała mi się między zębra.

Nie pokazuj mu, że się boisz.

– O! Włączy pan syrenę, inspektorze?

– Zamknij się.

– Trzymałeś mnie w zamknięciu przez wiele dni, więc poczułam się trochę samotna. Miło byłoby z kimś pogawędzić.

– Nie wysilaj się. Po drodze możesz sobie pooglądać to.

Podał mi telefon, ale najpierw założył mi kajdanki i zapiął pas. Poczekaliśmy do momentu, aż dotarliśmy do końca krętej, stromej drogi i wjechaliśmy na trasę szybkiego ruchu – wtedy wskazałam leżącą na moich kolanach komórkę. Da Silva zdjął rękę z kierownicy i wcisnął klawisz. Telefon się włączył, a na ekranie pojawiło się zbliżenie siwego mężczyzny z dziurą w tyle głowy i pokaźną ilością mózgu na kołnierzyku. To nieco utrudniało identyfikację, ale kolejne zdjęcie przedstawiające to samo ciało leżące twarzą na biurku, z widoczną w tle udrapowaną zasłoną z czerwonego aksamitu, potwierdziło moje przypuszczenia: patrzyłam na zwłoki Ivana Kazbicha.

Poznałam Kazbicha latem, kiedy przyszedł do mojej weneckiej galerii z prośbą o wycenę prac należących do Pawła Jeromołowa, rosyjskiego kolekcjonera sztuki. To właśnie powiązania da Silvy z Kazbichem tak bezowocnie szukałam przez ostatnie miesiące. Wycena obrazów była ściemną. Kazbich oszukiwał Jeromołowa i konsekwencje jego działania widać było na załączonym obrazku: marszand został zabity w swojej galerii w Belgradzie strzałem w tył głowy. Jak zdrajca, którym zresztą był. Jeromołow obiecał mi, że się tym zajmie.

Szybko przewinęłam kilka zdjęć martwego ciała, by da Silva mógł zauważyć mój brak zainteresowania.

– I co? – zapytał.

– Kazbich nie żyje. Mam się przejmować? – Zamilkłam na chwilę, a potem dodałam. – Uważasz, że będziesz następny? Stąd ta scena na plaży?

– Mów dalej – rzucił da Silva. Wyglądał na rozbawionego.

– Pod przykrywką handlu dziełami sztuki razem z Kazbichem handlujecie, a raczej handlowaliście bronią. Kazbich próbował naciągnąć Jeromołowa na grubą kasę, a teraz nie żyje. Pojawia się

pytanie... – zamilkłam, przypomniał sobie koloż, który ułożyłam na podłodze swej celi. – Do czego Kazbich potrzebował pieniędzy Jermołowa? Najwyraźniej miał u kogoś dług. I ten ktoś chce go odzyskać, a teraz jedyną osobą, która może go uregulować, jesteś ty.

– Bardzo dobrze.

Czułam się idiotycznie zadowolona – jak pilna uczennica, która właśnie wyrecytowała zadany materiał. Dlaczego w ogóle przejmowałam się pochwałą skorumpowanego gliniarza? Czyżbym nabawiła się syndromu sztokholmskiego?

– A komu jestem winien te pieniądze? – zapytał da Silva. – Zakładając, że masz rację. Kto twoim zdaniem przystał mi te zdjęcia?

– A dlaczego miałyby mnie to w ogóle obchodzić?

– Dejan Raznatović.

– Aha.

Raznatović był dostawcą broni, ostatnim ogniwem całego przekrętu. Znalazłam go w Belgradzie i wydawało mi się, że nasze spotkanie w jego rezydencji poszło fantastycznie, ale jego euforia po seksie najwyraźniej już dawno opadła. Tak by przynajmniej sugerowało zachowanie faceta na plaży.

– A więc Raznatović wysłał Kolesia z Giwerą, by cię sprzątnął? Zapomniał o Kazbichu? O kasie?

Da Silva wzruszył ramionami.

– I tak, i nie. Co do pana Raznatovicia, to w kilku kwestiach nie możemy się dogadać. Powiedzmy, że musiałem się z tobą pilnie zobaczyć w Wenecji.

– Chyba nie tak pilnie, skoro trzymałeś mnie trzy dni na diecie, karmiąc panino².

– Przepraszam, musiałem mieć pewność, że jesteś bezpieczna.

– Bezpieczna?

– Obawiałem się Raznatovicia. Zobaczysz, co mam na myśli. Sprawy się już wyjaśniły. Czy teraz możesz się w końcu zamknąć? – Da Silva umilkł, po czym otworzył okno i zapalił papierosa.

Tym razem nie wypowiedział ostatniego zdania ostrym tonem.

² Panino (wł.) – bułka.

Zaproponował mi szluga, ale chociaż potwornie chciało mi się palić, grzecznie podziękowałam. Odór fajek w samochodzie przypomina mi matkę.

Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża – po prawej mieliśmy świecące nad morzem słońce, a po lewej ciąg pustych, zaniedbanych domów przeznaczonych na wynajem dla turystów. Światło odbijało się od wody, nadając powietrzu srebrzysty blask. Oddychałam pełną piersią, rozkoszując się chłodem na czystej wreszcie twarzy. W zasadzie byłam w całkiem niezłym nastroju. Zaledwie kilka dni wcześniej myślałam, że czeka mnie długi pobyt w więzieniu, co na razie nie nastąpiło, a do tego przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny nikt nie próbował mnie zastrzelić. Co prawda byłam bezrobotna, bezdomna i skuta kajdankami, ale to znaczyło, że może być tylko lepiej. Najważniejsze to myśleć pozytywnie.

Minęliśmy Siderno i jechaliśmy jeszcze przez jakieś czterdzieści minut. Co kilkaset metrów stały kobiety – pojedynczo, parami albo w trzyosobowych grupach czekały w zasięgu wzroku kierowców z rzadka przejeżdżających samochodów. Wszystkie były Afrykankami, przeważnie młodymi, i pomimo grudniowej temperatury miały na sobie jaskrawe, obciste sukienki mini albo króciutkie szorty i odsłaniające brzuch bluzeczki. Niektóre siedziały na plastikowych krzesłach, paliły papierosy, gawędziły lub bawiły się telefonami, inne przechadzały się i ze wzrokiem utkwionym daleko w autostradzie pozowały przed nadjeżdżającymi samochodami. Jedna z kobiet ubrana była w czapkę Świętego Mikołaja i czerwoną, satynową, super krótką spódniczkę wykończoną sztucznym, białym futerkiem.

– Co to za dziewczyny?

Przydrożne prostytutki to znajomy widok na obrzeżach włoskich miast, ale nigdy nie widziałam ich tak wielu.

– Niedaleko stąd jest obóz. Capo Rizzuto.

W takim razie te kobiety były uchodźczyniami. Ubiegały się o azyl.

Da Silva zwolnił i zatrzymał się na pasie awaryjnym.

– Wysiadaj.

– W tym stroju raczej mi się nie poszczęści.

– Siadaj z tyłu. Wjeżdżamy do środka, okej? Nie musisz nic mówić.

Włożył pistolet do kabury i pomógł mi usiąść na tylnym siedzeniu.

Włączyliśmy się do ruchu i pojechaliśmy kawałek dalej, aż do bramy strzeżonej przez dwóch mężczyzn w mundurach *Guardia di Finanza*. Wartownicy zasalutowali, a my minęliśmy kompleks brązowych, betonowych budynków biurowych i wjechaliśmy na otwarte pole z pasem startowym i zwisającym wiatrowskazem. Na lądowisku stał granatowy, rządowy helikopter. Gdy podjechaliśmy, jego śmigła zaczęły się obracać. Kolejny funkcjonariusz podbiegł i otworzył dla Silvie drzwi, a potem we dwóch podprowadzili mnie do śmigłowca i wepchnęli na siedzenie obok czekającego pilota, który nie zaszczycił mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Mundurowy zapiął mi uprząż i zdjął kajdanki, po czym da Silva wgramolił się do środka i usiadł obok mnie. Przed startem dostaliśmy słuchawki, a funkcjonariusz podał pilotowi i da Silvie plik dokumentów do podpisania.

Wiedziałam, że lepiej nie pytać, dokąd lecimy. Inspektor prowadził nad moją głową rozmowę z pilotem, ale słyszałam jedynie stłumiony warkot silnika. Wystartowaliśmy, skręciliśmy nad niskimi wzgórzami, a potem śmigłowiec zatoczył łuk i ruszył w kierunku morza. Postanowiłam, że spróbuję uwolnić się od natłoku pytań i pomyśleć o czymś przyjemnym. Moja koleżanka Carlotta, imprezowiczka, której udało się usidlić starszka-miliardera, dała mi kilka przydatnych rad – na przykład tę, żeby zawsze latać prywatnymi samolotami.

Nie miałam zegarka, ale oszacowałam, że byliśmy w powietrzu jakieś trzy godziny. W tym czasie mieliśmy jedno międzylądowanie – w miejscu, które wyglądało na bazę wojskową. Tam zażenowany młody oficer zaprowadził mnie skutą do łazienki, a potem wręczył mi butelkę z wodą, którą opróżniłam, obserwując tankowanie śmigłowca. Po starcie ruszyliśmy dalej wzdłuż wybrzeża, a potem odbiliśmy w kierunku morza. Po jakimś czasie znów pojawiła się pod nami linia brzegowa, pilot zniżył lot i ponownie zaczął rozmawiać

przez radio, przygotowując się do lądowania. Przelecieliśmy nisko nad wieżowcami, których balkony opadały kaskadowo, a znajdujące się na nich anteny telewizyjne wyglądały jak zwariowane, wymyślne kapelusze, i pilot posadził maszynę na dachu oznaczonym wielką literą „H”. Kilku mężczyzn w mundurach podbiegło do śmigłowca, schylając irracjonalnie głowy na widok kręcącego się śmigła. Da Silva pomógł mi wysiąść i kiedy tylko stanęłam na lądowisku, zakuł mnie ponownie w kajdanki. Następnie ruszyłam za nim ze spuszczoną głową, on zaś poprowadził mnie przez drzwi, schodami piętro w dół, a potem do obskurnej, wyłożonej blachą windy, która zawiozła nas do podziemnego garażu, gdzie czekało czarne BMW z kierowcą. Inspektor odezwał się dopiero w chwili, gdy oboje usiedliśmy na tylnym siedzeniu – i zrobił to po angielsku.

– Dobrze się czujesz? Nie mdli cię?

– W porządku. Dlaczego przywiozłeś mnie do Albanii?

– Skąd wiesz, że jesteśmy w Albanii?

– Cóż, wystartowaliśmy z Włoch i poleciliśmy na wschód. Maksymalny zasięg Breda nardi NH500 to dwieście sześćdziesiąt trzy kilometry, więc musieliśmy go po drodze zatankować. Inne kraje są za daleko. Poza tym mówisz po angielsku. Wielu Albańczyków zna włoski, więc angielski jest bezpieczniejszy.

Da Silva wyglądał na lekko zaniepokojonego, ale nie miałam zamiaru dać mu satysfakcji i wytłumaczyć, skąd mam taką wiedzę. Prawdę mówiąc, wiedziałam, jakimi śmigłowcami lata Guardia tylko dlatego, że kiedy szukałam informacji na temat skradzionego caracala, tego samego, który miał teraz przy sobie da Silva, dowiedziałam się co nieco na temat wyposażenia włoskich służb. Pomyślałam, że przyda mi się umiejętność rozpoznawania włoskich policjantów, nawet w cywilu, po standardowym uzbrojeniu, a pamięć mam bardzo dobrą. W teleturniejach byłabym bezkonkurencyjna. Podejrzewałam, że w swoim czasie dowiem się, co do cholery robimy w Albanii, ale już teraz coś mi mówiło, że nie jest to oficjalna wizyta, mimo iż da Silva odbywa ją w godzinach pracy.

– Możesz mi więc powiedzieć, gdzie jesteśmy – dodałam radośnie.
– Miejsce nazywa się Durres – odparł inspektor. Po moim wystąpieniu w stylu komisarza Montalbano nie był już tak pewny siebie.

– Dobra – dodał po chwili, sięgając do kajdanek. – Już nam nie będą potrzebne.

Mogło mi się wydawać, ale odniosłam wrażenie, że odrobinę za długo przytrzymał kciuk po wewnętrznej stronie mojego nadgarstka, masując miejsce, gdzie metal wpił mi się lekko w ciało. Wyjrzałam przez okno. Durres poza sezonem wyglądało tak, że w porównaniu z nim Kalabria wydawała się tropikalnym rajem. Samochód podskakiwał na krętych, wyboistych uliczkach pełnych kobiet w brudnych, nylonowych burnusach. Biedaczki pchały dziecięce lub zakupowe wózki, lawirując między obskurnymi stoiskami z jedzeniem i otwartymi studzienkami kanalizacyjnymi. Zauważyłam też nadzwyczajną liczbę bezpańskich psów przemykających nieustraszenie pomiędzy kłębiącymi się na ulicach pojazdami. Chociaż na zimowym niebie nie było chmur, światło słoneczne wydawało się zamglone i z trudem przedzierało się pomiędzy chwiejącymi się wieżami bloków mieszkalnych, których ostatnie piętra spowijał smog. Na twarzy da Silvy, który najwyraźniej był tu wcześniej, malowała się niewzruszona obojętność – nawet wtedy, gdy zatrzymaliśmy się na światłach i zupełnie nagi żebrak, odziany jedynie w zarzucony na ramiona kwiecisty obrus, zastukał nam w tylną szybę. Kierowca wysunął głowę i krzyknął coś na temat prowadzenia się matki bezdomnego, a ten odszedł, powłócząc nogami.

W końcu wyjechaliśmy z miasta i ruszyliśmy nowiutką ekspresówką. Ruch na niej był mniejszy, ale kierowcy zdawali się traktować wszystkie sześć pasów jak prywatny tor wyścigowy. Zamknęłam oczy, gdy ogromna ciężarówka pojawiła się nagle przed nami i dopiero w ostatniej sekundzie zjechała na przeciwny pas ruchu. Da Silva poklepał mnie po ramieniu.

– Szaleństwo, co? A mówi się, że Włosi są agresywnymi

kierowcami. Powinnaś zobaczyć drogę do Tirany. Jest dosłownie zastana ciałami.

– Dzięki, cudowna wizja.

Celem naszej podróży była wielka willa w brzoskwiowym kolorze, do której podjeżdżało się prosto z drogi. Kiedy mineliśmy elektrycznie sterowaną, zwieńczoną drutem kolczastym bramę, chudy mężczyzna z wydatnym brzuszkiem skrytym pod fioletową koszulą i beżową kaszmirową marynarką przytruchtał ochoczo do samochodu. Przywitał inspektora wylewnie po włosku, czemu towarzyszyło intensywne potrząsanie rąk i klepanie po plecach, ale w jego podkrążonych, szarawych oczach dostrzegłam nieufność. Otworzył mi drzwi i elegancko, acz przelotnie skinął mi głową, obserwując za moimi plecami da Silvę. Czyżby myślał, że jestem jego dziewczyną?

– To pani Teerlinc. – Policjant użył mojego fałszywego nazwiska, symbolizującego życie, którego, jak mi się naiwnie wydawało, zawsze pragnęłam.

– *Buongiorno, signorina* – przywitał się formalnie mężczyzna.

Cieszyłam się, że nie musimy podawać sobie rąk. Jego byłaby z pewnością tak samo lepka jak spocone ze zdenerwowania czoło.

– Wszystko gotowe? – zapytał obcesowo da Silva.

– *Certo, certo, tutto a posto!*³

W kąciuku ust nieznanego mężczyzny dostrzegłam zaschniętą ślinę. Był naprawdę nakręcony.

Da Silva zamienił parę słów z kierowcą, który po chwili odjechał samochodem za budynek, my zaś we trójkę ruszyliśmy wręcz pedantycznie wybrukowaną ścieżką do obszernego, otoczonego murem dziedzińca. W jednym rogu stała huśtawka dla dzieci, a pośrodku fontanna z plastikowym łąbędziem. Resztę dekoracji stanowiły: plastikowy stolik z krzesłami, kilka starych mercedesów oraz klęczący mężczyzna z rękami wykręconymi na plecach przez dwóch łysych, wytatuowanych wykidajtów w dżinsach. Kiedy mężczyzna zobaczył da Silvę, zaczął błagalnie krzyczeć, próbując

³ Certo... (wł.) – Oczywiście, oczywiście, wszystko w porządku!

wyjaśnić po włosku, że zaszła pomyłka, że to nie jego wina, że on nigdy... Jakby tłumaczeniem mógł zyskać na czasie. Nie dowiedziałam się, czego nigdy nie zrobił, gdyż inspektor wyminął mnie szybko, wyciągając po drodze broń, i trzykrotnie strzelił tamtemu w pierś.

Gospodarz przeżegnał się ostentacyjnie i skinął da Silvie głową. Ciało zabitego, którego serce przeżyło kilka sekund dłużej niż mózg, osunęło się na ziemię pomiędzy ponurymi ochroniarzami, bryzgając na asfalt krwią. Czułam przyprawiający o mdłości, żelazisty zapach krwi i woń prochu na dłoni da Silvy, który prowadził mnie teraz do domu. Patrząc na jego twarz, można by pomyśleć, że przed chwilą strzepnął szczyptę popiołu ze spodni swojego munduru.

Wyczułam między nami delikatne, niewidzialne przyciąganie, gdyż w tym samym momencie oboje bez słowa uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy ulepieni z jednej gliny.

Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, jak osiłki ładują ciało do obszernego bagażnika jednego z samochodów. Chudy mężczyzna pojawił się u mego boku. Jego ziemista twarz była blada i zroszona potem. Wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować, ale zmusił się do uśmiechu.

– Proszę tędy, *signorina* – oznajmił chrapliwie. – Lunch jest gotowy.

3.

– Nie chcę żadnego lunchu.

Tak naprawdę umierałam z głodu, gdyż ostatnim moim posiłkiem była sucha bułka, którą zjadłam poprzedniego wieczoru, ale ta cała wyprawa zaczynała mnie wkurzać. Jednak paradoksalnie, pomimo tego, co właśnie zobaczyłam, resztki wzbudzonego na nowo lęku przed da Silvą ulotniły się wraz z zapachem prochu z dziewięciomilimetrowego naboju. Nie pierwszy raz widziałam przecież zwłoki. Gdyby da Silva naprawdę wiedział o mnie tyle, ile sugerował, że wie, bardziej by się przyłożył, by mnie zszokować i przestraszyć. Znudziło mnie już bycie przerzucaną z miejsca na miejsce jak jakaś paczka i niezależnie od tego, czego inspektor od mnie chciał, byłam gotowa zmierzyć się z tym i wypieprzyć go z mojego życia. A właściwie tego, co z tego życia zostało. Odsunęłam się od obu mężczyzn i zwróciłam do da Silvy.

– Czego chcesz, inspektorze? – zapytałam po angielsku. – Wyjaśnij mi, czego dokładnie ode mnie chcesz. Bo naprawdę mam gdzieś gościnność twojego przyjaciela i ten mały teatrzyk, który właśnie odstawiłeś. Jasne? Powiedz mi i już.

Da Silva wzruszył ramionami.

– W porządku. Po prostu myślałam, że możesz być głodna. W takim razie chodź ze mną.

– Nie. Ta główniana scenka miała mnie przestraszyć?

Drugi mężczyzna majstrował nerwowo przy zastawie dla trzech osób przygotowanej na bogato zdobionym, mahoniowym stole ze szklanym blatem i udawał, że nie zwraca na nas uwagi. Wzięłam oddech i ściszyłam głos.

– Nie wiozłeś mnie taki szmat drogi, bym została świadkiem zabójstwa. Więc o co chodzi?

Na twarzy inspektora pojawiło się pełne znużenia rozbawienie, co spowodowało, że nagle gorąco zapragnęłam złamać mu jego

kształtny nos.

– Nie wszystko zawsze kręci się wokół ciebie. To była wiadomość. Nie dla ciebie. Pójdiesz wreszcie ze mną? Pan Raznatović nie będzie czekał cały dzień.

– Jest tutaj?

– Cóż, miałaś rację: nie wiozłem cię taki szmat drogi, byś zobaczyła, jak kogoś zabijam. Proszę.

Podłużne pokoje willi umeblowano ohydnyimi podróbkami antyków, przy czym stylizacja ta nie obejmowała podłóg, które, podobnie jak poplamione krwią podwórze, wylano z betonu. Da Silva poprowadził mnie obok stołu do salonu z wielkim, płaskim telewizorem, a następnie do pomieszczenia, które mogłoby być sypialnią, gdyby zawierało coś więcej niż trzy składane krzesła. Jedno z nich zajmowała potężna postać Dejana Raznatovicia.

Na jego widok boleśnie uświadomiłam sobie trzy rzeczy: że w pokoju jest przenikliwie zimno, że moje włosy są w tragicznym stanie i że gdyby tylko Raznatović wyciągnął rękę, mógłby zrobić sobie z mojego kręgosłupa naszyjnik.

– Mniemam, że już się znacie – zagaił da Silva, najwyraźniej przekonany, że wykazał się niezwykłym dowcipem.

Spojrzałam na niego obojętnie i usiadłam na jednym z krzeseł naprzeciwko Raznatovicia. Nasze ostatnie spotkanie było zbyt krótkie, bym formalnie mogła nazwać Serba swoim kochankiem, ale kiedy zobaczyłam jego ostre rysy i niemożliwie szerokie ramiona, poczułam ukłucie pożądania. Był wyjątkowo szczerze obdarzonym przez naturę i utalentowanym mężczyzną. Nie wyglądał na ucieszonego moim widokiem, choć z drugiej strony pomyślałam, że gdyby był bardzo niezadowolony, nie ryzykowałby aresztowania na mocy różnych europejskich umów o ekstradycję, by się ze mną zobaczyć. Kazałby mnie po prostu zabić – jak mężczyznę na podwórzu.

– Pani Teerlinc... – zaczął.

– Cześć, Dejanie. Wspominałam ci chyba, że możesz mówić mi Judith.

– W takim razie... Witaj, Judith. Przejdziemy od razu do rzeczy? Wtedy, w Belgradzie, niestety mnie okłamałaś. Przekazałem twoją wiadomość Ivanowi Kazbichowi pod warunkiem, że tak jak to podobno planowałaś, zwrócisz... znany nam przedmiot. Obiecałaś, że przekażesz go mocodawcy pana Kazbicha w Szwajcarii. Jednak okazuje się, że pana Kazbicha nie ma już wśród nas, a przedmiot zaginął. Gdzie on jest?

„Przedmiotem” był pomysłowo wykonany rysunek na płótnie, rzekomy Caravaggio. Kazbich usiłował sprzedać go Pawłowi Jeromołowowi, ale pomieszałam mu szyki. Miałam chyba do tego talent.

– Można powiedzieć, że go wyrzuciłam. A przynajmniej to, co z niego zostało. Był bezwartościowy, o czym bez wątplenia dobrze wiesz.

– W rzeczy samej. Tak czy inaczej, był bardzo przydatny. Przysporzyłaś mi wielu kłopotów. Prawdę mówiąc, gdyby nie pan inspektor – Raznatović spojrzął na da Silvę, który siedział obok mnie – mogłabyś skończyć jak pan Kazbich. Ale inspektor zaproponował lepsze rozwiązanie.

– Czego chcecie? – Zadawanie tego pytania zaczynało mnie szczerze nudzić.

– Kiedy przedmiot zniknął, zwróciłem się do pana da Silvy. Wiedział o tobie kilka rzeczy, o których ja nie miałem pojęcia, i jednomyślnie... Chyba tak się mówi? Tak, jednomyślnie uznaliśmy, że możesz pomóc nam obu wywiązać się ze wspólnego zobowiązania.

– Tak, a jeśli odmówię, to mnie zabijecie. Stara śpiewka.

Prawdę mówiąc, nie chciałam umierać. Nie miałam też ochoty rehabilitować się za podłe uczynki, spędzając resztę życia na pomaganiu trędowatym, ale naprawdę nie chciałam umierać. Ale ponieważ jeszcze nie zginęłam, wiedziałam, że dwóch siedzących przede mną mężczyzn nic w tym kierunku nie zrobi. Przynajmniej na razie. Próbowali mnie tylko zastraszyć, a ja zawsze źle na to reagowałam.

– Oczywiście – przytaknął Dejan. – Ale nie od razu. Najpierw zabijemy twoją matkę. Proszę, pokaż jej zdjęcia.

Da Silva wyjął swój telefon, wyszukał fotografie i podał mi komórkę. Rzeczywiście, była na nich moja matka. Wchodziła do pubu na naszym starym osiedlu. Chyba powinnam być wdzięczna, że nie sfotografowali jej, jak z niego wychodziła. Na kolejnym ujęciu matka pchała wózek w supermarkecie. Miała na sobie kurtkę, którą przysłałam jej z Włoch na ostatnie urodziny – granatową dwurzędową kurtkę marynarską z woskowanego lnu od MaxMary. Wiedziałam, że uzna ją pewnie za nudną, ale chciałam, by wyglądała bardziej elegancko. Zdziwiłam się, że w ogóle ją nosi. Ostatnie zdjęcie zrobiono przez okno kawiarni, gdzie piła *cappuccino* ze swoją przyjaciółką Mandy. Nigdy do końca nie przebolełam faktu, że *cappuccino* dotarło do Liverpoolu. Tym razem kurtkę marynarską zastąpiła ciężka kurtka ze sztucznego futra na zimniejszą pogodę, ale na wypadek, gdybym miała wątpliwości, kiedy zrobiono zdjęcia, szpieg Dejana umieścił na drugim planie egzemplarz „Mirrora” z aktualną datą. Delikatnie dotknęłam ekranu, a potem podniosłam wzrok i spojrzałam w głębokie, ciemne oczy Raznatovicia. Ostatnio miałam okazję kilka razy spojrzeć w wylot lufy, ale te oczy były o wiele bardziej przerażające. Chciałam odpędzić od siebie lęk, ale odkryłam, że się nie boję. W tym przypadku Dejan nie miał nade mną przewagi. Wszystko, co miałam kiedyś do stracenia, dawno straciłam. Wszystko oprócz własnego życia.

– Wiem tylko, że jesteś w stanie dotrzeć do mojej matki. Ale to, że potrafisz wysłać swojego zbira samolotem do Anglii, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Mówiłam ci: stara śpiewka. Nie obchodzi mnie, czy zabijecie moją matkę. Mam to gdzieś.

Da Silva chrząknął lekko zaskoczony. *La mamma* to dla Włochów świętość. Nawet Raznatović przez chwilę wyglądał na szokowanego.

– W takim razie, Dejanie, dwie sprawy – kontynuowałam. – Zakładam, że facet z bronią, który kilka dni temu zginął na plaży, był jednym z twoich ludzi. Ponieważ chciałeś odzyskać pieniądze za

„przedmiot”, który nasz obecny tu przyjaciel gdzieś zapodział. Dlatego da Silva mnie schował poza twoim zasięgiem, dopóki się nie dogadacie.

Raznatović powoli przytaknął. Spojrzałam na inspektora.

– A facet na podwórzu? To on zorganizował zamach na ciebie na plaży, prawda? Więc go zabiłeś, żeby pokazać wszystkim w swojej ekipie, że wy dwaj znów się przyjaźnicie, tak? „Wiadomość”, tak to nazwałeś? Gest dobrej woli w waszym wspólnym odnowionym układzie?

Obaj wpatrywali się we mnie. Dejan chciał się odezwać, ale zbyłam go lekceważącym machnięciem ręki. Muszę przyznać, że lubię ten gest.

– Nie mam pojęcia, dlaczego babracie się w tym gównie. Ta cała *omertà* wychodzi już z mody. Nie macie nic lepszego do roboty? I ten Big Brother z moją matką... Ale nieważne. Tak czy inaczej, szkoda gościa w bagażniku. Podejrzewam, że obaj chcecie dostać coś w zamian za wasz „przedmiot”. Mam rację? I uważacie, że mogę wam to załatwić.

– *Ho detto che è brava*⁴ – wymamrotał da Silva.

– Zgadza się – odparł Raznatović już nieco cieplejszym tonem.

– A więc: tak. Jak już powiedziałam, mam gdzieś moją matkę, ale odpowiedź brzmi „tak”. Zrobię, co będę mogła. Ale najpierw skończmy, proszę, z tymi wygłupami. Bądźmy poważni. Możemy się tak umówić?

Miałam nadzieję, że kupię moją brawurę. Gdybym zdołała ich przekonać, że nie traktuję ich poważnie, mogłabym zyskać na czasie i dowiedzieć się, czego chcą. Wtedy miałabym szansę wyjść stamtąd na własnych nogach. Granie twardej pomagało mi również powstrzymać silne mdłości, które narastały pod moją odrażającą kurtką. Miałam świadomość, co ci dwaj mogą mi zrobić, więc ulżyło mi na widok uśmiechu na twarzy Dejana.

– Co ci powiedziałem, kiedy odwiedziłaś mnie w Belgradzie, Judith?

– Że jestem bardzo odważna. Ale też głupia.

4 Ho detto... (wł.) – Mówiłem, że jest bystra.

– Właśnie. Ale zgadzam się. Możemy zrezygnować z tych, jak się raczyłaś wyrazić, „wygłupów”.

– A więc? O co chodzi?

– W Belgradzie zaproponowałam mi sprzedaż dzieła sztuki. Podejrzewam, że nie było oryginalne, tylko je... wyprodukowałam. Czy tak?

– Cóż, rozpaczliwie chciałam cię poznać.

– Myślisz, że mogłabyś stworzyć kolejne?

„Dzieło”, które pokazałam Dejanowi, składało się z kilku zaledwie zdjęć – był to kolaż weneckiej ikony i paru odrażających, współczesnych prac. Nigdy nie był „prawdziwy”, od początku stworzyłam go tylko dla ściemy.

Zawahałam się.

– Znam się na obrazach, i to całkiem dobrze. Ale nie potrafię ich tworzyć. Nie umiem malować.

– Mój kolega ma ludzi, którzy mogą zająć się wykonaniem.

– Tak podejrzewałam.

– Bez impertynencji, proszę. Zmarnowałaś już całkiem sporo mojego czasu. Twoim zadaniem będzie wymyślić dzieło: artystę, proveniencję. Musi być idealne, tak żeby sprzedało się jako autentyk. Rozumiesz?

– Taaak...

– Jesteś w stanie to zrobić?

– Dlaczego ja? Na pewno takie szczyty jak wy mają na swoich usługach cały zastęp szemranych marszandów.

Na moment zapadła cisza, a potem da Silva powiedział cicho:

– Prawdę mówiąc, nie mamy.

Kazbich, Moncada, Fitzpatrick. Wszyscy zginęli. Nie musiał mi niczego tłumaczyć. Właściwie wszyscy inni kandydaci do tej pracy gryźli już ziemię.

– Kiedy pomiędzy panem Raznatoviciem a mną doszło do tego małego... nieporozumienia, pomyślałam o tobie – kontynuował inspektor. – Masz legalnie działającą galerię. Udowodniłaś, że potrafisz rozpoznać falsyfikat i dociekliwie prowadzisz badania.

Pamiętaj, że od dawna cię obserwowałem. Nie mamy wiarygodnego marszanda i musimy tę lukę szybko wypełnić.

Ponownie spojrzałam na Raznatovicia.

– Będę potrzebować czasu. Może nawet bardzo wiele. Trzeba będzie przeprowadzić badania, porozmawiać z wykonawcami. Ale zgadzam się. O ile zapewnicie mi środki finansowe.

Znowu spojrzałam w te leniwie spokojne oczy. Po raz pierwszy od chwili, gdy Kazbich odwiedził mnie w galerii i poprosił o wycenę kolekcji Jermołowa, nagle poczułam radość. Już myślałam, że nigdy nie zobaczę żadnego obrazu, chyba że w albumie z więziennej biblioteki, a teraz ktoś prosi mnie, bym samodzielnie sfalszowała dzieło sztuki. Poważny obraz. Nie od razu jednak zrozumiałam, dlaczego owa propozycja wprawiła mnie w taką ekscytację. Przynajmniej jeśli chodzi o sztukę, zawsze starałam się być uczciwa. Przecież cała ta sprawa z da Silvą zaczęła się właśnie dlatego, że jako asystentka w londyńskim domu aukcyjnym w imię uczciwości próbowałam zdemaskować fałszerstwo. Ale czas, który przeżyłam, próbując być Elisabeth Teerlinc, zasiał we mnie pogardę dla jej świata: pretensjonalności, przybranej pozy i merkantylizmu. Może i kocham obrazy, ale nie mam powodu, by kochać ludzi, którzy nimi handlują. A potem... och, potem...

Chyba zaśmiałam się na głos.

– Wyjaśnijmy to sobie – kontynuowałam, stłumiwszy wewnętrzną radość. – Ty i twoja rodzina... – gwałtownym ruchem wskazałam głową da Silvę. – Nadal tak się nazywacie? Rodzina? Wisicie mu w cholerę pieniędzy. W takim razie, ile musi zarobić ten obraz?

– Sto – odpowiedział Dejan. Nie musiał dodawać, że chodzi o miliony.

– Więc tak naprawdę to nie ja powinnam się martwić?

– Można tak powiedzieć.

– Dobra, zgadzam się – powtórzyłam. – Jeśli dacie mi środki, jestem pewna, że mogę to zrobić. Ale nie ma mowy o prywatnej sprzedaży. To mój warunek. Tylko aukcja publiczna. Jeśli dzieło zarobi więcej, niż wynosi wasz dług, nadwyżką dzielimy się po

połowie.

– Jesteś bardzo pewna siebie.

– W rzeczy samej, panowie. – Zawsze chciałam to powiedzieć. – I koniec wygłupów. Jesteśmy teraz współnikami. Albo, jeśli wolicie, współtwórcami projektu. Zgoda?

Dejan przez chwilę milczał.

– W porządku – odparł w końcu. – Zgadza się pan, inspektorze?

Da Silva przytaknął.

– A jeśli nawalę... Cóż, Dejanie, możesz zabić nas oboje. Prawda, Romero?

– Spryciara – skwitował z uznaniem Raznatović. – Przykro mi, że nie zjem z wami lunchu, ale jak pewnie rozumiecie, muszę wracać do Belgradu. Skoro się zgodziłaś, inspektor przedstawi ci twoją asystentkę. Zapewnimy ci wszystko, czego będziesz potrzebowała.

– Jeszcze jedna sprawa. Coś zostało w moim mieszkaniu w Wenecji. Trzeba to posprzątać. Jestem pewna, że da Silva może się tym zająć, ale tak czy inaczej, chcę, by to zostało załatwione.

– Inspektorze?

Da Silva wzruszył ramionami.

– Nie ma problemu.

Dejan wstał. Głową niemal dotknął sufitu.

– Chwileczkę. Jaki jest wasz budżet?

– Budżet? – Spodobał mi się jego ton arystokratycznego zaskoczenia. – Oczywiście tyle, ile potrzebujesz. Bardzo jestem ciekaw twojego dzieła.

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca i da Silva wyprowadził mnie energicznie z pokoju. Widząc, jak moje spodnie dresowe powiewają nad ohydnyimi mokasynami, pomyślałam, że skoro zaczynamy wspólne biznesy, to może równie zręcznie pozbylibyśmy się tych ciuchów. Z nagłego rozmarzenia wyrwało mnie jednak trzaśnięcie drzwi. Poczułam leciutkie ukłucie zawodu, że Dejan się ze mną nie pożegnał.

Da Silva zaprowadził mnie do jadalni. Złękniiony gospodarz postawił na stole sałatkę, chleb i talerz wyschniętych, mało apetycznych

kiełbasek. Zrobiłam sobie kanapkę i zjadłam ją łapczywie.

– Mam nadzieję, że będzie deser. Wiesz, catering w tej dziurze, w której mnie trzymałeś, był dość kiepski.

Da Silva jadł w bardziej wyrafinowany sposób, obierając ogórka ze skórki.

– Mówiłaś szczerze o swojej matce?

– Dlaczego pytasz? Myślisz, że jeśli jestem pozbawioną uczuć psychopatką, to sam wyjdiesz na mniejszego fiuta?

Da Silva potarł nasadę nosa. Ładnego nosa.

– Zawsze tyle mówisz? Posłuchaj. Jak by ci to wytłumaczyć... Ta sprawa... Nasza sprawa... Tutaj nie chodzi tylko o pieniądze. Są pewne zasady postępowania, kodeks. Wiesz, że pan Raznatović jest bardzo bogatym człowiekiem. Ale jeśli ma wrażenie, że nie dostaje tego, co mu się należy, jeśli nie karzemy dla przykładu ludzi, którzy się wyłamują, wyglądamy na słabych. A to bardzo źle dla biznesu.

– Więc to całe przedstawienie to był pokaz siły?

– Większość ludzi nie użyłaby takiego określenia. Ludzie pana Raznatovicia kursują często pomiędzy Albanią i Włochami. Jeden z nich lekko się podekscytował, kiedy usłyszał o naszym niedawnym nieporozumieniu. Uznaliśmy, że powinien zostać ukarany w miejscu, gdzie jego koledzy to... rozumieją. Poza tym panu Raznatoviciowi wygodniej było spotkać się z tobą w Albanii. Wyraźnie to zaznaczył.

– W porządku. – Nadziałam na widelec bladego pomidora.

– A więc?... Co z twoją matką?

– Czytałeś w szkole Dantego? Pewnie tak, jesteś przecież Włochem.

– Nie interesuję się poezją.

– Dziewiąty krąg piekła Dante przeznaczona dla zdrajców. Znajduje się w nim specjalna strefa dla ludzi, którzy wzgardzili miłością i zawiedli zaufanie.

Da Silva spojrzął na mnie tak samo jak w momencie, gdy zaczęłam przynudzać o śmigłowcach.

– A więc twoja matka cię zdradziła? – zapytał powoli.

Jak miałabym komukolwiek opowiedzieć o mojej matce? A co

dopiero da Silvie.

– Nieważne. Moja matka jest pijaczką. Nigdy o mnie nie dbała, nie opiekowała się mną. Nie jestem jej nic winna.

– Przykro mi...

– Nieprawda. Tak czy inaczej, chyba czeka na nas robota? Zamiast gadać o mojej matce, wołałabym usłyszeć, co tu się, kurwa, wyrabia.

– Dowiesz się wszystkiego, co musisz wiedzieć.

– Taaa. Pamiętaj, że jesteśmy teraz zespołem. Tak powiedział twój kumpel Dejan, a to chyba on jest tu szefem.

Pomysł, który wpadł mi do głowy – mogłabym nawet nazwać go inspiracją – pulsował teraz we mnie tak intensywnie, że ledwie zarejestrowałam ostatnie, bądź co bądź surrealistyczne, wydarzenia.

– Teraz bym zapaliła.

Jak to bywa w przypadku wszystkich wyrafinowanych przyjemności, po pierwszym sztachu mnie zemdliło, ale każdy kolejny doprowadzał mnie do ekstazy.

– Co dalej, Romero? Od czego mam zacząć?

– Mówiłaś, że chcesz się spotkać z osobą, która może wykonać obraz.

– Choćby i zaraz.

– Dlatego wracamy do Kalabrii.

– Super.

Myślałam, że nie wierzę w przeznaczenie, ale ewidentnie łączył mnie z da Silvą jakiś karmiczny związek. Tak wiele ciał, tak wiele duchów. Zaczynaliśmy przypominać ostatnich sprawiedliwych, więc równie dobrze mogliśmy się zaprzyjaźnić.

4.

W porównaniu z komórką moje nowe lokum okazało się znacznie bardziej imponujące. Był to ni mniej, ni więcej, tylko apartament dla nowożeńców w Grand Hotel President di Siderno. Zanim późnym wieczorem przyjechaliśmy na miejsce, krasnoludki da Silvy zdążyły już zrobić, co trzeba. Oprócz małej torby, którą spakowałam w Wenecji, myśląc, że idę siedzieć, w pokoju znalazłam też swoje rzeczy z mieszkania przy Campo Santa Margherita, między innymi laptop, telefon, biżuterię, ubrania, bieliznę, przybory toaletowe, strój do biegania i wszystkie książki o sztuce. Z ulgą spostrzegłam, że dobrym duchom udało się oprzeć pokusie dorzucenia fragmentów Alvina.

– Miejsce ci odpowiada? Będę za drzwiami, gdy będziesz pracować.

– Nie planowałam zaczynać już dzisiaj. Trochę jestem zmęczona po tym całym straszaniu śmiercią i w ogóle.

– Miałem na myśli to, że zostanę w hotelu, póki nie skończysz.

– Cały czas? – zapytałam z niedowierzaniem. – A co z Bożym Narodzeniem? Czy Franci i dzieci nie będą za tobą tęsknić? Giovanni i Giulia wpadną w rozpacz, jeśli papa nie spędzi z nimi Gwiazdki. A praca? Co z twoimi obowiązkami służbowymi?

Dla zabicia czasu da Silva przeglądał ilustracje w biografii Soutine’a.

– Co? Och, to żaden problem. Jestem na zwolnieniu. W zeszłym tygodniu zostałem ranny na służbie. Niefortunny postrzał w nogę.

– Serio? I takie bzdury przejdą?

Spojrzał na mnie z litością.

– Ty naprawdę nic nie wiesz, co?

– A twoja żona?

– Rozumie sytuację. A co ważniejsze, nie zadaje tylu pytań co niektórzy. Zostawię cię teraz, żebyś się mogła rozgościć. Ale to zabiorę.

Sięgnął po brązową kopertę, w której znajdował się mój paszport – ten legalny, na moje prawdziwe nazwisko, czyli Judith Lauren Rashleigh – oraz dwie podróbki, które kupiłam w odstępie dwóch lat od pewnego amsterdamskiego fałszerza. Na nazwiska Elisabeth Teerlinc i Katherine Olivia Gable. Dane z drugiego paszportu to imiona mojej siostry. Matka uwielbiała hollywoodzkie klasyki.

– To naprawdę nie będzie konieczne. Gdzie miałabym twoim zdaniem pojechać?

– A dlaczego twoim zdaniem miałbym ci ufać?

– Ufasz, kiedy nie masz lepszej alternatywy.

– *L'ultima spiaggia*⁵?

– U nas się mówi: ostatnia deska ratunku.

– Zabieram to. Gdybyś chciała coś zjeść, zamów, na co masz ochotę.

– Masz fajki?

Da Silva podał mi do połowy opróżnioną paczkę.

– Dzięki. Muszę się natychmiast wykąpać.

Da Silva popatrzył na mnie dziwnie i wyszedł.

Zamknęłam za nim drzwi na klucz, odkręciłam kran przy marmurowej wannie i wlałam do parującej wody zawartość wszystkich znalezionych buteleczek z płynem do kąpieli i szamponem. Czekając, aż wanna się wypełni, zaczęłam sprawdzać dane na komputerze. Na moich rachunkach bankowych w Panamie i Szwajcarii wszystko się zgadzało, więc nadal byłam stosunkowo bogata, a w skrzynce mailowej, pomijając kilka (rozczarowująco nielicznych) zapytań od klientów zdumionych nagłym zamknięciem Gentileschi, miałam tylko cztery wiadomości. Od Steve'a, Carlotty i Dave'a, jedynych osób, które mogłabym określić mianem przyjaciół. Czwarty mail był od Pawła Jermołowa. I od niego właśnie zaczęłam..

Judith, odezwij się, proszę. Daj mi tylko znać, czy u Ciebie wszystko dobrze. Tutaj w porządku, jak ustaliliśmy.

Trochę się spóźnił z tym komunikatem. W porządku nie było w tej

5 *L'ultima...* (wł.) – dosł.: Ostatnia plaża.

sytuacji najlepszym określeniem. Kiedy zapewniał mnie, że zajmie się Ivanem Kazbichem, nie przeszło mi przez myśl, że będę musiała zająć miejsce zabitego marszanda. Chociaż z drugiej strony troska Jeremołowa była nawet wzruszająca. Spędziliśmy kilka dni na niezłym seksie i podziwianiu przepięknych, światowej klasy obrazów, ale nie łudziłam się, żeby to miało jakieś znaczenie. Aczkolwiek muszę przyznać, że nie mam w tej kwestii wygórowanych standardów. Ogólnie rzecz biorąc, im mniej wiem o swoich kochankach, tym lepiej. Wystarczą mi ich imiona.

Wiadomość od Carlotty była jak zwykle lakoniczna: dwie emotki przedstawiające dzieci i kciuk w górę. Uśmiechnęłam się. Po upolowaniu podstarzałego, ale finansowo niezwykle wartościowego męża następnym projektem mojej przyjaciółki było zajście w ciążę, najlepiej bliźniaczą. Carlotta była doskonałym przykładem osoby, która zawsze dostaje to, czego chce – zwłaszcza jeśli marzenie sprowadza się do ślubu i zrealizowania odpowiedniego czeku. Nie zazdrościłam jej, ale cieszyłam się, że jest szczęśliwa.

Mail od Dave'a też był zwięzły.

Mam nadzieję, że wszystko okej. Mam świetne wieści o mojej książce! Nie mogę się doczekać, kiedy Ci opowiem. Skrobnij do mnie. Buźka. D.

Z jego powodu miałam wyrzuty sumienia. Kiedy pracowałam jako asystentka w londyńskim domu aukcyjnym British Pictures, Dave pełnił funkcję ochroniarza w magazynie tejże szacownej instytucji, a gdy wpadłam w kłopoty, jego wcześniejsze doświadczenie wyniesione z wojska szalenie mi się przydało. Równie cenna była jego umiejętność trzymania się z boku, w czym przypominał żonę da Silvy. Dave pomógł mi na wiele sposobów, o których nawet nie wiedział i na pewno nie chciałby wiedzieć. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, wyznał mi, że na podstawie własnych doświadczeń napisał książkę o sztuce jako formie terapii dla żołnierzy, którzy doznali traumy. Przeczytałam tę książkę prawie w całości, ale aresztowanie i porwanie przeszkodziły mi w dokończeniu lektury. Ze swoim nieśmiałym entuzjazmem i prawdziwą, pełną pasji miłością

do obrazów Dave zasługiwał na coś lepszego. Z żalem przypominałam sobie nasze rozmowy przy wysepionych fajkach – za domem aukcyjnym, na dziedzińcu, na który przywożono obrazy. Dave raczej nie pochwalałby tego, w co się teraz wplątałam.

No i wreszcie Steve. Od niego, a raczej jego najnowszej asystentki, dowiedziałam się, że jacht Steve'a, czyli Mandarynka, będzie w Nowy Rok na Wyspach Kanaryjskich. Do maila było załączone zaproszenie na rejs, lecz z żalem odmówiłam.

Nie zdziwił mnie brak maili od mojej matki. Ale ponieważ następnego dnia wypadała Wigilia Bożego Narodzenia, uznałam, że pewnie się jeszcze odezwie.

Po gorącej kąpieli, dwóch porcjach tagliatelle z krewetkami popitych wódką oraz sałatce owocowej i tiramisu powinnam poczuć się senna, ale byłam zbyt podekscytowana, by choćby pomyśleć o śnie. Zawinięta w szlafrok rozczesałam cudownie czyste włosy i wyszłam na balkon zapalić. Na tarasie znajdowało się jacuzzi, poniżej starówka ciągnęła się aż do morza, a połyskujące dekoracje świetlne wzdłuż promenady wiły się jak czułki meduzy. Siderno. Chciałam jak najszybciej zacząć pracę nad dziełem dla Raznatowicia, ale musiałam najpierw zebrać trochę informacji. Na przykład o tym, czym się zajmuje da Silva. Wzięłam z biurka hotelowy notes i ołówek, otworzyłam Facebooka i zaczęłam węszyć.

Po kilkudniowym zamknięciu poranna przebieżka, na którą wybrałam się następnego ranka, była wprost przecudowna. Wybiegłam z hotelu i ruszyłam w stronę promenady, co sto metrów zmuszając się do sprintu. Z każdym krokiem czułam, jak moje mięśnie się rozgrzewają. Chociaż nie było zimno, nie zdziwiłam się, gdy po powrocie zobaczyłam da Silvę ubranego w grubą bluzę z kapturem. Oparty na murku robił pompki, na zmianę zarzucając jedną rękę na plecy. Najwyraźniej jedną z łączących nas – to znaczy da Silvę i mnie – rzeczy było zamiłowanie do aktywności fizycznej.

– Brawo! Masz ochotę na kawę?

Inspektor zerknął na mnie spod ramienia. W stroju do biegania wyglądałam znacznie korzystniej niż w dresach i śmiem twierdzić, że

nadmorskie powietrze zaróżowiło mi nieco policzki.

– Jasne – odparł, po czym się wyprostował. Kiedy weszliśmy razem do holu, recepcjonista powitał da Silvę pełnym szacunku skinieniem głowy. Wyglądało na to, że poza starszą parą na wózkach, które filipińska pielęgniarka o rozmarzonym spojrzeniu zaparkowała przy stole śniadaniowym, byliśmy w tym świątecznym okresie jedynymi gośćmi.

Na tarasie mój towarzysz wyjął z kieszeni bluzy paczkę marlboro gold i poczęstował mnie papierosem, a po chwili kelner przyniósł nam filiżanki z *cappuccino*. Inspektor zapalił mi papierosa, używając ciężkiej, złotej zapalniczki marki Dupont.

– Może wrócimy do angielskiego? – zaczęłam, kiedy kelner znalazł się poza zasięgiem głosu. – Tak będzie bardziej dyskretnie.

– Dobrze. O czym rozmyślałaś?

– Zastanawiałam się, jak to wszystko działa. I czym się zajmujesz.

– Powiedziałem ci wczoraj, że dowiesz się wszystkiego, co musisz wiedzieć.

– Tak, w końcu się dowiem. Ale sprawy przebiegłyby mniej boleśnie, gdybyś mi po prostu powiedział. Zacznę od tego, co mi się wydaje.

Da Silva oparł się na krześle, spojrzał na mnie pytająco i mocno zaciągnął się papierosem.

– Jestem w gronie znajomych twojej żony na Facebooku – powiedziałam. – Już od dłuższego czasu.

– No i? Nie podoba mi się, kiedy wspominasz o mojej żonie.

– Jej nazwisko brzmi Casachiara. Francesca Casachiara i pochodzi z Casilino, gdzie dorastałaś. – Wiedziałam, że Włoszki zazwyczaj nie przyjmują nazwiska męża, a Casilino to dość ponura dzielnica z lat sześćdziesiątych, usytuowana na przedmieściach, ale niedaleko od centrum Rzymu. – Rodzina Casachiara jest bardzo znana w mieście, prawda? Kiedy zmarł dziadek Franceski, podczas pogrzebu zamknięto część ulic. Policyjne śmigłowce nie mogły się nawet zbliżyć do miejsca, gdzie odbywała się uroczystość. Wybuchł wielki skandal, wspomniła o tym nawet brytyjska prasa. Oni lubią

sensacyjne historie o mafii.

Na dźwięk ostatniego słowa da Silva się wzdrygnął. Wiedziałam, że używają go tylko amatorzy, ale ucieszyłam się, widząc, że wprowadziłam inspektora w zakłopotanie.

– A więc... Romero z Siderno i Francesca z Casilino. Co ich połączyło? Oto co myślę: podobno tutaj – gestem wskazałam otaczający nas teren – w tego typu działalność zamieszany jest jeden procent mężczyzn. Wielu z was pochodzi z Siderno lub Bovalino.

– I co z tego?

– Pamiętasz, Romero, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy? Nad jeziorem Como, prawda? Ależ tam jest pięknie. Przyjechałeś, by zapytać mnie o śmierć Camerona Fitzpatricka.

– Tak, już to przerabialiśmy.

– Spokojnie. Bovalino. Matka Camerona Fitzpatricka pochodziła z tej miejscowości. Pracowała jako pokojówka w jednym z rzymskich hoteli, prawda?

Da Silva pstryknął ponownie zapalniczką, ja zaś mówiłam dalej.

– Fitzpatrick urodził się tutaj, tak jak ty.

– Skąd to wiesz?

– W zeszłym roku w Londynie odprawiono nabożeństwo żałobne w jego intencji. Morderstwo, cóż za tragedia. Jego matka przyleciała na mszę, jej nazwisko figurowało w nekrologu. A potem sprawdziłam listę uprawnionych do głosowania, oświadczenie dotyczące miejsca zamieszkania w commune. Wy, Włosi, uwielbiacie biurokrację. Tyle że każdy, kto chce należeć do waszej paczki, musi pochodzić stąd. Rodzina połączona więzami krwi, prawdziwy klan. Tutaj się wszystko zaczyna. W tym miejscu. Wszyscy jesteście ze sobą powiązani, chociaż muszę przyznać, że rozpracowanie tego zajęło mi chwilę.

Da Silva wyglądał tak, jakby połknął swojego papierosa.

– Mam mówić dalej? Teraz będzie najłepsze.

Romero przytaknął.

– Pojawił się mały problem z rekrutacją, prawda? Za dużo mięśni, za mało intelektu.

Przeszukiwanie oficjalnych dokumentów dotyczących włoskiej mafii nie było zajęciem tak ekscytującym, jak sugerował temat. *Pokoleniowe przeszkody w internalizacji kompetencji na nielegalnych rynkach* – tak brzmiał jeden z chwytliwszych tytułów. Ogólnie rzecz biorąc, w mieście, gdzie zimą nie było co robić – nie licząc ćwiczeń w strzelaniu do owiec albo pieprzenia rodzonej siostry – jakość rodzących się tutaj członków klanu sukcesywnie spadała. Na świat przychodziły na przykład dzieci z dwoma kciukami. Restrykcyjna zasada mówiąca o tym, że do klanu przynależą tylko dzieci członków klanu, zaczynała negatywnie wpływać na zyski, zwłaszcza te, które płynęły z infiltracji legalnych interesów. Dlatego rodziny i klany wymyśliły rozwiązanie: stypendia na uniwersytetach, szkoły biznesu, lekcje angielskiego. Wszelkie szkolenia niezbędne do prowadzenia nielegalnych operacji w dwudziestym pierwszym wieku.

– Istnieje dziesięć kalabryjskich... grup... tak wolisz?... działających na północy Włoch. Kluczowe są dla nich powiązania z rzymskimi... grupami. A ty jesteś jednym z nowych chłopaków, prawda, Romero? Ze swoim dynastycznym małżeństwem i kontaktami masz wszystko, co trzeba. Do tego stopnie naukowe, eleganckie garnitury i zamiłowanie do sushi. Wszędzie cię pełno: firmy prawnicze, urzędy planowania, administracja państwowa. Nawet senat, jeśli prasa ma choć po części rację. Wszystko legalnie. Tyle że jesteś kurewsko skorumpowany.

Wzięłam bez pytania kolejny papieros i spojrzałam na da Silwę. Wpatrywał się we mnie beznamiętnie jak jaszczurka.

– Mów dalej.

– Tak więc ty, Fitzpatrick i Moncada handlowaliście bronią. Kazbich był twoim doradcą, a Raznatović dostawcą. W ten sposób Kazbich mnie znalazł, przez Caravaggia. I stąd się dowiedziałeś, co było w moim mieszkaniu.

– Alvin Spencer. Mężczyzna, do którego zamordowania się przyznałaś? – powiedział bez emocji.

– Nie aresztowałeś mnie wtedy i raczej nie zrobisz tego teraz.

Myślę... – przechyliłam głowę na bok. – Myślę, że tam, na plaży, naprawdę zamierzałeś mnie zabić.

– Żałuję, że mi przeszkodzoneo.

– Mimo wszystko siedzimy tu teraz i rozmawiamy.

Da Silva wyprostował ręce nad głową i rozciągnął tricepsy – najpierw jeden, a potem drugi.

– Cofnijmy się o jakieś cztery lata i wróćmy do Paryża – kontynuowałam. – Namierzył mnie wtedy pewien glina, przedstawił się jako Renaud Cleret. Myślał, że pracujecie razem. Byłam gotowa prysnąć z miasta, a ty czekałeś na mnie na lotnisku. Zakładałam, że od czasu do czasu musisz złapać jakiegoś przestępcę, żeby utrzymać swoją przykrywkę. Ale mnie zgubiłeś i gdyby nie esemesy...

Wiadomość, którą wysłałam z telefonu Clereta, brzmiała: *Mówi Ci coś nazwa Gentileschi?* Pięć słów, które od tamtej pory mnie prześladowają.

– Co się z nim stało? Z Cleretem? – Tym pytaniem da Silva się odkrył. Przestał udawać, że nie wie, o czym mówię, i tym samym potwierdził, że szkielet tej historii, który składałam niemal przez całą noc, ma sens.

– Z twoim dawnym kolegą po fachu? Naprawdę... nie chcesz wiedzieć.

Niektóre wspomnienia mają właściwości synestetyczne (synestezja to zjawisko polegające na tym, że pobudzenie jednego zmysłu pobudza inne). Dlatego pamiętam, że kiedy nóż przeszył szyję Renauda, przecinając jego nabrzmiałą tętnicę, i do ścieku popłynęła spirala krwi w kolorze wina, poczułam w nozdrzach jej mdlącą słodycz, która została ze mną na zawsze. Owinęłam jego głowę folią spożywczą, włożyłam ją do plastikowej torebki, a następnie do taniej torby sportowej i wrzuciłam do Sekwany. O ile mi wiadomo, nigdy nie została odnaleziona.

Zgasiłam papierosa w donicze z kwiatami.

– I co ty na to? – spytałam.

– Idę wziąć prysznic. A potem proponuję, żebyś przestała węszyć i zajęła się swoim zadaniem.

– Nie. Chcę wiedzieć. Powiedziałam, że wykonam zadanie. Zresztą raczej nie mam wyboru, prawda? Ale chcę się dowiedzieć, na co pójdą pieniądze ze sprzedaży obrazu.

– A co cię to obchodzi?

– Jestem teraz artystką. Potrzebuję inspiracji. A ty potrzebujesz mnie, więc mi powiesz. Raznatović nie będzie czekał na pieniądze bez końca.

– Nie jesteś niezastąpiona, bez względu na to, czego mu naopowiadałaś w Albanii.

– Nie, ale Fitzpatrick nie żyje, podobnie jak Moncada i Kazbich. To oni zaprojektowali dla ciebie falsyfikaty, a potem je opchnęli. Już się do tego przyznałeś. Siedzę z tobą w tym gównie po uszy i wiesz, że nie mogę uciec. Nie znajdziesz innej osoby, która wiedziałaby w cholerę o obrazach i miała równie dobre powody, by trzymać gębę na kłódkę. A na pewno nie znajdziesz jej, zanim Raznatovićowi skończy się cierpliwość.

5.

Godzinę później siedzieliśmy w czarnym samochodzie da Silvy, tym samym, którym przywiózł mnie z Wenecji, i jechaliśmy na północ do Capo Rizzuto. Na poboczu, korzystając z tego, że nastał okres rodzinnych świąt, pracowało więcej dziewczyn niż poprzedniego dnia. Romero prowadził w milczeniu. Przebrał się w dżinsy, białą koszulę i granatowy sweter w serek. W schludnym ubraniu i z krótkimi włosami wyglądał młodziej niż w mundurze. Musiałam przyznać, że jest w całkiem niezłej formie. Ja też ubrałam się na granatowo, w zapinaną od góry do dołu na guziki, zebraną na plecach zamszową sukienkę od Chloé i lekko dopasowany tweedowy żakiet z rękawami trzy czwarte, a do tego płaskie kozaki Ferragamo. Krasnoludki zapomniały przywieźć moich perfum, bez których czułam się nie całkiem ubrana, ale z odrobiną makijażu byłam prawie że dawną sobą. Już dawno się tak nie czułam. Strój był absurdalny jak na wizytę w komisariacie, ale rozkoszując się przyjemnością posiadania znowu swoich rzeczy, chciałam się trochę odstawić. Przynajmniej tak brzmiała wersja oficjalna i jej się trzymałam.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił w końcu da Silva, kiedy wjechaliśmy na świeżo wyasfaltowaną drogę prowadzącą do portu. – Tutaj podpływają łodzie, by zabrać pasażerów. Obóz jest jakiś kilometr dalej wzdłuż wybrzeża.

Przy szlabanie inspektor machnął wartownikowi legitymacją, a potem znalazł miejsce na zatłoczonym parkingu.

– Dlaczego jest tak dużo ludzi?

– Świąta. Przygotowują łodzie do poszukiwań. Dzisiaj w nocy spodziewają się wielu uchodźców.

Gdy to mówił, szliśmy już w stronę nabrzeża, gdzie cumowały trzy potężne motorówki oznaczone symbolem *Guardii*. Grupa mundurowych ładowała na ich pokłady pomarańczowe kamizelki

ratunkowe oraz skrzynki butelkowanej wody mineralnej, a zwinięte koce fruwały z rąk do rąk. W tle słychać było trzeszczące radiostacje.

– W Boże Narodzenie przemytnicy biorą więcej, bo są większe szanse na życzliwe przyjęcie – wyjaśnił rzeczowo da Silva. Schylił się, by pomóc młodej kobiecie siłującej się z ciężką, czerwoną apteczką. Funkcjonariuszka zerknęła na mnie z zaciekawieniem, dziękując inspektorowi, a on złożył jej życzenia wesołych świąt. Zdumiała mnie jego pewność siebie i opanowanie, z jakim odgrywał wobec kolegów swoją rolę. Czyżby żaden z nich niczego nie podejrzewał? A może po prostu nie mają w zwyczaju o nic pytać? Niektórzy z nich wyruszą wkrótce na morze, opuszczając własne rodziny, by ratować innych. Jak to możliwe, że nie są świadomi tego, co dzieje się pod ich nosem? Przypomniałam sobie coś, co przeczytałam poprzedniego wieczoru – o człowieku, który cudem ocalał ze spartaczonyj przez mafię egzekucji i odmówił złożenia zeznań. „To prawda, że wystrzelili do mnie sześćdziesiąt trzy kule, ale jestem pewien, że zrobili to przez przypadek” – powiedział. Może łatwiej milczeć o czymś, czego istnienie nigdy nie zostało wprost potwierdzone?

Doszliśmy do końca pomostu, gdzie szum fal raz po raz zagłuszał nasze słowa.

– Powiedziałaś, że chcesz wiedzieć – wymamrotał da Silva. – Proszę. Sprzęt jest ładowany na łodzie. Kiedy dochodzi do spotkania z odpowiednim pośrednikiem, wymieniamy go na uchodźców.

– Masz na myśli broń?

– A co innego?

– Gdzie potem trafia?

– Libia, Syria, Irak, a nawet dalej. Gdzie klient zechce. To nie nasza sprawa.

Musiałam przyznać, że prostota przedsięwzięcia była godna podziwu. Tak jak jego zuchwałość. Humanitarna akcja ratownicza jako przykrywka dla przemytu kałasznikowów.

– Co się dzieje z tymi ludźmi?

– Najpierw większość ląduje tam. – Da Silva wskazał w lewo, na cypel po drugiej stronie zatoki. Oślaniając oczy przed słońcem,

byłam w stanie dostrzec pokaźne zwoje drutu kolczastego blokujące dostęp do klifów i rząd małych, drewnianych domków letniskowych przypominających kemping. Między budynkami grupa mężczyzn grała w piłkę. Jeden z nich miał na sobie koszulkę w bordowo-granatowe pasy z napisem „MESSI” na plecach.

– Nadal nie rozumiem, jak to robicie.

– Skrzynki są przerzucane na pontony. Faceci, którzy je wyładowują, nie wiedzą, co w nich jest. Albo inaczej: wiedzą, że lepiej o to nie pytać.

– Ale jak broń trafia tutaj?

– Boże! Czy ty się nigdy nie zamkniesz?

Odwrociłam się, by spojrzeć na da Silvę, i w tym samym momencie wiatr odgarnął mi włosy z twarzy.

– Ocaliłam ci życie. A ty mnie. Powiedziałaś, że mi wszystko wyjaśnisz.

Inspektor wyciągnął rękę w stronę wybrzeża, jakby mi pokazywał widoki.

– Używamy ciężarówek wojskowych.

W ciągu tych kilkudziesięciu lat, które upłynęły od upadku Związku Radzieckiego, Rznatović zbił na handlu bronią prawdziwą fortunę. Ogromna połać Europy Wschodniej zamieniła się w stragan, na którym wyprzedawano państwową broń. W pewnym momencie można było kupić kałasznikowa za sto dolarów.

– Dzięki temu nie ma problemu z przekraczaniem granicy – zauważyłam.

Serbia była idealna do przerzucania wojskowej kontrabandy do strefy Schengen. Pojazdy wojskowe, które dostały się na obszar strefy, mogły się poruszać zupełnie swobodnie.

– Właśnie – przytaknął da Silva. – Po wywiezieniu z Serbii towar jest składowany w koszarach i przewożony ciężarówkami. Częściowo oficjalnie, ale w większości nie. Niedaleko stąd uchodźcy je rozładowują. Płacimy im – dodał skorumpowany gliniarz, zobaczywszy mój wyraz twarzy. – Dwa euro za godzinę. Tyle samo dostaliby za zbieranie pomidorów. Potem towar jest dzielony. Część

trafia tutaj, a reszta jest rozprawdzana po wybrzeżu. Jasne?

Jeden z grających w oddali piłkarzy obronił strzał, rzucając się efektownie na ziemię. Pomyślałam o jego wspartych na kolanach zmęczonych dłoniach, które przez całą noc dźwigały ciężkie skrzynie. Skrzynie wypełnione narzędziami, które zrujnowały mu życie. Sytuacja była groteskowa, jeśli się nad tym zastanowić. Ale przecież nikt się nad tym nie zastanawia. Ludzie zerkają na zdjęcie martwego dziecka na plaży i przewijają je, by popatrzeć na urocze kotki i ciekawe pozycje jogi.

– Imponujące – wymamrotałam.

– Wracamy? Zimno jak cholera.

Po powrocie do hotelu da Silva zniknął. Wyjaśnił, że idzie do rodziny na obiad wigilijny, a potem na mszę. Pozostawiona samopas spędziłam popołudnie na czytaniu, a potem wyszłam na spacer. Zamykano właśnie ostatnie sklepy, ludzie w pośpiechu kupowali prezenty i jedzenie, wszyscy życzyli sobie wesołych świąt. Szłam samotnie przez radosny tłum i czułam się jak bohaterka jakiegoś kiczowatego filmu. Usiadłam na ławce z widokiem na morze, patrzyłam, jak się ściemnia, i paliłam, aż mi się zakręciło w głowie. Potem zadzwoniłam do matki, ale nie odebrała. Na pewno zalana przesypiała wigilijne popołudnie w pubie. Zostawiłam jej wiadomość z przeprosinami za spóźniony prezent, za co obwiniłam włoską pocztę, i poinformowałam, że planuję spędzić „spokojną Wigilię”. Nie oczekiwała, że przyjadę. Życzyłam jej wszystkiego najlepszego i szybko się rozłączyłam.

Jedna z najbardziej przydatnych rzeczy, jakich się nauczyłam w dzieciństwie, to ta, że ćpuny zawsze wiedzą, gdzie można coś wziąć. Znajdą miejsce na najdalszych obrzeżach miasta, gdzie między płytami chodnikowymi leżą upuszczone kawałki poskręcanej folii aluminiowej, a w koszach na śmieci powyginane łyżeczki. Kiedy na promenadzie zobaczyłam dziewczynę, którą poprzedniego dnia widziałam w stroju pomocnicy Świętego Mikołaja, zmodyfikowałam

swoje plany na wieczór. I tak nie miałam ochoty na kolację *à trois* ze staruszkami na wózkach. Zgasiałam nie wiem którego już papierosa i ruszyłam za nią. Ubrana w obcisłe dzinsy i fioletową, satynową kurtkę Puffa dziewczyna nie pracowała, ale nadal rzucała się w oczy, nie tylko z powodu koloru skóry, który we Włoszech wciąż był rzadkością, ale również sposobu, w jaki się nosiła. Wyprostowana i pełna gracji sunęła pomiędzy ostatnimi świątecznymi zakupowiczami, jakby wykonywała jakiś układ taneczny. Przeszła płynnie jeszcze kawałek wzdłuż przystani, a potem skręciła w jedną z brzydkich, nowoczesnych ulic oddzielających centro storico od morza. Podążając jakieś dwadzieścia metrów za nią, przemierzyłam szeroki bulwar i wkroczyłam na elegancki, marmurowy plac z małym, barokowym kościołem, którego kremowy tynk błyszczał w zimowym zmierzchu. Za kościołem ulice zaczęły się zwężać, więc zostałam w tyle. Nie chciałam, by dziewczynę zaniepokoił odgłos moich obcasów stukających na gładkim kamieniu. prostytutka zatrzymała się, by sprawdzić telefon, a ja, podekscytowana pościgiem, stanęłam w bramie.

Wiekowe, kręte zaułki pięły się w górę, aż doszliśmy do prostopadłej, bocznej ulicy biegnącej wzdłuż białej bryły zamku Siderno, położonego w najwyższym punkcie starego miasta. Tam dziewczyna czmychnęła w zwieńczoną łukiem, kamienną bramę. Umieszczone w napełnionych piaskiem, brązowych torbach świeczki do podgrzewaczy oświetlały nagie ściany wzniesionej przez królów Aragonii budowli. Schodząc po wąskich, krętych schodach do piwnicy, słyszałam ciche zawroscenie jazzujących tonów. Wyglądało na to, że dziewczyna była już umówiona, gdyż oplotły ją silne ramiona ogolonej na tyso kumpeli w oldskulowej męskiej koszuli i szelkach opinających zaokrąglone, krępe ciało. Kolekcja kolczyków w jej uchu błyszczała w blasku świecy.

Za bar służyły wysoka ławka i półka z butelkami. Zamówiłam kieliszek paskudnego czerwonego wina i rozejrzałam się wkoło w poszukiwaniu planu B. W niedużym pomieszczeniu znajdowało się jakieś dwadzieścia osób – mieszanka włoskich hipsterów

demonstracyjnie uciekających z Wigilii i kilku grupek Afrykanów i Arabów, być może z obozu. Dwóch mężczyzn, niski, młody, brodaty Włoch i wysoki, ciemnoskóry facet we wzorzystej koszuli, w uniesieniu kotęsało się w wolnym tańcu tuż obok głośnika, wpatrując się w siebie nawzajem. Zamiast kanap ustawiono pod szczytową ścianą rząd przykrytych przypadkowymi poduszkami skrzynek. Usiadłam na jednej z nich, zapaliłam papierosa i siedziałam, przyglądając się tancerzom.

– *Ciao* – odezwał się facet siedzący dwie skrzynki dalej. Prezentował się całkiem nieźle: szczupły, z długimi nogami i szerokim, zdradzającym inteligencję czołem. Uśmiechnęłam się, a on przesiadł się bliżej. W pomieszczeniu przybywało ludzi, a my gawędziliśmy, przekrzykując muzykę. Nieznajomy kupił mi kolejnego drinka i sprawdzającym gestem położył rękę na moim ramieniu. Nie strąciłam jej. Kiedy już ustaliliśmy, że mówię po francusku, zrezygnowaliśmy z włoskiego, który jemu najwyraźniej nie leżał. Chłopak powiedział, że nazywa się Serafim, pochodzi z Egiptu, pracuje jako mechanik, a wieczorowo studiuje angielski. Wyznał, że marzy o wyjeździe do Londynu.

– Carnaby Street – powiedział z rozmarzonym uśmiechem.

Nie miałam serca powiedzieć mu, że na ulicy roi się od sklepów Zary i chińskich barów. Powiało chłodem od drzwi i do lokalu weszła kolejna fala imprezowiczów. Czterech Włochów. Sarafim gestem przywołał jednego z nich i przedstawił jako swojego przyjaciela.

– To Raffaele.

– Naprawdę? Serafim i Raffaele? Chyba zmyślasz.

– Nie. Zresztą... jak sobie chcesz.

No, dobrze. Raffaele był niższy niż jego przyjaciel, miał jasne włosy i umięśnione, wypracowane na siłowni ciało. Było w nim coś intrygującego, a kiedy Serafim poszedł do baru, chłopak przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Otworzyłam się, gdy dotknął moich warg i pozwoliłam swym dłoniom odnaleźć pod jego bluzą napięty mięsień na klatce piersiowej. Kiedy wrócił Serafim, odwróciłam głowę, uśmiechnęłam się ponownie i tym razem jemu podałam

swoje usta. Lekko i naturalnie.

– Chcesz pójść gdzieś indziej? – zapytał Serafim.

– Z wami dwoma?

Raffaele przytaknął powoli.

– Jasne. Wezmę butelkę.

Wyszliśmy ramię w ramię, ja pośrodku.

– Tędy – pokierował nas Serafim. A więc robili to już wcześniej. Coraz lepiej. Poprowadzili mnie po stopniach do bocznej uliczki, przeszliśmy na drugą stronę i podążyliśmy wzdłuż muru zamkowego aż do drewnianych drzwi z nieodmkniętą kłódką.

– Ciii! – zachichotał jeden z nich i wśliznęliśmy się przez szparę w drzwiach. Prowadziły do kolejnych schodów pomiędzy ścianami zamku. Było tam znacznie ciemniej i zimniej. Część mojego mózgu pytała, czy powinnam się bać, ale ta część mózgu nie działa prawidłowo, więc ją zignorowałam. Wyszliśmy na przestronny, brudny dziedziniec z kępkami trawy wystającymi spomiędzy wielkich, starych płyt chodnikowych. Serafim poprowadził nas na drugą stronę do otwartej loggii. Podejrzywałam, że stamtąd roztacza się widok na morze. Koty czmychały po kątach, od czasu do czasu upiornie błyskając zielonymi oczami. Na końcu loggii znajdowała się zamknięta przestrzeń – nawet nie pokój, tylko nisza, w której stał rząd świec w puszkach po pomidorach. Serafim zapalił je jedna po drugiej. Podaliśmy sobie butelkę z ohydny winem, z której każde z nas pociągnęło pojedynczy, porządny łyk. Panował ziąb, ale moja własna skóra wydawała mi się rozgrzana i pulsująca krwią. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie nawzajem, aż w końcu zdjęłam kurtkę i położyłam ją na ziemi, po czym to samo zrobiłam z sukienką.

– Chodźcie, ogrzejcie mnie.

Położyli się po obu stronach mnie. Odważniejszy Raffaele językiem odnalazł mój język i w tym samym momencie wsunął mi rękę w cipkę, Serafim zaś zatopił usta w mojej szyi, jednocześnie chwytając za piersi. Któryś z nich powiedział mi, że jestem piękna. Raffaele zaczął sunąć ustami w dół mojego ciała. Kiedy dotarł do

wewnętrznej strony moich ud i zaczął niespiesznie zataczać na nich kręgi językiem, wciągnęłam gwałtownie powietrze, przyciągnęłam Serafima bliżej do siebie, sięgnęłam po jego fiuta i błędząc dłońmi w ciemności, wyjęłam go, a potem pokierowałam chłopaka, by ukląkł nade mną, i wzięłam go do ust. Delikatne trącanie i szepty wystarczyły, aż pokaźna kolba gładkiej skóry naparła na moje wargi i wtargnęła do gardła. Opierając się na jednej ręce, otwierałam usta, by owinąć żołądz językiem, podczas gdy język drugiego chłopaka znalazł wreszcie wilgotne wargi mojej cipy i zaczął ją lizać długimi pociągnięciami, od dołu do góry. Ssałam mocniej, biorąc w usta fiuta Serafima coraz głębiej, aż do ogolonego wzgórek łonowego, a potem ujęłam w dłoń jego jądra, przytrzymując je pewnie kciukiem u podstawy.

– *Si, bella, si, cosi*⁶.

– *Attendez*⁷. Chcę cię widzieć. – Cofnęłam się i usiadłam, opierając się o wilgotny tynk, a żółte płomienie oświetliły mieszankę soków między moją cipką a ustami chłopaka. Raffaele wytarł sobie usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się przelotnie.

– Pokaż się. No, dalej, wstań. Jeden z was niech mnie zerznie, a drugi się na mnie spuści. – Obaj słuchali, głaszcząc wystające z dzinsów fiuty. Spojrzałam na nich zachłannie. Serafim był zdecydowanie lepszą partią.

– Chcę ciebie. Położ się. – Gdy zamienialiśmy się miejscami, ponownie pocałowałam Raffaele, wyraźnie czując na jego ustach zapach mojej wilgoci, dzisiaj o cytrynowej nucie.

– Weź go w rękę – poinstruowałam Serafima i odwrócona do chłopaka plecami opuściłam się na niego, najpierw kucając, a potem opierając się plecami na jego klatce piersiowej, aż jego fiut znalazł się we mnie cały, przeszywając mnie na wskroś. Kiedy Raffaele zaczął się onanizować gwałtownymi ruchami mocno zaciśniętej dłoni, usadowiłam się na wypełniającej mnie męskości i zaczęłam zataczać pośladkami kółka na brzuchu Serafima, z każdym

6 *Si, bella, si, cosi* (wł.) – Tak, ślicznotko, właśnie tak.

7 *Attendez* (fr.) – Zaczekaj.

osunięciem zaciskając mięśnie wewnątrz cipy, aż chłopak zaczął jęczeć. Wtedy powoli usiadłam i położyłam sobie jego dłonie na biodrach, by mógł wejść we mnie głębiej. Czując jego pulsowanie, rozszerzyłam lekko nogi, by dotknąć łechtaczki. Chciałam, by zalał mnie spermą, chciałam poczuć w sobie morze jego soków. Zaczęłam finiszować, a jego napęczniały fiut pulsował i rozsadzał mnie od środka, aż w końcu doszedł, dokładnie w momencie, gdy Raffaele krzyknął i spuścił mi się na twarz. Kiedy jego sperma skapała mi na obojczyki, wzięłam jej garść i połknęłam ją łapczywie, pozwalając, by reszta spłynęła mi po brodzie, połyskując srebrzyście na mojej zmarzniętej, choć jednocześnie rozpalonej skórze – i to mnie doprowadziło na szczyt, przemoczoną, ubóstwioną.

Serafim zatopił zęby w moim ramieniu, a ja opadłam na niego łagodnie, wyciągając ręce do jego kumpla, który położył głowę na chłodnym zagłębieniu między moimi piersiami. Słyszałam bicie trzech naszych serc. A potem z przerażeniem dostrzegłam parę oczu nieco za nami i kolejną na krawędzi ściany i usłyszałam czyjeś stłumione westchnięcie.

– Chyba mamy towarzystwo – powiedziałam powoli.

– Nie martw się, nie będą nam przeszkadzać – szepnął Raffaele. – Tylko patrzyli.

Obaj moi chłopcy byli wciąż ubrani. Zostaliśmy tam, moje nagie ciało pomiędzy ich muskularnymi sylwetkami, aż szurające cicho kroki oznajmiły, że nasza publiczność się rozeszła, a niesiony wiatrem od morza mróz zaczął kęsać.

Było około pierwszej w nocy, kiedy otulając się kurtką, wyruszyłam pieszo w kierunku hotelu. Moja sukienka była zniszczona, a jej cienki zamsz poplamiony i podrapany, ale nie dbałam o to. Kościoty wypuszczały wiernych po pasterce, a ojcowie rodzin prostowali się w eleganckich marynarkach i prowadzili pośpiesznie do samochodów zasypiające na stojąco dzieci. *Do szopy, hej, pasterze...* Gdzieś daleko, na czarnych wodach krążyły łodzie ratunkowe.

Wróciłam do hotelu, wzięłam kupiony wcześniej karton fajek, owinęłam go kartką z hotelowego notesu, nabazgrałam na niej „Wesołych Świąt” i zostawiłam paczkę pod drzwiami da Silvy. Dzień narodzin Naszego Pana planowałam spędzić w łóżku.

6.

Nastał poranek drugiego dnia świąt. Dzielnica przemysłowa była tak brzydka i nijaka, jak wszystkie tego typu miejsca. Minęliśmy anonimowe magazyny i strefy załadunku, gdzie kilku chińskich pracowników zrobiło sobie właśnie przerwę na papierosa. Potem naszym oczom ukazały się dwa rzędy baraków podobnych do domków w obozie dla uchodźców – z tą różnicą, że tam łopotało rozwieszane pomiędzy nimi na sznurach pranie, a w środku tłoczyły się piętrowe łóżka, tutaj zaś większość budynków była zapewne pełna maszyn do szycia. Kobiety i mężczyźni ślęczeli przy nich zgarbieni nad delikatnymi, drogimi strojami, jak ten, który miałam na sobie. Co prawda wielcy projektanci wciąż płacili im głodowe stawki, ale miejsce produkcji pozwalało umieścić na metkach słynne „Made in Italy”.

W jednym z tych niskich baraków znajdowały się wielkie drzwi antywłamaniowe, a przy nich dwóch strażników ze szkolonymi wilczurami. W powietrzu unosił się ostry zapach chemikaliów, a kiedy spojrzałam w górę, ujrzałam dwa ponure kominy, z których wydobywał się biały dym. Może gotowali tam herę. A może zaczynałam już mieć obsesję.

Zatrzymaliśmy się kawałek dalej, przy mniejszym budynku z czerwonej cegły, przed którym czekał kolejny Chińczyk. Był w średnim wieku, z brzuszkiem, ubrany w niebieski fartuch, jak reszta pracowników.

– To jest Li – przedstawił go da Silva. – Li, to jest panna Rashleigh.

– Proszę mówić mi Judith.

– Zostawię was – oznajmił inspektor, po czym wrócił do samochodu, otworzył okno i zapalił papierosa.

– Nie chcesz zobaczyć? – zawołałam do niego.

– Niespecjalnie – zaśmiał się.

Li szarmancko przytrzymał przede mną drzwi i zapytał nienaganną

włoszczyzną, czy mam ochotę się czegoś napić. Podziękowałam i poszłam za nim ochoczo do magazynu. Pomieszczenie było większe, niż się wydawało, pełne naturalnego światła wpadającego przez kilka szerokich świetlików oraz uwodzicielskiego zapachu farb olejnych i werniksu. Przeszliśmy podzielonym na części korytarzem do ciężkich drzwi w ceglany obramowaniu. Chińczyk wstukał kod i poczekał na kliknięcie.

– To jest magazyn. Co chciałaby pani zobaczyć?

– Może któryś z obrazów gotowych do sprzedaży?

Li zastanowił się przez chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko i złapał za klamkę czegoś, co przypominało gigantyczną lodówkę. W środku znajdował się obrotowy stojak poruszany za pomocą małego pilota. Przez chwilę patrzyłam na przesuwające się brzegi płócien, aż w końcu gospodarz zatrzymał je i wyciągnął Kandinsky'ego.

Tyle że to nie był Kandinsky. Wiedziałam, że to nie autentyk, chociaż w dziwny, cudowny sposób zrobił na mnie dokładnie takie wrażenie jak oglądane wcześniej oryginały. Gdyby był prawdziwy, musiałby pochodzić z wczesnego okresu twórczości artysty, z około tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Pejzaż z domami, w tle łąka i rzeka opływająca wzgórze. Najprostsze kolory: zieleń, czerwień, żółcień i błękit. Z dziecięcą precyzją namalowane budynki kontrastowały z plamami farby symbolizującymi ziemię i wodę. Jeden z tych obrazów, o których niektórzy ludzie mówią: „Mógłby go namalować trzylatek!”. Jakby celem malarza było jedynie nieudolne odwzorowanie tego, co widzi. Dopiero gdy przyjrzesz się obrazowi ponownie, dostrzeżesz głębię wody pod pozornie płaskimi warstwami farby, taniec cieni, gdy niewidoczne słońce igra na dachach, zobaczysz, jak barwy rozkwitają coraz intensywniej, aż wilgoć na gipsowych ścianach i kurz na przybrzeżnej trawie zasnują mgłą twoje oczy i w końcu zaczniesz bardziej czuć, niż widzieć, chociaż to, co artysta namalował, znajduje się przed twoją źrenicą.

Szacuje się, że około dziesięciu procent dzieł wiszących w największych muzeach to falsyfikaty. Patrząc na pracę Li byłam

gotowa w to uwierzyć. Być może obraz nie przeszedłby skomplikowanych analiz technicznych, ale podejrzewałam, że nie stałby wcale na z góry straconej pozycji. A jeśli tak, to na czym polega autentyczność dzieł Kandinsky'ego?

Nie musiałam mówić Li, że obraz jest dobry. To by była obraza.

– Poproszę coś innego.

Chińczyk ponownie włączył wieszak i wybrał większe płótno – klasyczną, siedemnastowieczną martwą naturę w stylu holenderskim. Ciemne, kawowo-niebieskie tło, przykryty batysem stół, srebrny półmisek z granatami i ciemnymi winogronami, blask trzech świec w bogato zdobionym lichtarzu oświetlający pleśń na skórce owoców. Na brzegu półmiska maleńka, jaskrawozielona gąsienica pełźnie w stronę widza, tak realistyczna, że z początku wydawało mi się, jakby była przyklejona do płótna. Stary trik, dodanie maleńkiego, zabawnego szczegółu jako przejaw wirtuozerii.

– Masz lupę?

Li wyjął z kieszeni fartucha szkło powiększające, podał mi je, a potem położył obraz na stole. Zaczęłam powoli przesuwając lupę nad płótnem. Krakelura to siatka maleńkich spękań na wierzchniej warstwie obrazu powstała wskutek wysychania farb olejnych i werniksu. Efekt ten można podrobić, na przykład piekąc skończone dzieło w piekarniku, ale nieudolnie wykonana krakelura może zdemaskować fałszerza równie skutecznie jak odciski palców. Nie byłam ekspertką od martwej natury – ani z siedemnastego wieku, ani z żadnej innej epoki – ale w domu aukcyjnym widziałam wystarczająco wiele podobnych kompozycji, by mieć niemal całkowitą pewność, że ten obraz przeszedłby weryfikację.

– Pigmenty?

– Wszystkie się zgadzają. Sami je ucieramy. – Li przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i zdjął z półki okazały, kwadratowy tom w gładkiej, czerwonej obwolucie: *Słownik pigmentów historycznych*. Potem wyjął kolejną pozycję i uważnie przeczytał jej tytuł po angielsku: *Mikroskopia optyczna pigmentów historycznych*.

– Słyszałam o tych książkach.

– A to nasza lista kontrolna. – Falszerz wskazał napisaną odręcznie po chińsku, przypiętą do ściany notatkę. – Płótno, blejtram, panel, warstwa, tło, grunt... – Li się zawahał, ale znalazł właściwe określenie i dokończył: – Środek wiążący, patyna. Przed opuszczeniem magazynu każdy obraz jest sprawdzany. Ale to tylko gwoli przypomnienia. Nie ma takiej potrzeby.

– Nie wątpię. Dziękuję. Czy mogę zobaczyć pracownię?

– Oczywiście.

W dzisiejszych czasach, gdy ludzie myślą o artystach, wyobrażają sobie samotnego geniusza harującego w odosobnieniu, na poddaszu. Ale to dosyć świeży wynalazek. Przynajmniej do dziewiętnastego wieku studia malarskie przypominały linie produkcyjne: płótna przechodziły najpierw przez ręce najmłodszych terminatorów, którzy malowali tło, potem trafiały do bardziej doświadczonych specjalistów od krajobrazu albo draperii i dopiero na końcu do samego artysty, który ostatnimi pociągnięciami wykańczał twarz cherubina lub cień jego skrzydła. Nie różniło się to wcale od procesów odbywających się w manufakturze. W wielu obrazach, które udają dzieła starych mistrzów, wkład pracy samego mistrza jest wręcz śladowy. Na przykład na płótnie Rubensa dziełem wielkiego artysty może być zaledwie przedstawienie dłoni. Miałam wrażenie, że atelier Li działa na tej samej zasadzie. Kilku mężczyzn w średnim wieku pracowało w ciszy przy długich stołach i łagodnych dźwiękach dochodzącej z radia muzyki klasycznej. Jeden malował farbami olejnymi ciemne tło, inny zaś małym, drewnianym narzędziem przypominającym patyczek od lodu skrupulatnie nakładał grubą warstwę białego podkładu, prawdopodobnie w stylu impresjonistycznym. Poruszali się niespiesznie w swoich ciemnych fartuchach, skoncentrowani na swej pracy jak mnisi w średniowiecznym skryptorium. Pomyślałam o fałszywym Stubbsie, który to obraz mój były szef Rupert próbował sprzedać poprzez nasz dom aukcyjny. Czy to tutaj go poprawiano, by wyglądał na autentyk? Patrząc na pracujących mężczyzn, nie mogłam wzbudzić w sobie ani krzty wściekłości na myśl o klientach, których oszukiwali. To, co

robili ci ludzie, wymagało ogromnej cierpliwości, niespotykanego talentu, precyzji i miłości. Robili tylko to, co pokolenia terminatorów przed nimi, i na moje oko rezultaty były znacznie lepsze niż szmiry wychodzące spod pędzla absolwentów przeciętnej akademii sztuk pięknych.

– Ile zazwyczaj zajmuje wam przygotowanie jednego dzieła? – Złapałam się na tym, że szepczę.

– Maksymalnie trzy miesiące. W przypadku bardziej współczesnych prac... – Li uśmiechnął się szelmowsko.

– Weźmy na przykład Pollocka.

– Jego możemy zrobić w jedno popołudnie.

– Pracujecie na drewnie?

– Na drewnie, papierze, na wszystkim. Kiedyś zrobiliśmy obraz na... sukni?

Caravaggio. O tym dziele wiedziałam wszystko.

– Spróbuję dostarczyć wam drewno. Będziecie potrzebowali farb olejnych z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, nie wcześniej niż z tysiąc osiemset sześćdziesiątego i nie później niż z tysiąc dziewięćset piątego.

– Werniks?

– Może. Ewentualnie nałożony, a potem usunięty.

– Czyli coś łatwego?

– Dla was chyba wszystko byłoby łatwe.

Najpierw zadałam sobie pytanie: kto? Którego artystę powinnam wybrać? Obraz starego mistrza, na przykład Rembrandta lub Velázquez, byłby najpewniejszy pod względem ceny, jaką mógłby osiągnąć, ale nawet gdyby użyć farby identycznej jak ta z okresu twórczości artysty, a rodzaj płótna, wymiary, gęstość pigmentów i technika malarska były bez zarzutu, tak jak na liście Li, to i tak pozostał jeszcze problem z proveniencją. Aby podrobić dzieło sztuki, trzeba rozważyć, czy to możliwe, żeby ono naprawdę istniało, znaleźć lukę w chronologii, w którą fałszerz mógłby wpasować

falsyfikat. Komisja do Badań Twórczości Rembrandta spędziła czterdzieści lat na mikroskopowej analizie każdego przypisywanego artyście płótna, tworząc wokół van Rijna barierę naukową, którą dzisiaj tylko idiota mógłby próbować pokonać. To prawda, że od czasu do czasu odkrywa się zagubione prace mistrzów – niedawno sprzedano w Paryżu Leonarda – ale takie cudowne znaleziska stają się światową sensacją i prawo własności może stać się nawet przedmiotem sporu między rządami. To droga zdecydowanie zbyt skomplikowana, powolna i grożąca zbyt dużym rozgłosem.

Zostawały więc obrazy bardziej współczesne, z okresu od końca dziewiętnastego do połowy dwudziestego wieku. Impresjonistów lub ekspresjonistów abstrakcyjnych o wiele łatwiej podrobić, zwłaszcza dzieła artystów z tej drugiej grupy, ponieważ do tego nie trzeba w zasadzie umieć malować. Jeśli Li ma stworzyć obraz, który osiągnie na aukcji ponad sto milionów, ten obszar był najbezpieczniejszy. *Intersection* Willema de Kooninga osiągnął trzysta milionów, *Gracze w karty* Cézanne’a – dwieście pięćdziesiąt, a *Numer 17A* Pollocka – dwieście, co stawia wszystkie te dzieła wyżej od biednego Rembrandta, którego podwójny portret ślubny Soolmansa i Coppit poszedł za marne sto sześćdziesiąt milionów. Największym wyzwaniem było znalezienie luki w katalogu. Wiedziałam, że dzieła Modiglianego, które też sprzedawały się za ponad sto milionów, często były podrabiane – właśnie z powodu osiągniętych cen. Malarz spędził większość życia niemal bez środków do życia i często wymieniał płótna za jedzenie, dlatego trudno ocenić wielkość jego dorobku, jednak ze względu na popularność wśród fałszerzy wydawał mi się zbyt oczywisty i w konsekwencji ryzykowny.

Potem pomyślałam o Gauguinie. Gdy pracowałam w domu aukcyjnym, często wysyłano mnie do archiwów Courtauld Institute of Art. W tamtejszej kolekcji znajdowało się dzieło Gauguina, które zawsze przy tej okazji oglądałam: *Nevermore*. Obraz namalowany na Tahiti w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku przedstawia korpulentną, nagą dziewczynę leżącą na łóżku nakrytym

jaskrawą narzutą, z głową na cytrynowożółtej poduszce. Z początku wydawał mi się brzydki. Poza dziewczyny jest niezgrabna, a wzorzyste dekoracje pokoju nieudolnie radosne. A jednak coś mnie do niego ciągnęło i chętnie biegałam z St. James's przez Charing Cross, dźwigając ciężkie teczki, by spędzić choćby kilka minut przed tym dziełem. Tabliczki w galerii informowały mnie, że patrzę na vahine Gauguina, czyli jego tahitańską „żonę” – a właściwie wykorzystaną przez artystę nastolatkę – oraz że kompozycja dzieła, z krukiem oraz dwiema postaciami w tle, jest złowroga i niepokojąca. Ale ja widziałam to zupełnie inaczej. Mnie ta dziewczyna wydawała się jedynie znudzona i nadąsana, zirytowana prośbą starszego kochanka, który chciał, by mu pozowała. Podobały mi się ta przekora i fakt, że artysta pokazał ją na obrazie, jakby śmiał się z samego siebie. Przypominałam sobie również, że *Nevermore* został namalowany na innej kompozycji przedstawiającej plantację bujnych palm, konia i kurczaka, która została odkryta podczas przeprowadzonego w muzeum badania w podczerwieni. Zgodnie z moją wiedzą Gauguin wiódł niespokojne życie i przenosił się z miejsca na miejsce – malował w Paryżu, Bretanii, Arles, Kopenhadze, na Martynice, Tahiti i Markizach. Tworzył nie tylko na płótnie, ale też na ceramice i drewnie. Oraz malował freski. I to podsunęło mi następny pomysł.

Kiedy opuszczałam warsztat, zdałam sobie sprawę, że moje zadanie będzie znacznie trudniejsze niż praca Li, który potrafił tworzyć obrazy, ale nie umiał ich sprzedawać. Wymyślenie historii dzieła, czyli jego proveniencji, to skomplikowane zadanie, ale ja miałam w tym doświadczenie, gdyż Bóg jeden wie, ileż to już stworzyłam wersji swojego własnego życia. To jak pisanie skomplikowanej powieści detektywistycznej od tyłu. Raznatović wybrał mnie, ponieważ mogłam, a właściwie musiałam, przekonać kupca do nabycia obrazu. Li mógł stworzyć płótno wyglądające identycznie jak oryginalny Kandinsky, ale Kandinskim stawało się dopiero, gdy kupujący nabierał przekonania, że to Kandinsky. W każdej relacji opartej na pożądaniu osoba, która odczuwa to

pożądanie silniej, staje się stroną uległą. Zasada ta działa zarówno w handlu, jak i w seksie. I to właśnie miało być moim zadaniem: musiałam sprawić, by kupujący uwierzył i zadrżał z pożądania, owładnięty żądzą posiadania naszego dzieła.

Widząc pod oknem samochodu da Silvy trzy niedopałki, oparłam się o ścianę i sama zapaliłam papierosa. Układ oparty na wierze, przypieczętowany wielkimi pieniędzmi. Sto milionów. Wydmuchnęłam zrobione z dymu zero i przez chwilę patrzyłam, jak drży w powietrzu, po czym się rozmywa. Wypuściłam osiem takich zer. Wiedziałam, że jestem dobrą aktorką, ale czy aż tak dobrą? Z drugiej strony, alternatywa nie wyglądała zachęcająco. Otrząsnęłam się, wyciągnęłam telefon i napisałam odpowiedź do Pawła Jeremołowa.

Wesołych Świąt. U mnie wszystko w porządku. Będę jednak potrzebowała dwóch przysług. Możesz do mnie zadzwonić?

Zaważałam się, a potem dodałam buziaczka.

Następnie zadzwoniłam do Dave'a.

– Judith, skarbie! Jak cudownie cię słyszeć! Wesołych Świąt!

– Wzajemnie! Nie przeszkadzam ci?

Dave westchnął.

– Przyjechała teściowa. Poszły z moją panią na wyprzedaż w John Lewis.

– To... hmm... miło. Opowiadaj o książce!

Skończyłam ją czytać w noc Bożego Narodzenia, w łóżku z butelką ciro i kanapką. Zaczynała się jak pamiętnik z czasów służby wojskowej – Dave opisał okoliczności, w których stracił nogę i zetknął się ze światem sztuki. W drugiej części pojawił się opis jego pracy z rannymi żołnierzami, zgłębiania historii sztuki oraz terapii zespołu stresu pourazowego, całość zaś kończyła się żarliwym apelem o to, by nie wycofywano historii sztuki ze szkół. Wiedziałam, że wiele z opisanych w książce historii może czytelników poruszyć, zwłaszcza że Dave pisał dobrze, prosto i bezpretensjonalnie, a jego

entuzjazm bił z każdej strony.

– Jest naprawdę świetna, Dave. Przeczytałam ją z prawdziwą dumą.

– Nie wiesz jeszcze najlepszego.

Okazało się, że żona Dave’a zaproponowała, by sam opublikował książkę w Internecie, a kiedy to zrobił, ściągnięto ją tak wiele razy i zdobyła tak pochlebne komentarze, że zainteresował się nią agent literacki. Dave dostał już nawet zaliczkę od wydawcy.

– Skontaktowało się ze mną BBC. Szukają pomysłów na film dokumentalny o mojej pracy.

– Nie bądź taki skromny. To ma być film o tobie!

– No, w sumie... Ekstra, co?

– Mało powiedziane! Strasznie się cieszę. Twoja żona musi być wniebowzięta. W końcu to jej zasługa, że opublikowałeś książkę w sieci. Sam nigdy byś tego nie zrobił.

– Dzięki. A co u Ciebie? Wszystko w porządku?

Wiedziałam, co ma na myśli, i byłam wdzięczna, że nie zapytał o nic więcej.

– Tak, dobrze. Chociaż... mam jedną sprawę. Tak sobie szperam i pomyślałam, że może będziesz w stanie mi pomóc. Co wiesz o ostatnich aukcjach dzieł Gauguina?

– Cóż... Niedawno była ta głośna sprzedaż. Obraz poszedł za ponad dwieście milionów. Taki śmieszny tytuł.

– *Nafea Faa Ipoipo*. Tak, słyszałam o tym. Jakieś wcześniejsze aukcje? – W sieci wiarygodne informacje sięgają najdalej dziesięć lat wstecz i łatwo przeoczyć wydarzenie z czasów, zanim wszystko zaczęło pojawiać się w Internecie. Dave był najlepszym źródłem archiwalnych informacji, z jakiego mogłam korzystać podczas pobytu w Siderno.

– Okropny gnojek z tego Gauguina. Ale co by nie mówić, nie potrafił malować na pół gwizdka. Poczekaj, niech sprawdzę.

Słyszałam jak Dave odchodzi, stukając laską.

– Proszę bardzo, wyciąłem artykuł z gazety. W roku dwutysięcznym wystawiono dwie wersje tego samego obrazu. *Vase des Fleurs* albo

Lilas. Nasz dom aukcyjny zamieścił jedną w wiosennym katalogu. Obie pochodziły od tego samego marszanda, jakiegoś oszusta z Nowego Jorku. Nasz obraz został wycofany, a tamci sprzedali swój, twierdząc, że to oryginał.

- Dwie wersje? Okej, wielkie dzięki.
- Nie ma za co, kochana. Trzymaj się.
- Ty też.

Zapukałam do drzwi warsztatu i po chwili stanął w nich Li.

– Przepraszam, zapomniałam o czymś. Błękit pruski. Będziecie potrzebowali dużo błękitu pruskiego – powiedziałam i ruszyłam do samochodu.

Da Silva uciął sobie drzemkę, więc szturchnęłam go w ramię.

– Hej, mistrzu. Zbieramy się. Trzeba złapać trochę zimowego słońca.

– Co?

– Musisz mnie chyba zabrać do Tangeru.

W hotelu kazałam swemu skwaszonemu wspólnikowi poszukać lotów, podczas gdy sama spakowałam bagaże, a potem zaczęłam chodzić w tę i z powrotem po balkonie, paląc i niecierpliwie czekając na telefon od Jermołowa. Wzdrygnęłam się, gdy da Silva wysunął głowę znad balustrady sąsiedniego tarasu.

– A tak w ogóle, to po co chcesz jechać do Maroka?

– A ty nie chcesz? Dlaczego?

– Perchè è pieno di marocchini!⁸

– A niby kogo miałoby być pełno, ty rasistowski palancie? Tak czy inaczej, musimy się spieszyć. – Zrobiłam z palców pistolet i wycelowałam w niego. – Tik tak, zegar cyka. Raznatović nie będzie czekał wiecznie. Jeśli zabierzesz mnie do Tangeru, możliwe, że dostaniesz swój obraz za pół roku.

– Pół roku? *Cazzo*⁹.

8 Perchè è pieno... (wł.) – Bo tam jest pełno Marokańczyków!

9 Cazzo (wł.) – tutaj: Kurwa; dosł.: kutas.

– A, właśnie. – Wskazałam rozciągający się pod nami hotelowy ogród, w którym ponuro wietrzyła się para staruszków na wózkach. – Będę potrzebowała nowego lokum. To miejsce jest zbyt przygnębiające. I sporządziłam dla ciebie listę rzeczy, które musisz zrobić. Mówisz po francusku?

– Nie – odparł ze znużeniem da Silva.

Mafioso na moich usługach – bardzo mi się podobał ten układ.

– W takim razie w tej sprawie mi się nie przydasz. Możesz zostać w hotelu i dalej się szycować.

– Nie ma mowy. I jeśli sądzisz...

Dzwonek mojego telefonu przerwał mu w pół zdania.

– Przepraszam – szepnęłam. – Muszę odebrać.

Da Silva zniknął w swoim pokoju, trzaskając drzwiami.

– *Zdrowstwuji, Pawieł, kak dieta?*¹⁰

– Twój akcent niestety się nie poprawił, Judith. Ale co u ciebie? Wszystko w porządku? – Miło było usłyszeć jego głos.

– Tak, w porządku. Jestem we Włoszech. A jak ty się miewasz? Co u... Jeleny? – Jelena była żoną Jermołowa, z którą pozostawał w separacji. To ona wciągnęła mnie w całą tę aferę z Caravaggiem.

– Dobrze. Bardzo się uspokoiła. Wyjechała teraz z chłopcami na wakacje.

– Cieszę się. Jesteś we Francji?

– Tak, w sypialni.

Zamilkłam na chwilę. Przypomniałam sobie tę sypialnię i poczułam się onieśmielona. Biorąc pod uwagę to, co razem przeżyliśmy, noce wypełnione seksem, obrazami i winem, szantaż i morderstwo Baleńskiego, było to dziwne uczucie.

– Powiedziałaś, że potrzebujesz przystugi. A nawet dwóch. Powiesz mi, o co chodzi? Chociaż właściwie nie rozumiem, dlaczego miałbym ci pomóc.

– Cóż, łączyło nas przecież coś szczególnego... Poza tym gdzieś w Serbii jest kaseta z nagraniem pokazującym, jak rozwalasz Baleńskiemu głowę popielniczką.

10 Zdrowstwuji... (ros.) – Witaj, Pawle, co słychać?

– Mówiłaś, że ją zniszczysz!

– Żartuję. Chociaż... kto wie... Tak czy inaczej, druga przystęga wiąże się z pierwszą. Byłeś w domu Baleńskiego, prawda? Tym w Tangerze...

„Człowiek ze Stanu”, jak nazywano Baleńskiego, był kiedyś właścicielem domu w tym podejrzanym, portowym mieście, gdzie organizował słynne, podejrzone imprezy.

– Tak, kilka razy.

– Mówiłeś coś o jego wystroju. Chyba w stylu polinezyjskim, prawda? Wiem, że jeśli chodzi o sztukę, Baleński miał kiepski gust, ale wspomnieliśmy, że sam dom okazał się zaskakująco atrakcyjny.

– Było w nim kilka ładnych rzeczy. Dlaczego pytasz?

– Nieważne. Sprawdzałam w sieci, ale w Tangerze jest mnóstwo willi i nie wiem, która należała do Baleńskiego.

Fakt, że Baleński posiadał dom w Tangerze, był powszechnie znany, zwłaszcza jeśli ktoś czytał w wolnym czasie „OK!”, ale dotyczące go szczegóły pozostawały owiane tajemnicą.

– Kupił go chyba od jakiegoś Francuza. Architekta.

– Pamiętasz jego nazwisko?

– Niestety nie. Ale willa miała nazwę. Poczekaj chwilę. – Jermołow zamilkł na moment. – Tak, *apiel'siny*.

– Pomarańcze?

– Tak mi się wydaje. Coś z pomarańczami.

Nagle w tle rozległ się kobiecy głos.

– *Dłarling, gdzie ty?*

No, cóż...

– Hmm... okej. Słyszę, że ktoś cię woła. Dziękuję, to wszystko, czego się chciałam dowiedzieć.

– A druga przystęga?

– Odezwę się jeszcze. Dziękuję, Pawle. Naprawdę bardzo ci dziękuję. Pozdrów ode mnie obrazę.

Zdałam sobie sprawę, że nie chcę myśleć o kobiecie z domu Jermołowa i jej obecności w jego sypialni ani zastanawiać się, czy przyszła do jego prywatnej galerii – dlatego wyłączyłam tę część

mózgu i zaczęłam guglować wille w Tangerze z pomarańczami w nazwie. Po kilku kliknięciach znalazłam *Les Orangers*, niegdysiejszą rezydencję Xaviera de St. Clemente. Nazwisko wydumane, ale były właściciel rzeczywiście pracował jako architekt. St. Clemente był znanym członkiem grupy uroczo nazywanej przez „Vogue” *les happy few* i zmarł w latach osiemdziesiątych na AIDS. Znalazłam kilka entuzjastycznych artykułów opisujących jego karierę, a w nich zdjęcia marokańskiego domu – jego pełna nazwa brzmiała *Chateau des Orangers* – oraz gospodarza wraz z gośćmi, w większości wiekowymi celebrytami. Na kilku fotografiach przedstawiono wnętrze willi – jednym z elementów dekoracyjnych była rzeczywiście zabytkowa boazeria i rzeźby z Polinezji Francuskiej. Na sąsiednich zdjęciach stojąca na tarasie Jackie O. mrużyła złowrogo oczy.

Następnie na stronie londyńskiej galerii Philipa Moulda znalazłam artykuł na temat dendrochronologii, czyli metody datowania drewna, a w nim wszystkie potrzebne mi informacje, po czym poszperałam wśród ofert agentów nieruchomości w Tangerze i w końcu znalazłam poszukiwany dom. Niestety, opis zawierał jedynie nazwę willi oraz jedno zdjęcie z informacją, że cenę nieruchomości podano w zgłoszeniu, więc poświęciłam kilka chwil na założenie konta Gmail, a następnie jako „kateogable” wysłałam maila z krótkim zapytaniem dotyczącym oferty.

- Romero! – krzyknęłam z tarasu. – Jedziemy! Zbieraj zabawki!
- Kiedy?
- Jutro!
- *Cazzo*.
- Nie bądź takim zrędə. Zobaczysz, spodoba ci się. Wiesz, bracia Kray jeździli na wakacje do Tangeru. To coś dla ciebie, naprawdę.

7.

Da Silva chciał, byśmy się zatrzymali w nowoczesnym hotelu z klimatyzacją i kablówką, ale ja nie po tojechałam do Maroka, by zamieszkać w Best Western. Informacja o tym, że pojedziemy przez Neapol i Barcelonę, nie poprawiła nastroju inspektora, który niechętnie oddał mi mój stary paszport, po czym większość ośmiogodzinnej podróży spędził na zrządzeniu, że na pewno nas napadną i obrabują. Te obsesyjne obawy stały się wprost nie do zniesienia, gdy stara, musztardowa taksówka wysadziła nas na szczycie *kasby*, czyli starego miasta, gdzie chłopak z latarką czekał, by oprowadzić nas po wybranym przeze mnie rijadzie. *Dar Miranda* okazał się być domem w kształcie kostki o wysokich ścianach ze studnią świetlną wpuszczającą przez kolorowe szkła landrynkowe wzory na znajdujący się pośrodku dziedzińca, na którym rozrzucono płatki róż. Weszliśmy po chaotycznie poprowadzonych schodach do wąskiego, białego pokoju z dwoma pojedynczymi łózkami nakrytymi pościelą w biało-niebieskie pasy oraz z widokiem na błyszczący w wieczornej poświacie ocean, który ukazał nam się przez szparę w okiennicach.

Na dachu znajdował się taras z niskimi, wyłożonymi kafelkami stołami, przy których kilka eleganckich, francuskich par delectowało się aromatycznymi tadżinami i sałatkami z marchewką obtaczaną w cynamonie. Między ich stopami ociężałe błąkał się żółw.

– Spójrz – wskazałam kartę dań. – Serwują nawet wino! No, rozchmurz się! A może tęsknisz za Francji? A przy okazji, co jej powiedziałaś?

– Że wyjeżdżam służbowo. Mówiłem ci, moja żona nie zadaje pytań.

– I co, nie cieszysz się, że tu jesteś?

– Zwykle jeździmy na wakacje na Sycylię.

– Boże, ależ jesteście małomiasteczkowi.

– Możesz się przestać mnie czeplić? Zjedźmy po prostu obiad, okej? Bez względu na to, jakie paskudztwo nam podadzą. Jestem wykończony.

Ponury nastrój da Silvy poprawił mi humor. Kiedy inspektor dębał podejrzliwie w pięknie podanym kurczaku z kiszoną cytryną, ja sączyłam ciemnoczerwone wino i spoglądałam na szaloną mozaikę tangerskich dachów. Nawet teraz, po odbyciu tylu podróży, jakaś częśćka mnie nadal nie potrafiła uwierzyć, że jestem w miejscu, które wygląda i pachnie tak... egzotycznie. Głos nawołujący do modlitwy brzmiał tradycyjnie, a zarazem ekscytująco i nawet lekki odór nieczystości unoszący się z tajemniczycy ulic pod naszymi stopami miał w sobie coś radosnego.

Rozzłoszczony da Silva z brzękiem rzucił widelec na talerz.

– *Fa schifo*¹¹, podawać mięso z owocami...

– A *mostarda*? Nie możesz się trochę wyluzować?

– Może gdybyś mi łaskawie powiedziała, po co tu przyjechaliśmy, co?

Rozmowa na ten temat w czasie podróży wydawała mi się zbyt ryzykowna, ale teraz większość otaczających nas gości mówiła po francusku. Nachyliłam się i dolałam da Silvie wina, podczas gdy kelner zabrał nasze nakrycia i postawił przed nami talerze z ciasteczkami w kształcie rombów oblanymi syropem z kwiatów pomarańczy.

– Potrzebujemy drewna. Jest tutaj dom, w którym, o ile mi wiadomo, znajduje się drewno w odpowiednim wieku. Jeśli je zdobędziemy, Li będzie mógł zacząć pracę nad obrazem.

– Nie mogliśmy go po prostu kupić?

– A dendrochronologia?

Opowiedziałam ze szczegółami o metodzie datowania desek poprzez analizę słoju. Mierzenie odległości pomiędzy słojami i porównywanie próbki ze skalą dendrochronologiczną pozwala na określenie wieku najmłodszego słoja i tym samym najwcześniejszej daty, gdy drewno mogło zostać użyte przez malarza.

11 *Fa schifo* (wł.) – Ohyda.

– Więc jeśli nasz obraz ma wyglądać jak dzieło z początku dwudziestego wieku, drewno musi być odpowiednio stare – zakończyłam swój krótki wykład.

– Przecież we Włoszech jest pełno starego drewna.

– Tak, ale to musi być odpowiedni rodzaj, dlatego przyjechaliśmy tutaj. Można znaleźć starą dębinę lub buczynę, ale one nie pochodzą z odpowiedniej części świata. Słyszałeś o Gauguinie, prawda?

– Oczywiście.

– Więc wiesz, że malował na Polinezji, na Tahiti. Drewno musi pochodzić stamtąd.

Zamilkłam, gdy kelner podszedł i postawił przed nami szklanki w metalowych koszykach ze świeżo parzoną miętą.

– I tutaj, w tym właśnie domu, znajdziemy odpowiednie drewno – wyjaśniłam. – Nazywa się miro. Teraz rozumiesz?

– Myślisz, że mają tu espresso?

– Jezu. Wiesz, że nie musiałeś tu wcale przyjeżdżać. Świetnie poradzę sobie sama.

– Obiecałem Raznatoviciowi, że z tobą zostanę. Poza tym – dodał – możesz potrzebować ochrony.

– Oboje wiemy, że największym zagrożeniem tutaj jesteś ty. Chyba że porwie mnie dziko namiętny szejk-nomada. Byłoby miło, ale mamy przecież coś do zrobienia.

Da Silva wyglądał na zdezorientowanego.

– *Pod osłoną nieba?* – próbowałam go naprowadzić. – Paul Bowles, ten pisarz. Mieszkał tutaj, w Tangerze.

– Mówiłem ci, że nie mam czasu na czytanie.

– Nieważne. Chodźmy na dół. Musimy wstać wcześniej do kościoła!

Obsługa zapaliła pomiędzy naszymi łózkami świece w ciężkich, mosiężnych lichtarzach i przygotowała dla nas dwa wykrochmalone, lniane szlafroki. Przebrałam się w małej łazience w granatową, jedwabną piżamę od Olivii von Halle z haftem w postaci zapalonego papierosa na kieszonce na piersi. *Przynajmniej dobrze wyglądam.*

Wśliznęłam się do łóżka i próbowałam nie słyszeć, jak da Silva sika i myje zęby. Kiedy wyszedł z łazienki w koszulce i bokserkach i zdmuchnął świecę, w półmroku jego obecność stała się nagle bardzo głośna. Przypomniałam sobie Albanię i moment, kiedy pociągnął za spust i zastrzelił klęczącego mężczyznę. To jego milczenie. *Jesteś taki jak ja*. Moja dłoń chyba zabłądziła pod kołdrę w kierunku jedwabiu między moimi nogami. Tylko na sekundę.

– Romero?

– Co znowu?

– Jak ty to robisz?

– Co?

– Jak ci się udaje tak żyć? W dwóch rolach. Nie chodzi o kwestie praktyczne, ale jak to wytrzymujesz?

– Jakoś muszę – odparł. Usłyszałam szelest wykrochmalonej pościeli, gdy przewrócił się na bok. Nastąpiła długa cisza i myślałam, że już zasnął, gdy nagle szepnął: – A ty? Jak to wytrzymujesz?

Wpatrując się w ciemność nad głową, wyliczałam w głowie nazwiska.

– No wiesz – szepnęłam w odpowiedzi. – Jakoś muszę.

Najwyraźniej nie czekał na moją odpowiedź, bo usłyszałam jego chrapanie.

Anglikański kościół pod wezwaniem Świętego Andrzeja w Tangerze, ozdobiony zielonym dachem i białą wieżą z powiewającą na niej osobiwą w tym miejscu flagą Świętego Jerzego, przypominał raczej zdobytą przez krzyżowców mauretańską fortecę niż posępny bastion Imperium. Według strony internetowej InterNations centrum życia tutejszych emigrantów stanowiły poeucharystyczne poranki przy kawie, co wydawało się lekką degradacją dla miejsca, które niegdyś uważano za gniazdo kosmopolitycznej rozpusty. Weszliśmy cicho tylnym wejściem w momencie, gdy pastor zachęcał wiernych, by zaśpiewali gromko hymn *Lo! He Comes with Clouds Descending*. Kiedy byłam dzieckiem, Kościół nie odgrywał znaczącej roli w moim życiu, a da Silva był katolikiem, lecz mimo to podczas mszy klękaliśmy wraz z innymi jej

uczestnikami i mamrotaliśmy coś nieskładnie pod nosem. Budynek ze swoją chłodną kolumnadą i arabeskami na ścianach należał do zupełnie innego świata, ale wierni byli żywcem wyjęci z serialu przedstawiającego Anglię około roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Ciemne garnitury, sztywne kołnierzyki i czerwone twarze mężczyzn, a u kobiet kwieciste sukienki i praktyczne sandały wsunięte na stopy odziane w ciemnobieżowe pończochy. Niektóre miały nawet na głowach kapelusze. O tym, że jesteśmy w Afryce, przypominała jedynie postać potężnej kobiety w jaskrawofuksjowym, farbowanym techniką ikat kaftanie. Miała bardzo krótkie, siwe włosy oraz wielki, srebrny naszyjnik i kolczyki, które sama zapewne określiłaby mianem „fajnych”.

Po nabożeństwie, witani przez pastora i jego żonę uściskiem dłoni, weszliśmy wraz z pozostałymi wiernymi do sali parafialnej – przylegającego do kościoła niskiego pomieszczenia z drewnianymi ścianami i wielką urną, za którą usadowiła się pastorowa. Da Silva wyglądał na zniesmaczonego, kiedy podała mu kubek wypełniony po brzegi wodnistą neską z herbatnikiem rich tea na spodeczku. Ruszyłam prosto do kobiety w naszyjniku, która głośno rozmawiała o swojej kanalizacji z nieco wystraszonego gościem w tweedowej kamizelce.

– Więc powiedziałam do Hassana, że to po prostu *niemożliwe*. Cztery raz w tym roku! Do lata wymrzemy na cholere!

Kobieta mówiła z wzorcowym brytyjskim akcentem, ale kiedy rozprawiając o niegodziwości marokańskich hydraulików, zaczęła się bardziej ekscytować, w jej usta wkradła się południowolondyńska nuta. Aż zaczęłam się zastanawiać, czy moja nowa znajoma nie jest przypadkiem emerytowaną właścicielką burdelu w Putney. Tweedowy i ja czekaliśmy na przerwę w potoku jej słów, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że nieprędko to nastąpi, po prostu jej przerwałam.

– Dzień dobry! Cudowna msza, nieprawdaż?

– O! – rozpromieniła się kobieta, wyczuwając świeżą ofiarę. – Nowa parafianka! Jak się nazywasz, moja droga?

– Katherine Gable. Dopiero przyjechałam.

– Ja jestem Poppet! – oznajmiła ex-burdelmama, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

– Poppet jest tu od trzydziestu lat – odważył się odezwać Tweedowy.

– Cóż, nie ma rzeczy, której nie wiedziałabym o tym miejscu – ekscytowała się Poppet. – A co ciebie tutaj sprowadza? Mąż w konsulacie?

– Niezupełnie. Mój kolega i ja – wskazałam da Silvę – przyjechaliśmy tu do pracy. Jesteśmy konsultantami do spraw nieruchomości.

– Czyżby? – Poppet posłała mi przenikliwe spojrzenie, podczas gdy Tweedowy cichaczem się ulotnił. Tego dnia ubrałam się w trapezową czarną spódnicę i cienki, granatowy półgolf z kaszmiru, który, miałam nadzieję, podkreślał perły na mojej szyi. – Z Londynu?

– Firma ma siedzibę w Czarnogórze. Dawniej pracowałam w domu aukcyjnym British Pictures – dodałam, wiedząc, że w ten sposób zaimponuję Poppet.

– Ach tak! Musisz zatem znać Laurę Belvoir?

– Och, naturalnie! Kochana Laura! – wybełkotałam.

Kurwa. Dałam się wciągnąć w „grę w nazwiska”. Dlaczego nie oparłam się tej cholernej pokusie i koniecznie się musiałam popisać? Laura była kiedyś moją przełożoną w domu aukcyjnym.

– Ciągle tu przyjeżdżała. Mieszkała z Whitakerami.

– Tak, Whitakerowie, oczywiście. Jaki ten świat mały! – Nie znałam ich, ale już im współczułam.

– Szukacie czegoś konkretnego?

– Owszem, willi Les Orangers. Słyszałam, że jest... na sprzedaż?

Poppet najwyraźniej nie czuła się tak podekscytowana od ostatniej wizyty księżniczki Małgorzaty.

– Les Orangers! O rety, ta okropna historia! Słyszałaś? – Nachyliła się, a szpony jej naszyjnika niebezpiecznie poszybowały nad moim swetrem.

Uznałam, że ma na myśli skandal związany ze śmiercią Baleńskiego,

który zginął kilka tygodni wcześniej w Szwajcarii. Razem z Jermołowem zadaliśmy o to, by huczał o nim cały Internet. Według oficjalnej wersji splotany miliardier odziany w winylowe ciuszki zabawił się w kurorcie narciarskim z przygodnym kochaniem i w pewnym momencie sprawy wymknęły się spod kontroli. Martwy oligarcha pojawił się spektakularnie na pierwszych stronach gazet w okresie przedświątecznego zastoju.

– Chyba nie. Słyszałam tylko, że nieruchomości jest na sprzedaż. Wystawili ją Price i Henslop, ale podają bardzo niewiele szczegółów, a nie udało nam się dozwonić do agencji.

– Och, koniecznie skontaktuj się z Jonnym Strathdrummondem. Zatrzymaliście się w hotelu Minzah? Nie? Cóż, *musisz* przyjść na kolację. W niedzielę urządzam małe *wieczorki*, wszyscy na nie przychodzą. Proszę, oto zaproszenie. Około siódmej. – Poppet nagle spoważniała. – Wiesz, pijemy *dżin*. Czyż to nie wspaniałe? – Woń, którą roztaczała wokół, sugerowała, że zdążyła się już uraczyć szklaneczką tanqueraya, ale mnie to nie przeszkadzało.

– Jesteś taka miła – zaszczebiałam. – Ale prawdę mówiąc, powinnam być bardziej dyskretna. Nasz klient bardzo dba o swoją prywatność.

– Naturalnie.

Podziękowałam ponownie za zaproszenie i odszukałam da Silvę. Nie zdążyliśmy jeszcze przekroczyć progu, a już usłyszałam, jak Poppet wzbudza wśród zgromadzonych sensację, mówiąc, że ktoś przyjechał obejrzeć Les Orangers.

Da Silva popatrzył na mapę Google'a.

– Do *kasby* w tę stronę.

– Tak, widzę.

Poszliśmy w górę stromą ulicą do głównego tangerskiego placu Grand Socco. Taksówki trąbiły i pełzły pomiędzy klatkami pełnymi żywych kurczaków i trzymającymi tace pełne jaj i ziół Berberyjkami w słomianych kapeluszach z szerokimi rondami. Najpierw postanowiłam zajrzeć do agencji nieruchomości Price i Henslop. Biuro, jakby na przekór wywieszonym w witrynie ofertom ze

zdjęciami eleganckich willi, sprawiało wrażenie wysłużonego. Nie znalazłszy oferty sprzedaży Les Orangers, usiedliśmy z da Silvą przed przepięknym budynkiem kina w stylu art déco i rozejrzeliśmy się po otaczających nieregularną przestrzeń Socco kawiarniach. Lokale pełne były mężczyzn palących papierosy i popijających herbatę lub coca-colę, a jedynymi klientkami płci żeńskiej były turystki. Da Silva w końcu zamówił sobie espresso, a następnie rozejrzawszy się ostrożnie wkoło w obawie przed atakiem kieszonkowców, wyciągnął zapalniczkę Duponta i przypalił dwa papierosy.

– I co teraz? – zapytał ponuro.

– Cóż, jesteśmy na liście! Warto było posłuchać kazania, co?

– Jak to zrobiłaś?

– Powiedziałałam, że pracowałam kiedyś w domu aukcyjnym. To jakby hasło dostępu. Adres domu, który chcę zobaczyć, nie figuruje w sieci, więc warto było spróbować. Teraz ty wracasz do hotelu, a ja idę na spacer. Bez ciebie. Mój paszport jest w Mirandzie. Nie pójdę daleko.

Kiedy inspektor odszedł, przez jakiś czas błądziłam uliczkami w stronę portu, rozkoszując się tym, że wreszcie mogę być sama. Podeszłam do handlarza stojącego przy ogromnym stalowym kotle, kupiłam papierowy kubek pełen małych, szarych ślimaków w wodnistej, bursztynowej zalewie i zjadłam je wykałaczką. Potem przespacerowałam się na bazar, gdzie przyglądałam się porzucanym na chodniku towarom. Na kawałkach materiału leżały stare telefony, pojedyncze, schodzone buty, kasety magnetofonowe. Trudno mi było uwierzyć, że ktoś mógłby kupić któryś z tych rupieci, ale tłumy mężczyzn energicznie w nich przebierały. Na jednej z tkanin leżały same zardzewiałe sworznie i śruby, a na innej kolekcja mocno zużytych narzędzi. Zapytałam sprzedawcę po francusku, czy ma piłkę do metalu. Poszperał w stercie i wyjął z niej nowe narzędzie z czerwoną plastikową rączką.

– Tylko jeden dirham!

Około dziewięćdziesięciu pensów, przeliczyłam szybko.

– *Szukran*¹², ale szukam czegoś bardziej w tym stylu. – Wzięłam do ręki młotek z drewnianym trzonkiem. – Czegoś starego.

Mężczyzna przesunął swoją wystużoną wełnianą czapeczkę na tył tysej głowy i zaczął się przekopywać przez warstwy żelastwa, aż w końcu wyciągnął małą piłę – ostrze było odbarwione ze starości, ale zęby nadal wyglądały na ostre.

– Idealna!

– Pięć dirhamów.

Handlarz sprawiał wrażenie niemal zawiedzionego, kiedy natychmiast podałam mu banknot, ale nie wypadało mi się targować. Włożyłam narzędzie ostrożnie do torby i ruszyłam do medyny. Szłam w kierunku Petit Socco, mniejszego placu, który niegdyś stanowił centrum literackiego Tangerangu. Przedzierając się przez kołyszące się wieszaki z dżelabami, sterty pantofli wystawionych dla turystów i stosy mydeł z olejkiem arganowym, natychmiast się zgubiłam, ale uznałam, że wyciągnięcie mapy byłoby oszustwem.

– Chce pani coś, *mademoiselle*? – zapytał młody chłopak w dżinsach, bluzie z kapturem i nowiutkich *nike'ach*. Był czarnoskóry, więc raczej nie z Maroka.

– *Non, merci*.

– Chce pani *kasba*? Hotel? Chce pani... coś do palenia?

– W żadnym razie! – Zabrzmiałam jak guwernantka z powieści E.M. Forstera.

– To dlaczego pani tu sama?

– Przepraszam, dam sobie radę. Jest pan bardzo miły, ale muszę już iść. – Skręciłam na ślepo w najbliższą uliczkę, która okazała się wejściem do stojącego na uboczu, odrapanego meczetu.

– Pani. Ty się zgubić.

Wyszperałam z torebki kilkudirhamowy banknot.

– Okej. Wygrałeś. Chcę się dostać do Petit Socco.

– Nie płacić, pani. Tędy.

12 Szukran (arab.) – Dziękuję.

Szłam za nim przez żenująco krótki czas do stromego, trójkątnego placu, wokół którego, tak jak w przypadku większego rynku, znajdowały się kawiarnie. Raz jeszcze zaproponowałam chłopakowi pieniądze, a on znowu odmówił, ale kiedy usiadłam przy żółtym, emaliowanym stoliku, zauważyłam, że natręt najwyraźniej nie ma zamiaru się ulotnić.

– Chce mi pani kupić colę?

– Nie. Odejdź, proszę.

– Okej. – Mój przewodnik odwrócił się, prostując się teatralnie.

Myślał, że go podrywam? Chryste...

– Zaczekaj. Przepraszam, jak masz na imię?

– Abouboukar, pani. Abouboukar z Wybrzeża Kości Słoniowej!

– Chcesz tę colę?

– Jasne, pani.

– Potrafisz prowadzić?

– Prowadzić. Jasne, że potrafię. Nie mam prawa jazdy, ale...

– Super, siadaj.

Przy coli dla niego i miętowej herbacie dla mnie odbyliśmy bardzo satysfakcjonującą rozmowę, wymieniliśmy się numerami telefonów i umówiliśmy się na kontakt następnego dnia. Chłopak zaproponował, że za darmo zaprowadzi mnie z powrotem do Mirandy, ale nie widziałam powodu, dla którego miałby się już teraz spotkać z da Silvą. Poprosiłam więc Abouboukara, żeby znalazł dla mnie taksówkę, po czym pojechałam do Café Hafa nieopodal starego miasta, gdzie na nadmorskim klifie zjadłam grillowane sardynki z pitą. W samotności, tak jak lubię.

Zaproszenie Poppet zawiodło nas na ulicę znajdującą się pomiędzy starym miastem a nowym, z trzy- i czteropiętrowymi budynkami z lat pięćdziesiątych ozdobionymi loggiami w stylu hiszpańskim. W zawrotnym tempie wjechaliśmy windą na ostatnie piętro, gdzie drzwi otworzył nam służący w białej koszuli, spodniach i fezie. Kiedy brał od nas płaszcze, przez korytarz przebiegła niska kobieta

w chustce na głowie niosąca tacę pełną pustych kieliszków. Podała je służącemu, on jednak odmówił wzięcia tacy i para zaczęła zawzięcie kłócić się po arabsku. Po chwili z bocznych drzwi wytoczyła się Poppet w czarno-złotym stroju i dobranym doń kolorystycznie turbanie, chwyciła tacę, wydarła się na kobietę łamaną francuszczyzną i bezceremonialnie kopnęła mężczyznę w tyłek, kiedy ten odwrócił się, by schować płaszcz.

– Użeram się z tym dwadzieścia lat! – zapięła, kiedy służący zupełnie niewzruszony wrócił na stanowisko przy drzwiach. – Kucharz nie chce podawać drinków, ponieważ zawierają alkohol, a ten tu Hassan nie weźmie tacy, ponieważ uważa, że to zadanie kobiety. Naprawdę... Cieszę się, żeście przyszli, moi drodzy. Wchodźcie, wchodźcie. Katherine i...

– Giovanni – podsunęłam szybko. Da Silva wszedł w rolę i nachylił się do wyciągniętej dłoni Poppet, co najwyraźniej ją uradowało. Inspektor miał na sobie wyprasowaną, błękitną, lnianą koszulę, która podkreślała jego ciemne włosy, lecz niestety odrzucił moją sugestię i nie włożył krawata. Ja, ponieważ wieczory w Tangerze bywały chłodne, zdecydowałam się na elegancką jedwabną koszulę w odcieniu kości słoniowej, a do tego mój stary, czarny kostium od Chanel. Poppet wręczyła nam ogromne szklanice džinu z tonikiem i poprowadziła nas do bawialni, w której meble obite edwardiańskim perkalem zestawiono z marokańskimi stołami i rzeźbionymi podnóżkami. Chociaż dopiero zaczął zapadać zmrok, ciężkie, ciemnoczerwone, aksamitne zasłony zostały zaciągnięte, wskutek czego powietrze było gęste od dymu tytoniowego i nieświeżych, ostrych oddechów ludzi, którzy od wielu godzin pili.

– Zaraz, a gdzie jest Jonny? – zapytała zaaferowana Poppy. – Jeszcze go nie ma? Nie szkodzi. Możecie porozmawiać z...

Dziewczyna z burzą rudych, kręconych włosów wyskoczyła zza sofy.

– Jestem Muffie! – oznajmiła. – Kielbaskę? – Podsunęła nam talerz z kielbaskami chipolata. – Niebiańskie, nieprawdaż? Przywozimy je z Marks and Sparks, kiedy jeździmy do domu. – Ze sposobu, w jaki

wypowiedziała ostatnie słowo, można by wywnioskować, że Londyn leży za oceanem i aby się doń dostać, trzeba odbyć trzymiesięczny rejs z przystankiem w Port Saidzie. – A to jest Juancho.

Juancho okazał się pomarszczonym niziołkiem w butach do jazdy konnej i bryczesach, z ogorzałym czołem i kunsztownymi, siwymi, opadającymi na kołnierz lokami. Wyglądał jak miniaturowy gracz polo.

– Państwo szukają Les Orangers – szepnęła konspiracyjnie Poppet.

– Czyżby? Czy to wszystko, co sprowadza cię do Tangeru, chłopcze? – Zadający pytanie głos, jednocześnie dudniący i stonowany, zdawał się być połączony z ręką w pasiastej koszuli, która chyłkiem usadowiła się na ramieniu da Silvy.

– Zostaw go w spokoju, Vivi – zabełkotał Juancho z silnym, południowoamerykańskim akcentem. Z wyjątkiem da Silvy i mnie wszyscy goście Poppet wyglądali na nieźle zalanych. Ręka ześliznęła się na klatkę piersiową da Silvy, a jej właściciel, postawny, jasnowłosy Anglik w krawacie w tureckie wzory, odwrócił się w naszą stronę.

– Vivian Forrest. Ty, skarbie, możesz mi mówić Vivi. Ale twoja dziewczyna nie.

– Jak się pan miewa? – wydukał da Silva.

– Nieźle, nieźle. Zauważyłem cię dzisiaj rano w kościele. Powiedz mi – ręka odciągała da Silvę na bok – wyglądasz na wysportowanego. Lubisz sobie poćwiczyć, co?

Vivi i da Silva poszli w stronę rogu pokoju, gdzie kilku innych Europejczyków w fularach otaczało parę marokańskich chłopców.

– Kochani, zobaczcie, kogo wam przyprowadziłem! – pisnął Vivi.

Grupa wyglądała dość dziwnie w zestawieniu ze zbudowanym jak rugbista da Silvą, ale uznałam, że mój wspólnik poradzi sobie z kilkoma podstarzałymi homosiami, i zwróciłam się w stronę Muffie. Juancho opadł na poduszki i majstrował przy papierosie, chociaż między pomarszczonymi wargami trzymał już sobranie ze złotym filtrem.

– Mówi się, że jest nawiedzony – wyznała mi w zaufaniu Muffie. –

Les Orangers. Jonny Strathdrummond opowiadał, że żaden z miejscowych nie chce go posprzątać.

– Miałam nadzieję, że spotkam się z Jonnym, ale... A co ciebie przywiodło do Tangeru, Muffie? – dodałam szybko. Nie miałam ochoty na kolejną rundkę szukania wspólnych znajomych.

– Och, robię biżuterię, torebki i takie tam. Tamta jest moja.

Wskazała stojącą w drugim końcu pokoju kobietę ze śladem ciemnoczerwonej szminki na zębach. Miała na sobie ciemny kostium ze spodniami, a obok jej półbutów stała zielona, jedwabna torba z rączkami z dwóch marokańskich bransoletek.

– Śliczna – wydusiłam, co może i było prawdą, jeśli ktoś gustuje w rezultatach terapii zajęciowej. – Musisz dać mi swoją wizytówkę. A teraz opowiedz mi więcej o tych duchach!

– Jonny Strathdrummond mówi, że słychać tam głosy. Jęki i zawodzenie, jakby jakiejś potępionej duszy.

– Naprawdę? – Chyba wiedziałam, co to mogą być za odgłosy. – Czyli trochę straszny ten dom?

– O, tak. Znajduje się na klifie, za Hafą. W życiu nie poszłabym tam w środku nocy!

Hassan przerwał nam, dzwoniąc dzwoneczkiem, po czym kucharz wniósł wielkie naczynie z potrawą wyglądającą na zapiekankę pasterską z ziemniaków i mięsa.

– Jedzonko! – pisnęła Muffie, a da Silva wyrwał się ze szponów Viviego i dosłownie rzucił się biegiem w stronę bufetu.

Muszę przyznać, że jedzenie było pyszne – oprócz zapiekanki podano groszek z sałatą i przypieczone ziemniaki z rozmarynem – chociaż wątpię, by dało radę wciągnąć cały dzin. Pokręciliśmy się jeszcze trochę, ale słynny Jonny Strathdrummond się nie pojawił, więc Poppet uprzejmie zaproponowała, że do niego zadzwoni.

– Migrena! – oznajmiła. – Ale mówi, że może się z wami spotkać jutro wieczorem, o szóstej trzydzieści w klubie Maroc.

– Jesteś cudowna, Poppet – odpowiedziałam z wdzięcznością.

– Cóż, musimy się trzymać razem, prawda? Czy ty i twój kolega będziecie tu w Nowy Rok?

– Obawiam się, że nie.

– Jaka szkoda!

– Muzyka derwiszy to dopiero widowisko. Chodzą po całym mieście ze swoimi cudownymi bębnami. Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała. A gdybyście zmienili zdanie w kwestii Nowego Roku, Whitakerowie zawsze urządzają wspaniałe przyjęcie. Z radością ugoszczą znajomych Laury!

Kiedy skierowałam da Silvę w stronę korytarza, zza umieszczonego na mosiężnej podstawie miniaturowego drzewka pomarańczowego chwyciła mnie dłoń.

– Jeszcze drinka? Może dżin z tonikiem?

– Nie, dziękuję. Niestety, wychodzimy.

– Och, nie to nie, spierdalaj.

Spojrzałam pomiędzy małe, błyszczące owoce. To była żona pastora.

Da Silva patrzył na mnie gniewnie przez całą drogę do *kasby*.

– *Sono pazzi, gli inglese*¹³. Czy wy wszyscy jesteście alkoholikami?

– Większość. Brzemię Imperium i takie tam.

– I po co ci te wszystkie bzdety? Czarnogóra?

– Chodzi o to... – zamilkłam.

Jak miałam wytłumaczyć Włochowi „grę w nazwiska”? To rzucanie imionami wspólnych znajomych niczym kartami, by ustalić swoje miejsce w hierarchii społecznej, której istnieniu wszyscy wszak zaprzeczają?

– Niektórzy Anglicy nadal uważają się za członków konkretnej klasy. Ważny jest dla nich sposób mówienia, skończone szkoły, a przede wszystkim wspólni znajomi. Jak ci już wspominałam, znajomości to hasło dostępu. A jeśli ktoś nie należy do klubu, udaje. To jeszcze trudniejsze, ponieważ ściany klubu są niewidzialne. Ponieważ wspominałam o Czarnogórze i domu aukcyjnym, Poppet pomyśli, że jesteśmy takimi ludźmi jak ona. Albo przynajmniej

13 Sono pazzi... (wł.) – Ci Anglicy to jacyś wariaci.

takimi, za jakich oni wszyscy się podają. Dlatego jutro, kiedy przystąpimy do działania, wszystkie te informacje zbiją ich z tropu. Będą próbowali wyjaśnić, co i jak, a kiedy już wyjdziemy, będą o nas plotkować jeszcze przez wiele tygodni. A poza tym... nie sądzisz, że to było całkiem miłe przyjęcie?

- Za cholerę nie rozumiem, o czym mówisz.
- Nie musisz. Po prostu rób, co ci każą.

8.

Z tarasu na szczycie rijadu patrzyłam na znajdujący się po drugiej stronie portu długi, usypany z piasku półksiężyc otoczony wysokimi, nowoczesnymi hotelami. Pomiedzy budynkami i Zatoką Tangerską rozciągała się wysadzana palmami aleja skąpana w świetle sunących wczesnowieczorną porą samochodów. Z tej perspektywy Tanger wyglądał jak każde inne miasto, ale tutaj, wśród krętych uliczek *kasby* trudno w to było uwierzyć. Kiedy następnego wieczoru szłam pod górę pomiędzy białymi ścianami i pomalowanymi jaskrawo drzwiami, kobiety w dżelabach i sandałach napępniały plastikowe naczynia ze słabo oświetlonych hydrantów. Nad moją głową szalona sieć improwizowanych przewodów elektrycznych wisiała między domami jak liany, obok mnie biegały brudne, na wpół ubrane dzieci, a mężczyzna pchający ręczny wózek z welurową sofą w upierne wzory splunął siarczyście, z mozołem pokonując niskie schody. Wśród cieni delikatnych jak skrzydła ćmy przemykały chude koty. Im wyżej wchodziłam, tym robiło się ciszej, a warstwy wiszących w powietrzu zapachów oleju napędowego, ścieków, cytryn, jaśminu, kminu rzymskiego i potu powoli zanikały jedna po drugiej, aż w końcu, gdy dotarłam do placu, poczułam tylko czyste, świeże powietrze znad Atlantyku.

Klub Maroc wyglądał dziwnie elegancko w otoczeniu wyniosłych, acz popadających w ruinę starych murów cytadeli. Jego imponująco odrestaurowane kolonialne werandy zasłonięto zadbanymi, zielonymi żaluzjami. Na zewnątrz czekał odźwierny w białej marynarce. Kiedy podeszłam do drzwi, przed klub zajechał kolejny masywny mercedes i mężczyzna otworzył drzwi taksówki, z której wychynęła para turystów w średnim wieku.

– *Bonsoir, madame.*

Kiedy weszłam do środka, poczułam, że znowu znalazłam się w dwudziestym pierwszym wieku. Moim oczom ukazała się

standardowa wersja Maroka, rozpowszechniana od Moskwy po Nowy Jork: ciemnoczerwone ściany, niskie, mosiężne stoły, misterne lampiony, haftowane poduszki. Zapytałam, gdzie jest bar, i wskazano mi drogę wiodącą przez usiany nieodzownymi płatkami róż dziedziniec na zadaszony taras umeblowany nijakimi, skórzanymi fotelami. Kiedy usiadłam, pojawił się kelner z małą mosiężną miseczką i opatrzonym długą rączką dzbankiem, z którego polał moje ręce wodą pachnącą kwiatem pomarańczy, by następnie podać mi Iniany ręcznik z monogramem. Poprosiłam po francusku o *kir framboise*, a potem rozsiadłam się wygodnie i obserwowałam zapadający łagodnie zmrok.

– Panna Gable? Panna Katherine Gable?

Głos dochodził zza wysokiego oparcia mojego fotela. Był to ten rodzaj głosu, od którego odzwyczałam się, odkąd odeszłam z domu aukcyjnego w Londynie – głos-zabytek, uwięziony gdzieś pomiędzy dniem lądowania aliantów w Normandii a kryzysem sueskim, chociaż jego właściciel nie mógł mieć więcej niż sześćdziesiąt lat.

– Pani pozwoli? Dziękuję. Jonathan Strathdrummond. Napije się pani? Och, to bardzo dobrze. Ja wezmę dżin z tonikiem, jeśli pani łaskawa.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, panie Strathdrummond.

– Och, proszę mówić mi Jonny. Nie zachowujemy się tu wobec siebie zbyt formalnie, jak się pani przekona. Chociaż zapewne zauważyła to pani już na przyjęciu u Poppet.

Jonny miał na sobie świeżo wyprasowany, jasny garnitur, lśniące broggy z Church's i krawat Harrow School, chociaż zapewne nie ukończył tej zacnej szkoły. Gdyby powalczył z akcentem i usunął z palca ślad po sygnecie, może by mnie nabrał, ale podejrzewałam, że przeprowadził się do Tangeru, by nie być zmuszonym dłużej udawać.

– Dotarła pani bez problemu? – Pociągnął duży łyk drinka.

– Tak, dziękuję. To był cudowny spacer.

– Dzielna dziewczyna. W starej kasbie trzeba się mieć na baczności.

Kusiło mnie, by powiedzieć, że zapomniałam parasolki od słońca, i zasugerować, by rach-ciach posłał po nią swojego tragarza, ale uznałam, że Jonny chyba by się nie zaśmiał.

– Jak wyjaśniłam w mailu – tu Jonny lekko się wzdrygnął, jako że wspomnienie o nowoczesnej technice zapewne zakłóciło jego stary, kolonialny sen – interesuje mnie dom Michaiła Baleńskiego.

– Właśnie. Osobliwa sprawa, nieprawdaż?

Chryste, czy ten koleś da sobie kiedyś spokój z tą kolonialną gadką?

– Rozumiem, że jest na sprzedaż.

– Zgadza się. Przepraszam, że pani nie odpisałem. Całe te święta. Zna pani dobrze Tanger?

Widziałam, że mój rozmówca nie czuje się chyba najlepiej w skórze agenta nieruchomości, ale chciałam sprawy trochę przyspieszyć. Abouboukar napisał już do mnie wcześniej, że czeka z kumplami pod domem z ciężarówką, a nie mogli tam przecież sterczeć całą noc.

– Czy zechce pani zajrzeć do menu, *madame*?

Jonny spojrzał na mnie z nadzieją. Gdy przyjrzałam się mu z bliska, dostrzegłam przebarwienia na mankiecie i plamę z tłuszczu na starannie wyprasowanej nogawce. Natychmiast zrobiło mi się go żal.

– Dziękuję. Chyba nie mamy na to czasu. Rzecz w tym, że mojemu klientowi bardzo zależy na nabyciu domu, dlatego chciałabym go obejrzeć najszybciej, jak to możliwe.

– Naprawdę? – Jonny natychmiast zapomniał o tadżinie z gołębia, sięgnął do marynarki po kalendarz i przeszedł do konkretów. – Może pojutrze? Mam kilka wstępnie umówionych spotkań, ale mógłbym je poprzekładać...

– Chciałabym zobaczyć dom dzisiaj. Może mógłby pan poprosić obsługę, by zamówiono dla nas taksówkę?

– Teraz? Jest już ciemno.

– To żaden problem. – Nachyliłam się i konfidencjonalnie położyłam mu dłoń na ramieniu. – Widzi pan, mój klient jest bardzo zajęтым człowiekiem. Ma pokaźne portfolio i czasem się... rozmyśla. Jeśli oboje chcemy otrzymać naszą... hmm... prowizję, powinniśmy się pospieszyć.

– Rozumiem. – Jonny wstał, niecierpliwie przywołując kelnera. – Będę musiał wstąpić do biura po klucze.

– Naturalnie. Oczywiście, zapłacę za taksówkę. Pozwoli pan również, że postawię mu drinka. Jestem niezmiernie wdzięczna za zrozumienie.

Sięgnęłam do torby z miękkiej skórki, którą tego wieczoru kupiłam w medynie, a kiedy wyjmowałam z niej portmonetkę, dostrzegłam kajdanki i piłę błyszczące w delikatnym świetle maleńkich lampionów.

Da Silva usadowił się w kawiarni naprzeciw biura Price i Henslop. Oboje mieliśmy na sobie gładkie, czarne ubranie, przy czym ja przyniosłam dodatkowo apaszkę, którą zamierzałam w drodze powrotnej okryć sobie głowę. Kiedy Jonny otwierał drzwi do biura, a ja nachyliłam się do taksówkarza z prośbą, by poczekał, da Silva przeszedł za mną, ja zaś – niczym pałeczkę w sztafecie – podałam mu torbę. Potem inspektor wszedł za plecami Jonny’ego do biura, podczas gdy ja wróciłam na tylne siedzenie samochodu. Kilka minut później da Silva wsiadł do taksówki obok mnie.

– *Route de la plage Mercala, s’il vous plait* – powiedziałam i gdy samochód ruszył pod górę w kierunku Marshan Ridge, przeszłam na włoski. – Szybko ci poszło. Nie maltretowałeś go za bardzo?

– Uderzyłem go raz i przykułem do krzesła.

– Zakneblowałeś go?

– Użyłem jego krawata. Rano ktoś przyjdzie do biura. Nic mu nie będzie. Proszę. – Da Silva pomachał pękiem kluczy.

Jechaliśmy przez dzielnicę eleganckich willi z lat trzydziestych. Niektóre były stylowo podświetlone, inne romantycznie zaniedbane. W porównaniu z wypełnioną gwarem medyną ta okolica wydawała się niezmiernie cicha. Sunęliśmy drogą nad wybrzeżem, mijając tarasy Hafy, a w dole szerokie plaże.

– Jak tu pięknie – stwierdził da Silva, jakby dopiero to zauważył.

Domy były teraz rozstawione nieco rzadziej. Minęliśmy stajnie

wielbłądów i przystanek autobusowy i w tym samym momencie po prawej zaczął się długi mur z gładkiego, szarego betonu. Sprawdziłam już to miejsce podczas porannej przebieżki. Mur ciągnął się przez około pięćset metrów i kończył podwójną, stalową bramą.

– To tutaj. Mówili, że będą czekać. O, tam są.

Poprosiłam taksówkarza, by się zatrzymał, i wysiedliśmy. Naciągnęłam apaszkę na twarz, chroniąc się przed kurzem wzbijającym z drogi przez morską bryzę. Poczekaliśmy, aż taksówka odjedzie, a potem podeszliśmy do zaparkowanej furgonetki – zdezelowanego forda transit. Skinieniem głowy przywitaliśmy dwóch kumpli Abouboukara, również Afrykanów. Za wykonaną pracę zaproponowałam chłopakowi czterdzieści tysięcy dirhamów, nieco ponad trzy tysiące funtów, a do tego wszystko, co zdołają wynieść z domu. Podejrzywałam, że takiej kwoty nie zarobiłby przez cały rok, ale płacił Raznatović, więc nie musiałam się szczypać z kasą. Pieniądze wypłacone z czterech banków podczas porannego wypadu na zakupy leżały ściśnięte gumką do włosów obok starej piły. Kazałam Abouboukarowi przywieźć koce, dłuto, linę i latarki. Nasza wizyta miała wyglądać na włamanie.

Żadna z osób poznanych u Poppet nie znała naszych prawdziwych nazwisk ani nazwy hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, a zanim ktoś uwolniłby biednego Jonny'ego, my bylibyśmy już w odlatującym o szóstej rano samolocie do Neapolu, dlatego najprościej byłoby się faktycznie włamać, ale uznałam, że lepiej będzie obezwładnić Jonny'ego i użyć jego kluczy. Z dwóch powodów: po pierwsze, potrzebowaliśmy wygodnej drogi ucieczki, by wynieść poszukiwany kawałek drewna, a ze znalezionych w sieci zdjęć wynikało, że fasadę Les Orangers stanowią grube, otynkowane na biało ściany ze zniszczonymi mauretańskimi płaskorzeźbami na gzymsach oraz maleńkimi, nieregularnymi okienkami przypominającymi otwory strzelnicze. Dlatego potrzebne nam były klucze, by dostać się głównym wejściem. Po drugie, zamieszanie wywołane napadem na Jonny'ego miało odwrócić uwagę wszystkich od tego, co

rzeczywiście zginęło. Wiedziałam, że policja w końcu zacznie pokazywać nasze zdjęcia w Mirandzie, ale zanim to nastąpi, minie nieco czasu.

– *Alors*¹⁴. My weźmiemy to, czego potrzebujemy, a wy możecie zabrać tyle, ile zdołacie wynieść. Ten pan pojedzie z wami furgonetką, a ja z Abouboukarem wrócimy oddzielnie do miasta. – Powtórzyłam instrukcję po angielsku, a następnie spróbowałam otworzyć pierwszym z kluczy znajdującą się w bramie furtkę.

Kiedy weszliśmy do ogrodu, natychmiast rozpoznałam znany mi z zamieszczonych w czasopiśmie zdjęć długi podjazd wysadzany palmami, których liście trzepotały przy każdym podmuchu wiatru. Kolejny klucz otworzył nam drogę na wewnętrzny dziedziniec. Dom prezentował się imponująco. Rzymska willa rozbudowana o kilka modernistycznych, schodzących w stronę morza sześcianów z białego marmuru i szkła. Podobno ozdabiające dziedziniec kamienne mozaiki były oryginalne. Oświetliłam latarką rzeźbę Jowisza o wyłupiastych oczach i trzymane przezeń berło z orłem, a następnie basen – pusty, nie licząc cuchnącej, tłustej kałuży, w której kołysały się poszarpane szczątki mewy. W powietrzu unosił się zapach pomarańczy dochodzący z ciągnącej się wokół dziedzińca ścieżki. Zdobiący ją treliaż obwieszony był niezebranymi, gnijącymi owocami. Tropikalny fetor w połączeniu z niewidomymi oczami bogów pod naszymi stopami nadawał posiadłości złowrogi, ponury charakter.

Da Silva i kumple Abouboukara szli za mną w ciszy ku głównym, otwierającym się na kamienne, oszklone z tyłu atrium, drzwiom – jednym z trojga wykonanych z drewna miro.

– Żadnych świateł! – ostrzegłam. Chłopaki rozpierzchli się w poszukiwaniu łupów, chociaż szczerze wątpiłam, czy znajdą coś w domu, który najwyraźniej wyczyszczono zaraz po śmierci Baleńskiego. Jediną pozostałością oryginalnej dekoracji było kilka azjatyckich figur, zapewne zbyt ciężkich, by je wynieść. Ogromny, jawajski posąg bóstwa ze steatytu przypomniawszy mi jeden z obrazów

14 *Alors* (fr.) – A zatem.

Gauguina, *Mahana No Atua*. Poczułam, że to dobry znak. Latarka oświetliła seledynowo-żółtawe ściany i kolejne drzwi, pięknie intarsjowane w marokańskim stylu. Ale to nie ich szukałam. Marmurowe schody zaprowadziły mnie na dół do niskiego pomieszczenia z wbudowanymi w ściany kamiennymi sofami. Wyobraziłam sobie organizowane tu przez Baleńskiego orgie, lubieżnych starców obściskujących chłopców i podziwiających występy artystyczne.

– Pójdźmy w drugą stronę.

Udaliśmy się do przeciwległego skrzydła z rzędem wychodzących na pomarańczową ścieżkę sypialń. W jednej z nich, na brzegu jacuzzi z lat siedemdziesiątych stała porzucona butelka chanel bleu, której brudny plastik przyozdobiono smętnym ochłapem zużytej prezerwatywy. Pomyślałam o jęczących duchach. Z głębi domu dobiegł odgłos tłuczonego szkła. *Cholerni amatorzy*.

Narożna sypialnia miała szeroki taras wychodzący na ogród po naszej lewej stronie. W brudnym szkle widniała drewniana futryna, a w niej wąskie, czerwone drzwi. Były przymknięte czymś, co przypominało wykonany z masy perłowej stojak na historyczny muszkiet. Szkoda mi było je niszczyć, ale kazałam da Silvii brać się do pracy. Inspektor rąbnął rękojeścią piły w zawiasy i roztrzaskał je kilkoma uderzeniami. Potem położyliśmy jedno ze skrzydeł na boku, żebyśmy mogła je przytrzymać, gdy da Silva wycinał potrzebny nam kawałek. Miro to bardzo gęste drewno, a piłka była mała, ale nie miałam wyboru – wiedziałam, że zdradziłby nas choćby najmniejszy opisek współczesnego metalu pozostawiony w wyciętym fragmencie. Da Silva pocił się i kłął, podczas gdy ja próbowałam trzymać drzwi nieruchomo. Po kilku minutach inspektor przerwał i zdjął sweter. Światło latarki błędziło po jego spracowanych plecach. Co kilka minut zerkałam z niepokojem na zegarek, ale wycięcie fragmentu drewna zajęło nam całe pół godziny. Panel miał sto pięćdziesiąt na siedemdziesiąt centymetrów. W pokoju w Mirandzie czekało na nas kupione w medynie paskudne lustro w srebrnej ramie dokładnie tych samych wymiarów. W końcu wspólnie

wynieśliśmy drewnianą płytę na dziedziniec, trzymając ją płasko z przodu i z tyłu.

– *Cazzo*, ale ciężkie.

– Resztki drzwi musimy zrzucić z klifu, na tyłach domu. – Siedząc poprzedniego dnia w Café Hafa zauważyłam przypominające plezjozaury sterty drewna wyrzucone na brzeg przez gwałtowne, atlantyckie fale. Wiedziałam, że o tej porze roku plaże są puste, a kiedy się ociepli, drzwi nie da się już zidentyfikować.

– Dlaczego? – zapytał da Silva.

– Nie możemy ich zostawić z wyciętą dziurą. To by dziwnie wyglądało.

– Racja.

– No dobra, pospieszmy się. Zawołaj chłopaków, każ im zanieść drewno i wrzucić je do samochodu.

Da Silva pobiegł szukać Abouboukara.

Kiedy po kolejnych piętnastu minutach udało nam się pozbyć drzwi, chłopcy zawinęli wycięty fragment w koc i załadowali go do furgonetki. To, co udało im się znaleźć w domu – sądząc po odgłosie, prawdopodobnie sztucce – też wrzucili do samochodu, po czym da Silva wskoczył na tylne siedzenie i razem powoli odjechali.

Usiadłam na brzegu basenu i zapaliłam papierosa. Zegarek pokazywał kilka minut po dziewiątej. Nad miastem unosiły się ostatnie nawoływania do modlitwy, pomiędzy zachodem słońca a północą. Abouboukar przycupnął obok mnie.

– Co teraz?

– Teraz chwilę odczekamy. Damy im czas, by zdążyli wrócić do miasta.

– Masz moje pieniądze, pani? – Chłopak uśmiechał się, a jego piękne zęby lśniły w pomarańczowej poświacie mojego papierosa, lecz nie podobał mi się jego ton.

– Jasne, ale, jak wspomniałam, powinniśmy chwilę poczekać. Jeśli ktoś się pojawi, będzie zbyt zajęty nami, by myśleć o furgonetce.

– Poproszę je teraz.

– Jak chcesz. – Podałam chłopakowi zwitek banknotów i patrzyłam,

jak chowa je do kieszeni czarnej bluzy z kapturem.

– To wszystko co masz, pani? – Już się nie uśmiechał. W głębi duszy westchnęłam.

Naprawdę? Zamierzasz mi grozić? Sam jeden, tutaj, w ciemności? Nie masz pojęcia, z kim zadzieras, kolego. Nie masz zielonego pojęcia.

– Nie twoja sprawa. A właściwie, zmieniałam zdanie. Możesz już odejść, Abouboukarze. Dziękuję. Poczekam sama.

Chłopak się nie ruszył. Przez chwilę paliłam w milczeniu.

– Nadal tu jesteś?

– Czekam, pani.

– Zapłaciłam ci, możesz się odpieprzyć.

Jeden ruch i już był na mnie. Powalił mnie całym swoim ciężarem i przygniótł do kamieni na ścieżce. Nadal miałam w dłoni niedopalek, więc zgasiłam mu go na szyi. Chłopak wrzasnął i odepchnął moją rękę, by po chwili uderzyć mnie otwartą dłonią w twarz. Po kilku sekundach oszołomienia poczułam palący ból.

– Cholerna suka. Myślisz, że taka z ciebie szycha? Cholerna suka. – Splunął w miejsce, gdzie mnie przed chwilą uderzył. Poczułam w jego ślinie zapach tytoniu połączony z wonią przypalonej skóry, a pod spodem odór brudnych ubrań, potu i adrenaliny. Próbowałam wysunąć się spod niego, ale nogi zwiślały mi nad basenem. Nie miałam punktu podparcia, a chłopak, chociaż chudy, był całkiem spory – osiemdziesiąt kilo rozpaczliwej siły.

– Wiesz co? – syknęłam szyderczo. – Nie potrafię się ciebie bać. Śmierdzisz biedą.

– Suka. – Znów mnie uderzył, tym razem sierpowym w bok głowy. Gdy zaczął majstrować przy rozporcu, jego kolec biodrowy wbił mi się w brzuch.

– Serio? – rzuciłam szyderczo. – Chcesz mnie zgwałcić? A co, jeśli mi się spodoba? Stanie ci wtedy?

Przygniótł mi lewym łokciem twarz, prawą ręką wyjął fiuta, a potem szarpnął za moje spodnie. Usłyszałam, jak się rwą i ugryzłam go w ramię, ale ponieważ miał na sobie gruby sweter, na

niewiele się to zdało. Usta miałam pełne krwi. Próbowalam odwrócić głowę na bok, by ją wypluć, ale nie byłam w stanie się ruszyć i zaczęłam się dławić. Nie mogłam oddychać. Cholera, nie mogłam oddychać! Przez chwilę pomyślałam, że to nie może się dziać naprawdę. Byłam zirytowana własną głupotą, a nade wszystko czułam, że brak mi powietrza. I wtedy jego ciężar uniósł się ze mnie, a ja natychmiast odwróciłam się na bok i kaszląc, wyplułam krew. Kątem oka na tle gwiazdzistego nieba dostrzegłam da Silvę. Trzymał Abouboukara od tyłu za szyję, a po chwili wykręcił mu prawą rękę i przytrzymał ją na plecach. Kiedy usłyszałam trzask, pomyślałam, że coś w domu spadło na ziemię, i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to kość. Abouboukar otworzył usta w potwornym, niemym okrzyku. Niemym, ponieważ da Silva ogłuszył go, miażdżąc mu ręką pięć piły prawą skroń. Chłopak musiał zginąć, zanim się osunął na ziemię.

– Podasz mi rękę?

Da Silva pomógł mi wstać tak delikatnie, jakbym była z porcelany.

– Wróciłeś.

– Chłopaki czekają przy ulicy, kawałek stąd. Chcą dostać pieniądze.

– No to je dostaną. Są w jego kieszeni. Co z nim zrobimy?

Da Silva przeszukał ciało, podał mi banknoty i sprawdził pozostałe kieszenie.

– Nie ma portfela ani dowodu tożsamości. Prawdopodobnie nie miał żadnych dokumentów.

Może był uchodźcą. Biedny głupek.

– Miałaś szczęście, że cię tylko uderzył. – Da Silva otworzył składany nóż z szerokim ostrzem.

– Dobra: włamanie, złodzieje się kłóć, walczą, gość dostaje nożem, mniej więcej tutaj. Odsuń się. – Inspektor zatopił nóż tuż pod sercem Abouboukara, przekręcił ostrze, potem kopnięciem odwrócił ciało, przytrzymał je stopą, nachylił się i wyjął nóż w taki sposób, że krew najpierw trysnęła na ziemię.

– Pada na prawą stronę i uderza się w głowę. Wrzucają go do basenu, ręka złamana post mortem. Gotowe.

– Można by pomyśleć, że jesteś policjantem.
– Musimy poczekać, aż się trochę wykrwawi. Dasz radę podnieść go za stopy?

– Jak wygląda moja twarz?

– Dość kiepsko, ale możesz to zakryć apaszką. Kiedy kolesie w furgonetce dostaną pieniądze, upłynie trochę czasu, zanim przyjdą szukać kumpla.

Wzięłam kilka głębokich oddechów. Bolała mnie tchawica, a z kością policzkową i szczęką wcale nie było lepiej.

– Jestem gotowa.

– Okej, podnieś go. Chwyć tutaj. Rozhuśtamy go. Raz, dwa, trzy.

Abouboukar upadł z łomotem, dołączając do mewy.

– Musimy wytrzeć nóż.

Da Silva wyjął z tylnej kieszeni paczkę antybakteryjnych mokrych chusteczek. Stłumiłam śmiech. Czysty nóż poleciał za właścicielem.

– Możesz iść?

– Trochę kręci mi się w głowie.

– Poczekaj. – Da Silva objął mnie pod pachą, bym mogła się na nim weprzeć. Nie był wysoki, więc kiedy zakrywał apaszką moją poobijaną twarz, nasze usta znalazły się na jednym poziomie. Gdy opuszczaliśmy dom, oparłam głowę na jego klatce piersiowej. Serce biło mu miarowo, tak jak moje.

– Gotowa? Nie zdejmuj apaszki i trzymaj się z tyłu. Dam im pieniądze i wezmę drewno. Nie pozwól, by zobaczyli cię z bliska. Okej?

Ruszyliśmy truchtem w dół ulicy – w kierunku furgonetki, w której czekał pierwszy element mojego Gauguina.

W rijadzie kazałam da Silvie przykleić drewno taśmą z tyłu ciężkiego lustra, tak żeby na lotnisku wyglądało jak pamiątka z podróży, udająca antyk turystyczna tandeta. Potem inspektor zajął się moją twarzą. Nie patrzyłam, gdy mnie opatrywał. Nie chciałam widzieć, co Abouboukar mi zrobił. Później wzięłam prysznic

i owinęłam się szlafrokiem, nadal nie patrząc na siebie. Da Silva zdjął z kredensu dzbanek z wodą różaną i obmył mi delikatnie rany, potem przetrął je zmoczonym w gorącej wodzie ręcznikiem, a na koniec użył chusteczki antybakteryjnej.

– Tę ranę trzeba zszyć.

– Zostanie blizna?

– Może.

Świetnie.

– Nie możemy pojechać do lekarza. Cholera.

– Masz nic dentystyczną? W łazience jest mały zestaw z przyborami do szycia.

Tuż obok czepka do kąpieli i rękawiczki do czyszczenia butów. Cudownie.

– Jeśli tego nie zszyję, na pewno będzie blizna.

Nie byłam pewna, czy w głosie da Silvy pobrzmiewa czułość czy raczej drwina.

– Jest tu minibar? Potrzebuję kieliszek czegoś mocnego.

Inspektor nalał mi brandy, opalił igłę nad płomieniem świecy i za moment było po sprawie. Cztery szybkie ułtucia. Nie krzyknęłam, ale obiecałam sobie nie kupować więcej miętowej nitki.

– Judith? Ten koleś... On cię nie...

– Nie. Zjawieś się w samą porę. Skąd wiedziałeś?

– Powiedzmy, że to zawodowa intuicja.

Przez chwilę byłam mu wdzięczna, ale potem przypomniałam sobie Raznatowicia i kolejnego trupa tryskającego krwią. To nie był przejaw rycerskiej szlachetności. Wiedziałam, że da Silva nie pozwoli mi umrzeć, dopóki nie spłacę jego długu.

Nastawiliśmy zegarek na czwartą rano. Zanim zasnęliśmy, inspektor sięgnął przez oddzielającą nasze łóżka przestrzeń, wziął mnie za rękę i zaczął delikatnie masować ją kciukiem.

– Wtedy, w Rzymie...

– Co takiego?

– Jak to zrobiłaś? Fitzpatrick był postawnym facetem.

Uniosłam się na łokciu.

– Kobieta przeciw mężczyźnie? Jest tylko tak dobra, jak jej broń.
A najlepszą z nich stanowi zaskoczenie. Wystarczy?

– Po prostu chciałem wiedzieć.

W zasadzie zaskoczenie jest drugą w kolejności bronią, której może użyć kobieta. Ale tego da Silvie nie powiedziałam.

CZĘŚĆ DRUGA PROCES

9.

Na tangerskim lotnisku moja twarz nie wzbudziła zainteresowania, ale w Neapolu sprawdzający paszporty urzędnik wyglądał na przerażonego, kiedy spełniłam jego prośbę i zdjęłam apaszkę. Przez chwilę bałam się, że aresztuje da Silvę za handel ludźmi, ale ten machnął mu przed oczami odznaką *Guardii*, szepnął koleżeńskim tonem kilka słów wyjaśnienia i facet mnie puścił. Pomyślałam, że jeśli użyję swojego kremu Eight Hour, blizna może nie wyglądać tak źle, a nawet przyda mi nieco pirackiego charakteru. Uroczko. Teraz miałam jednak na głowie inne sprawy. Zdobyliśmy potrzebny kawałek drewna, więc Li mógł zacząć pracę nad obrazem.

W liście wysłanym podczas pierwszej wizyty na Tahiti Gauguin opisał „piękny obraz” przedstawiający odciętą głowę, której formę przerysował z widocznych na sosnowej desce słoju i pierścieni. „Kiedy marmur lub drewno rysuje na twoich oczach głowę, pojawia się pokusa, by ją ukraść”, stwierdził artysta. Zamierzałam wykorzystać to zdanie w proweniencji, dlatego zależało mi na tym, by dzieło Li czerpało z formy deski. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, tuż przed wyjazdem na Markizy, Gauguin namalował obraz uznawany za jego ostatnie dzieło stworzone na Tahiti – *Złoto ich ciał*. Z kolei w tysiąc dziewięćset drugim roku, już po przeprowadzce, namalował *Kobietę z wachlarzem* – dzieło, do którego pozowała żona jego kucharza. Przedstawia ono siedzącą topless dziewczynę trzymającą wachlarz z białych piór z umieszczoną na trzonku rozetą w kolorach francuskiej flagi. Odwołując się do dwóch wspomnianych wyżej portretów, zamierzałam stworzyć „wcześniejszą wersję” obrazu

z wachlarzem i zasugerować, że nasza praca to ostatnie, „zagubione” dzieło z Tahiti, namalowane prawdopodobnie około tysiąc dziewięćsetnego roku.

Wyjaśniłam pomysł da Silvie, kiedy tylko znów znaleźliśmy się w samochodzie i zaczęliśmy ostatni etap podróży powrotnej do Siderno.

– Będziemy musieli pojechać do Essen.

– Chryste, czy ty nigdy nie przestaniesz? Gdzie u licha jest Essen?

– W Niemczech. Właśnie tam znajduje się znana wersja obrazu z wachlarzem. W muzeum Folkwang. Czy Li ma paszport?

Da Silva uderzył teatralnie głową w kierownicę, co w tych okolicznościach mogło się udać jedynie Włochowi, ponieważ mknęliśmy właśnie autostradą sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

– Oczywiście że nie. Mogę mu załatwić tymczasowy, na rok.

– Wspaniale. Musi pojechać z nami i przyrzeć się obrazowi.

– A co jest nie tak z tymi kwiatami? Tego wariata, co odciął sobie ucho... Dlaczego nie każesz Li namalować czegoś podobnego?

– Chodzi ci o van Gogha?

– Właśnie. Jego obrazy są warte fortunę, prawda?

– Żal mi cię, Romero. Skup się na prowadzeniu.

Byliśmy niemal na czubku włoskiego buta i okrążaliśmy masyw Aspromonte, zwany „mafijną górą”. Słyszałam o spotkaniach bossów 'Ndranghety organizowanych tam jako wymyślny rodzaj tortur dla żołnierzy, których wierność podawano w wątpliwość. Uczestnicy biesiady ryzykowali, że podczas posiłku ktoś zajdzie ich od tyłu i udusi garotą, ale odrzucenie zaproszenia oznaczało pewną śmierć, gdyż automatycznie dyskwalifikowało delikwenta jako niegodnego zaufania. Podobno na obiad tradycyjnie serwowano baraninę.

– Byłeś kiedyś na *schiticchio*?

– To sycylijskie określenie. My tego tak nie nazywamy.

– Więc przyznajesz, że jest jakieś „my”?

– Czy ja nie kazałem ci się zamknąć? Jezu, czym sobie na to zasłużyłem?

Spojrzałam za okno. Szare, zimowe pola, plamy ziemi zniszczonej nielegalnymi pestycydami. Niedokończone budynki, których przeznaczenia nie dało się odgadnąć z rozpadających się betonowych szkieletów. Dyskonty, zapyziałe salony gier, przygnębiające średniowieczne kościoły, stojące co pięćdziesiąt metrów podarte bilbordy – wszystko łączyło się w jednolitą, obskurną całość rozjaśnianą tylko od czasu do czasu stertami śmieci kwitnącymi przy drodze jak zroszone, egzotyczne orchidee. Włochy.

Myślałam o tym, co powiedział da Silva. Gauguin i van Gogh się przyjaźnili. Wszyscy znają Słoneczniki van Gogha. Ich reprodukcje znajdują się na kalendarzach, zeszytach i magnesach na lodówkę. To przyjemny, radosny obrazek uroczego, łatwego w odbiorze bukietu kwiatów. Jednak w pewnym sensie to płótno jest bardziej krwawe niż którekolwiek z dzieł Artemisii Gentileschi. Van Gogh chciał umieścić Słoneczniki po bokach „nastawy” projektowanej dla Żółtego Domu w Arles, w którym mieszkał z Gauguinem przez dziewięć tygodni zimy tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. W Londynie Kuba Rozpruwacz szlachtował na prawo i lewo, torując sobie drogę ku nieśmiertelności, a we francuskiej prasie sławą dorównywał mu jedynie lokalny morderca zwany Prado, brutalny zabójca prostytutki, którego proces rozpoczął się w tym samym roku w Paryżu. Pomiędzy malowaniem, pićciem i składaniem „higienicznych” wizyt w pobliskich burdelach van Gogh i Gauguin, podobnie jak reszta francuskiego społeczeństwa, z grozą czytali o zbrodni dokonanej przez Prado. Dziewięć dni po rozpoczęciu procesu zabójca został skazany na śmierć przez zgilotynowanie. W owym czasie van Gogh pracował nad obrazem La Berceuse, czyli Piastunka, do którego pozowała mu stała modelka Augustine, żona naczelnika poczty w Arles. Artysta planował namalować aż dziewięć wersji dzieła przedstawiającego łagodną postać matki otulonej nocną ciszą i powiesić je pomiędzy Słonecznikami, których radosne, promienne płatki miały spełniać rolę kandelabrow – na

podobieństwo zniczy ustawianych po bokach maleńkich figurek Matki Boskiej, które widywał na rogach ulic skąpanego w mgłę południowego miasta.

Podczas gdy prasa donosiła, że Prado wariuje w więziennej celi, Gauguin obawiał się, że jego przyjaciel również traci zmysły – czy to upijając się, czy wpadając w malarski szat. Kolory *Piastunki*, określane przez van Gogha jako najwspanialsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek skomponował, w porównaniu ze *Słonecznikami* wydają się szalenie ponure. Sprawiają wrażenie znieruchomiałych – czerwone tło, a na nim siedząca statecznie postać w zielonej sukience – ale kiedy spoglądamy wyżej, na jaskrawą, kwiecistą tapetę, barwy zaczynają przenikać się i wirować, pomarańcz pęcznieje na tle cielistych odcieni kobiecej skóry, a agresywny malachit oczu zdaje się mrugać przeraźliwie z chciwych słupków kwiatowych. Farba pełza i drga, wprawiając spokojną scenę w delirium. Gauguin, nie mogąc już znieść pocenia się, śpiewów i szalonych deklamacji van Gogha, poinformował przyjaciela, że opuszcza Arles. Wówczas van Gogh podał mu w milczeniu wycinek z gazety z opisem kolejnego zabójstwa dokonanego w stolicy: „morderca zbiegł” napisano.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Gauguin wyszedł z domu, a van Gogh, trzymając w ręce otwartą brzytwę, podążył za nim aż na mały plac, na którym kwitły oleandry. Przynajmniej tak twierdził Gauguin piętnaście lat później. Tamtego dnia uciekł, zostawiając van Gogha na placu, i wynajął pokój w hotelu, a kiedy następnego dnia wrócił do Żółtego Domu, znalazł na podłodze zakrwawione szmaty. Van Gogh odciął sobie lewe ucho, zawinęł je starannie w inny kawałek gazety i dostarczył do burdelu jako prezent dla prostytutki o imieniu Rachel.

Gauguin wyjechał wieczorem w dniu Bożego Narodzenia i nigdy więcej nie zobaczył przyjaciela. Dwa dni później stanął pośród tłumu na rue de la Roquette, by obejrzeć egzekucję Prado. Jak sam twierdził, znajdował się wystarczająco blisko szafotu, by usłyszeć, jak skazany pyta:

– Co to jest?

– Kosz na twoją głowę – odpowiedział strażnik więzienny.

Podczas egzekucji wydarzyło się coś niebywałego: kiedy ostrze spadło, a tłum jęknął z ulgą, okazało się, że Madame Guillotine chybiła. Zamiast głowy odcięła skazańcowi fragment twarzy i dwóch ochlapanych krwią policjantów musiało ponownie ułożyć biedaka w odpowiedniej pozycji. Miesiąc później Gauguin wykonał wazon pokryty czerwonym laserunkiem przedstawiającym jego własną zgilotynowaną głowę z obciętymi uszami. A potem, gdy nadeszła wiosna, wyjechał na Tahiti.

Przez dwie godziny jechaliśmy w milczeniu. Uspokoiliam się, odsuwając na bok ciąg obrazów, kolorów i krwi.

– Posłuchaj, nie musisz jechać do Niemiec. Będziemy tam tylko jeden dzień. Mógłbyś wrócić do domu, zobaczyć się z rodziną.

– Muszę zostać z tobą – odpowiedział znużonym głosem da Silva.

– Są sprawy, nad którymi możesz pracować tutaj. Mówiłam ci, że spisałam listę.

– Nie.

– Jak chcesz. Ale potem... możliwe, że będziemy musieli pojechać do Palermo.

– *Madre di Dio*¹⁵.

I tak oto trzy dni później wylądowaliśmy w Dusseldorfie. Pomimo gwałtownego spadku temperatury Li wyraźnie ekscytował się zagranicznym wojażem. Nie miałam pojęcia, na jakich warunkach był zatrudniony, ale podejrzewałam, że da Silva uparł się, by nam towarzyszyć, gdyż podejrzewał, że fałszerz może go wykiwać. Chociaż z drugiej strony inspektor tak czy siak trwał wiernie i nieugięcie u mego boku. Co prawda z podbitym okiem nie miałam zbyt wielkich szans doświadczyć nocnego życia w Siderno, ale nawet

15 *Madre di Dio* (wł.) – Matko Boska.

gdyby to było możliwe, to i tak pomiędzy powrotem z Tangeru a wyjazdem do Essen nie znalazłabym wolnej chwili na kolejną wizytę w spelunie w murach castello. Na początek urządziliśmy się z da Silvą we wspólnym domu. Naszym nowym lokum była przebudowana wiejska chata nieopodal miejsca, gdzie inspektor mnie więził – w sezonie turystycznym wynajmowano ją ludziom, którzy wierzą, że kąpiel w prasie do wytłaczania oliwy i podróż pięć kilometrów do piekarni to uroki „prawdziwych” Włoch. Żaden Kalabryczyk nie spędziłby tam wakacji, nawet gdyby mu dopłacono, ale poprosiłam da Silvę, by znalazł ustronny dom z gabinetem, w którym mogłabym rozłożyć szkic proveniencji z dala od wścibskich oczu pracowników hotelu.

Po nasze rzeczy przyjechał niski mężczyzna w porządnym płaszczu i kaszkiecie. Dopiero kiedy się schylił, by wrzucić moją walizkę do bagażnika, i doleciał do mnie jego zapach, zorientowałam się, że to Rybny. Podczas pobytu w prowizorycznej celi stworzyłam sobie w wyobraźni jego obraz jako potwora i teraz dziwnie się czułam, odkrywszy, że mój tajemniczy strażnik niczym nie różni się od przeciętnych mężczyzn w średnim wieku, którzy w każdym włoskim miasteczku całymi dniami sączą espresso. Da Silva nie czuł widać potrzeby, by nas sobie przedstawić, a krótka wymiana zdań między nim a Rybnym, która nastąpiła w drodze, odbyła się w tym samym niezrozumiałym dialekcie, który usłyszałam, gdy dopłynęliśmy nocą na plażę. Rybny wyładował w domku kilka kartonów z zakupionym w supermarkecie jedzeniem, po czym odjechał. Kiedy siadaliśmy do naszego pierwszego domowego posiłku (ravioli z karczochem od Signor Rany, które inspektor koniecznie chciał ugotować sam, twierdząc, że nie powierzy przyrządzania makaronu cudzoziemcowi), zapytałam da Silvę, skąd wytrzasnął Rybnego i jak to się stało, że obsadził go w roli mojego cerbera.

- Czy to ważne?
- Jestem ciekawa.
- Co ty nie powiesz...
- Chodzi mi o to, czy on jest jednym z... twoich ludzi.

– Ja nie mam „ludzi”. Jestem inspektorem rzymskiej *Guardia di Finanza*. Nie pracuję tutaj.

– A ten biznes w porcie? Przerzucany towar?

– Nie ładuję go osobiście. Ja nie mam z nim nic wspólnego. Salvatore jest przyjacielem rodziny. Pomógł mi kiedyś.

– Przejęcie w środku nocy porwanej kobiety, przetrzymywanie jej i karmienie przez wiele dni bez zadawania pytań? Niezły przyjaciel.

– Sama go zapytaj, stoi na zewnątrz.

Otworzyłam splotwiątą, szarą okiennicę w oknie kuchennym i wyjrzałam na coś, co kiedyś było zapewne klepiskiem. Stary Salvatore siedział na białym, plastikowym krześle ze strzelbą na kolanach.

– Mówisz serio? Więc to areszt domowy?

– Powiedziałas, że chcesz mieć spokojne miejsce do pracy, więc proszę. – Da Silva potarł skronie kciukami. – Odpuść, dobra? Nie potrzebujesz wiedzieć nic więcej poza tym, nad czym pracujesz. Rób, co masz robić, na miłość boską.

Inspektor wstał od stołu, pomaszerował do salonu i włączył telewizor.

– Jesteś palantem, wiesz?! – krzyknęłam za nim.

– Odpierdol się.

Naprawdę, moglibyśmy być idealnym małżeństwem.

Sprzątnęłam talerze. W kuchni było chłodno, więc wzięłam drugi sweter z sypialni – ulokowałam się w tej na końcu parterowego domu – i zabrałam się do pracy.

Po pierwsze, musiałam wznowić działalność Gentileschi, a to oznaczało wskrzeszenie Elisabeth Teerlinc. Wysłałam kilka maili z wyjaśnieniem, że chociaż galeria w Wenecji została czasowo zamknięta, nadal dokonuję zakupów dla prywatnych klientów i na stronie internetowej pojawi się wkrótce opcja dostawy nowych dzieł. Nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze Elisabeth mi się przyda, ale przecież nie mogłam wziąć udziału w aukcji w British Pictures jako Judith Rashleigh. O tym szczególnie jeszcze da Silvie nie wspomniałam, ale od momentu, gdy usłyszałam ultimatum

Raznatovicia, wiedziałam, gdzie chcę sprzedać nasz obraz. Była to po części decyzja podyktowana względami praktycznymi, ponieważ na świecie było tylko dwóch licytatorów zdolnych do przyciągnięcia klientów gotowych zaoferować sumę, jakiej zażądał Serb, ale nawet nie próbowałam udawać przed samą sobą, że właśnie to mną powodowało. Śledziłam bowiem z daleka karierę mojego byłego szefa Ruperta i z informacji zamieszczonych na stronie internetowej wywnioskowałam, że dom aukcyjny przeszedł lekką reorganizację. Laura Belvoir, czyli mój największy wróg, przeszła na emeryturę, nie widać też było nigdzie jej chrześnicy Angeliki, która przejęła moją posiadłość, gdy zostałam zwolniona. Pewnie projektowała biżuterię – jak każda tępa dziedziczka, którą dane mi było poznać. Rupert awansował – pewnie z rozpaczy – ze stanowiska szefa działu malarstwa brytyjskiego na głównego koordynatora działu malarstwa europejskiego. Na stronie widniało jego zdjęcie, na którym z obleśnym uśmiechem wylewał się ze swojego garnituru szytego na Savile Row. Podejrzywałam, że nowy tytuł nie zmienił znacząco zakresu jego obowiązków, sprowadzających się do wychodzenia na lunche i tyranizowania pracowników, ale wiedziałam też, że to on zdecyduje, czy mój Gauguin jest wystarczająco dobry, by go wystawić na sprzedaż. Nie mogłam się już doczekać, kiedy wznowię działalność Gentileschi i gra zacznie się na dobre.

Kolejne pytanie, na które musiałam odpowiedzieć, brzmiało: skąd wzięty się mój „Gauguin”? Proweniencje to trudna kwestia. By dzieło mogło zostać uznane za „odnalezione”, musi istnieć ślad w postaci dokumentów wskazujących jasno, że obraz posiada spójną chronologię. Oprócz tego musiałam wymyślić historię, która przekonująco wyjaśni, dlaczego nikt z dotychczasowych „właścicieli” obrazu nie domyślił się, jak wielkie posiada dzieło.

Wzięłam notes i zaczęłam wrywać z niego kartki. Następnie każdej z nich przypisałam tytuł i położyłam je przed sobą. Kiedy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku Gauguin wrócił z pierwszej wyprawy na Tahiti, ponad czterdzieści z jego prac zostało wystawionych w galerii Paula Duranda-Ruela w Paryżu. Po wyjeździe

na stałe, czyli po roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym, malarz nadal przysyłał obrazy do Francji. Prawdziwa wersja *Kobiety z wachlarzem* powstała w tysiąc dziewięćset drugim roku, ale Gauguin sam nigdy nie wspominał o tym dziele w żadnym z obszernych tekstów na temat swojej twórczości, co było mi szalenie na rękę. Istniało zdjęcie – zabrane z domu malarza na Hiva Oa i odzyskane po jego śmierci – na którym widnieje modelka w podobnej pozie. Skoro istniały dwie wersje dzieła, uznałam, że „mój” obraz mógł popłynąć z malarzem z Tahiti na Markizy, a potem trafić z powrotem do Marsylii. Jednak w odróżnieniu od oryginału moje dzieło nigdy nie popłynęło na północ. Wyobraziłam sobie młodego oficera, który wyczerpany i podekscytowany po sześćdziesięciodniowym rejsie zawija do portu z obrazem otrzymanym od jakiegoś starego, uważającego się za artystę szalonego pijaka w postrzępionym kapeluszu kowbojskim. W tamtym momencie kariery, naznaczonym alkoholizmem, kiłą oraz tyleż konsekwentnym, ile obłudnym pozowaniem na człowieka wyjętego spod prawa, Gauguin mógł przegrać swój obraz w karty, sprzedać go za piosenkę albo zwyczajnie oddać.

Mój oficer przybija więc do portu w Marsylii i robi to, co marynarze robią po powrocie do domu – z braku pieniędzy zastawia dzieło. Li miał wykonać dla mnie stosowny kwit z lombardu, który zamierzałam przykleić na odwrocie obrazu. Sam lombard został niestety zniszczony, kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku Niemcy wysadzili w powietrze starówkę na północ od marsylskiego portu, jednak sprytny „wujek” zabrał ze sobą obraz, uciekając z miasta razem z dwudziestoma tysiącami innych uchodźców. Będę musiała wybrać dla niego jakieś imię. Bardziej realistyczne wydawało mi się imię żydowskie, gdyż wielu prześladowanych marsylczyków było Żydami, ale uznałam, że to może spowodować komplikacje. Nie chciałam, by mój obraz zakwalifikowano jako jedno z dzieł zrabowanych przez Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg – wyspecjalizowaną nazistowską instytucję odpowiedzialną za grabież dóbr kultury – gdyż mogłoby to wywołać

spory co do prawa własności dzieła. *Nie, lepiej niech mój „wujek” będzie zwykłym Francuzem.*

Następnie chciałam zasugerować, że właściciel lombardu, również nieświadom wartości obrazu, sprzedał go po wojnie włoskiemu jeńcowi wracającemu przez Alpy do domu. Po wyparciu Niemców z terytorium Włoch wielu żołnierzy armii włoskiej zostało wywiezionych do obozów jenieckich w Niemczech, a po kapitulacji III Rzeszy wyruszyło przez pogrążoną w chaosie Europę do swoich domów. Pomyślałam, że muszę sprawdzić włoskie stopnie wojskowe, by odpowiednio opisać na etykiecie mojego jeńca. Kolejny kwit, kolejne zmyślane nazwisko.

Po wojnie obraz zniknął na trzydzieści lat i pojawił się dopiero na wyprzedaży przedmiotów pozostawionych w przechowalni bagażu na stacji kolejowej w Rzymie – takie wyprzedaże odbywały się od czasu do czasu. Następnie dzieło pojechało na południe, do Palermo, gdzie przez dziesięć lat wisiło w kuchni skromnego mieszkańca. Później jego właściciel ustanowił na nieruchomości hipotekę, nie spłacił jej i w rezultacie mieszkanie wraz z zawartością przeszło na własność banku. Również w spisie znajdujących się w domu przedmiotów miała się pojawić wzmianka o tym, że dzieło zostało zakupione na kolejowej wyprzedaży. W stosownym czasie zamierzałam osobiście przejrzeć archiwalne zapiski z tego wydarzenia i dodać do nich odpowiednio sfabrykowany dokument, tak aby pomiędzy faktycznie sprzedawanymi rzeczami można było znaleźć przedmiot pogardliwie opisany jako „Obraz kobiety”. Trik polegający na dodawaniu fałszywych opisów do autentycznych dokumentów sprzedaży wykorzystywał fałszerz John Drewe. W ten sposób udało mu się sprzedać falsyfikaty Giacomettiego, z których wiele nadal wisi w muzeach, a kwestia ich autentyczności pozostaje nierozstrzygnięta.

Postanowiłam, że ostatecznie mój obraz zostanie przejęty przez bank Società Mutuale di Palermo. Śledząc bowiem losy fałszywego Caravaggia, dowiedziałam się, że ta sycylijska instytucja posiada pokaźną kolekcję dzieł sztuki, zarówno autentycznych, jak i,

delikatnie mówiąc, wątpliwych. Obrazy trzymano w siedzibie głównej banku w Palermo, ale istniały też niewielkie jego filie w Rzymie, Neapolu i Mediolanie. Moncada, a później Kazbich przeczucali obrazy właśnie za pośrednictwem Società Mutuale, co oznaczało, że od co najmniej dwudziestu lat bank przynajmniej częściowo był wykorzystywany jako przykrywką dla handlu bronią. Zamierzałam zwrócić się do londyńskiego domu aukcyjnego, podając się za niezainteresowaną nabyciem obrazu prywatną marszandkę, która przypadkiem „odkryła” Gauguina, kupując kilka dzieł od Società Mutuale. Według oficjalnej wersji miałam nabyć je w imieniu galerii i zamieścić ich zdjęcia na stronie internetowej, a w międzyczasie bank miał mnie – to znaczy Gentileschi – zatrudnić, bym zbadała owego Gauguina i podjęła się pośrednictwa w jego ewentualnej sprzedaży. Wtedy też jakoby prześledziłam i potwierdziłam stworzone przeze mnie proveniencje. Oficjalnie to bank byłby moim klientem i zysk ze sprzedaży trafiłyby na jego konto, a później da Silva miał zadbać, aby pieniądze dotarły tam, gdzie należy, a nadwyżka do Gentileschi – jako prowizja.

Musiałam jedynie „nabyć” obrazy dla Gentileschi w miarę szybko, tak aby czas potrzebny Li na wykonanie falsyfikatu pokrył się z okresem moich rzekomych badań nad proveniencją.

Założyłam, że Società Mutuale prawdopodobnie będzie w stanie zapewnić dokumenty związane z hipoteką, zwłoką w spłacie kredytu i przejęciem obrazu przez bank – wszystkie opatrzone odpowiednio wcześniejszymi datami. Dzięki temu musiałabym jedynie popracować nad trzecią postacią z mojej historii – owym ostatnim właścicielem, który kupił obraz na wyprzedży kolejowej w latach siedemdziesiątych i trzydzieści lat później stracił go na rzecz banku. Na szczęście wszystko działo się przed erą komputerowych baz danych.

Uznałam, że nieszczęsny dłużnik umrze wkrótce po utracie nieruchomości, nie pozostawiając żadnego potomstwa. Spojrzałam na leżące przede mną kartki, teraz pełne notatek i podkreśleń, po czym dopisałam uwagę, że będzie nam potrzebny papier z lat

czterdziestych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku oraz kilka starych książek telefonicznych. Da Silva będzie też musiał zorganizować spotkanie w Palermo. To zapewne wystarczy. Powinno się udać.

Dochodziła północ, ale Salvatore tkwił na posterunku – wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym w światła leżącego dwadzieścia minut drogi pod nami Siderno. W domu da Silva nadal gapił się na wiadomości telewizyjne, a konkretnie: raport na temat nowych szlaków migracyjnych z Rumunii do Europy Zachodniej. Miałam zamiar zaproponować mu kieliszek czerwonego wina, ale w kuchni stała już opróżniona w trzech czwartych butelka. Nalałam sobie resztę i dołączyłam do inspektora.

– Romero?

– Co znowu?

– Kiedy zabrałeś mnie wtedy do portu, powiedziałeś, że większość uchodźców trafia do obozu. Co miałeś na myśli, mówiąc „większość”?

– Zdarzają się wypadki.

Raport przerwano reklamami i na ekranie, jak to zwykle bywa, pojawiła się modelka w skąpym bikini. Tym razem entuzjastycznie myła samochód, głównie swoimi piersiami.

– Mów dalej.

– Czasami muszą zrobić miejsce dla towaru, więc z łodzi trzeba najpierw usunąć ładunek.

– Czyli ludzi? Chcesz mi powiedzieć, że po prostu wrzucają ich do morza? Umyślnie?

Wzrok da Silvy nadal był utkwiony w poświacie telewizora. Romero przytaknął, sięgnął po pilota i zaczął skakać po kanałach, aż zatrzymał się na Clincie Eastwoodzie stojącym w progu wypełnionego bandziorami saloonu.

– Chcesz to oglądać?

– Nie, dzięki. – Jednym haustem dopiłam wino i poszłam do swojej

sypialni. Nie zamknęłam drzwi na klucz, bo mimo dobiegających z telewizora odgłosów walki da Silva mógłby usłyszeć chrzęst zamka. Nie chciałam, by pomyślał, że się przed nim zamykam. To by sugerowało, że pomyślałam, iż mógłby pojawić się w mojej sypialni, a to przecież nieprawda. Gdy otworzyłam okno, by zamknąć okiennicę, poczułam powiew mroźnego powietrza. Salvatore stał i oglądał pokaz rozbłyskujących nad morzem fajerwerków. Zeszłam na dół.

- Wiesz, jaki jest dzisiaj dzień?
- Oczywiście.
- W takim razie szczęśliwego Nowego Roku.

10.

Muzeum Folkwang nazwano kiedyś „najpiękniejszym muzeum na świecie”, ale było to chyba przed dobudowaniem trzech nowoczesnych gmachów. Nawet śnieg, który ku wielkiej radości Li przywitał nas na lotnisku, nie był w stanie upiększyć widoku zielonkawych, betonowych kłoców ustawionych ponuro przy autostradzie. Wynajęliśmy trzy pokoje w Sheratonie przy düsseldorfskim lotnisku i razem z da Silvą zjedliśmy w atrium currywurst, podczas gdy Li poszedł zebrać narzędzia i włożyć ciepłą kurtkę, którą mu kupił inspektor – oczywiście dopiero, gdy tego stanowczo zażądałam. Nie mogliśmy sobie pozwolić na użycie zbyt profesjonalnego sprzętu, gdyż mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę, ale poprosiłam Li, by zaopatrzył się w przypinane do telefonu szkło powiększające z oświetleniem LED, by mógł jak najlepiej przyjrzeć się pociągnięciom pędzla. Gauguin zazwyczaj szkicował swoje kompozycje błękitem pruskim, po czym pokrywał je kolorowym tłem, na którym następnie dodawał kolejne warstwy pigmentu, używając równych, pionowych lub ukośnych pociągnięć. Li był już wyposażony w używane w czasach artysty pędzle z futra soboli, ale chciałam, by poćwiczył nakładanie kolorów – aż zwinne ruchy Gauguina wpiszą się na stałe w jego pamięć ruchową.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy zanurzyliśmy się w przeszklone muzealne korytarze. Ponieważ Essen nie było typowym celem bożonarodzeniowych wypraw, w środku zastaliśmy tylko kilkoro zwiedzających. Mój chiński towarzysz z zachwytem przyłożył dłoń do szkła, jakby chłonał przez szybę bijący od śniegu chłód. Obejrzelśmy całą kolekcję, zatrzymując się przy pracach Renoira i Mackego, aż dotarliśmy do *Kobiety z wachlarzem*.

Na moment wszyscy zastygliśmy. Nawet da Silva wydawał się zahipnotyzowany nieruchomą intensywnością kolorów dzieła. Obraz przedstawia owiniętą w zwykłe białe prześcieradło kobietę, która

siedzi na kunsztownie rzeźbionym krześle, trzymając pionowo wachlarz ze strusich piór. Wygląda na korpulentną, a cień widoczny pod palcami sugeruje pokaźny ciężar jej ciała, aczkolwiek otaczające ją subtelne tło sprawia, że równie dobrze mogłaby płynąć na oświetlonej słońcem chmurze. Niebieska plama w lewym rogu – jakby kwiat na tle ściany – prowadzi wzrok w górę i dokoła kobiety, zamykając ją w magnetyzującej pętli nakreślonej okiem widza. Ta zwyczajna, uchwycona w niekończącej się chwili dziewczyna równie dobrze mogłaby być boginią zatrzymaną łagodnie pomiędzy dwoma światami. Pióra wachlarza są rozłożone, co skraca perspektywę pomiędzy żywą skórą a martwym przedmiotem, a ich czubki zdają się drżeć, jakby poruszane ciepłym biciem serca dziewczyny. Obraz jest doprawdy urzekający.

Przerwałam magiczny moment zachwytu, przywołując swych towarzyszy. Objęliśmy się za ramiona, by – jak większość zwiedzających – zrobić sobie selfie. Czyż nie do tego służą muzea? Robimy sobie selfie, by pokazać innym, że byliśmy świadkami czegoś niezwykłego, zdumiewającego, a w rzeczywistości wpychamy się na pierwszy plan, przed to coś niezwykłego, stając – dosłownie – plecami do dzieła sztuki. Nieważne, że odwracamy się od Michała Anioła, ponieważ prawdziwym tematem zdjęcia jest nasza własna banalność, która degraduje dzieło do roli ramy dla naszego ja. W ten sposób potrzeba zrobienia zdjęcia wygrywa z deklarowanym przez nas szacunkiem do sztuki. Szczęrzyłam się do obiektywu, chociaż tak naprawdę chciało mi się rzygać. Po zapewnieniu sobie pozorów normalności wysłałam da Silvę do kawiarni i wyjęłam ciężki *catalogue raisonné*, czyli kompendium wszystkich znanych dzieł Gauguina, podczas gdy Li zaczął fotografować obraz pod każdym możliwym kątem. Miałam nadzieję, że wyglądamy na studentów albo szczególnie zagorzałych miłośników sztuki.

– Spójrz na to – powiedziałam, znalazłszy szukaną ilustrację.

Złoto ich ciał z paryskiego Musée d'Orsay. Dwie dziewczyny, jedna naga, druga przepasana w biodrach jedynie białym kawałkiem materiału. Obie wpatrują się w widza, siedząc prawdopodobnie na

skraju lasu, a za ich głowami pomarańczowe jak ogień kwiaty tworzą bezkształtną łunę. Naga dziewczyna siedziała w podobnej pozycji co kobieta z obrazu, na który właśnie patrzyliśmy: opierała się lekko na lewej ręce, jej dłoń leżała płasko na ziemi, a naprężony mięsień dwugłowy wypychał pierś lekko do przodu. Li spojrział w górę na obraz, a ja powiodłam jego dłonią po ilustracji, wskazując podobieństwo kompozycji.

– Tutaj umieścimy wachlarz, w prawej ręce – szepnęłam po włosku. Chińczyk przytaknął urzeczony, podczas gdy jego wzrok wędrował od ilustracji do obrazu i z powrotem.

– To naprawdę obrzydliwe! – Donośny, silny głos przerwał nam kontemplację. Drobna kobieta w czerni szła przez galerię owinięta wielkim, puchowym płaszczem, który opatulął ją tak szczelnie, że można było odnieść wrażenie, jakby sunęła na kółkach. Ciężkie, czarne okulary przeciwsłoneczne zakrywały większość jej twarzy, kontrastując z równo przyciętą grzywką jaskraworudej fryzury „na boba”. Kurwa! Schowałam twarz za katalogiem. Mackenzie Pratt była powszechnie znaną w świecie sztuki harpią – dziedziczką z Wirginii, która uważała się za współczesną Peggy Guggenheim. Widziałam ją przelotnie na biennale w Wenecji i Kijowie, ale jej zdjęcia pojawiały się wszędzie, od Gali MET po targi Frieze Art Fair. Była właścicielką pokaźnej kolekcji dziewiętnastowiecznych dzieł, które wypożyczała muzeom, dzięki czemu bez trudu mogła się dostać do każdej rady i na każdy prestiżowy raut. Teraz raczyła swoimi opiniami młodego mężczyznę, który podązał za nią z notesem i udręczonym wyrazem twarzy.

– Mój Monet nie będzie wisiał koło niego. To był de-ge-ne-rat! – kontynuowała, plasując się pomiędzy Li i Gauguinem. – Co on zrobił tym biednym dziewczynom! Bezczelnie je wykorzystał! Przecież to były nastolatki. Będziesz musiał go usunąć.

– To może być dość... trudne – zaryzykował młodzieniec.

– Nie obchodzi mnie to. Uważam, że wystawianie go to skandal, i zamierzam zająć w tej sprawie stanowisko.

Odwrociłam się, a Mackenzie Pratt zrobiła w tym samym

momencie krok, umieszczając obcas swojego spiczastego buta w moim trampku.

– Och, przepraszam – wymamrotała lekceważąco, jakbym była winna jej niezdarności, po czym zerknęła na książkę w mojej dłoni. – Lubi pani Gauguina?

Spojrzałam na nią beznamiętnie.

– Owszem.

Nie mogłam tego dostrzec za jej ciemnymi szklami, ale wyczułam, że posłała mi gniewne spojrzenie. Poniżej naciągniętego, wygładzonego botoksem czoła, jej twarz była poprzecinana siateczką cieniutkich zmarszczek niczym pognieciona folia spożywcza. Jaskrawa, jasnoczerwona szminka rozmazała się w kącikach ust, nadając kobiecie wygląd małego upiora.

– Cóż, kochana, powinnaś to przemyśleć. To był zwykły pe-do-fil. – Domorośla znawczyni odmaszerowała, a towarzyszący jej chłopak posłał mi przepraszające spojrzenie.

– O co jej chodziło? – zapytał Li.

– O nic. Nawet nie chce mi się tłumaczyć. Za kilka minut zamykają. Spróbuj mu się przyjrzeć z bliska.

Oprócz młodych, śniadych dziewcząt Gauguin malował całe mnóstwo innych obiektów, ale to właśnie portrety polinezyjskich piękności są jego najbardziej rozpoznawalnymi dziełami. Nie pełen napięcia *Autoportret z aureolą i węzłem* ani niepokojący, wiejski *Żółty Chrystus*. Złożona, trudna do uchwycenia ikonografia i jej nadzwyczajna jaskrawość nie są warte uwagi, gdy można z dezaprobatą ubolewać nad losem biednych, wykorzystanych przez starego, białego zbrojeńca mieszkańek kolonii. Tak jakby jego obrazy dało się wytłumaczyć wulgarną psychologią. Nikt się nie zastanawia nad tym, że nasza obsesja na punkcie seksualności Gauguina mówi więcej o nas samych niż o nim.

Zabrzmiał dzwonek i głos z megafonu poinformował nas po niemiecku, a potem po angielsku, że za pięć minut muzeum zostanie zamknięte.

– Szybko – szepnęłam do Li. – Zrób kilka zdjęć krawędzi. Tam, gdzie

rama łączy się z płótnem.

Wykończenie na krawędziach obrazu to słaby punkt falsyfikatów. Falszerz ukłął obok *Kobiety z wachlarzem* tak blisko, jak tylko się dało (najsłynniejsze obrazy są zazwyczaj zabezpieczone systemem alarmowym, by zwiedzający zbyt nie zbliżali się do nich), ostrożnie przyjmując dogodną pozycję. Stukot obcasów oddalał się w kierunku lobby. Stałam przed Li i ponownie otworzyłam książkę, starając się jak najlepiej go zasłonić. Mackenzie Pratt znów się pojawiła, zaglądając do galerii z korytarza. Uniosła okulary przeciwsłoneczne i jeszcze raz mi się przyjrzała. Poszarpane kępki sklejonych tuszem rzęs przypominały miniaturowe, trujące kwiaty, a odsłonięte tęczęwki wyglądały w ich otoczeniu na niemal bezbarwne.

– O rety, cóż za skrupulatność – skomentowała.

Przytaknęłam beznamyślnie i wróciłam do książki. Nie podniosłam już wzroku, ale kiedy mój chiński współpracownik fotografował obraz, czułam, jak podejrzliwe, złowrogie oczy harpii śledzą nas z oddali.

Li planował wrócić jeszcze do muzeum nazajutrz rano, ale postanowił od razu zająć się kompozycją. Bazując na rycinach i ilustracjach z katalogu, zaczął szkicować ołówkiem w notesie A4 kolejne wersje, za każdym razem zmieniając delikatnie kąt malowanej postaci. Rysował pewnie, czystą kreską, tak że po kilku próbach niemal uwierzyłam, że patrzę na Gauguina. Facet był zdumiewający.

– Słuchaj, Li – zapytałam, gdy zrobił przerwę, by napić się letniego liptona. – Dlaczego nie pracujesz na własny rachunek? Jesteś niesamowitym artystą. Te zlecenia... Stać cię na więcej.

Chińczyk wzruszył ramionami i wetknął ołówek za ucho.

– Dobrze mi płacą. A co innego miałbym robić? Jasne, umiem malować. Potrafię namalować prawie wszystko, tylko że dziś nikt już się nie interesuje malarstwem.

– Ale...

– Przyzwyczyłem się. Nie ma stresu – dodał uroczco po angielsku, podczas gdy jego ręka już sunęła płynnie po papierze.

Święta racja, pomyślałam. To ja się powinnam stresować.

Zamówiliśmy obiad do pokoju da Silvy, a następnie przedstawiłam swoje sugestie dotyczące proveniencji, wyjaśniając, czego będę potrzebowała na każdym etapie wymyślonej przeze mnie historii. Li wspomniał o wosku do zmieszania z farbą i pokazał inspektorowi wykonane z muzeum zbliżenia, na których widać było cienkie, nakładane jedna na drugą warstwy dodające kolorom blasku, ale da Silva ledwie zerknął na *Kobietę z wachlarzem*. Był rozkojarzony, nieustannie sprawdzał telefon i bawił się złotą zapalniczką. Chińczyk dokładnie wyczyścił swój talerz, złożył serwetkę, przeprosił nas i wrócił do pracy. Wszystkie jego ruchy były spokojne i precyzyjne jak linie, które rysował.

– Chcesz zapalić? – zaproponowałam.

– Na dworze jest za zimno.

– Drinka?

– Jasne.

Znalazłam minibar i zrobiłam mu dzin z tonikiem, a sobie nalałam brandy.

– Co się dzieje? Denerwujesz się?

– Powinienem wracać do Rzymu.

– Myślałam, że masz urlop.

– Tak, do lipca. Ale nie o to chodzi.

– A o co? O żonę?

– Tak.

Kusiło mnie, by go zapytać, czy ma ochotę na mały numerek. W zimową noc w Essen nie było kompletnie nic do roboty. Poza tym, czyż nie to właśnie robią ludzie na wyjazdach służbowych? Opróżniają barek i bzykają się w anonimowych pokojach hotelowych, by zapomnieć o samotności. Zdałam sobie sprawę, że

właśnie przyznałam się przed samą sobą, że da Silva mi się podoba, ale to mnie nie zaskoczyło. Podobał mi się, odkąd zobaczyłam go po raz pierwszy nad jeziorem Como. Wciąż pamiętałam jego wyrzeźbione, widoczne pod koszulą mięśnie. Oczywiście rozpamiętywałam to w przerwach pomiędzy wymyślaniem coraz to nowych sposobów wysłania go na tamten świat. Romero miał w sobie pewien chłód, dystans wobec wszystkiego. Potrafił szybko radzić sobie z ludźmi i trudnymi sytuacjami, tak jak z facetem z bronią na nabrzeżu czy z chłopakiem w Tangerze. No i widziałam jego wzrok, kiedy zastrzelił tamtego mężczyznę w Albanii. Nie mogłam go zapomnieć.

– Romero?

– Co znowu?

– Kiedy musisz... no wiesz. Jakie to uczucie?

– Już mnie o to pytałaś.

– Nie chodzi mi o emocjonalne bzdety, tylko o ciało. Jak się wtedy czujesz fizycznie?

Zamyślił się na chwilę.

– Oczy. Widzę wtedy inaczej. I świetnie słyszę. Jakby ktoś podkręcił głośność. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

Chciałam powiedzieć: „Jesteś taki jak ja. Czułam bicie twojego serca, kiedy zabiłeś tego Marokańczyka”. Ale może nie byliśmy aż tacy szczególni? Może łączyło nas jedynie to, że robiliśmy rzeczy, o których inni tylko marzą?

– A ty, co czujesz? – zapytał. Nie od razu odpowiedziałam. Podeszłam do okna i spojrzałam na leżące cztery piętra niżej zasypane brudnym śniegu.

Bibliotekę Picton zamykano o ósmej, więc kiedy dotarłam na przystanek położony najbliżej naszego mieszkania, musiało być koło dziewiątej. Zazwyczaj odwiedzałam bibliotekę po szkole, nie tylko dlatego, że wewnątrz było ciepło i cicho, ale z powodu wielkich kolumn półokrągłej fasady, kulistych lamp świecących złot-

zielonym światłem wzdłuż wypolerowanych rzędów wiktoriańskich stołów, przykurzonego i uspokajającego szurania bibliotekarzy, którzy pomiędzy półkami pchali załadowane książkami wózki. Wchodząc tu, od razu stawałam się kimś innym, statecznym i ważnym.

Musiałam mieć wtedy około szesnastu lat. Rok później odeszłam na zawsze. Tesco było już zamknięte, a grupki bezdomnych układały się do snu na swoich kartonowych pościeliach. Zazwyczaj przechodziłam na drugą stronę ulicy, by ich uniknąć – czasami ze śmierzdzącej sterty wysuwała się ręka lub podnosiła się jakaś postać, bełkotliwie prosząc o drobne. Boczna uliczka biegła pomiędzy supermarketem i pierwszym blokiem, potem wokół parkingu na tyłach sklepu i skrótem obok koszy na śmieci aż do pubu. Tamtej nocy usłyszałam ciche zawodzenie kobiety i głuchy, metaliczny odgłos, jakby coś uderzyło w pojemnik na śmieci. Najpierw myślałam, że to bójka pijaczków, ale potem rozpoznałam w jęku głos mojej matki.

– Oddawaj! Nie bądź palantem. Oddawaj.

Stała zablokowana pomiędzy dwoma metalowymi kontenerami, a trzech kolesi w kapturach zagradzało jej drogę. To były tylko chude, obdarte dzieciaki około dwunastu, trzynastu lat. Dokuczali jej. Jeden z nich trzymał jej torebkę i szydził z niej, kiedy rzuciła się, by ją złapać, ale źle obliczyła tor lotu i upadła, a potem żałośnie czotgała się w błocie.

– Co nam dasz, paniusiu?

Nie chcieli jej obrabować, tylko z niej drwili, ale kiedy upadła, spanikowali i zaczęli się nad nią pastwić. Największy z nich kopnął ją mocno w twarz. Gwałtownie cofnęła się przestraszona i uderzyła szczęką w róg kontenera, po czym zwinęła się w kłębek, zakrywając twarz rękoma.

– Proszę bardzo, to twoje rzeczy. – Wysypali zawartość torby na ziemię. Usłyszałam brzęk kilku monet i odgłos uderzającej o ziemię różowej parasolki.

– Spierdalać, gnojki! – krzyknęłam.

Od razu dali nogę, dudniąc trampkami po ulicy, ale ja byłam od nich szybsza – znacznie szybsza. Ruszyłam przez ulicę ze wzrokiem utkwionym w różowej, nylonowej parasolce, podniosłam ją w biegu i chwyciłam ostatniego chłopaka za szyję, zanim zdążył wybiec na otwartą przestrzeń parkingu. Podciągam go, a wtedy dwaj inni się odwrócili.

– Spoko, to jakaś pipka.

Otoczyli mnie. Patrzyłam na ich wstrętne, ogolone głowy zakryte kapturami, a w świetle latarni dostrzegłam poszarzałe, wyszczerbione rzędy ostatnich mleczaków.

– Odpierdolcie się, pieprzone zera.

– Bo co?

– Może to?

Trzymałam kolesia na ziemi, a on szurał nogami o śliski asfalt. Używając parasolki jak policyjnej pałki, zaczęłam okładać go po twarzy tak mocno, że w pewnym momencie poczułam, jak łamie się rurka wewnątrz zwiniętego materiału. Biłam go tak długo, aż jego szary kaptur zrobił się ciemny, potem pchnięciem obróciłam go na plecy i twardym obcasem szkolnego buta wbiłam mu się w jaja, raz, drugi, trzeci, aż zwinął się w kulkę i znieruchomił, skomląc.

– Ty pierdolona suko. Jesteś pojebana. – wrzasnęli jego kumple, ale zaczęli się wycofywać. Machnęłam w ich stronę parasolką. Jeden z drutów przebił materiał. Wyglądał na ostry.

– Chcecie trochę? Chcecie dostać to, co wasz koleżka? Już nie jesteście takimi chojrakami, co? A teraz spierdalać.

Ruszyli biegiem i po minucie już ich nie było. Sprzedałam chłopakowi na ziemi ostatniego kopa i poszłam szukać matki. Gramoliła się na czworakach, zbierając nieporadnie swoje rzeczy.

– Wstawaj.

Miała krew na brodzie i rozciętą skórę pod okiem. Gnojek wybił jej ząb.

– Spójrz na siebie. Zobacz, jak ty, kurwa, wyglądasz. – We włosach miała psie gównno.

– Prze... Przepraszam, kochanie.

Przepraszam, jasne. Była żałosna.

– Dobrze już, wstań, mamo.

Wyciągnęłam rękę, by jej pomóc, ale zachwiała się i znowu upadła. W poświacie neonu Tesco jej oczy wydawały się ogromne. Wybałuszone, białe i nagle trzeźwe, przepelnione strachem.

– Nic. Nic nie czuję – odpowiedziałam w końcu.

Znów zapadła pomiędzy nami cisza.

– Miałaś rację, mówiąc o moim życiu. – Da Silva powiedział to tym samym tonem, którego użył w rijadzie, gdy leżeliśmy w ciemności, i zupełnie innym niż ten, którym się do mnie zwykle zwracał, pełen zniecierpliwienia i pogardy.

– A dokładniej?

– To było... zaaranżowane małżeństwo. Byliśmy razem przez wiele lat, zanim się pobraliśmy. Zaczęliśmy chodzić ze sobą jako nastolatkwie. Podczas studiów mieszkalem w jej rodzinnym domu. Oczywiście w oddzielnym pokoju. – Da Silva dokończył drinka.

– Więc ty nie...?

– Dopiero w noc poślubną.

– Jezu. A od tego czasu?

– Nie lubimy... niesforności. Nawet teraz rozwód byłby... niemożliwy. Więc się nie zabawiam.

Zastanowiłam się. *Czy on naprawdę chce mi wmówić, że nie spał z nikim innym?*

– Chcesz jeszcze jednego? – zapytał.

– Lepiej nie. Mamy z Li sporo do omówienia.

Byłam już prawie przy drzwiach, gdy znów się odezwał.

– Cleret... Powiedział mi o tobie.

– Co?

– Gdzie go poznałaś. I co cię kręci.

– Prawdziwy dżentelmen. I?

Romero da Silva autentycznie się czerwienił.

– Tak sobie pomyślałam...

– Co?

Więc da Silva wie, jakie lubię zabawy. Czy to go podnieca? A może brzydzi?

Cisza rozciągała się jak romby na obrzydliwym dywanie z Sheratona.

– Nic. Przepraszam.

– W takim razie, dobranoc.

– Dobranoc, Judith.

Poczekalam chwilę w korytarzu, nasłuchując. Do moich uszu doszło gumowate skrzypnięcie lodówki i odgłos nalewanego do szklanki płynu. *Jakby ktoś podkręcił głośność.* Do tego stopnia, że słyszałam, jak da Silva wyężyła słuch, by usłyszeć mój oddech, gdy stałam oparta o ścianę.

11.

- Potrzebny nam sos pomidorowy.
- Że co?
- Li potrzebuje sosu pomidorowego. Możesz go zrobić?
- Nie możemy go kupić?
- Potrzebujemy sycylijskich pomidorów.

Paliliśmy z da Silvą na pokładzie promu z Reggio di Calabria do Mesyny. Jako jedyni pasażerowie staliśmy na zewnątrz. Pozostałe kilka osób, które mimo święta Trzech Króli wybrały się w podróż, siedziało pod pokładem, w większości wymiotując nieprzytomnie do papierowych torebek. Morze w cieśninie było tak wzburzone, że pierwszy kurs odwołano. Poza tym panował przenikliwy ziąb i zacinął deszcz ze śniegiem, ale tutaj przynajmniej nie musieliśmy wdychać smrodu zwróconego noworocznego *zampone*. Da Silva był w mundurze i z powodu „urazu” nogi wspierał się na lasce. Nie rozumiałam, dlaczego zawraca sobie jeszcze głowę zachowywaniem pozorów, ale jego sposób myślenia wciąż w dużej mierze pozostawał dla mnie zagadką.

- Możesz je kupić w Palermo.
- Długo będziemy tam jechać?
- Jakies trzy godziny, wzdłuż wybrzeża. Wyślą kogoś, żeby nas odebrał.
- Masz broń?

Inspektor odwrócił się od relingu i spojrzał na mnie, osłaniając oczy przed silnym wiatrem.

- Zawsze. Dlaczego pytasz?
- Tak po prostu. No wiesz, wkraczamy na terytorium wroga.
- Bardzo zabawne.

To nie był do końca żart. We wszystkich czytanych przeze mnie książkach o włoskiej mafii klany dzieliły się na trzy podstawowe grupy: sycylijską Cosa Nostrę, neapolitańską Camorrę i kalabryjską

'Ndranghetę. W ciągu ostatnich trzydziestu lat nie było takiego dnia, by któraś z nich nie prowadziła wojny z konkurencją. Czytałam o zamordowanych urzędnikach, grupowych procesach i strzelaninach z użyciem kałasznikowów. Ale przecież dzięki takim właśnie szczegółom książki się sprzedawały. Da Silva był funkcjonariuszem publicznym i odpowiadał za ten specyficzny rodzaj państwowo-przestępczej symbiozy. Albowiem koniec końców wyglądało na to, że państwu nie zależy na zniszczeniu mafii, która stała się już jego częścią. Politycy bali się *pentiti*, czyli mafijnych informatorów, nie mniej niż mafijni bossowie. Podobno kiedy rozetniesz brzuch rekina, będzie on żywił się własnymi wnętrznościami i płynął dalej.

– Byłeś tutaj kilka lat temu, prawda? Podczas tej sprawy z greckimi antykami?

Brygady antymafijne składały się z oddziałów policji z całych Włoch, w tym z kilku jednostek rzymskiej *Guardia di Finanza*. Da Silva brał udział w operacji przeciwko grupom przestępczym, które wykorzystywały fałszywe greckie antyki do prania brudnych pieniędzy. Sprawa nigdy nie została doprowadzona do końca, głównie dlatego, że kawiarnia, w której większość ekipy śledczej jadała śniadania, pewnego dnia wyleciała w powietrze.

– Tak, byłem.

– Ale tamtego ranka nie było cię w barze. Miałeś szczęście.

– Wyszedłem na papierosa.

– A ja myślałam, że palenie zabija.

Da Silva chwycił reling i ścisnął go tak mocno, że aż zbiały mu kostki.

– Przepraszam, nie chciałam zachować się impertynencko. To byli przecież twoi koledzy, prawda? Ci, którzy zostali zamordowani.

Przez moment miałam wrażenie, że uderzy mnie w twarz, ale odwrócił się i najpewniej, jak mógł, pokuśtykał na drugą stronę kołyszącego się pokładu, gdzie pozostał przez ostatnie dwadzieścia minut rejsu.

Przedmieścia Palermo wyglądały jeszcze nędzniej, niż się spodziewałam. Deszcz, który towarzyszył nam od Mesyny, sprawił, że ulice były zalane błotem. Miałam wrażenie, że poza autostradami wszędzie są tylko odrapane, obskurne wieżowce i ponure ruiny. Stare miasto miało być piękne, ale trudno było to dostrzec. Dlaczego włoska brzydota musi być tak perwersyjna? Nie chodziło o to, że Palermo było brzydsze niż, powiedzmy, Birmingham, tylko o to, że w ogóle nie powinno wyglądać jak Birmingham. Być może przyczyną tego dysonansu był ów kontrast z pełnym przepychu, beztróskim pięknem kontynentalnych Włoch, poczucie, że jest go tam tak wiele, że aż się marnuje.

Miałam ze sobą kolekcję zdjęć, które zestawiliśmy razem z Li na jego laptopie. Powstał z nich melanz *Kobiety z wachlarzem* i *Złota ich ciąt*, który dawał pewne wyobrażenie o tym, jak będzie wyglądała końcowa wersja naszego Gauguina. Następnego dnia miałam sama odwiedzić archiwa bankowe i oficjalnie „odkryć” obraz pośród innych dzieł interesujących galerię Gentileschi. W bagażniku samochodu leżał owinięty kawałek sklejki takiej samej wielkości jak zabrany z Tangu panel z drewna miro. Tego wieczoru owa sklejka miała zostać przetransportowana do archiwum. Potem miałam podpisać na nią umowę, zabrać ją ze sobą, a następnie korespondencyjnie zdawać bankowi relację z postępów moich „badań”. I właśnie dlatego był mi potrzebny sos pomidorowy.

W Reggio znalazłam restauratorkę zabytków, która miała usunąć z obrazu Li warstwę werniksu, o czym planowałam poinformować bank. Względna bliskość obu miast, to jest Reggio i Palermo, dodałaby proveniencji wiarygodności. Oficjalnie Gentileschi nadal miała siedzibę w Wenecji i naturalne wydawało się, że tam właśnie zabiorę obraz, ale gdyby to naprawdę był Gauguin, bank mógł się nie zgodzić, by dzieło podróżowało tak daleko. Kwestie bezpieczeństwa, ubezpieczenie, możliwe uszkodzenie podczas transportu. Jeden z bankowych strażników miał być świadkiem procesu czyszczenia. Biorąc pod uwagę fakt, że obraz spędził ponad trzydzieści lat

w kuchni, ślady sosu pomidorowego na werniksie stanowiłyby kolejny, kluczowy detal.

Nasze spotkanie z przedstawicielem banku w Grand Hotel et des Palmes miało się odbyć o siódmej w apartamencie z dwiema sypialniami, który zarezerwowałam na nazwisko Gentileschi. Da Silva umówił je z tą samą tajemniczą łatwością, z jaką pozbył się z mojego mieszkania szczątków Alvina Spencera. Kilka dni wcześniej pokazał mi na telefonie kilka linijek z międzynarodowego wydania „New York Timesa”. Włoska policja zidentyfikowała szczątki ciała znalezione na parkingu podziemnym w Trieście – należały do Alvina Spencera, dwudziestotrzyletniego Amerykanina, którego zaginięcie rodzina zgłosiła poprzedniego lata. Jego śmierci nie uznano za podejrzaną, ponieważ podczas pobytu w Europie Spencer zaczął podobno intensywnie używać narkotyków i badanie pośmiertne wykazało przedawkowanie. Ciało wydano rodzinie do pochówku. Romero załatwił sprawę sprawnie i czysto.

Nadal nie miałam pojęcia, jak wygląda to drugie życie da Silvy – przed kim odpowiada, kto mu wydaje instrukcje. Raznatović był w pewnym sensie jego współpracownikiem, nie szefem. Zważywszy na to, że rozgłos w przestępczości zorganizowanej jest odwrotnie proporcjonalny do władzy, nie wyobrażałam sobie, żeby Romero witał się w sali pełnej zwierzęcych futer z błaznem noszącym na palcu diamentowy pierścień, ale nie widziałam go też meldującego się jednemu ze starych, śmierdzących wieśniaków, jakimi zwykle okazywali się sycylijscy bossowie w tych rzadkich sytuacjach, gdy któregoś udało się aresztować. Szefem da Silvy był prawdopodobnie jakiś dentysta albo prawnik średniego szczebla pracujący w nijakim, klimatyzowanym rzymskim biurze. Tego się nigdy nie dowiem.

Dottore di Matteo pojawił się punktualnie o siódmej, czego nie dało się powiedzieć o zamówionej przeze mnie herbacie. Czekając na zamówienie, przez chwilę prowadziłam z gościem niezdarną pogawędkę, podczas gdy da Silva przeklinał do słuchawki hotelowego telefonu. W końcu jasnowłosy kelner z brzękiem wjechał do pokoju ogromnym, srebrnym wózkiem i postawił przed

nami trzy wyszczerbione filiżanki, dzbanek z letnią wodą i plastikowe pudełko z przezroczystymi torebkami herbaty. Żadnego mleka. Dopiero gdy skrzypiący wózek odjechał korytarzem, mogliśmy przejść do rzeczy. Drobnny Włoch w jasnobrązowym garniturze teatralnie wręczył mi wizytówkę ze swoim tytułem: „Dyrektor ds. zasobów materialnych”. Uznałam, że brzmi nieźle.

Di Matteo bez słowa przesunął po przygnębiającym stoliku kartkę formatu A4. Przeczytałam instrukcje określone jako „warunki wstępne”: podczas rozmowy obraz miał być nazywany „przedmiotem”, miałam nie wymieniać nazwiska artysty, zawsze miałam mówić o historii z hipoteką tak, jakby te wydarzenia naprawdę miały miejsce, nie wolno mi było zwracać się do *dottore* po nazwisku. Bank był tak uprzejmy, że zapewnił instrukcje również po angielsku. Czytając je, uznałam, że w ten sposób przynajmniej poćwiczę sobie historyjkę, którą będę musiała wygłosić w domu aukcyjnym, dlatego nie zgłosiłam żadnych uwag – aż dotarłam do ostatniego punktu stwierdzającego, że Gentileschi otrzyma wynagrodzenie za pośrednictwo w wysokości dziesięciu procent ceny osiągniętej przez „przedmiot” ponad cenę wywoławczą określoną w katalogu instytucji, która sprzedaje obraz. Nie na to umawiałam się z Raznatoviciem. Byłoby raczej mało prawdopodobne, żeby Gauguin należał do mnie, zwłaszcza gdyby osiągnął cenę, na jaką liczyłam, a jako jego rzekoma właścicielka zwróciłabym na siebie zdecydowanie zbyt dużą uwagę – dlatego postanowiłam skorzystać z usług Società Mutuale. Ale sycylijski bank był tylko przykrywką! Potrząsnęłam głową (jeśli ktoś podsłuchiwał tę rozmowę, musiał się nieźle wynudzić), a następnie wyjęłam swojego mont blanca i napisałam „100% nadwyżki ponad cenę wywoławczą dla Gentileschi, zgodnie z umową”. Di Matteo również potrząsnął głową. *Kurwa! Będziemy prowadzić całą rozmowę na migi?*

– Jeszcze herbaty? – zapytałam, by przerwać ciszę.

Gestem pokazałam da Silvie, by poszedł ze mną do mojej sypialni. Tam odezwałam się, a raczej syknęłam, po angielsku.

– W dupie mam te bzdury. Ugadałeś się z nim? Dziesięć procent?

Możecie się walić, obaj. A może planujesz podzielić się kasą z naszym serbskim kolegą?

– Uspokój się. Niektóre sprawy tak się właśnie załatwia. Są pewne... konwencje.

– Na przykład? Wydymać laskę? O takiej ty mówisz konwencji? Słyszałaś, co powiedziałam w Albanii? Nadwyżkę ponad cenę wywoławczą dzielimy pół na pół. Więc bank najpierw płaci mnie. Mniej wydatków i uczciwie. Możesz rozpuścić mnie w kwasie i wylać do ścieków, ale nie zmienię zdania.

– Judith, wiesz, co... co powiedział nasz serbski kolega?

– Tak. Zabije cię, jeśli mu nie zapłacisz.

– Zabije nas oboje.

– Więc zadzwoń do „Corriere” i powiedz im, żeby zarezerwowali pierwszą stronę.

– Tu nie chodzi o mnie ani o... mężczyznę, którego poznaliśmy w Durres. Tu chodzi o nich. O to, czego od nas oczekują.

Uniosłam ręce do góry.

– My, oni... Nie mam pojęcia, kim, do cholery, jesteście. Ty nawarzyłeś piwa, ty je teraz wypij. Albo zrób z Franci wdowę. Nie obchodzi mnie to.

Da Silva podszedł do okna, szamotał się przez chwilę z listewkami żaluzji, aż w końcu wpuścił do pokoju powiew styczniowego światła, a potem zapalił papierosa. Może myślał, że Befana przyleci na miotle i da mu odpowiedź. Befana to wiedźma, która we Włoszech przynosi dzieciom prezenty w święto Trzech Króli – niegrzeczne dostają grudkę węgla, chociaż tak naprawdę jest on zrobiony z pomalowanego na czarno cukru. Lubiłam Befanę.

Nagle coś sobie uświadomiłam. Da Silva nie miał pojęcia, ile Gauguin może być faktycznie wart.

– Ty idioto. Nie masz o tym pojęcia, co? Poczekaj, daj to staruszkowi.

Wyrwałam kartkę z leżącego przy telefonie hotelowym notesu i nabazgrałam: „Cała kwota ze sprzedaży ponad sto pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów ma zostać wypłacona Gentileschi.

Dziesięć procent od kwoty przekraczającej wyznaczoną cenę wywoławczą, ale mniejszej niż sto pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów, ma zostać wypłacone Gentileschi jako wynagrodzenie za pośrednictwo”.

Da Silva otworzył szeroko oczy na widok wpisanych przeze mnie sum, ale zaniósł kartkę. W tym samym momencie *dottore* stał się bardzo serdeczny.

– Chcesz zamówić coś do jedzenia? – zapytał inspektor godzinę później, kiedy po niezliczonych *Grazie* di Matteo wyszedł wreszcie z atrapą deski.

– Wątpię, żebym doczekała. Lepiej gdzieś pójdźmy. – Następnego dnia miałam spotkanie dopiero w południe. Palermo nie było miastem rannych ptaszków. – Wiesz, na co mam ochotę? *Penne alla Norma*. I dużo czerwonego wina.

– Załatwione. Obok Arsenału jest restauracja. Możemy się tam przejść, jeśli nie jest ci zbyt zimno.

Okrążyliśmy Borgo Vecchio i pochyleni, gdyż wiatr wiał nam w twarz, ruszyliśmy w kierunku nadmorskiego bulwaru. Ulice ozdabiała wykonana ze światełek Befana z haczykowatym nosem, a za jej miotłą ciągnął się baner reklamowy sieci supermarketów Esselunga. Da Silva wskazał swoją idiotyczną laską w lewo.

– Tam wyżej jest Ucciardone.

Mówił o starym więzieniu wybudowanym, kiedy Sycylią rządili Burbonowie. Jego część była na stałe zarezerwowana dla „ludzi honoru”. To stąd czerpano pomysły do filmów gangsterskich: szampan dostarczany do bloków, bossowie brylujący w luksusowo urządzonych celach. Pewnie był tam teraz sklep z pamiątkami, w którym można kupić domowy sos pomidorowy z odrobiną czosnku.

– Byłeś w środku?

– Często. Blok siódmy.

Blok siódmy był zarezerwowany dla mafijnych bossów.

– Czyli policyjna robota?

– Czasami.

– Czy ja byłam policyjną robotą?

– Już nie. – W jego głosie usłyszałam cień żalu.

– Naprawdę byś to zrobił? Tam na plaży, zanim pojawił się narwany kumpel Raznatovicia?

Kiedy tak szliśmy skuleni przed deszczem w rozmazanym blasku światełek, nagle poczułam, że w tej rozmowie jest coś intymnego, że oboje od dłuższego czasu ją prowadziliśmy – albo przynajmniej próbowaliśmy prowadzić – nie znajdując odpowiednich słów.

– Nie. Chyba nie. Martwa byś mi się nie przydała.

– Dzięki.

Tyle to już wiem.

– Przepraszam. Nie chciałem...

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Twarze ociekały nam deszczem, a kilka centymetrów oddzielających nasze usta nagle zaiskrzyło napięciem. Mogłam się nachylić, ale... *Co ja sobie myślę? Przecież mam już plany na wieczór.*

Obok nas przebiegła chmara dzieciaków w spiczastych kapeluszach i grubych kurtkach założonych na porwane, czarne kostiumy czarownic. Da Silva powiedział „dobry wieczór” ich cierpliwemu, skulonemu pod parasolem ojcu i poszliśmy dalej.

Po kolacji wzięłam ciepłą kąpiel i wypłam kilka kieliszków czerwonego wina. Za dwojgiem zamkniętych drzwi słyszałam cichy odgłos wody lecącej pod prysznicem da Silvy. Wyobraziłam sobie, jak stoi nago, woda spływa mu po udach, a namydlone pachy wydzielają piżmową woń. Włożyłam środkowy palec prawej ręki między wargi sromowe, a potem oblizałam błyszczący opuszek. Jedenasta wieczorem. Usłyszałam delikatne pukanie od strony korytarza. Otworzyłam drzwi i ponownie przyłożyłam palec do ust.

– Ciii.

Do środka wszedł jasnowłosy kelner, który wcześniej przyprowadził wózek z herbatą. Przez ramię miał przewieszoną białą służbową marynarkę i wyglądał na lekko zdenerwowanego.

– Judith? – zawołał da Silva przez zamknięte drzwi salonu. –
Wszystko w porządku?

Będziemy musieli być bardzo cicho.

– W porządku. Nic się nie dzieje. To tylko obsługa.

12.

Poranek w Palermo mienił się kolorami baroku – odcieniami różu, złota, kości słoniowej, błękitu i fioletu. Nawet czerwone graffiti piłkarskich ultrasów spływające po ścianach eleganckich budynków usytuowanych wokół targowiska sprawiały wrażenie zabarwionych subtelnością świtu Caracciego. O siódmej rano Piazza San Domenico tętniła już życiem. Wskoczyłam z mojego grzesznego łóża o szóstej, by pobiegać, i po hałasie zorientowałam się, gdzie leży rynek. Kupiłam trzy kilo świeżych pomidorów, słoik pasty i przewiązaną sznurkiem butelkę pełną maleńkich, zanurzonych w oleju owoców, niemal tak drobnych jak jagody. Miałam nadzieję, że może Salvatore będzie znał jakiś dobry przepis. Stragany z rybami przypomniały mi weneckie Rialto: żwawe makrele i wiadra kłapiących szczypcami krabów, stosy dziwnych, poskręcanych skorupiaków, skrzynki nieznanymi mi, dalekomorskich łupów. Kupiłam dwa kubki *cappuccino* na wynos i dwie pokaźne brioski ociekające waniliowym nadzieniem.

– Śniadanie!

Da Silva był jeszcze w łóżku. Sięgnął po telefon, by sprawdzić godzinę, i jęknął.

– Dlaczego mnie obudziłaś?

– Ponieważ świeci słońce i zapowiada się piękny dzień! Proszę, kupiłam coś dobrego. Nie radzę ci schodzić do bufetu. Mogę wejść? – Podeszłam do okna i odstłoniłam ciężkie, pluszowe zastony. Romero skulił się pod kołdrą jak wystraszony wampir.

– Co cię napadło?

Uznałam, że na to pytanie lepiej nie odpowiadać.

– Masz ochotę na spacer, zanim pójdę do banku? – Wytarłam z kremu brodę.

– Mam trochę papierkowej roboty.

– Na pewno może poczekać. Proszę. – Nigdy nie myślałam, że będę

zabiegać o towarzystwo da Silvy, ale z dala od wiejskiego domu poczułam nagły przyptyw energii. Jakbym zrobiła sobie wagary.

– No dobrze. – Romero obdarzył mnie chyba pierwszym prawdziwym uśmiechem, a blask jego kształtnych, białych zębów trafił mnie dokładnie tam, gdzie zeszłej nocy kelner.

– Tylko wskoczę pod prysznic.

Da Silva zapukał do mojej łazienki dokładnie w momencie, gdy zwinnie ściągałam z siebie sportowy stanik.

– Przepraszam, muszę wysłać maila, ale mój laptop nie chce się włączyć. Będę musiał zejść na dół. Wybacz mi.

– Weź mój. Poczekaj chwilę. – Owinęłam się szlafrokiem, potruchtałam przez pokój i wpisałam hasło.

– Jesteś pewna?

– Tak, nie ma sprawy. Uwierz mi, nie znajdziesz tu nic ciekawego. Proszę, zaraz do ciebie przyjdę.

Archiwum Società Mutuale mieściło się nie w głównej siedzibie banku – imponującym gmachu z czasów dominacji hiszpańskiej – lecz dwie przecznice dalej, w podziemiach sześciopiętrowego budynku z lat siedemdziesiątych. Po słonecznym, acz wietrznym spacerze wzdłuż Conca d’Oro da Silva odprowadził mnie na skrzyżowanie, na którym czekał *dottore* di Matteo. Sycylijczyk wpisał mnie na listę odwiedzających i winda zawiozła nas trzy piętra w dół, gdzie pokazaliśmy przepustki strażnikowi, który nim wpuścił nas w końcu do środka, siłował się chwilę z zamkiem szyfrowym na wzmocnionych, stalowych drzwiach. Obrazy, w sumie około stu, owinięte w grube, bawełniane pokrowce, ustawiono na stojakach epokami, a w ramach danej epoki alfabetycznie według nazwisk artystów. Znajdował się tu również pokaźny dział oznaczony „Nieznane”, gdzie poprzedniej nocy di Matteo na moją prośbę zostawił deskę. Bank posiadał dość imponującą kolekcję dzieł renesansowych oraz dwudziestowiecznych. Zaczęłam w niej szperać w poszukiwaniu pięciu obrazów, które mogłabym zamieścić na

stronie Gentileschi, by przekonać dom aukcyjny, że moja galeria nadal się liczy na rynku – nic ekstrawaganckiego, w granicach stu tysięcy euro. Przeglądając stojaki, wybrałam dość nietypowy dla Liny Bryans portret kobiety w zawadiackim, czerwonym kapeluszu w kształcie hełmu, dwa bazgroły Williama Kentridge’a i – przez wzgląd na dawne czasy – szaro-białe dzieło Lucio Fontany przedstawiające grube, malowane farbą olejną pasma z nakłutymi dziurkami. To właśnie jedno z dzieł Fontany było pierwszym obrazem zakupionym przez Gentileschi. Di Matteo sprawdził w sfatygowanym wykazie ceny, a ja zapytałam go, czy mógłby wystawić potwierdzenia zakupu na każde z dzieł. Co prawda nigdzie nie zabierałam tych obrazów, ale musiałam stworzyć pozory, jakbym faktycznie je posiadała. I wtedy mój wzrok przykuło małe płótno.

– Czy mogę je zobaczyć?

To był Kees van Dongen, zmysłowa scena z paryskiego kabaretu. Szczupła kobieta w sukni wieczorowej w kolorze absyntu, z nabrzmiałymi, czerwonymi ustami i wielkimi jak u gruźlika oczami na tle krzykliwie złotego, zatłoczonego proscenium. Długo mu się przyglądałam.

– A więc, *dottore*, czy jesteśmy gotowi odnaleźć Gauguina?

Di Matteo posłał mi gniewne spojrzenie.

– Przepraszam. Cóż, wyjmę tylko ten szalenie interesujący obraz.

Przejrzałam kolekcję ohydnych abstrakcji z lat pięćdziesiątych, aż dotarłam do atrapy i wyciągnęłam ją ze stojaka.

– Jak się umówiliśmy, będę potrzebowała upoważnienia do zbadania dzieła.

Dottore podał mi podstemplowaną kartkę z kunsztownym logo banku.

– A ten? Gdybym chciała go kupić?

– Potwierdzenie zakupu, jak wcześniej?

– Nie, gdybym naprawdę chciała go kupić. Ile kosztuje?

– Zobaczmy... Milion.

Van Dongens chodził w Londynie po pięć do siedmiu milionów, więc obraz był niedorzecznie tani. I było mnie na niego stać, chociaż

wydałabym jedną trzecią pieniędzy, które mi zostały. Prawdę mówiąc, był to głupi kaprys, ale chciałam go mieć. W twarzy kobiety było coś wyzywającego i jednocześnie błagalnego, a na tle kredowego pudru jej oczy wyglądały jak żywe. Dziwaczność Chagalla i brutalna klarowność Lautreca.

– Biorę go. Możemy załatwić sprawę przelewu na górze?

Di Matteo wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie zdawałem sobie sprawy... to znaczy... – Język miał skrępowany własnymi zasadami, które nie pozwalały nam otwarcie rozmawiać o tym, co się dzieje.

– To dla mnie. Podam panu adres doręczenia. – Nadal miałam skrzynię w magazynie w Vincennes. – Potem będę potrzebowała kopii umowy hipotecznej i nakazu przejęcia mieszkania. Czy jesteście gotowi?

13.

Li zaczął tworzyć drugą wersję *Kobiety z wachlarzem* dzień po naszym powrocie z Palermo. Da Silva od razu zmył się do Rzymu i nie było go trzy tygodnie. Dzwonił każdego popołudnia, ale wiem, że kontaktował się też z Rybnym, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pomijając krótkie wypadki po zakupy, Salvatore wprowadził się na dobre i nie narzekając na spartańskie warunki, zadomowił się w garażu na dmuchanym materacu. Może lubił zabudowania gospodarcze. Nie sprawdzałam, gdzie się myje i czy w ogóle to robi.

Rano biegałam i pracowałam nad proveniencją, a popołudniami Rybny zawoził mnie do studia. Odnosiliśmy się do siebie uprzejmie, choć nasze dialogi ograniczały się do skinienia głową i zdawkowych pozdrowień. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek sypia. Często siedziałam do późna, czytając, rozmyślając i sącząc wino, ale bez względu na to, o której się kładłam, on czuwał na dziedzińcu ze swoją bronią, a kiedy tylko się budziłam, już trwał na posterunku. Tyle dobrego, że nie próbował towarzyszyć mi podczas biegania.

Nie czułam się znudzona ani samotna. Był tylko jeden rodzaj towarzyskiej rozrywki, który mi odpowiadał, ale w obecności Rybnego miałam na nią niewielkie szanse. Podczas gdy Li pracował niestrudzenie nad obrazem, ja zagłębiałam się w jego historię, a postaci, które wymyśliłam, stały się z czasem tak żywe, że niemal sama w nie uwierzyłam. To dobrze, bo wiedziałam, że dzięki temu uda mi się wiarygodnie przedstawić proveniencję w domu aukcyjnym.

Pewnego ranka odstąpiłam rolety i zobaczyłam, że cała wieś eksplodowała. Włoska wiosna przyszła w nocy i teraz okolica wyglądała tak, jakby ktoś ją obsypał confetti. Wciągnęłam sweter

przez głowę i w samych majtkach wybiegłam na zewnątrz. Rybny obserwował mnie w milczeniu, jak forsuję płot na tyłach domu i wychodzę na łąkę, która ciągnęła się w górę zbrocza aż do samego lasu. Trawa pełna była firletek i niebieskich ogóreczników, a żywoptot mienił się żółcieniem i pomarańczem. Z biegnącej w stronę miasta doliny czułam zapach kwiatów migdałowca oraz brzoskwini. Rybny podszedł do płotu i patrzył, jak podskakuję w mokrej trawie.

– *Ti piace?*¹⁶

– *Bellissimo!*¹⁷ – odparłam rozpromieniona. To była nasza najdłuższa rozmowa. Salvatore na pewno myślał, że oszalałam. A może po prostu uznał, że jestem typową Angielką... Szafirki przy drzwiach zaczęły pączkować, więc zebrałam ich kilka i wstawiłam do szklanki obok materaca Rybnego.

Kiedy tego dnia da Silva zadzwonił, zaczęłam mu opowiadać o kwiatach.

– Pięknie jest tam wiosną, prawda? – Słyszałam uśmiech w jego głosie. – Skąd znasz te wszystkie nazwy?

– Och, to dzięki sztuce.

To był szczególnie nudny tydzień w domu aukcyjnym. Przygotowując slajdy na aukcję wiktoriańskich akwareli, uznałam, że umiejętność odróżnienia głogu od kwiatu jeżyny bywa w tej pracy niezwykle przydatna. Ale chociaż uwielbiałam kwiaty, wiedziałam, że William Hunt, znany jako Bird's Nest, nigdy nie trafi na moją listę ulubionych malarzy.

– Jak szybko możesz wrócić? Możesz zawiadomić bank, że jesteśmy gotowi do usunięcia werniksu. Pewnie zechcesz być przy tym obecny.

– Po co nakładałaś werniks, skoro zamierzasz go teraz usunąć?

– *Madre di Dio!* Czy ty musisz o wszystko wypytywać?!

– W piątek wracam do domu.

Skończyłam rozmowę i przez chwilę stałam, wpatrując się w łąkę,

16 *Ti piace?* (wł.) – Podoba ci się?

17 *Bellissimo!* (wł.) – Przepięknie!

a na mojej twarzy malował się, zapewne lekko głupkowaty, uśmiech. I wtedy poczułam przemożną chęć znalezienia w Siderno fryzjera. Dom. Romero powiedział „do domu”.

Mariangela Lucchini bardzo się ucieszyła z mojego telefonu. Jako restauratorka zabytków pracowała przede wszystkim dla Ministerstwa Kultury, odnawiając dzieła sztuki w niezliczonych kościołach południa, toteż poczuła się podekscytowana na myśl, że będzie mogła zająć się czymś ciekawszym.

– Najczęściej chodzi o werniks, bo większość bardziej wymagających prac trafia na północ. Jak pomarańcze.

Società Mutuale przysłała strażnika o imieniu Giulio, który miał obserwować proces renowacji. Li, da Silva i ja spotkaliśmy się z nim w porcie, a potem pojechaliśmy do studia Mariangeli, które znajdowało się w piwnicy jednego z bloków mieszkalnych. Li był podenerwowany i obawiał się efektów usunięcia werniksu z jego pracy, zwłaszcza że nie mógł pozostać w pracowni podczas samego procesu i miał na nas czekać w barze. Aby go uspokoić, obiecałam, że co pięć minut będę mu przysyłała zdjęcie, by mógł śledzić postęp prac.

Mariangela miała około czterdziestki, ubrana była w płócienne ogrodniczki, a ufarbowane henną włosy związała w wielki kok.

– Bardzo przepraszam, ale opiekunka zadzwoniła, że jest chora. Potrzymacie go przez chwilę? – Włożyła mi w ręce płaczące dziecko. Próbowałam je ukołysać, ale zaczęło krzyczeć jeszcze głośniejsze.

– Daj mi go – zaproponował da Silva. – *Ciao, piccolino, ciao*¹⁸.

Słyszając jego czuły ton, pomyślałam, że ma w tym wprawę, i nagle wyobraziłam go sobie z jego dziećmi, Giulią and Giovannim. Wcześniej o nich nie myślałam.

Dziecko przestało płakać i wyciągnęło ciekawską rączkę ku twarzy da Silvy. Maleńkie paluszki prostowały się jak czułki ukwiału.

– Za chwilę się uspokoi – wyjaśniła Mariangela. – Jest przyzwyczajony do tego, że pracuję.

W rogu niskiego, pozbawionego okien pomieszczenia stała kotyska

18 *Ciao...* (wł.) – Cześć, maleńki, jak się masz.

z karuzelą z króliczkami, a pozostałą przestrzeń zajmował długi, pokryty laminatem stół warsztatowy. Obok znajdowała się pokaźna sztaluga ustawiona pomiędzy różnymi lampami – zupełnie jak stanowisko do oglądania dzieł w domu aukcyjnym. Da Silva położył dziecko w kotłyszce i zaproponował, że pójdzie po kawę, a ja pomogłam strażnikowi rozpakować naszą *Kobietę z wachlarzem*.

– Dobrze. Spójrzmy na nią – odezwała się Mariangela, zakładając okulary, po czym przyglądała się obrazowi badawczo przez dłuższą chwilę i wreszcie rzuciła krótkie: – Aha.

Wiedziała, co robić. Zapytałam ją, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym sfilmowała pierwsze podejście do werniksu, a ona potrząsnęła głową, wkładając lateksowe rękawiczki. Była już całkowicie pochłonięta pracą.

– Dobrze. Usunę połysk za pomocą trzyprocentowego roztworu Regalrez 1094 i Shellsol D38. To bezzapachowa mieszanina żywicy syntetycznej i rozpuszczalnika – wyjaśniła, a Giuliano przytaknął poważnie, jakby wiedział, o czym Mariangela mówi. Dziecko jęknęło. – Gdyby znów zaczął płakać, po prostu weź go na ręce. Użyję pędzla z sierści borsuka – restauratorka podniosła go do kamery – by zdjąć płyn, który najpierw nałożę gąbką. W ten sposób.

Mariangela zaczęła raz za razem przykładać gąbkę na małym kawałku obrazu w lewym, dolnym rogu. Niemal czułam napięcie Li, kiedy wysłałam mu pierwsze zdjęcie. Gdy restauratorka przeciągnęła pędzlem po obrazie, kolor położony na błękit pruski – głęboki odcień mieszanki magenty i brązu – jakby się pogłębił.

– Okej... Spójrzcie, werniks spowodował, że kolory wyblakły. Teraz o wiele lepiej widać poziom nasycenia.

– A co z resztkami werniksu pozostałymi na powierzchni? – zapytałam.

– Użyję terpentyny. Ona w zupełności wystarczy, a silniejsze środki spowodowałyby zmatowienie kolorów.

Chodziłam wokół kobiety, obserwując jej pracę i uwieczniając proces na zdjęciach pod każdym możliwym kątem. Godzinę później dziecko spało, a nam udało się oczyścić około dziesięciu

centymetrów kwadratowych obrazu. Giuliano spędził ten czas, grając w Candy Crush.

– Co to jest? – zapytała nagle Mariangela.

– Nie wiem, może *sugo*¹⁹. Obraz przez długi czas wisiał w prywatnym domu. Nie chciałam tego usuwać sama.

Mariangela wyciągnęła z szuflady mały futerał przypominający zestaw do manicure i wyjęła z niego maleńką szpachlę z gładkim ostrzem.

– Tak powinno zejść. Chce pani tę substancję na szkiełku?

– Tak, poproszę.

Usuwanie sosu zajęło kolejne pół godziny, podczas której Mariangela delikatnie zeszkrobywała jego fragmenty na szklaną płytkę. Kolejny element układanki.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego musieliśmy zawracać sobie tym wszystkim głowę – gderał da Silva, gdy wreszcie odstawiliśmy Giuliana na prom.

– Naprawdę mam ci wytłumaczyć?

– Jasne.

– Chodzi o to, że Gauguin nie znosił werniksu. Uosabiał on wszystko, czego artysta nie chciał w swoich pracach: bogactwo barw, gładkość i połysk. Jego zdaniem była to zasłona oddzielająca malarza od widza. Dlatego miał skłonność do znacznego zawężania palety barw.

– Co?

– Przepraszam. Osuszał je bibułą, a następnie rozcieńczał terpentyną. Chciał, by jego prace wyglądały jak dzieła włoskich mistrzów, jakby miały czterysta czy pięćset lat. I żeby tak jak na nich przeważały brązy i ochry. Może nie brzmi to rewolucyjnie, ale decydując się na niepokrywanie swoich prac werniksem, Gauguin de facto odrzucał tradycję, zastępując manierę malarstwa dekoracyjnego tendencją do pewnej surowości. Chciał, by ludzie

19 Sugo (wł.) – Sos.

znów zaczęli się przyglądać obrazom, zaglądać pod powierzchnię pozornego piękna. Nie dbał o to, czy odbiorcy uznają jego prace za brzydkie lub szalone. Chciał, by się w nie wpatrywali. Rozumiesz?

Umilkłam, uświadomiwszy sobie, że za długo mówiłam. Jak kompletna maniaczka.

– Niezupełnie. W takim razie kto pokrył obraz werniksem?

– Któryś z domniemanych właścicieli. Ludzie lubią połyskujące obrazy. Wydają im się bardziej luksusowe. Usuwając werniks, przywrócimy pierwotne natężenie kolorów i spowodujemy, że odbiór obrazu będzie bardziej autentyczny. Prawdziwy Gauguin nie użyłby werniksu Sugo (wł.) – Sos., by dodać dziełu blasku.

– Naprawdę dbasz o szczegóły, co? – Da Silva nie wyglądał na znudzonego.

– Tak. Zresztą nie mam wyboru. Przepraszam, że przynudzam.

– Wcale nie przynudzasz.

Tego wieczoru zaczęłam kompletować dokumenty dla domu aukcyjnego. Opis okoliczności, w których natknęłam się na obraz, omówienie techniki malarskiej Gauguina, którą rozpoznałam w dziele, raport z badań nad proveniencją. W sprawozdaniu z kilku miesięcy pracy szczegółowo nakreśliłam wymyśloną przez siebie historię. Przygotowałam też dowody sprzedaży, księgę aukcyjną ze stacji kolejowej w Rzymie, dokumenty z Società Mutuale oraz zdjęcia każdego etapu oczyszczania obrazu, próbki farb i szkiełko z sosem. Wszystko wyglądało bardzo przekonująco, ale wiedziałam, że dokumenty, proveniencja i sam obraz przekonają ekspertów tylko wtedy, gdy przekonam ich ja. Oczywiście, nie pierwszy raz miałam kłamać. W pewnym sensie całe życie, które sobie stworzyłam, zawsze zależało od mojej umiejętności kłamania i przeistaczania się w kogoś, kim nie byłam. Musiałam obserwować, naśladować i udawać – aż w końcu niezbędną w danych okolicznościach maska przylegała do mojej twarzy tak idealnie, że się z nią stapiała. Często delektowałam się tym nowym wizerunkiem,

a nawet byłam z niego dumna, ale przez większość czasu go nie zauważałam. Do tej pory każdą nową tożsamość przybierałam w mniejszym lub większym stopniu dla zabawy, tym razem jednak wiedziałam, że jeśli maska ześlizgnie się choćby o milimetr, gra dobiegnie końca. A nawet miałam poczucie, że to wcale nie jest już gra.

14.

Dziewiętnastego marca Rupert przysłał mi maila. Była jedenasta rano, w Londynie dziesiąta. Sytuacja w domu aukcyjnym naprawdę musiała się zmienić, skoro siedział w biurze. Wychyliłam się z okna sypialni, by złapać najlepszy sygnał, zadzwoniłam do recepcji i poprosiłam o połączenie z domem aukcyjnym.

– Słucham, Malarstwo Europejskie.

Powtórzyłam prośbę.

– Przykro mi, ale Rupert jest właśnie na spotkaniu – odpowiedziała automatycznie dziewczyna.

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Elisabeth Teerlinc.

– Przykro mi, nie mogę mu przeszkadzać.

– Proszę mu to po prostu przekazać.

Nie była to zbyt wyrafinowana rozrywka, ale i tak miałam frajdę, słuchając, jak Rupert biegnie do telefonu. No, w zasadzie człapie. Po radosnej wymianie uprzejmości uzgodniliśmy, że przywiozę obraz, jak tylko uda mi się zorganizować transport, i że dzieło zostanie pod opieką domu aukcyjnego do zakończenia ewaluacji.

Zbiegłam po schodach, by powiedzieć o tym da Silvie.

– Tańczą!

– Co?

– Chcą zobaczyć obraz. Lepiej zbieraj się do Raznatovicia. Zadzwoń do niego, wyślij gołębia pocztowego albo co tam innego robicie i powiedz mu, że może odłożyć obcegi. No i będziemy potrzebowali dwóch biletów do Londynu w pierwszej klasie.

– My?

– Dla mnie i dla obrazu, idioto.

Przez bezbarwnie przystojną twarz da Silvy przemknął cień zawodu, który po chwili ustąpił miejsca brzydkiemu grymasowi dziecięcej złośliwości.

– Cieszysz się, że znowu masz okazję zagrać marszandkę, co?

Będziesz chyba potrzebowała paszportu. Na nazwisko Teerlinc?

– Jasne.

Romero wyszedł z pokoju i po chwili wrócił ze swoją cenną, brązową kopertą, którą rzucił we mnie wyraźnie nadąsany.

Czyżby rzeczywiście się boczył, że ze mną nie jedzie?

– Dzięki – odparłam zdawkowo, ignorując jego reakcję. – Zanim zabiorę obraz, muszę wystać opinię o stanie, w jakim zachował się obiekt, a ty będziesz musiał poinformować linie lotnicze. Potrzebuję miejsca w pierwszym rzędzie i pozwolenia na przewiezienie obrazu wózkami widłowym. Ludzie Li zrobili już dla nas skrzynię.

– Skrzynię?

– Do przewozu. Utrzymuje obraz w odpowiednim położeniu. Musimy zabezpieczyć go materiałami ochronnymi, potem umieścić w specjalnej ramie, a następnie w skrzyni, więc tę kwestię też będziesz musiał załatwić z ochroną lotniska. Wszystko musi wyglądać superoficjalnie. Im bardziej potraktujemy obraz jak bezcenne dzieło, tym większa szansa, że w domu aukcyjnym zrobią to samo. Paszport na razie zatrzymam. Zawieziesz mnie do warsztatu?

– A co ja jestem, twoim pieprzonym szoferem?

– Coś w tym stylu.

Rybny jak zwykle czał się na dziedzińcu. Na widok da Silvy uniósł do góry papierową torbę.

– *San Giuseppe. Ho portato le zeppole*²⁰.

Da Silva przetłumaczył, gdyż nadal ledwie rozumiałam, co mówi mój ochroniarz.

– Dzisiaj jest Świętego Józefa. Salvatore przyniósł ciastka.

– Powinniśmy to uczcić!

– Świętego Józefa?

– Nie, idioto! Obraz. Kupmy szampana, później przygotujemy kolację. Powinniśmy zaprosić Li.

– *Li? Il cinese?*²¹

20 San Giuseppe... (wł.) – Świętego Józefa. Przywozłem zeppole.

21 Il cinese? (wł.) – Chińczyka?

– Wiesz, co? Ten twój nonszalancki rasizm naprawdę mnie nie pociąga. Tak, tego Chińczyka, który być może właśnie ocalił ci życie. Pomyślałam, że powinniśmy kupić mu prezent.

Godzinę później staliśmy z Li naprzeciw *Kobiety z wachlarzem II*. Zamknęłam oczy i otworzyłam je, żeby spojrzeć na obraz tak, jakbym widziała go po raz pierwszy. Li wykorzystał pozę z wersji, którą oglądaliśmy w Essen, ale zmienił linię głowy, by nadać dziewczynie poważniejsze spojrzenie ze *Złota ich ciało*. Nasza modelka była naga od pasa w górę, a jej szal miał kolor płomiennego szkarłatu przechodzącego w ciemniejsze śliwkowo-szare tło, które przy krawędzi łączyło się z magentą i ciemnymi odcieniami zieleni. Skóra i włosy kobiety były bardziej śniade niż na obrazie z Essen, a na trzonku wachlarza z białych piór zamiast okrągłego, trójkolorowego wzoru widniał wytłoczony, zwinięty, srebrny wąż (Gauguin przez cały okres swojej twórczości wplatał w obrazy motywy biblijne – nawet jego Tahitanki można postrzegać jako egzotyczne Ewy lub Madonny). Zamiast rzeźbionego krzesła daliśmy kobiecie drewniany stołek wyłożony czarno-białą mozaiką, a nad jej ramieniem, tam gdzie na esseńskim obrazie niebieska plama przywodziła na myśl niebo, unosił się złotogłów w kolorze chmury z płatkami muśniętymi różem. Kolejny symbol – kwiat mitycznych Pól Elizejskich. Byłam bardzo dumna z tego pomysłu. Gauguina nigdy nie interesował realizm. Ludzie pokroju Mackenzie Pratt uważają, że są bystrzy, gdyż znaleźli „nieściśności” w sposobie przedstawienia przez artystę Polinezji, a w rzeczywistości zupełnie nie rozumieją jego stylu. Wszystkie przedmioty malowane przez Gauguina były zdeformowane i zreformowane przez patrzący na nie podmiot, dlatego namalowanie nieodpowiedniego kwiatu zupełnie nie przeszkadzało człowiekowi, który gardził ideą przedstawiania natury w sposób „ograniczony”, to znaczy zgodnie z tym, co widzi oko. Miałam nadzieję, że dom aukcyjny w taki właśnie sposób wyjaśni tę kwestię w katalogu.

Przez długi czas przyglądaliśmy się kolorom, pozwalając naszym oczom zlać się z obrazem.

– Jest pani zadowolona? – zapytał w końcu Li. – Uważam, że to najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek stworzyłem.

Nie musieliśmy mówić nic więcej, ponieważ ja też tak uważałam.

Najlepszym szampanem, jaki udało nam się zdobyć w supermarkecie w Siderno, był *moët*, ale Rybnemu smakował. Tworzyliśmy dziwne towarzystwo tego wieczoru, ale dzięki trzem butelkom czegoś, co Salvatore nazwał *monsciando*, było całkiem wesoło – do tego stopnia, że nasz stróż zostawił strzelbę na zewnątrz. Li pojawił się w ciemnym garniturze, białej koszuli i pięknie zawiązanym krawacie. I z bukietem białych narcyzów, które wręczył mi na powitanie. Ja dałam mu bilet z Londynu do Amsterdamu, który po południu kupiłam w biurze podróży. Najwyższy czas, by odwiedził Rijksmuseum. Usłyszawszy o tym, da Silva uniósł brwi, ale zapewniłam go, że Li wróci.

– Może nawet nawiążemy współpracę, jeśli ta akcja wypali! Mogłabym przenieść galerię tutaj. Li jest niesamowity!

Da Silva spojrzał na mnie obojętnie.

– To znaczy... później, kiedy już wrócisz z Rzymu.

– Jasne. Wspaniały pomysł.

Podczas kolacji Romero zachowywał się wobec Li bardzo uprzejmie. Zjedliśmy makaron z ciecierzycą, a potem przyniesione przez Rybnego *zeppole*, czyli prążkowane pączki posypane cukrem. W ten sposób uczciliśmy dzień Świętego Józefa, chociaż zawsze wydawało mi się, że akurat ten święty nie miał czego świętować. Rybny mówił niewiele – powtarzał tylko swoje imię przy każdym łyku szampana, co skądinąd ułatwiło rozmowę. A rozmawialiśmy, jak to we Włoszech, głównie o jedzeniu, choć przy okazji dowiedziałam się też trochę więcej o Li. Okazało się, że Chińczyk mieszka w Italii od trzydziestu lat, ale nie licząc podróży do Essen, nigdy nie wyjeżdżał z kraju. Zjeździł za to cały Półwysep Apeniński, oglądając wszystkie możliwe dzieła sztuki. Później, kiedy Li wyszedł, a Rybny zajął swoje

stałe miejsce na dziedzińcu, da Silva otworzył butelkę barolo i usiedliśmy przy stole, delektując się papierosami.

– Dzięki. Nie znoszę moëta.

– Snobka.

– Nie jestem snobką. Po prostu lubię rzeczy dobrej jakości.

– Jasne. Widziałem twoje mieszkanie w Wenecji. Było... eleganckie.

Mogłam powiedzieć da Silvie, jak bardzo się poczułam wzruszona faktem, iż sadowiąc na moim fotelu szkielet Alvina Spencera, znalazł chwilę, by dostrzec wystrój, ale dowcipy już nam się trochę przejadły, więc po prostu mu podziękowałam za miłe słowo.

– Lubisz to, prawda? Mieć pieniądze?

– Tak. Dzięki temu mogę robić to, co chcę. Przynajmniej przez większość czasu.

– Chciałbym się dowiedzieć, jakie to uczucie.

– Co, bycie bogatym? Myślałam, że ty i Franci odliczacie czas do waszej luksusowej emerytury w Wenezueli.

– Nie o to mi chodziło. Jak to jest... robić to, co się chce.

– A czego ty byś chciał? Gdybyś nie poszedł do *Guardii*?

Romero zaciągnął się mocno papierosem.

– W moim mieście? Mój tata cały czas pił z gliniarzami, więc wstąpienie do *Guardii* było dla mnie czymś naturalnym. Mówili też, że mógłbym zostać inżynierem budownictwa.

– Grrr. Znowu ci „oni”. A gdyby „ich” nie było? Co wtedy?

– Nigdy o tym nie myślałem. Tutaj to tak nie działa.

Kiedy jechałam z lotniska London-City do siedziby domu aukcyjnego – Rupert przysłał po obraz furgonetkę, a po mnie limuzynę – miasto wydawało mi się rozległe i dziwne. Wyjeżdżając z portowych równin, widziałam horyzont poszarpany dźwigami i coraz wyższymi budynkami, kolonie nowych bloków i wysokich magazynów. Dopiero kiedy minęliśmy Smithfield i wjechaliśmy do centrum, Londyn znów wydał mi się znajomy, chociaż bardziej ruchliwy i lśniący, niż go zapamiętałam. Najwyraźniej na zbyt długo

zaszyłam się na końcu świata. Na Shaftesbury Avenue złapałam się na tym, że co chwila zerkam na swoją twarz w lusterku kierowcy. Kiedy podczas Biennale – tuż po otwarciu Gentileschi – kilkakrotnie mijałam się z Rupertem w tłumie, z pewnością mnie nie rozpoznał. Czy dzisiejsze spotkanie przywoła jego wspomnienia? Tego wieczoru, gdy zwolnił mnie z pracy, otwarcie wyraziłam swoją opinię na jego temat. Gdyby ktoś nazwał mnie pizdą i tłustym, nadętym beztalenciem z wielką dupą, na pewno bym go zapamiętała. No, ale ja nie byłam tłustym, nadętym beztalenciem z wielką dupą.

W Wenecji Rupert nie rozpoznał Judith Rashleigh z prostego powodu: zwyczajnie nie spodziewał się jej tam spotkać. Pamięć to często kwestia kontekstu, skojarzeń. Wydaje ci się, że pamiętasz, jak wygląda koleś, który co rano parzy dla ciebie latte z odtłuszczonym mlekiem, ale kiedy nie będzie miał na sobie stroju baristy i charakterystycznej przypinki z imieniem, możliwe, że nie rozpoznasz go na ulicy i miniesz bez słowa. Pomyślałam o portierach, ale uznałam, że tutaj pomoże mi obowiązująca w domu aukcyjnym ścisła hierarchia. Klienci cały czas wchodzili i wychodzili i nawet gdyby któryś z odźwiernych dostrzegł podobieństwo pomiędzy jednym z gości a byłym pracownikiem, na pewno nie wypadłoby mu o tym wspomnieć. Zostawały więc dziewczyny w recepcji – „półka z przyprawami”, jak je czasem nazywano – ale gdy pracowałam w British Pictures, wszystkie wyglądały praktycznie tak samo: euroksiężniczki z błyszczącymi grzywami, które w przerwach pomiędzy wypadami na narty zajmują się rozdawaniem katalogów, były zbyt skupione na polowaniu na męża, by zwrócić uwagę na niepozorną stażystkę. W tamtych czasach nie stanowiłam dla nich żadnej konkurencji.

Wyglądziłam klapy żakietu. Siderno nie miało wiele do zaoferowania w temacie luksusowych marek, ale tak jak podejrzewałam, był tam nieźle zaopatrzony outlet. Wybrałam luźny, granatowy kostium od Céline, a do tego delikatną, szarą koszulkę z krótkim rękawem i klasyczne brogisy. Wyglądałam bezpretensjonalnie, ale sprawiałam wrażenie pewnej siebie. Znałam

już historię odkrycia obrazu na pamięć, ale powtórzyłam ją sobie, kiedy furgonetka wjeżdżała na dziedziniec za domem aukcyjnym. Tam oczekiwał mnie Rupert we własnej osobie, dwa razy bardziej odpychający niż dawniej. *Dobra, Judith. Zaczynamy.*

Gospodarz uściśnął zdecydowanie moją dłoń – udawał, że pamięta nasze ostatnie spotkanie w Wenecji, ale było jasne, że nie dostrzega żadnego powiązania pomiędzy Elisabeth Teerlinc i Judith Rashleigh – po czym wlepiliśmy wzrok w tragarzy, którzy opuścili tylną rampę furgonetki i wypakowali obraz na wózek, zachowując przy tym taką ostrożność, jakby wyjmowali pacjenta z karetki. Następnie ruszyliśmy uroczyście za wózkiem do piwnicy. Podążając znaną mi płataniną korytarzy do magazynu, minęliśmy piękny, choć nieco arogancki portret Bronzina i lektykę z siedzącym wewnątrz wypchanym Minionkiem – żart jednego z tragarzy. Uśmiechnęłam się pod nosem, wspominając, jaką szczęściarą czułam się kiedyś, schodząc tutaj i przebywając wśród tak wielu pięknych przedmiotów. Dotarliśmy do przygotowanego stołu i gdy tragarze zaczęli wypakowywać obraz, Rupert nachylił się zniecierpliwiony.

– Muszę przyznać, że nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę! – zagrział. Obaj tragarze posłusznie się odsunęli. Nie znałam ich, więc uznałam za stosowne się przedstawić.

– Elisabeth Teerlinc – powiedziałam stanowczo, wyciągając do nich rękę.

– Przepraszam! – zreflektował się Rupert. – To jest Jim, a to...

– Malcolm, proszę pana – dodał starszy z mężczyzn.

Rupert ostentacyjnie ustawił lampę ultrafioletową i obejrzał z bliska cały obraz, najpierw za pomocą staromodnego szkła powiększającego, a następnie specjalistycznej lupy. Wydawał przy tym sapiące odgłosy uznania znane mi z czasów, gdy dla niego pracowałam. Tym razem starałam się jednak nie wzdrygnąć.

– Bardzo piękny. Rzeczywiście, bardzo piękny.

– Też tak uważam.

– Co o tym sądzisz, Jimie?

Rupert uśmiechnął się cierpliwie jak czuły rodzic pytający o opinię

swe dziecko.

– Wygląda całkiem wiarygodnie.

Lekko się rozluźniłam. W British Pictures najlepsze oko zawsze mieli tragarze.

– Jeśli pani chce, chłopcy mogą zacząć od razu – odezwał się Rupert.

– Oczywiście.

– Niestety, musi pani podpisać sporo papierów. Przyślę kogoś z działu, a potem na pewno miałyby pani ochotę na filiżankę herbaty...

Afektowana nonszalancja dobrze wróżyła. Nawet bardzo dobrze. Rupert zachowywał się tak, jakbym przyniosła keks na kiermasz kościelny, a to oznaczało, że niczego nie podejrzewa. Wysłał wiadomość z telefonu i po zadziwiająco krótkim czasie pojawiła się młoda dziewczyna z imponującą burzą preraphaelickich, złoto-rudych loków. Ubrana była w tani, czarny kostium, który miał sprawiać dobre wrażenie, ale z pewnością nie był w stanie nikogo zwiędzić. Mimo to wyglądałaby bardzo ładnie, gdyby przed chwilą nie nałożyła zbyt dużo pudru na swoją cudowną, bladą twarz, a świecąca z tyłu lampa UV nie ujawniła faktu, że niedawno płakała. Makijaż najwyraźniej miał ukryć to przed Rupertem.

– Czy to ten obraz? – zapytała z silnym akcentem z Yorkshire, po czym odwróciła się w moją stronę i zdecydowanym gestem wyciągnęła dłoń.

– Nazywam się Pandora Smith i jestem asystentką Ruperta. Miło mi panią poznać, pani Teerlinc.

Akcent z Yorkshire? „Miło mi panią poznać”? Co się, do cholery, stało z British Pictures?

– Przyniosłam dokumenty, Rupes. Proszę je przejrzeć, pani Teerlinc, i podpisać tutaj, tutaj i... tutaj.

Rupes? Byłam tak osłupiała, że niemal podpisałam się swoim prawdziwym nazwiskiem. Złożyłam autograf na formularzach, które powierzały Gauguina opiece British Pictures i upoważniały dom aukcyjny do zbadania jego autentyczności, Pandora zaś zaczęła

cierpliwie, aż schowam wieczne pióro, a potem zrobiła krok w przód, by spojrzeć na obraz.

– Późno datowany – odezwała się po długim, acz nieskrępowanym milczeniu. – Nasycenie tła w stosunku do bliższych planów jest nieproporcjonalnie wysokie. Technika oszczędna.

– A to nam przypomina? – zapytał łagodnie Rupert.

– Włoskich prymitywistów. Zmiana w nakładaniu farby była charakterystyczna dla okresu przejściowego między naturalizmem a symbolizmem w latach tysiąc osiemset osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt dziewięć.

– Bravo! Czyż nie jest cudowna? Prawdziwy skarb naszego działu.

– Idealnie – wymamrotałam.

Co tu się, kurwa, dzieje? Rupert zachęca asystentkę, by popisała się swoją wiedzą?

Pandora wykonała coś, co przypominało skinienie głową, i zniknęła w korytarzach magazynu.

– Prosto z Edynburga. Wspaniała dziewczyna – oznajmił Rupert, po czym się zreflektował. – Dobrze, w takim razie, może napijemy się tej herbaty? Musi być pani wykończona po tak męczącej podróży.

To, co jeszcze zostało z mojego pogardliwego spokoju, runęło doszczętnie, kiedy dotarliśmy do wychodzącego na Prince Street lobby. Ujrzałam co prawda dobrze mi znane ozdobne schody, ale poza tym dom aukcyjny zmienił się nie do poznania. „Półka z przyprawami” nadal była widoczna, ale dziewczyny sprawiały wrażenie, jakby rzeczywiście pracowały, a nie umawiały się do kosmetyczki albo wypatrywały przechodzących miliarderów. Przygnębiającą niegdyś poczekalnię umeblowaną ciężkimi, wiktoriańskimi sofami zmieniono na kawiarnię z ogródkiem. Kilka zupełnie zwyczajnych osób siedziało w niej przy jaskrawozielonych szklankach ze szkła z Murano, racząc się czymś, co podejrzenie przypominało zielone smoothie. Wśród ustawionych na trotuarze stolików kręcił się młody, brodaty kelner w zabawnym firmowym

fraku British Pictures i podtrzymywanych szelkami rurkach. Rupert przywołał chłopaka i poprosił o dzbanek earl greya oraz talerz herbatników cynamonowych.

– Bardzo smaczne. – Rupert pałaszował ciasteczka, które podano nam na usypanym z cukru pudru logo domu aukcyjnego. Widząc, jak rozsypuje wkoło okruchy, ucieszyłam się, że przynajmniej niektóre rzeczy się nie zmieniły. – I ekologiczne. Pieczemy je tutaj, wie pani, na miejscu.

– Tak, psychota. Pamiętam je z ostatniej wizyty – skłamałam. – W zeszłym roku wpadłam na aukcję Dawnych Mistrzów.

– Och, trzeba było do mnie zadzwonić.

– Byłam przejazdem, a wie pan, jak to jest z podróżami.

– Oj wiem, wiem. W zeszłym miesiącu sam w ciągu tygodnia odwiedziłem Maastricht i Miami. – W głosie Ruperta pobrzmiwała nieskrywana duma. – Cóż, pozwolę sobie wyznać, panno Teerlinc, że jesteśmy doprawdy zachwyceni, iż wybrała pani nasz dom aukcyjny. A jeśli to faktycznie Gauguin...

Spojrzałam w pożądlive, zatopione w fałdach tłuszczu oczy i przez ułamek sekundy zobaczyłam dawnego Ruperta. Nie miał pojęcia, co dla niego przygotowałam.

– Proszę mi mówić Elisabeth. Jeśli to możliwe, przed prezentacją chciałabym się rozejrzeć po dziale.

– Oczywiście, oczywiście! Planowałem zacząć około piątej. – Rupert szarmancko wziął moją teczkę i poprowadził mnie do schodów. – Jak długo zostaniesz w Londynie?

– Och, tylko do wieczora. Muszę wracać do galerii. Ale oczywiście będziemy musieli spotkać się ponownie, za jakiś miesiąc.

– Może wybierzemy się na coś mocniejszego? By uczcić naszą współpracę.

– Mój klient z przyjemnością postawi szampana! – odparłam z entuzjazmem.

Widok kawiarni przygotował mnie na to, co czekało w dziale malarstwa europejskiego na pierwszym piętrze. Zgodnie z moimi oczekiwaniami przykurzona senność, którą pamiętałam z dawnych

czasów, została skutecznie wymieciona. Większość ekspertów pracowała ze słuchawkami na uszach, od czasu do czasu odwracając się na obrotowych krzesłach od błyszczących maców, by skonsultować cenę lub inny szczegół.

– Gorące biurka – wyjaśnił Rupert. – Wprowadziliśmy je w zeszłym roku. Usprawniają pracę.

– Czy to katalog czerwcowej aukcji? – zapytałam, wskazując widniejące na jednym z ekranów prace impresjonistów.

– W rzeczy samej. Wielka aukcja, nasze pierwsze podejście do amerykańskiego malarstwa dwudziestowiecznego. Jesteśmy bardzo podekscytowani sprzedażą de Kooninga.

– Którego?

– Cóż, będziemy mieli *Intersection*.

Zagwizdałam.

– No, no, jestem pod wrażeniem.

De Kooning był obecnie najdroższym artystą, a na ostatniej aukcji jego praca osiągnęła cenę trzystu milionów funtów.

– Zauważyliśmy, że nasi klienci wolą mieć do wyboru dzieła z różnych części świata i z różnych okresów. Dlatego robimy aukcje mieszane.

– Święta prawda, Rupercie – rozpromieniłam się. – Te stare kategorie są już takie nie na czasie.

Nie mówiąc o tym, że jeśli zgromadzi się dzieła wszystkich najmodniejszych artystów na jednej aukcji, istnieje większa szansa, że kupujący będą o nie walczyć, windując ceny.

– Może zechciałabyś obejrzeć mój gabinet, Elisabeth?

Kiedy tylko przekroczyliśmy próg pokoju Ruperta, natychmiast zrozumiałam, że koncepcja gorących biurek najwyraźniej nie dotyczy szefa. Być może nie pozwalały na to przepisy BHP.

Po chwili rozległo się pukanie do obitych skórą drzwi.

– To musi być Charlie. Charles Eagles, nasz główny licytator. – Rupert nadal miał przyklejony do twarzy firmowy uśmiech, ale nie mogłam nie usłyszeć obrzydzenia w jego głosie.

– A więc to ty jesteś tą dziewczyną, która znalazła Gauguina! –

Mówiący przeciągle mężczyzna o niskim głosie musiał być mniej więcej w moim wieku. Był wysoki, szczupły, z tenisową opalenizną, intensywnie błękitnymi oczami, które otaksowały mnie z czułością grzechotnika przedstawianego królikowi, i bujną czupryną w kolorze kawy opadającą na kołnierzyk wytaliowanej koszuli Turnbull&Asser. Nie nosił krawata.

– Elisabeth Teerlinc. Chyba się już poznaliśmy – powiedziałam, wyciągając rękę. Charlie uściśnął ją i nachylił się, by fachowo musnąć dwa razy moje kości policzkowe. Tak naprawdę nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, ale Eagles i tak miał to gdzieś. Został ściągnięty przez British Pictures z Nowego Jorku po kilku sezonach rekordowych aukcji dla „Tamtych”, jak nazywaliśmy konkurencyjne domy aukcyjne. W „Vogue’u” pisano o jego „wyjątkowo niefrasobliwym połączeniu wytwornej elegancji i wielkomiejskiej nonszalancji” – prezentował ubrania dla Mr. Portera, umawiał się z aktorkami dość sławnymi, by dostał rolę w *Gorączce*, a do tego miał dwa miliony followersów na Instagramie. Niemal zrobiło mi się żal Ruperta. Eagles ewidentnie był totalną cipą, ale i tak bym go przeleciała.

– W takim razie, skoro dołączył do nas Charlie – oznajmił Rupert, spoglądając ostentacyjnie na zegarek – możemy zaczynać.

– Przepraszam za spóźnienie, Rupes. – Ton głosu Charlesa był radośnie bezczelny. – Lunch u Isabel, wiesz, jak jest. – Eagles wyrócił oczami i posłał mi spojrzenie w stylu „co za nudziarz”.

Rupert począłpał do drzwi i klasnął w dłonie.

– Proszę wszystkich o uwagę! Czy możecie podejść? To jest Elisabeth Teerlinc z galerii Gentileschi. Mam nadzieję, to znaczy, *my* mamy nadzieję, że przywiozła nam Gauguina!

Otworzyłam laptopa, czekając, aż pracownicy działu – zauważyłam, że brakuje wśród nich Pandory – zgromadzą się w gabinecie Ruperta. Następnie odczekałam, aż zapadnie cisza, a potem jeszcze chwilę, aby zbudować odpowiednie napięcie. Charles opierał się o ścianę i czytał wiadomość na telefonie.

– Czy jesteśmy gotowi? Dziękuję. Jak słyszeliście, jestem

właścicielką galerii mieszczącej się w Wenecji. W zeszłym roku spędziłam trochę czasu na przeglądaniu archiwów Banca di Società Mutuale w Palermo i w jego zasobach znalazłam to oto dzieło. – Otworzyłam na ekranie proste zdjęcie obrazu na białym tle i wszyscy, łącznie z Charlesem, nachylili się nad komputerem. – Od razu zauważyłam...

Nie opisałam momentu emocjonującego odkrycia ani radości z rozpoznania potencjalnego dzieła. To było dla amatorów albo pijarów. My byliśmy profesjonalistami, których interesują skomplikowane szczegóły dotyczące przedmiotu wystawianego na aukcję, to wszystko. Rzeczowa, praktyczna, beznamiętna, za taką chciałam uchodzić.

Przedstawiłam historię obrazu, przebieg badań, proveniencję. W skrócie opisałam zabiegi wykonane przez Mariangelę, dodając, że restauratorka wykorzystała tę samą technikę usuwania werniksu, którą zastosowano w J. Paul Getty Museum w Nowym Jorku przy obrazie Gauguina *Arii Matamoe*. Zgromadzeni zaśmiali się życzliwie przy wzmiance o sosie pomidorowym i pokiwali ze zrozumieniem głowami na wieść o dendrochronologicznym potwierdzeniu wieku drewna. Opowiedziałam o analizie pigmentów i zgodności z techniką malarską Gauguina. Kompetentna, precyzyjna, pewna siebie. O tym kiedyś marzyłam, taka chciałam być – w tym właśnie miejscu, w obecności takich właśnie ludzi, zainteresowanych i pełnych szacunku. Obserwowałam ich twarze i w każdej dostrzegłam moment olśnienia, dopuszczenia możliwości, decydującą chwilę przejścia od nadziei do wiary. Bo każdy miłośnik sztuki najbardziej chce właśnie wierzyć. Na ostatnim ekranie widniał cytat z samego Gauguina:

*Moje artystyczne centrum znajduje się w moim mózgu, nie zaś gdzie indziej, a mocny jestem dlatego, że nigdy nie dałem się innym zbić z tropu i maluję to, co tkwi we mnie*²².

– Oczywiście wy dysponujecie dalece większą wiedzą i to ona zdecyduje, czy moje... sugestie są trafne – zakończyłam swą relację,

22 H. Perruchot, Gauguin, przeł. H. Olędzka, Warszawa 1976, s. 272.

posyłając Rupertowi najbardziej niewinne spojrzenie, na jakie potrafiłam się zdobyć. – W imieniu nas wszystkich pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że się potwierdzą. Dziękuję.

Gdy klaskali, skromnie wpatrywałam się w swoje buty. Na kilka magicznych sekund sama uwierzyłam w tę historię. Smyczki w ścieżce dźwiękowej zabrzmiały głośniejszy, a za oknem tęcza zatańczyła nad St. James's Square. Oto ja, zwycięska, zrehabilitowana. Tyle że, jak to zwykle w życiu bywa, wiedziałam, że wszystko to są koszarne bzdury.

Przeprosiłam zgromadzonych i wyszłam do łazienki – oczywiście nie zapomniałam wcześniej zapytać o drogę. W głębi duszy spodziewałam się ściany wodnej i neutralnego płciowo japońskiego kibelka, ale damska ubikacja nadal wyposażona była w rząd starych pocziwych sedesów. Usłyszałam, że za zamkniętymi drzwiami ktoś płacze. Tłumiony szloch, wstrzymany na chwilę, by po chwili wybuchnąć na nowo krótkimi spazmami. Łzy pełne złości. To musiała być Pandora. Spędziłam wystarczająco wiele czasu w tych kabinach, tłumiąc swój gniew, by rozpoznać odgłos wydymanej przez Ruperta podwładnej.

Poczekalam przy umywalce, aż dziewczyna otworzy drzwi.

– Kłopoty z facetem? – zapytałam, wpatrując się we własne odbicie. Pandora się wzdrygnęła.

– Och, pani Teerlinc. Tak mi przykro, czyżbym przegapiła... Nie miałam pojęcia. O, cholera! – Znowu napłynęły jej łzy, więc odwróciła głowę i z wściekłością otarła oczy.

– Nie chciałybyś się napić herbaty? Mam parę minut. Mogłybyśmy zejść tylnymi schodami i pójść do Crown Passage.

Spojrzała na mnie rozmazana, z zaczerwienionymi oczami.

– Dziękuję, chętnie.

Zmoczyłam zimną wodą papierowy ręcznik.

– Najpierw przyłóż to do powiek. Pożegnaj się i spotkamy się na miejscu.

Na schodach domu aukcyjnego Rupert ciepłym gestem ujął oburącz moją dłoń. Ciepłym – czytaj spoconym.

– Imponująca prezentacja. Oczywiście zapoznamy się ze wszystkimi szczegółami, a potem do akcji wkroczą spece!

W barze po drugiej stronie ulicy było duszno od zapachu tłuszczu i skrzepłego londyńskiego słońca. Kupiłam dwie herbaty w kubkach z grubej, białej porcelany i słodką bułeczkę. Pandora wyjęła z ciasta jedną ze spalonych porzeczek, a potem odsunęła talerzyk.

– Słusznie. Stoją tu od czasu, kiedy Rupert był asystentem.

– Rupert...

– Czyli nie chodzi o chłopaka? Więc może o dziewczynę?

– Nie. Drobna sprawa z dzisiejszego poranka.

– Nie chcę się wtrącać, po prostu wydawałaś się bardzo smutna. – Pozwoliłam, by niewypowiedziane pytanie zawisło ze współczuciem w powietrzu.

Pandora odgarnęła z czoła niesforne loki i pociągnęła łyk herbaty.

– Wszystko w porządku, dziękuję. Przepraszam, nawet pani nie znam. Musi pani uważać mnie za kompletną idiotkę.

– Umiem dotrzymać tajemnicy.

– Panno Teerlinc...

– Elisabeth.

– Elisabeth... Ma pani własną galerię, prawda?

– Tak. Gentileschi.

– Widzi pani, tego właśnie pragnę. Żeby któregoś dnia... Wie pani, jak popracuję już trochę w British Pictures... Ale dziś rano. – Widziałam, że dziewczyna chce mi się zwierzyć, ale hamuje ją chęć pozostania w moich oczach profesjonalistką. Czarny kostium był rozdarty przy kołnierzyku i nieudolnie zszyty. Zrobiło mi się jej szkoda.

– Ile masz lat, Pandoro?

– Dwadzieścia pięć.

Dzieliły nas tylko cztery lata, ale czułam się jak staruszka.

– Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku – Boże, brzmiałam też jak staruszka – miałam mały kłopot z klientem. Czy tobie zdarzyło się

coś podobnego?

– Tak. Rupert kazał mi pojechać... z wizytą.

Wiedziałam dokładnie, dokąd Pandora miała się udać. Do otynkowanego na biało budynku na St. John's Wood, gdzie za ciężkimi, zaciągniętymi zasłonami wisiała cenna kolekcja, a jej właściciel czekał, aż Rupert przyśle jakąś ładną dziewczynę. Pułkownik Morris, który próbował zgwałcić mnie i Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze młodych kobiet. Przytaknęłam, czekając, aż Pandora sama przerwie narastającą ciszę.

– No więc... ten facet strasznie się do mnie przystawiał. Ohyda. Nie chodziło tylko o lekkie macanie.

– Powiedziałaś o tym Rupertowi?

– Oczywiście! Natychmiast wróciłam i kazałam mu zadzwonić na policję. – Pomyślałam, że Pandora należy do innego świata niż ja. Świata, gdzie bezpieczeństwo jest prawem i nie podlega negocjacji. A przynajmniej tak jej się wydawało i w to wierzyła.

– I co powiedział Rupert?

– Że zanim wniosę jakąkolwiek skargę przeciwko puł... przeciwko klientowi, powinnam poważnie zastanowić się nad swoją przyszłością.

– Aha.

– Przepraszam, nie powinnam ci tego opowiadać. To niestosowne. Proszę, zapomnij o tym, co powiedziałam.

– Ma rację.

– Co?

– Pandora, to, co powiedziałaś w magazynie, świadczy o tym, że jesteś bystrą, inteligentną i ambitną dziewczyną. Ten facet... On cię nie...

– Nie. Sprzątaczką przyszła wcześniej i uciekłam.

– Więc nic ci się nie stało. Jesteś roztrzęsiona, ale nic ci się nie stało. Musisz to przełknąć. Dasz radę. Jesteś silna. Założę się, że pewnego dnia otworzysz własną galerię, a te dwa gnojki będą zaledwie prochem na twoich butach. Punkcikami w twojej pamięci. Nie spieprz tego z powodu jakichś cnotliwych mrzonek

o sprawiedliwym świecie. W British Pictures nie ma sprawiedliwości. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co cię spotkało, ale musisz myśleć praktycznie. Oczywiście, mogłabyś zacząć kampanię w sieci, puścić w świat hashtaga...

– Naprawdę tak pani myśli?

– Czemu nie? Ale co z tego, że milion osób napisze na twojej stronie „Dajesz, dziewczyno!”, skoro nadal będziesz bez pracy?

– Och...

– Wszystko zależy od tego, czy chcesz dostać trochę uwagi i kilka dni wsparcia, czy bardziej zależy ci na karierze. Co ci zapewni wygraną? Utrata pracy, ciągnięcie się po sądach, gdzie pewnie przegrasz, czy zaciśnięcie zębów i osiągnięcie sukcesu, na który zasługujesz?

– Nie myślałam o tym w ten sposób. Po prostu jestem strasznie zła.

– To dobrze. Złość jest potrzebna. Wściekłość zaprowadzi cię w różne miejsca.

Któż wie o tym lepiej ode mnie?

Pandora lekko się wyprostowała.

– Więc... mam to tak zostawić?

– Tego nie powiedziałam. Po prostu dokończ herbatę, umyj twarz i trzymaj się z dala od tego cholernego St. John's Wood.

– St. John's... Skąd pani wiedziała?

W tym momencie dzbanek z herbatą wydał z siebie syk przypominający pierdnięcie smoka i obie podskoczyłyśmy. Może ja podskoczyłam nieco wyżej niż Pandora. Nigdy nie opowiedziałam nikomu o tym, co się stało w mieszkaniu pułkownika Morrisa, ale mnie również wysłał tam Rupert. Pandora mu się wyżaliła, więc gdyby teraz wygadała się, że nowa klientka... *Nie, musisz z tego zręcznie wybrnąć. Przede wszystkim zachowaj twarz pokerzysty.*

Uniosłam brew.

– Rynek sztuki to mały świat. Powiedzmy, że plotki szybko się rozchodzą. Nic ci nie będzie. Dasz sobie radę. A jeśli dojdzie do aukcji Gauguina, wstawię się za tobą.

– Naprawdę? – Oczywiście, dziewczyno znowu zabłyśły, tym razem nie od

tez.

– Jasne. Ale teraz muszę już lecieć – zaczęłam zbierać swoje rzeczy. – Zaraz mam samolot. Powodzenia.

Wyszłam na wiktoriańską uliczkę, odwróciłam głowę i zerknęłam na Pandorę. Nadal siedziała na swoim miejscu – wyprostowana, zdeterminowana. Ale to nie oznaczało, że przestała być wrażliwa. Ani że ja w głębi duszy nie jestem wściekła.

15.

Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić na wieś i czekać. Wiedziałam, że dom aukcyjny potraktuje taki wyjątkowy obraz priorytetowo, ale i tak ewaluacja zajmie przynajmniej cztery tygodnie. Ponieważ fałszerze dzieł sztuki stosują coraz bardziej wyrafinowane metody, wielkie domy aukcyjne, by za nimi nadążyć, wykorzystują do badań coraz bardziej skomplikowane techniki. Li przedstawił mi szczegółowo najnowsze metody laboratoryjne. Spektroskopia emisyjna, w której do identyfikacji pigmentów wykorzystuje się laser, czy rentgenowska spektrometria fotoelektronowa używana do określania stopni utlenienia, a tym samym datowania obecnych w farbach związków metali, były w stanie z nadzwyczajną precyzją określić wiek zastosowanych materiałów. Ale my użyliśmy wyłącznie składników pochodzących z odpowiedniego okresu i materiałów, które Gauguin faktycznie mógł zdobyć. Pod tym względem byłam pewna, że *Kobieta z wachlarzem II* przejdzie ewaluację zaangażowanych przez Ruperta „speców”.

Obawiałam się jedynie o technikę malarską Li. Dopilnowaliśmy szczegółów związanych z użyciem werniksu, a kolory idealnie pasowały do innych tahitańskich prac Gauguina, ale pozostawała jeszcze kwestia sposobu nakładania farby. Dawniej malarze starali się naśladować technikę wielkich mistrzów, ale od czasów Gauguina szczególny sposób nakładania farby stał się znamieniem oryginalności. Sposób prowadzenia pędzla stał się indywidualny niczym podpis i ekspert z wprawnym okiem jest dziś w stanie dostrzec najmniejsze odstępstwo od stosowanej przez danego artystę techniki. Sprawić, by Gauguin wyglądał jak Gauguin, to żaden problem, trudniej przejść fachowe badania. Z drugiej jednak strony w zasadzie nie miałam powodów do obaw – nawet jeśli „specy” British Pictures odkryją, że *Kobieta z wachlarzem II* to fałszyfikat, albo

uznają, że jest kopią zaginionego obrazu. Cóż, przedstawiłam im swoją teorię, a oni ją obalili. To się często zdarza. A to, że Raznatović miał mnie zabić, jeśli obraz nie przejdzie ewaluacji, nie było problemem domu aukcyjnego, tylko wyłącznie moim zmartwieniem. Zresztą kilka tygodni po powrocie z Londynu moje mroczne przypuszczenia się potwierdziły: Raznatović tak czy inaczej planował mnie sprzątnąć.

Moja ostra zagrywka w negocjacjach z sycylijskim bankiem była jedynie próbą zmylenia przeciwnika. Umowa umową, ale tylko idiota oczekiwałby choćby grosza z pieniędzy, które ewentualnie udałoby się nam zdobyć na aukcji. Byłam bezbronna, zbędna, nikt mnie nie znał, a na domiar złego wiedziałam nie tylko o tym, jak powstał fałszywy Gauguin, ale też o biznesie z uchodźcami w porcie w Siderno, o da Silvie, Raznatovicu, o wszystkim. Wiedziałam, że się mną zajmą, bez dwóch zdań. Przewidywałam, że zastosują metodę zwaną przez Sycylijczyków *lupara bianca*, czyli „białą strzelbą”: moje ciało po prostu zniknie. A skoro nie ma ciała, nie ma też zbrodni. W dodatku nie było nikogo, kto by się zastanawiał, co też się ze mną stało. No, może z wyjątkiem Dave’a. Pytanie brzmiało jedynie: *kiedy?* Pomyślałam, że jeśli w British Pictures przyjmą obraz, będę bezpieczna aż do aukcji, ponieważ musiałam wszystkiego dopilnować. To oznaczało, że będę musiała wrócić do Londynu. Może spróbują zwabić mnie z powrotem do Włoch w związku z wypłatą mojego honorarium, a potem zrzucą mnie z Aspromonte? Tego mogłabym łatwo uniknąć, chociaż z drugiej strony, pokazane mi przez Raznatovicia zdjęcia mojej matki świadczyły o tym, że Serb ma swoich ludzi również w Anglii.

Obliczyłam, że po zapłaceniu za van Dongena na koncie Gentileschi w panamskim Klein Fenyves zostaną niecałe dwa miliony. Według kryteriów stosowanych przez większość ludzi to mnóstwo pieniędzy – tyle że użycie którejkolwiek z moich kart bankowych zostawiłoby trop, na który ktoś na stanowisku da Silvy wpadłby bez najmniejszego problemu. Jeśli chciałam w przyszłości użyć pieniędzy ze sprzedaży obrazu, musiałam założyć nowe konto, przenieść środki

i załatwić sobie kolejne lewe papiery. Mieszkanie w Wenecji oficjalnie należało do Elisabeth Teerlinc, więc tutaj wszelka zmiana wymagałaby dodatkowych kombinacji. A co potem? Dalej działać w świecie sztuki? Wypieprzać na Polinezję? Wziąć potajemnie ślub z Li? Żadna z tych opcji nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna.

Kiedy powierzywszy obraz domowi aukcyjnemu, wróciłam cała i zdrowa do Włoch, da Silva zabrał kopertę z moimi dokumentami i ponownie pojechał do Rzymu. Nie miałam nic do roboty, więc dni mi się potwornie dłużyły. Ucieczka nie byłaby wcale taka trudna. Ponieważ zrobiło się gorąco i całe dnie spędzałam na słońcu z książką, zdążyłam wszystko dokładnie przemyśleć. Doszłam do wniosku, że mogłabym nawet wrócić do swojej dawnej celi – nie miałam dokumentów, ale miałam dość pieniędzy, by grać na zwłokę i w jakiś sposób zdobyć papiery. Nieustannie analizowałam możliwe ryzyko i zagrożenia, ale była to raczej rozrywka pozwalająca oderwać się chwilowo od nudy niż próba ułożenia poważnego planu. Brakowało mi motywacji – z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam wygrać. A po drugie – i przyznanie się do tego zajęło mi sporo czasu – chciałam, by Romero był bezpieczny.

Minęły cztery tygodnie, potem jeszcze dwa. Da Silva nadal dzwonił codziennie, ale nasze rozmowy z czasem ograniczyły się do wymiany zdawkowych pytań i odpowiedzi. Nie miałam ochoty wypytywać go o jego życie w Rzymie. Kilka razy pojechałam do warsztatu, ale Li był zajęty pracą nad kolejnym dziełem – legalną reprodukcją Wiosny Botticellego, która miała zawisnąć w jakiejś okropnej nuworyszowskiej willi. Aby wyrwać się z domu, zaczęłam więc towarzyszyć Rybnemu w codziennych wyprawach na zakupy. Z początkiem sezonu brudna miejska plaża zaczęła się zapełniać, najpierw starszymi wczasowiczami, potem matkami z dziećmi. Czasami mijaliśmy grupki młodych mężczyzn z obozu kopiących wiaty przystankowe i palących skręty w ponurym upale na sklepowym parkingu. Zapytałam Rybnego, co robią całymi dniami.

– *Cazzo*. Wydają nasze pieniądze.

Nie mieli pozwolenia na pracę, ale niektórzy z nich dla zabicia czasu zgłaszali się na ochotnika do robót publicznych. W przeciwieństwie do mnie ich stan zawieszenia nie miał końca.

Również przeglądanie skrzynki mailowej da Silvy okazało się dość nudnym zajęciem. Nawet nie musiałam się specjalnie namęczyć, żeby się na nią włamać (swoją drogą, powinien sobie wymyślić bardziej skomplikowane hasło). Cała trudność sprowadzała się do wyciągnięcia baterii z jego laptopa. Udało mi się to zrobić po tamtej nieprzyjemnej rozmowie, którą odbyliśmy na promie do Mesyny – wymknęłam się do samochodu i wyjęłam baterię, co skądinąd nie było łatwe przy wietrze o sile sześciu stopni w skali Beauforta. Kiedy w hotelu Romero nie mógł włączyć swojego komputera, pozwoliłam mu skorzystać z mojego, a ten stary głupek nie zorientował się, że zainstalowałam oprogramowanie rejestrujące aktywność klawiszy. Specjalnie siedziałam wtedy dłużej pod prysznicem, żeby mógł spokojnie poszperać, a on skwapliwie skorzystał z okazji. Aż nie do wiary, że ludzie są tacy bezmyślni. Tego dnia Romero sprawdził trzy konta. Z pierwszego, prywatnego, wysłał wiadomość do Franci, żeby sprowadziła fachowca do zepsutego kaloryfera w łazience. Domowa sielanka. Drugie było oficjalnym kontem *Guardii* i wyszukiwanie w nim informacji było tak żmudne, że nawet Gandhi otworzyłyby przy tym paczkę chipsów. Przy trzecim miałam chwilowy problem. Była to skrzynka mailowa z adresem „rusticosiderno1”. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że da Silva niczego z niego wysłał, ale potem zajrzałam do folderu „Robocze”. Wiele razy się zastanawiałam, w jaki sposób Romero informuje Raznatovicia na bieżąco o postęпах z Gauguinem, a okazało się, że stosują wyrafinowaną, choć nieco już przestarzałą metodę. Obaj znali hasło do skrzynki, a wszystkie wiadomości były przechowywane w katalogu „Robocze”, dzięki czemu mogły zostać odczytane przez tego drugiego bez ryzyka, że zostaną przechwycone przez obcą osobę – chyba że też znała hasło. Hasło Raznatovicia brzmiało *miłośnik ikon*, tyle że pisane cyrylicą, a da Silvy – *custode*, czyli po włosku „strażnik”.

Komunikowali się po angielsku, przy czym ich lakoniczna korespondencja była pisana *en clair*, czyli niewinnie zaszyfrowanym językiem, w starym dobrym mafijnym stylu. Określali mnie mianem „lokatorki”, dom na wsi „lokałem”, a obraz „kobietą”. Ostatnie wersje robocze maili datowane były na dziewiętnastego marca, czyli dzień, w którym *lokatorka* została wysłana do Londynu, by przedstawić *kobietę*. Tamtego wieczoru wysłano też potwierdzenie, że *lokatorka wróciła do lokalu*. Sprawdzałam maile codziennie, ale szpiegowanie Franci przestało być ekscytujące, a Raznatović cierpliwie czekał. Najwyraźniej wiedział, jakimi prawami rządzi się świat sztuki.

Pewnego ranka, wracając z przebieżki, zauważyłam, że Rybnego nie ma na posterunku. Oczywiście, natychmiast sprawdziłam samochód, ale okazało się, że mój cerber zabrał kluczyki ze sobą. Dwa dni później jak zwykle wyruszyłam na trening, ale po chwili wróciłam z drugiej strony domu. Tam zaczekałam chwilę, aż zobaczyłam, jak Salvatore rusza w górę zbocza dróżką pośród drzew – tą samą, którą zazwyczaj biegałam. *Czyżby jednak mnie śledził?* Poszłam za Rybnym do lasu, trzymając się jakieś sto metrów z tyłu. Salvatore wspinał się bez przystanku przez jakiś kilometr – całkiem nieźle jak na staruszka – a potem skręcił w lewo na wąską ścieżkę, którą nigdy dotąd nie biegałam. Śledziłam go dalej w górę zbocza, aż wyszliśmy z lasu na skalisty szczyt. Tu usiadłam na kamieniu i zaczęłam nasłuchiwać. Po chwili pośród szumu lekkiego wiatru i śpiewu ptaków usłyszałam, jak Salvatore gwizdże. Ruszyłam natychmiast w las za odgłosem, żałując, że mam na sobie szorty do biegania, gdyż gałęzie i ciernie drapały mi nogi. Wkrótce jednak gwizdanie ucichło, a po chwili usłyszałam świst i głuchy odgłos uderzenia, jakby Rybny czymś rzucał. Nie chciałam, by się zorientował, że go śledziłam, więc nie podeszłam bliżej, tylko wspięłam się z powrotem na wzgórze i pobiegłam na farmę, gdzie długo rozciągałam się na dziedzińcu, czekając na powrót swego strażnika.

Nazajutrz serią sprinterskich podbiegów dotarłam na wzgórze,

a potem skręcałam na ścieżkę, którą poprzedniego dnia wybrał Rybny. Aby nie zostawić na suchej ziemi śladów, szłam brzegiem dróżki. Po około trzydziestu metrach dotarłam na polanę, a właściwie prześwit pomiędzy wysokimi skałami, gdzie czekałam dzień wcześniej. Było bardzo zielono i bardzo cicho. Z jednej strony skały tworzyły sklepienie nad przejściem prowadzącym do wąskiej grotty. Obok na ziemi leżał jakiś przedmiot owinięty w brezent. Kopnęłam go. Łopata. Zrobiłam kolejny krok i zobaczyłam płytkie, mniej więcej trzydziestocentymetrowe zagłębienie wykopane z trudem w twardej ziemi. *Świetnie*. Rybny kopał grób.

Dziwnym zbiegiem okoliczności tego samego dnia przyszedł w końcu drugi mail od Ruperta. Mój dawny szef z radością poinformował mnie, że po dogłębnych badaniach ekspertów dom aukcyjny ma przyjemność potwierdzić autorstwo obrazu, i poprosił, bym w imieniu mojego klienta włączyła Gauguina do kolekcji wystawianej na czerwcowej aukcji. Nadto British Pictures zaproponował mi – oczywiście o ile mi to odpowiada – kilkutygodniową gościnę w Claridge's, dzięki czemu mogłabym uczestniczyć w różnych wydarzeniach organizowanych dla kupujących oraz w samej aukcji. Natychmiast zadzwoniłam do da Silvy.

– Potrzebuję paszportu, muszę jechać do Londynu. Obraz przeszedł.

– Nie wydajesz się zadowolona. Myślałam, że się ucieszysz?

– Cóż, sześć tygodni w tej dziurze odebrałoby radość życia nawet Pollyannie.

– Co?

– Nieważne. Jak szybko możesz mi go przysłać?

– Sam ci go przywiozę.

– Nie ma potrzeby, żebyś jechał taki szmat drogi. Ustaliliśmy, że pojedę do Londynu sama. Tak będzie dyskretniej. Salvatore odwiezie mnie na lotnisko.

– Powiedziałem, że go przywiozę. Przyjadę jutro.

– W porządku, niech będzie. A teraz muszę się zobaczyć z Li. –

Ucięłam rozmowę bez pożegnalnego *ciao*. Najbardziej zabołał mnie fakt, że zaplanowali to tak mało subtelnie. Da Silva uważał, że nie jestem warta nawet przyzwoitego pogrzebu. Kulka w plecy w lesie i sturlanie do dziury w ziemi, bez trumny. *Bezczelny palant*.

Li skończył Botticellego. Kupiec chciał, by obraz był dwa razy większy niż przechowywany w galerii Uffizi oryginał, więc dzieło zajmowało całą ścianę warsztatu.

– Co się stało z kolorami?

Delikatną temperę *Wiosny* zastąpiono błyszczącymi akrylami.

– Tak życzył sobie klient.

– To zbrodnia.

– Wiem.

– Słuchaj, Li. Pamiętasz, co powiedziałam w Essen? Wiesz, że możesz robić inne rzeczy. Nie musisz gnić w tej dziurze. Jesteś wspaniałym malarzem, prawdę mówiąc, geniuszem. Spece z British Pictures właśnie to potwierdzili.

Chińczyk wyglądał na zmieszanego.

– To nie takie proste. – Rozejrzał się ostrożnie. Rybny czekał na parking, więc nie słyszał nas nikt oprócz pozostałych fałszerzy.

– Oni mnie nie puszczą.

Znowu ci „oni”.

– Na litość boską, Li, nie jesteś niewolnikiem. Masz paszport. Widziałeś datę na bilecie do Amsterdamu? – Wykupiłam mu lot na szóstej czerwca, dzień po tym, jak Gauguin pójdzie pod młotek. Zastanawiałam się, czy Li wie cokolwiek o grobie w lesie. *Oczywiście, że tak. Tego właśnie się boi.* – Spisałam kilka przydatnych adresów w Amsterdamie. Zajrzyj do koperty. Przemyśl to. Będziesz śledził aukcję?

– Oczywiście!

Uścisnęliśmy się na pożegnanie.

Da Silva pojawił się następnego dnia wczesnym rankiem, wymięty i spocony. Jechał całą noc. Czekałam na niego w progu domu w otoczeniu brązowiejących liści szafirków. Spakowałam swoje najlepsze weneckie stroje, chociaż i tak pierwszą rzeczą, jaką planowałam zrobić po przyjeździe do Londynu, były poważne zakupy. Elisabeth Teerlinc będzie miała fantastyczną garderobę na swój ostatni występ.

– Judith! Czyż to nie cudowne?

– Daruj sobie. Jedziemy?

Przez całą drogę do Reggio nie odezwałam się ani słowem. Da Silva wyglądał na bardziej zdruzgotanego niż kiedykolwiek dotąd. Zatrzymał się przed wejściem do strefy odlotów, przy znaku „Kiss and Fly”.

– Do zobaczenia na aukcji. Możesz dzwonić do mnie jak zwykle. Jeśli chcesz.

– Oczywiście, że chcę. A potem... wrócisz tu ze mną?

– Nie widzę powodu. Kwestie finansowe możemy załatwić w Londynie.

... gdzie będzie mnie znacznie trudniej sprzątnąć.

– Oczywiście.

A cóż innego mógłby powiedzieć?

– Myślałem tylko, że moglibyśmy...?

– Co?

– Nic. Miłego lotu. I powodzenia!

– Cześć, Romero. Chciałabym móc powiedzieć, że było miło.

16.

– Pani do Clarigde’s?

– Tak, dziękuję.

Kierowca pomógł mi wsiąść do samochodu, a potem poszedł na tył, by zapakować moje bagaże. Nauczyłam się już udawać, że nie zauważam tych drobiazgów i że akceptuję je łaskawie jak coś, co mi się należy, ale tym razem, kiedy wjeżdżaliśmy do Mayfair, pozwoliłam sobie poczuć ten ukryty dreszczyk rozkoszy. Zrobiliśmy z Li coś nadzwyczajnego. Nie chodziło mi jedynie o zuchwałość całego przedsięwzięcia, ale o umiejętności, dzięki którym nam się udało. Naprawdę oszukaliśmy British Pictures! I chociaż maskarada, w którą się zaangażowałam, okazała się wyczerpująca, to płynące z niej profity były bardzo przyjemne. Hotelowe lobby ze ścianami w kojącym, kremowo-cytrynowym kolorze i czarno-białą, marmurową podłogą, mój apartament na drugim piętrze, wielki bukiet świeżych, białych róż z podpisanym przez Ruperta liścikiem, milczący, profesjonalny szacunek obsługi hotelowej. Gdybyż tylko moja namesis nie przybyła na imponujących jak jej duma szpilkach od Louboutina... Ledwie zdążyłam zamówić kanapkę z homarem, gdy zadzwoniono z recepcji i poinformowano mnie uprzejmie, że na dole oczekuje mnie panna Belvoir.

Noż kurwa! Znałam tylko jedną pannę Belvoir – Angelicę. Zetknęłyśmy się jedynie przez chwilę, pracując w British Pictures, ale to właśnie ona wysłała Alvina Spencera do Wenecji. Dostrzegłszy bowiem Elisabeth Teerlinc na zdjęciu z weneckiego Biennale, Angelica wspomniała swemu niedoszłemu szwagrowi (siostra Alvina była zaręczona z bratem Angeliki) o podobieństwie Elisabeth do Judith Rashleigh i namówiła biedaka, by się ze mną skontaktował. Nie mam pojęcia, czy Alvin zrobił to, by mnie szpiegować, czy też faktycznie chciał u mnie odbyć praktyki – nie zdążyłam tego sprawdzić, gdyż przeleciałam go w swoim weneckim mieszkaniu,

a potem udusiłam apaszką od Hermès, kiedy chciał uwiecznić nasze spotkanie dla potomności. Prawdę mówiąc, po tym, jak da Silva skutecznie pomógł mi się pozbyć ciała Alvina, myślałam, że mam już ten problem z głowy i nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś spotkam Angelicę. Nie pracowała już w domu aukcyjnym, więc co tutaj, do diabła, robiła?

Przeglądając się w perłowym blasku łazienkowego lustra, wykonałam kilka rozpaczliwych gestów wokół twarzy i włosów. Nie najlepszy moment na szybką koloryzację. Wiedziałam, że jeśli Angelica mnie rozpozna, całą aukcję szlag trafi, a wtedy... Przed oczami stanął mi obraz Rybnego kopiącego dół w gorącej, zeschniętej ziemi. Nie miałam wyjścia – musiałam stawić jej czoło. A przynajmniej zyskać na czasie. Szybko upięłam włosy w luźny kok. Nie dotarłam w końcu do fryzjera w Siderno i po kilku miesiącach moje włosy przypominały dawną, żalostną fryzurę Judith. Kiedy obróciłam głowę, by złapać kok spinką, na policzku błysnęła mi srebrzysta linia blizny. Przyzwyczaiałam się do maskowania jej korektorem, ale przed podróżą samolotem nie zawracałam sobie głowy makijażem. Judith Rashleigh nie miała blizny, więc za pomocą szminki i wacika lekko ją podkreśliłam. Jedyne, co mogłam jeszcze zrobić, to wzmocnić mój europejski akcent. Elisabeth Teerlinc pochodziła przecież ze Szwajcarii. Podniosłam słuchawkę hotelowego telefonu.

– Mówi Elisabeth Teerlinc z pokoju 203. Proszę przekazać panie Belvoir, żeby poczekała na mnie łaskawie w barze Fumoir. Za chwilę do niej zejdę.

Było tuż po siódmej, świetny moment na drinka. Przypominający palarnię opium lokal w stylu art déco był słabo oświetlony, a poza tym obowiązywał w nim bezwzględny zakaz robienia zdjęć. To dobrze, bo obsesja Alvina Spencera na punkcie selfie kiepsko się dla niego skończyła. Kiedy weszłam do baru, Angelica wstała, by się ze mną przywitać. Była wysoka, jasnowłosa i patykowatochuda – dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam. Miała na sobie długą sukienkę od Dolce & Gabbana w deseń przypominający makaron farfalla. Na

jej tle moje dzinsy i bawełniana koszulka wydawały się po podróży wymięte i okropnie nieświeże. Najwyraźniej zdolność Angeliki do wprawiania mnie w zakłopotanie i irytację nie straciła na sile. *Świetnie*. Wyciągnęłam sztywno rękę.

– Elisabeth Teerlinc. Przepraszam, nie spodziewałam się. Pani jest...

– Angelica. Angelica Belvoir. Rupert mnie przysłał, bym panią przywitała. Jesteśmy bardzo podekscytowani!

Na razie zachowywała się z egzaltacją, ale była w jej oczach swoista czujność, której nie widziałam, kiedy przechadzała się po domu aukcyjnym.

– Rupert?

– Och, tak, przepraszam. Kiedyś pracowałam w British Pictures, ale teraz jestem wolnym strzelcem. Zajął się promocją w mediach społecznościowych.

– Fascynujące!

Kelner postawił przed nami dwa kieliszki szampana. Wypiłyśmy po łyku i uśmiechnęłam się wyczekująco.

– Tak, niesamowite, nieprawdaż?

Dalej się uśmiechałam. Nie miałam zamiaru ułatwiać jej zadania, chociaż serce waliło mi tak głośno, że Angelica musiała je słyszeć pośród subtelnych dźwięków granych na pianinie klasyków. Lekko się wyprostowała. Przez chwilę rozważałam, czy nie pociąć jej kieliszkiem od szampana i nie zwiać.

– Och, prawie bym zapomniała! Rupert prosił, bym to pani przekazała.

Trzy katalogi przygotowane na czerwcową aukcję, a w nich błyszcząca wkładka na temat *Kobiety z wachlarzem II*. Wyglądała przepięknie, naprawdę przepięknie. Z grzeczności zerknęłam na inne strony.

– Mamy też de Kooninga i inne fantastyczne dzieła. Cezanne, Utrillo...

– Wspaniale.

– Tak więc – kontynuowała Angelica, znajomym gestem odgarniając z twarzy kosmyk włosów – chcemy jak najszybciej zacząć

nagłaśniać aukcję i pani niezwykle odkrycie. To będzie ogromne wydarzenie!

Zaczęła mi wyjaśniać swoją strategię związaną z kampanią na Instagramie, ale jej przerwałam.

– Angelico – zaczęłam. – Może dziwnie to zabrzmiało, ale czy znasz mężczyznę o imieniu Alvin Spencer?

Lepiej ją zaskoczyć, na wypadek gdyby coś podejrzewała. Zamilkła. Obserwowałam jej twarz. Była zakłopotana, ale nie zdziwiona.

– Cieszę się, że pani o to spytała. Znałam pani nazwisko, widziałam je kiedyś na Facebooku. Próbowałam napisać do pani w zeszłym roku, ale...

Usunęłam konto Gentileschi z mediów społecznościowych, jak tylko poznałam Alvina.

– Byłam zajęta wprowadzaniem pewnych zmian. Dokonywałam zakupów dla prywatnych klientów. Pytam o Alvina, ponieważ przyszedł do mojej galerii w Wenecji. To było chyba... w zeszłym roku? Miły chłopak. Jak się miewa?

Lekko, łatwo i przyjemnie.

– Och, przepraszam, ale to dość... hmm... niezręczne. On... cóż... Alvin umarł.

– O, Boże! To okropne. Chorował? Wydawał się...

Teraz pozostało mi tylko grzecznie wysłuchać wyjaśnień Angeliki na temat tragicznego zniknięcia Alvina. Dyskretnie dałam znać kelnerowi, by przyniósł kolejne dwa kieliszki, które starczyły nam do momentu odnalezienia ciała Alvina we Włoszech. Słuchając, wydawałam z siebie zwyczajowe dźwięki sugerujące bezinteresowne współczucie, utrzymywałam wzrok na twarzy Angeliki i co jakiś czas dotykałam jej ręki. W jej opowieści pobrzmiwała nuta oszołomienia i niedowierzania, że coś tak okropnego mogło się zdarzyć w jej otoczeniu.

– To takie... smutne – zakończyła. – Był uroczy i uwielbiał sztukę. Niestety nie potrafił... po prostu nie potrafił zwalczyć uzależnienia.

– To naprawdę tragiczne – przytaknęłam.

Angelica nachyliła się w moją stronę.

– Czy mogę panią o coś zapytać?

Oto chwila prawdy.

– Kiedy panią zobaczyłam, byłam pewna, że panią znam. Oczywiście, wiedziałam, jak się pani nazywa, ale... Czy nie zna pani kobiety o imieniu Judith? Judith... eee... Rashford czy jakoś tak? – Jej swoboda i poufalskość zdradzały, że dokładnie zaplanowała zadanie tego pytania.

– Przykro mi, nigdy o niej nie słyszałam.

– Po prostu... Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pani dokładnie tak jak ona. Pracowała kiedyś w British Pictures.

– Może mam sobowtóra! – zaszczebotałam. Tego właśnie słowa użył Alvin. Angelica przyglądała mi się bacznie w czerwonej poświacie barowych lamp.

– Prawdę mówiąc, nie do końca. Pani jest dużo ładniejsza!

Odruchowo dotknęłam policzka, żałując nagle, że sala nie jest lepiej oświetlona.

– To bardzo miłe z pani strony. Prawdę mówiąc, trochę się tego wstydzę. Pamiętka z dzieciństwa, wypadek na nartach.

– Och, biedactwo. Nawet nie zauważyłam. Ja też mam bliznę, na kolanie! Kitzbühel. Miałam dziesięć lat.

Rozmowa zesłała na temat stoków. Angelica wydawała się bardziej rozluźniona, a nawet przekonana. Przecież przyszła tu, by mi się podlizać. Po pięciu minutach przerzucania się nazwami alpejskich kurortów wyjaśniła mi szczegóły planowanej sesji zdjęciowej, która miała „wyciec” do mediów społecznościowych, by zainteresować aukcją szersze grono odbiorców. Poza tym telewizja Sky News chciała przeprowadzić ze mną wywiad, wpłynęły też zapytania od kilku tygodników. *To znaczy, że będę musiała zadzwonić do matki. Cudownie.* Zbyt długo przebywałam poza granicami Anglii. Widząc zmiany, które zaszły w British Pictures, powinnam się była spodziewać medialnej fety, ale skupiałam się przecież na innych sprawach. A teraz miałam zrobić jakiś cholerny podcast o Gauguinie. W czasach, kiedy pracowałam w British Pictures, sprzedawcy zwykle woleli pozostać w cieniu. W katalogu wystarczyło wpisać „Właściciel

anonimowy” lub nazwisko marszanda. Dawniej aukcje odbywały się w atmosferze dyskrecji. Oczywiście, wielkie pieniądze przyciągały uwagę, ale dopiero po fakcie. Teraz jednak wszyscy chcieli być sławni i śpiewali z zapamiętaniem do lustra w łazience, marząc o tym, aby to ich wybrano, aby to oni dostali się do finału. Angelica, która, jak mnie z dumą poinformowała, miała trzydzieści trzy tysiące followersów na Instagramie, najwyraźniej była w tych sprawach bardziej do przodu niż ja. Tłumaczyłam sobie, że to miło i powinnam się cieszyć, kiedy ktoś w końcu znalazł swoją niszę i robi karierę – o ile robienie selfie na charytatywnych pokazach mody można nazwać karierą – ale tak naprawdę w środku przepełniało mnie rozgoryczenie. Dlaczego czułam się przy niej taka... małomiasteczkowa?

Co prawda udało mi się rozwiać podejrzenia Angeliki dotyczące mojej tożsamości, ale kiedy marząc o filiżance prawdziwej, angielskiej herbaty i łóżku, wyszłam w końcu z Fumoir, poczułam na sobie jej spojrzenie i po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Cześć, kochanie! Jak się masz?

Zamieniliśmy z matką parę zdań, poruszając typowe dla naszych sporadycznych rozmów tematy: omówiliśmy pogodę (do bani), po czym spytałam, co matka porabia (nic specjalnego) i co się dzieje w sąsiedztwie (to, co zwykle).

– Mamo, jestem w Londynie.

– Och, to miło.

– Tak, ale... Posłuchaj, jest coś, o czym powinnam ci pewnie powiedzieć wcześniej... – Przerwałam, słysząc jej gwałtowny wdech. – To nic poważnego. Po prostu... Przyjechałam tutaj sprzedać obraz. Jako właścicielka galerii.

– To dobrze, prawda?

– Tak, wszystko idzie świetnie, ale chodzi o to, że kiedy zakładałam galerię, zmieniłam nazwisko. To było już wieki temu. W gazetach pojawią się informacje o aukcji, a nie chciałam, żebyś doznała szoku.

Zapadła cisza.

– Mamo, jesteś tam?

– Przepraszam, stawiałam czajnik na gazie. Posłuchaj, rozumiem. To nawet lepiej, biorąc pod uwagę to... co się stało.

A stało się to, że największym powodem do chwały Judith Rashleigh z Liverpoolu było nakrycie jej ze zwłokami pięciomiesięcznej siostry.

– No tak...

Innym typowym elementem naszych pogawędek były okropne momenty milczenia na końcu.

– Trzymaj się, mamo.

– Na razie, Judy. Kocham cię.

Nieprawda, wyszeptalam, kiedy się rozłączyła.

Po tygodniach spędzonych w spartańskim domu na wsi cudownie było poczuć na skórze delikatną pościel Pratesi, ale nawet najdelikatniejsza tkanina nie była w stanie wprawić mnie w tak błogi stan, bym mogła wyrzucić z pamięci obraz Angeliki. Jakie miałam możliwości? Pozbycie się jej nie powinno nastrożać kłopotów, ale byłoby głupie. Może jakiś szantaż? Da Silva zręcznie zaaranżował odnalezienie ciała Alvina i Angelica najwyraźniej tyknęła historię o przedawkowaniu, ale może Romero mógłby zrobić coś jeszcze? Wymyślić jakiś sekret, którego ujawnienie skompromitowałby rodzinę Alvina? Z drugiej strony, dlaczego Elisabeth Teerlinc miałaby się zajmować takimi sprawami? Atakując Angelikę, tylko bym się zdemaskowała.

Odwróciłam się z boku na plecy i przez chwilę leżałam, wpatrując się w sufit. Przynajmniej matka nie robiła afery. Zawsze była najślabszym punktem w nieudolnej rozgrywce pomiędzy moją przeszłością a terażniejszością. Z praktycznego punktu widzenia powinnam była pozbyć się jej wiele lat temu, ale jakoś nie znalazłam na to czasu. Wątpiłam, by komuś się wygadała, a jeśli nawet, to mogła to zrobić najwyżej przed bandą pijaków w pubie, jednak

wiedziałam, że w dobie mediów społecznościowych wystarczy jeden twitt jakiegoś plotkarza, by ktoś inny połączył zapomniany artykuł z „Liverpool Echo” z twarzą kobiety, która właśnie żartuje na kanapie z Eamonnem Holmesem. A wtedy przykrywka Judith Rashleigh stałaby się warta mniej niż jej „Gauguin”.

Jak duże jest ryzyko? To było chyba najważniejsze pytanie, jakie zadawałam sobie przez ostatnie pięć lat. Odmowa udziału w przygotowanej przez Angelicę akcji promocyjnej wyglądałaby podejrzenie. Poza tym poświęciłam mnóstwo czasu na to, by pogrzebać dawną siebie, i w tej chwili prawie wcale jej nie przypomiinałam, więc dopóki moja kochana stara matka będzie trzymała gębę na kłódkę, ryzyko wydawało się niewielkie. W swoich podejrzeniach Angelica opierała się jedynie na przypadkowym podobieństwie, a blizna na moim policzku prawdopodobnie zabiła ją z pantałyku. Wszystko, co mogłam i co powinnam była zrobić, to zachować spokój.

Zamknęłam na chwilę oczy, a potem zapaliłam światło i wzięłam do ręki katalog. *Kobiecie z wachlarzem II* poświęcono rozkładówkę. Drugą zajmowała inna gwiazda, czyli *Intersection*, przy czym abstrakcyjna praca Kooninga wydawała się nijaka i rachityczna w porównaniu z promiennymi kolorami na naszym obrazie. A przecież zdjęcie i tak nie oddawało subtelnej gry odcieni, która wyszła spod pędzla Li. Przesuwałam opuszkami palców po katalogu jak wróżka odczytująca karty tarota – coraz mocniej i szybciej, aż zahaczyłam papier paznokciem, odrywając fragment w lewym dolnym rogu, gdzie szal kobiety zlewał się z ramą. Mimowolnie przypomniałam sobie wizytę w Essen i chwilę, kiedy Li przykucnęła, by uchwycić na zdjęciu krawędź obrazu, lecz przeszkodziła mu ta cholerna karlica. Gwałtownie się wyprostowałam. Mackenzie Pratt! Angelica wspomniała o obrazie Maurice’a Utrillo. *Przecież kolekcja Mackenzie składa się głównie z dzieł impresjonistów i postimpresjonistów!* Pozostawiając smugi potu na szerokich, jasnych marginesach, powoli odwróciłam kolejne strony i w końcu znalazłam Utrillo – dość przeciętny obraz przedstawiający jedną

z niezliczonych scen ulicznych z Montmartre'u. Chociaż wiedziałam, co zobaczę, zmusiłam się do przeczytania nazwiska sprzedawcy: „Własność pani Mackenzie S. Pratt”. S jak szpieg, S jak szyderstwo, S jak sabotaż. *Mackenzie wystawia obraz na aukcji, więc będzie w Londynie.* Wiedziałam, że rozdarłam papier w najważniejszym punkcie Gauguina. Technika. Jedyny element obrazu, w który kiedykolwiek wątpiłam. W British Pictures nie zwrócili na niego uwagi, ponieważ skupili się na całej fakturze dzieła. Poza tym widzieli to, co chcieli zobaczyć. Ale jeśli nasz obraz miał jakąś wadę, to właśnie w tym miejscu. I czekała ona na kogoś, kto nie chce uwierzyć. Na kogoś takiego jak Mackenzie Pratt. Kobietę, która wprost powiedziała, że nienawidzi Gauguina. I która widziała mnie w Essen.

17.

W pierwszym odruchu chciałam z samego rana pobiec do domu aukcyjnego i jeszcze raz obejrzeć Gauguina, ale po nocy pełnej niepokojących snów uznałam, że lepiej tego nie robić. Jeśli Angelica obserwowała mnie swoim świdrującym wzrokiem, to każdy ruch sugerujący, że mam jakieś wątpliwości, mógł budzić podejrzenia. Dzieła przeznaczone na czerwcową aukcję miały być prezentowane w następnym tygodniu, przez trzy dni. Wiedziałam, że Mackenzie Pratt bez wątplenia pojawi się na koktajlu zaplanowanym przez British Pictures na premierowy wieczór i do tego czasu moje wątpliwości dotyczące jej i techniki naszego chińskiego artysty będą musiały poczekać. Tymczasem spędziłam poranek na Bond Street, fundując karcie kredytowej Gentileschi najintensywniejszy od dawna trening. Odwiedzając metodycznie kolejne butikie, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że zbroję się na ostatni bój, ale uznałam, że jeśli już mam zginąć, to równie dobrze mogę to zrobić w stroju od Saint Laurenta.

Kiedy około południa weszłam pewnym krokiem do holu Claridge's, zadzwoniła moja komórka. Widząc, że rozpaczliwie próbuję odebrać telefon, uprzejmy konsjerż pospieszył, by wziąć ode mnie torby.

– Elisabeth? Tu Rupert. Jak się masz? Czy dobrze o ciebie dbają?

Przywykłam już do tej nowej jowialności Ruperta, więc odpowiedziałam:

– Wspaniale, dziękuję. A co u ciebie?

– Cóż, dużo się dzieje. Była już dzisiaj u nas prasa. Angelica Belvoir powiedziała, że miło sobie pogawędziłyście.

– Jest świetna, prawda? – zaszczebotałam.

– Tak sobie myślałam, czy miałybyś czas, żeby zjeść dzisiaj ze mną kolację w klubie.

– Oczywiście, Rupercie.

Zastanawiałam się, którą z twierdz establishmentu na Pall Mall wybierze. Athenaeum? Travellers ze sławną biblioteką? A może Brook's, gdzie lubił sobie kiedyś ucinać popołudniowe drzemki?

– Wspaniale. W takim razie spotkajmy się w... Soho House. – Rupert był najwyraźniej niezwykle uradowany tym pomysłem. Naprawdę szedł z duchem czasu.

– Cudownie.

– Dean Street 76. O ósmej?

– Nie mogę się doczekać.

Historia odnalezienia *Kobiety z wachlarzem II* pojawiła się w trzech dziennikach o zasięgu ogólnokrajowym oraz w porannym wydaniu „London Evening Standard”. Przeczytałam je wieczorem podczas pedicure w spa Elemis. Napisano, że Gauguin jest własnością włoskiego banku, ale wspomniano również o Elisabeth Teerlinc i Gentileschi oraz podano ceny poprzednich dzieł Gauguina, szczególnie nadchodzącej aukcji i przypuszczenia dotyczące ceny wywoławczej. Dziwnie się czułam, widząc czarno na białym coś, co wymyśliłam – mam tu na myśli zarówno obraz, jak i osobę. Pięć godzin później wypielegnowana, wymuskana, wydepilowana i ufryzowana Elisabeth Teerlinc wyłoniła się z salonu – opanowana i wytworna jak kobieta z niegdysiejszych marzeń Judith Rashleigh. Zapomniałam już, ile czasu zajmują te ceregiele. Podczas zakupów próbowałam sobie przypomnieć, w co Judith Rashleigh mogłaby się kiedyś ubrać. Kiedy skończyłam wzdrygać się na wspomnienie swego dawnego, niedojrzałego stylu, pomyślałam, że Rupert i Angelica widzieli mnie tylko w starym, czarnym kostiumie, który nosiłam w pracy, więc ograniczyłam się do kilku strojów w klimacie neutralnej elegancji oraz o kilka centymetrów podcięłam włosy, które postanowiłam od tej pory zawsze upinać, by bardziej odsłonić bliznę. Były to niewielkie zmiany, ale kiedy przed spotkaniem z Rupertem obejrzałam się w lustrze, kobieta w białej, wiązanej pod szyją bluzce od Gucciego i z ascetycznie odsłoniętą twarzą jedynie

w minimalnym stopniu przypominała dawną asystentkę w znoszonym ubraniu.

Przyszłam do klubu pierwsza i zajęłam stolik obok grzejnika na tarasie georgiańskiego budynku, by przed pojawieniem się Ruperta spokojnie zapalić. Klub wydawał się ogromny – mnóstwo sal i salek ze ścianami w kolorze japońskiej herbaty matcha. Kwintesencja hipsterskiego banału. Facet przy stoliku obok, w dżinsach Nudie i z blond włosami w stylu George’a Michaela, narzekał na obowiązującą w lokalu zasadę „żadnych Maców po siódmej”.

Ustępstwo Ruperta na rzecz innej panującej tutaj reguły – „żadnych garniturów” – polegało na zdjęciu marynarki i krawata, co wywołało efekt falowania w okolicy jego boków, kiedy przeciskał się pomiędzy siedzącymi przy barze oryginałami.

– Właśnie się tu zapisałem – oznajmił z dumą, podając mi kieliszek szampana. – Mają filie na całym świecie. W Stambule, Bombaju.

– Tak... Jest... całkiem miło.

– A więc – Rupert nachylił się i chwycił nóżkę mojego kieliszka, zanim jego bęben przesunął stolik – z pewnością ucieszy cię wiadomość, że ustaliliśmy cenę wywoławczą dla naszej dziewczyny. Dwieście.

– To dobrze – odparłam tak spokojnie, jakbym codziennie zarabiała dziesięć procent z dwustu milionów.

– Rozsyłamy już fluffery.

– Fluffery?

– Taki nasz wewnętrzny żart. No wiesz, reklamy wstępne, do najważniejszych klientów.

Wiedziałam, czym jest fluffer. Sama napisałam ich kilka. Obszerny opis wartości inwestycyjnej obrazu mający zachęcić poważnych kupców do zadeklarowania udziału w aukcji. Nie wiedziałam tylko, czy Rupert jest świadom, skąd pochodzi ta nazwa, ale patrząc na jego pożądlive spojrzenie, miałam przecucie, że tak.

– Spotkaliśmy się z imponującym odzewem. Wysłał nam zapytanie sam Heydar Zulfugarly. – Rupert nachylił się, by móc cieszyć się moją reakcją.

– Ten od ropy?

– Właśnie.

Od momentu otwarcia Gentileschi śledziłam zarówno magazyny branżowe, jak i portale społecznościowe, by na bieżąco aktualizować informacje, kto, gdzie i co kupił. Czytałam o Zulfugarlym kilka razy, chociaż odniosłam wrażenie, że facet nie do końca interesuje się sztuką. Był raczej typem, który nadaje łodziom nazwy drugorzędowych żeńskich cech płciowych. Ale jako *kryształik*, czyli azerbejdżański oligarcha z pokolenia, które zbiło fortuny na przekształcaniu państwowego majątku w kapitał prywatny, był z pewnością niewyobrażalnie bogaty.

– Od kiedy jest waszym klientem?

– Podobno zakłada w Londynie jakąś fundację zajmującą się kulturą. To wspaniale, że postanowił coś ofiarować Azerom. – Nawet Rupert miał na tyle przyzwoitości, by rozejrzeć się wkóło, opowiadając te bzdury.

– Jeśli Zulfugarly jest zainteresowany, możemy liczyć na całkiem... konkurencyjne oferty.

– Dowiadywałem się już... Oczywiście dyskretnie. Dostaliśmy zapytania od... – Przewyciężywszy pewne trudności, Rupert wyciągnął z kieszeni telefon i przejrzał listę nazwisk. Wiele z nich znałam, ale musiałam pohamować zdumienie, kiedy zobaczyłam figurujące w wykazie muzeum Folkwang w Essen. *Obraz Li wiszący obok oryginału Gauguina...*

– Masz jutro sesję zdjęciową. Angelica zna się na tych wszystkich akcjach na Facergamie.

– Już się nie mogę doczekać.

– Wspaniale, wspaniale. Ale wróćmy na ziemię. Musisz być głodna. Na górze podają wyczesane rozbratle.

Wyczesane? Och, Rupercie.

– Pozwolisz, że najpierw zapalę? – Sięgnęłam po leżącą na stole paczkę, wyjęłam papierosa i spuściłam głowę, osłaniając płomień zapalniczki. Kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że Rupert się we mnie wpatruje. Nadal trzymałam w dłoni zapalniczkę – tanie,

pomarańczowe, plastikowe badziewie z kiosku, bo eleganckie zapalniczki, jak ta, której używał da Silva, wydawały mi się obciachowe. Rupert wyglądał na dziwnie zaskoczonego. I wtedy sobie przypomniałam.

Dave i ja, przycupnięci przed magazynem. Moja ręka osłaniająca drżący płomień zapalki. Rupert posyła mi pełne dezaprobaty spojrzenie, karcąc mnie za bratanie się z pracownikami fizycznymi. Skojarzenie przedmiotu, gestu i mojej twarzy. Kurwa.

Szybko zgasiałam papierosa.

– Wiesz, chodźmy jednak na górę. To obrzydliwy nawyk.

Rupert zamrugał szybko i rozejrzał się obojętnie po tarasie.

– Przepraszam, Elisabeth. Miałem małe déjà vu. Dokończ papierosa, jeśli chcesz.

– Nie ma sprawy, właściwie nie palę. Chodźmy na górę.

Gdybym kiedykolwiek marzyła o sławie, kilka kolejnych dni mogłoby mi się podobać. Podczas letniej posuchy informacja o bezcennym dziele, które przez lata wisiało niezauważone na kuchennej ścianie, była szalenie ekscytująca i „dziewczyna, która odnalazła Gauguina”, miała swoje pięć minut. Elisabeth Teerlinc udzieliła wywiadu Sky News, gawędziła w charakterystycznej, kiedy szminkowano jej usta i pudrowano twarz, pozowała uprzejmie na schodach przed domem aukcyjnym i na lunchu charytatywnym w galerii White Cube, podczas którego zbierano fundusze na akcję pod hasłem *Artists for Unity*. Skrzynka mailowa Gentileschi zapełniła się zaproszeniami na wystawy, przyjęcia i konferencje. Elisabeth udzieliła dwóch wywiadów włoskim gazetom i jednego „Prawdzie”, a przy tym wszystkim uśmiechała się, uśmiechała i uśmiechała.

Ponieważ nie mogłam zlikwidować Angeliki Belvoir, robiłam wszystko, by ją zneutralizować, i w tym celu zostałam jej nową przyjaciółką. Z początku, kiedy przepływałyśmy radośnie z koktajlu na sesję zdjęciową, a potem na kolejny koktajl, zauważyłam, że zerka na mnie z cieniem podejrzliwości muskającym jej pięknie nijakie rysy. Jednak inteligencja nie była jej domeną i znacznie łatwiej było jej uwierzyć, że Elisabeth Teerlinc, która przypadkiem

lubiła akurat te same rzeczy co ona, naprawdę jest tą, za którą się podaje. Uznałam, że im częściej Angelika będzie się spotykała z Elisabeth, tym mniej zostanie w jej pamięci miejsca na Judith. Założyłam zatem na Instagramie konto @gauguingirl – tylko po to, by obserwować Angelicę. Żadnego z jej postów nie zostawiłam bez komentarza, każdy z nich opatrując uwagami w stylu „łal” albo „cuuudne”. Umówiliśmy się, że latem razem zaszalejemy na Ibizie. Angelika zaproponowała nawet, że kiedy następnym razem będę na Manhattanie, możemy się spotkać z jej bratem i jego, już oficjalnie, żoną. Pomyślałam, że nawet Emily Post nie umiałyby doradzić, jak odpowiednio przedstawić się danej osobie, kiedy zamordowało się jednego z członków jej rodziny, ale tym się nie przejmowałam. Najważniejsze, że intryga, którą uknułam w Kalabrii, weszła w fazę realizacji.

Da Silva miał przyjechać do Londynu na aukcję, ale podejrzewałam, że zaraz po jej zakończeniu będzie próbował namówić mnie do powrotu do Włoch. Mimo to nadal miałam jeszcze szansę. Romero nie wiedział, jak wyglądają procedury w British Pictures, więc gdyby udało mi się go przekonać, że muszę wyjść, by podpisać jakieś dokumenty związane z przelewem dla Società Mutuale, mogłabym mu się wymknąć na cztery czy pięć godzin, a to by wystarczyło, by dotrzeć pociągiem do Paryża. I to wszystko. Gdyby nabrał podejrzeń, jako oficer *Guardii* mógłby wykorzystać swoje uprawnienia i zatrzymać mnie na granicy, ale nie miał pojęcia, że w podparyskim magazynie czeka na mnie van Dongen. To było moje zabezpieczenie. Pojechałam na St. Pancras i kupiłam za gotówkę bilet w jedną stronę, a potem zostawiłam go w pobliskiej przechowalni bagażu (oddalonej o trzysta osiemdziesiąt metrów, jak podano na stronie internetowej). Nie mogłam ryzykować, że da Silva znajdzie go w moich rzeczach.

Oczywiście pozostawało pytanie, co potem, ale nie zaprzętałam sobie nim zbytnio głowy, gdyż w miarę zbliżania się aukcji moje myśli coraz częściej wracały do Albanii i widoku osuwających się zwłok. No i obrazu Salvatore kopiącego mój grób. Do tego

uszminkowane usta Mackenzie Pratt wycierały z moich snów jak paszcza modliszki. Nie miałam jednak wyboru – musiałam wytrwać do aukcji. Co do Ruperta, był tak zajęty zacieraniem rąk na myśl o cudownym strumieniu pieniążków płynących do British Pictures, że zapomniał chyba o wątpliwościach. Mimo to pilnowałam się, by nigdy więcej w zasięgu jego wzroku nie sięgnąć po papierosa.

Niestety, intuicja mnie nie myliła i obawy związane z Mackenzie Pratt okazały się uzasadnione. Pierwszy atak nastąpił dwa dni przed pokazem – w postaci artykułu w „Guardianie”. Pratt, przedstawiana jako „wybitna i znana na całym świecie krytyk sztuki”, stwierdziła w nim, że British Pictures nie ma prawa sprzedawać obrazu „przypisywanego” Gauguinowi, ponieważ był on rasistowskim kolonialistą wykorzystującym młode Polinezyjki. W ciągu jakichś pięciu sekund pod artykułem posypały się komentarze domagające się wycofania obrazu, a nawet pojawiły się głosy zachęcające do bojkotu aukcji. Na szczęście tego samego wieczoru podczas staromodnego spotkania w Ivy Club Charles Eagles zauważył, że nie ma sensu przejmować się tego rodzaju opiniami, ponieważ ludzi, którzy piszą o domu aukcyjnym jako o obrzydliwym bastionie elitaryzmu, i tak nie stać na to, by coś w nim kupić. Zdaniem Charlesa wszelkie kontrowersje wokół aukcji działały jedynie na naszą korzyść.

Jednak działania Mackenzie mające na celu usunięcie *Kobiety z wachlarzem II* z listy wystawianych przedmiotów nie skończyły się na wypowiedziach w prasie i jakiś czas później zadzwonił do mnie Rupert.

– Elisabeth? Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale czy mogłabyś przyjść do mojego biura? Sprawa wygląda poważnie.

Właśnie rozkładałam na hotelowym łóżku potencjalne kreacje na nasz wielki dzień i zastanawiałam się, czy włożyć sukienkę do kolan i bez pleców, czy raczej długą suknię od Rolanda Moureta, obie w kolorze kości słoniowej. Ta druga wyglądała ciut weselnie.

– Co się stało? Jest jakiś problem? – Pomimo zdenerwowania zmusiłam swą dłoń, by w dalszym ciągu gładziła materiał sukienki.

– Można tak powiedzieć, ale wolałbym omówić to osobiście.

– Jesteś bardzo tajemniczy, Rupercie – odpowiedziałam zalotnie, ale w jego głosie nie wyczułam cienia serdeczności, kiedy w odpowiedzi rzucił, że będzie w biurze za piętnaście minut.

– Z samego rana dzwonił do mnie Solomon Mathis.

– Po co?

Mathis był poważną postacią, kuratorem Muzeum Królowej Zofii w Madrycie, gdzie dwa lata wcześniej zorganizował wielką wystawę prac Gauguina.

– Oznajmił, że kontaktowała się z nim Mackenzie Pratt.

Poczułam, jak znajoma lodowata pięść zaciska się wokół mojego serca.

– Mów dalej.

– Solomon wspomniał, że Pratt kontaktowała się również z kilkoma innymi ekspertami. Podobno chciała ich ostrzec, że twój obraz jest falsyfikatem.

Twój obraz, już nie nasz. Zamiana zaimka była jak plusk nurkującego szczura.

– Nie bardzo rozumiem, Rupercie. Przecież pani Pratt nigdy nie widziała obrazu.

– To prawda, ale twierdzi, że widziała ciebie. W muzeum Folkwang w Essen, fotografującą *Kobietę z wachlarzem*. W towarzystwie... hmmm... chińskiego współpracownika.

– Wiedziałaś, że odwiedziłam Folkwang, wspomniałam o tym w swoim raporcie. Obejrzenie jedynej znanej wersji obrazu było kluczowym elementem moich badań. Chyba oboje wiemy, Rupercie, co panna Pratt próbuje insynuować.

...że Chiny, a zwłaszcza Pekin, to zagłębienie utalentowanych fałszerzy sztuki. Strzał w dziesiątkę, Mackenzie.

– Abstrahując od profesjonalnych kompetencji panny Pratt, która

jest kolekcjonerką, a nie ekspertką, chciałabym zauważyć, że przywiozłam ci obraz w dobrej wierze. Uzasadniłam swoje podejrzenia, że może to być oryginalny Gauguin, i pozostawiłam tobie oraz ekspertom domu aukcyjnego ustalenie, czy mam rację. Potwierdzenie autentyczności wyszło od ciebie, nie ode mnie.

– Oczywiście, oczywiście, Elisabeth. Nie miałem zamiaru... – zaczął Rupert, ale nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Panna Pratt publicznie przyznaje się do swoich ideologicznych obiekcji wobec Gauguina, ale jeśli rzeczywiście wierzysz, że jej haniebne insynuacje są bardziej wiarygodne niż opinie twoich własnych ekspertów, masz tylko jedno wyjście. Wycofać obraz.

– Nie sugerowałem...

– Po prostu go wycofaj. Moje dobre imię jako marszandki ma niewielkie znaczenie wobec reputacji British Pictures, ale mimo wszystko muszę je mieć na uwadze. Mój klient z pewnością zgodzi się, że jeśli istnieje choćby najmniejsza wątpliwość co do autentyczności dzieła, powinno być ono natychmiast wycofane z aukcji.

Byłam pewna, że Rupert nie ma zamiaru posłuchać mojej sugestii. W grę wchodziła zbyt duża kasa, nie mówiąc o prestiżu. Moja gotowość do wycofania się z aukcji mogła jedynie utwierdzić go w przekonaniu, że warto wystawić obraz. Zmieniłam ton na łagodniejszy.

– Posłuchaj, ta kobieta rozpętała polowanie na czarownice. Czy tym zajmuje się British Pictures? Ocenianiem prac na podstawie prywatnego życia ich twórców? Wiem, że panna Pratt wystawia na aukcji swojego Utrillo. To dla ciebie ważny artysta. W porządku, kobieta ma prawo do swojego zdania. Ale naprawdę... na każdym kroku podkreślać, że Gauguin był rozpustnikiem, pił, miał kiłę, trzynastoletnią żonę i co tam jeszcze... Obraz to obraz.

– Pani Pratt będzie dziś wieczorem na pokazie – odparł Rupert w zadumie.

– Tym lepiej. Wszyscy jesteśmy dorośli. Nie wspominała o wycofaniu swojego dzieła, prawda? Myślę więc, że możemy

sprawdzić, jak bardzo jest pryncypialna. Jeśli nie chcesz wycofać *Kobiety z wachlarzem II*, nie rób tego.

18.

Ostatecznie włożyłam tę od Moureta, skromną i niezawodną. Planowałam przybyć na pokaz punkt szósta, licząc, że pierwszy raz od przyjazdu do Londynu dane mi będzie spojrzeć na Gauguina, ale przed wyjściem zadzwoniłam jeszcze do Rzymu, do da Silvy. Podtrzymywałam nasz zwyczaj codziennych rozmów, a tym bardziej – regularnego sprawdzania jego maili do Raznatovicia, chociaż ostatnio żaden z nich nie wspominał o „lokatorce”. Wcześniej przesałam inspektorowi link do antygauguinowskiej diatryby Mackenzie Pratt.

– Ale wszystko w porządku? Aukcja się odbędzie?

Chociaż miałam świadomość, że zupełnie mu na mnie nie zależy, zirykowało mnie to przypomnienie, iż myśli jedynie o aukcji.

– A dlaczego miałyby się nie odbyć?

– A u ciebie wszystko w porządku?

– A dlaczego miałyby być inaczej?

– Żałuję, że nie mogę być z tobą dzisiaj wieczorem.

– Mówiłam ci: wszystko jest w porządku. Sprzeda się. Bez obaw.

Pandora Smith powitała mnie wylewnie w holu. Wyglądała znacznie lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania, jednak efekt osiągnięty za pomocą czarnej, obcistej sukienki psuły zrolowane pod spodem grube rajstopy.

– Wspaniale panią widzieć. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z miejsca, w którym powiesiliśmy obraz.

Gauguin dostał całą ścianę w wystawowej części holu. Powieszono go na ciemnozielonym filcu, co podkreśliło uzyskaną przez Li grę cieni.

– Idealny wybór. Dobra robota.

Zrobiłam krok w tył, jakby kontemplując efekt, i zatrzymałam wzrok na lewym dolnym rogu obrazu. Nie dostrzegłam żadnego błędu w technice nakładania farby, ale nie byłam przecież ekspertką

od Gauguina.

Tymczasem Pandora z zapalem zajęła się innymi obowiązkami i zaczęła opowiadać o obrazie starszej parze Australijczyków.

– To znakomity przykład stylu późnego Gauguina – objaśniała. – Proszę spojrzeć na wyjątkowo płynne pociągnięcia pędzlem. W tym dziele naprawdę można poczuć, że artysta doświadczył duchowego wyzwolenia.

Para przytakiwała z powagą, gorliwie przenosząc wzrok z katalogów na obraz i z powrotem. *Złota dziewczyna!*, pomyślałam i w tym samym momencie usłyszałam głos dochodzący gdzieś zza mojego łokcia:

– Znam cię.

Powoli odwróciłam się i spoglądałam w dół na Mackenzie Pratt. Jej twarz jak zwykle kryła się za szklami okularów przeciwsłonecznych.

– Przepraszam, chyba nie zostałam sobie przedstawiona – odparłam chłodno.

– Widziałam cię w Essen, byłeś ze swoim chińskim kolegą.

– Ach, oczywiście... Pani jest zapewne Mackenzie Pratt. Miło mi poznać. Nazywam się Elisabeth Teerlinc. Czytałam pani tekst. Bardzo... zajmujący.

– Wiesz, co on robił tym dziewczynom? – wypaliła Mackenzie. – Tym, które malował? Zaraził je kiłą! Miały po trzysta lat, czterysta lat. Kiłą! Wiedziałaś o tym?

Australijska para odsunęła się dyskretnie.

– To bardzo ciekawe, prawda? To, że łatwiej nam oceniać artystę niż jego dzieła. Weźmy na przykład takiego Utrillo. Był alkoholikiem i zdaje się, że miał kłopoty z powodu obnażania się przed dziewczynkami, prawda? A jednak jego prace... – ciągnęłam, aż sala wypełniła się gawędzącymi gośćmi. Pod pozorem kulturalnej wymiany poglądów powoli osaczałam swą przeciwniczkę, która w końcu pod moim naporem zaczęła machać rękawami swojego kimona od Etro. Wyglądała jak sfrustrowany pingwin.

– Elisabeth, kochanie! – przerwała nam w końcu Angelica, stając za plecami Mackenzie z telefonem w ręce. – Możemy zrobić kilka

zdjęć?

Pomachałam do niej i przewróciłam oczami ponad ufryzowaną na boba głową Amerykanki.

– Cudownie było wreszcie panią poznać, panno Pratt. Powodzenia na aukcji! – rzuciłam Amerykance na pożegnanie.

Sala była już zatłoczona, toteż do końca wieczoru nie spotkałam już Mackenzie Pratt. Za to kiedy odbierałam płaszcz, podszedł do mnie pękający z dumy Rupert.

– Widziałem, że rozmawiałaś z Mackenzie. Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym.

– To dobrze. Jeszcze jedna sprawa, dość niezręczna. Widzisz tego faceta? To Willy Novak. – Rupert wskazał chudego, starego gościa w obcisłych, fioletowych dżinsach z burzą siwych włosów starannie ułożonych nad czołem. – W przyszłym tygodniu wydaje dla nas przedaukcyjny obiad w Sussex. Mamy nadzieję, że weźmiesz w nim udział. Niestety, podobno zaprosił też Pratt.

– To żaden problem, Rupercie. Poradzę sobie.

Wieczór był jeszcze wczesny, więc kiedy wyszłam na Prince Street, pomyślałam, że pomimo typowej dla londyńskiego czerwca pochmurnej i wilgotnej pogody wrócę do hotelu pieszo. Idąc dość wolno na szpilkach, dotarłam już do St. James's Street, kiedy biegiem dogonił mnie Charles Eagles.

– Elisabeth? Dokąd idziesz?

– Przed siebie.

– Masz ochotę coś przegryźć? Co powiesz na Chuc's na Dover Street?

Odwrociłam się i spojrzałam na niego. Był wręcz niemożliwie przystojny. To byłoby takie proste. Może niezbyt profesjonalne, ale przecież nikt nie musiałby się dowiedzieć. Ogromne, puste łóżko w moim hotelowym pokoju... Byłoby tak wspaniale przez kilka minut zanurzyć się całkowicie w terażniejszości i w jego objęciach. Zawahałam się.

– Nie, dziękuję. Jutro pracuję, więc...

Eagles chłopięco wzruszył ramionami.

- No cóż, w takim razie czeka mnie Annabel's. Może innym razem?
- Może. Dobranoc, Charlesie.

Licytator żwawym krokiem przeszedł przez ulicę. Nie zmartwił się, a ja i tak miałam inne sprawy na głowie. I nie chodziło o da Silvę, który żałował, że nie może być ze mną. Musiałam się zastanowić, jak sobie poradzić z Mackenzie Pratt.

A ta nie przerywała swojej kampanii przeciwko *Kobiecie z wachlarzem II*. Następnego ranka w kolumnie plotkarskiej „Daily Maila” pojawiła się wzmianka na temat naszego wieczornego spotkania: „Wytworne właścicielki galerii podczas sprzeczki na temat Gauguina”. Uznałam, że określenie „wytworne” było w przypadku Mackenzie lekko przesadzone. Również BBC najwyraźniej uznało, że moja rywalka ma idealnie radiową urodę, ponieważ chwilę później Mackenzie pojawiła się w *Godzinie dla kobiet*, gdzie wymądrzała się na temat „obrzydliwego zachowania” Gauguina i jego „odrażająco patriarchalnych poglądów”. W konsekwencji British Pictures musiał wydać stosowne oświadczenie, a konto @gauguingirl natychmiast zasypały komentarze trolli potępiające Elisabeth Teerlinc jako czarną owcę kobiecego rodu. Rupert zasugerował, by jednak nie zapraszać Pratt na obiad u Novaka, ale przekonałam go, że to by jedynie podsyciło jej niechęć i że najlepszą taktyką będzie angielska flegma – powinniśmy zachowywać się tak, jakbyśmy w ogóle nie zauważali ataków Mackenzie.

Zgodnie z planem pięć dni później pojechaliśmy z Rupertem na Victoria Station, gdzie wsiedliśmy do pociągu do Arundel. Wcześniej kupiłam odlotową, turkusową walizkę od Bottega Veneta i spakowałam do niej rzeczy na wyjazd z jednym noclegiem oraz wyszywaną cekinami kreację od Emilii Wickstead, którą zamówiłam na Pond Street. Błyszcząca sukienka z lejącego się materiału tak bardzo nie pasowała do wiejskiego klimatu, że wydała mi się wprost idealna. Z pewną dozą przyjemności patrzyłam, jak Rupert wrzuca

walizkę na półkę w wagonie pierwszej klasy, a następnie wysłuchałam jego opowieści o Willym Novaku. Okazało się, że Nowak jest kolekcjonerem sztuki, ale przy okazji wynajmuje również swój dom na różne wydarzenia. Celem imprezy w Lancing Park, bo tak nazywała się owa posiadłość, było podlizanie się kilku najpoważniejszym klientom British Pictures i zainteresowanie – jak wyraził się Rupert – rozmaitych „internetowych influencerów”.

– Żebyś wiedziała, za kogo się oni mają – dodał z odrazą mój były szef.

– Kim są ci klienci?

– Głównie finansisci. Wiesz, fundusze hedgingowe.

Spojrzałam na niego ze zrozumieniem.

– No tak.

Na stacji czekał na nas biały kabriolet rolls-royce’a, który z absurdalną powagą zawiózł nas wysadzonymi krzewami jeżyn uliczkami do Lancing Park. Po długim pobycie w Kalabrii zapomniałam już, jak zielona jest Anglia latem i jak liście jej drzew i krzewów potrafią się mienić rozmaitymi odcieniami zieleni – od cyjanowo-turkusowego po szmaragdowy. Chciałam nawet zwrócić uwagę Ruperta na piękno okolicznej flory, ale niestety mój towarzysz był zajęty rozmową z trzecim pasażerem, którym – ku naszemu wspólnemu, głębokiemu niezadowoleniu – okazała się oczywiście Mackenzie Pratt.

– Przypomnij mi, złotko – burknęła Amerykanka, gdy ruszaliśmy. – Kim jest twój chiński kolega?

Miałam nadzieję, że jedna z kolczastych gałęzi wdrze się do samochodu i wydłubie jej jedno z paciorkowatych oczu, ale powściągnęłam się i odparłam gładko:

– Artystą, z Paryża. Pracował przy pokazie urządzonym przez Fundację Louisa Vuittona na cześć pekińskich artystów z Dzielnicy 798. Widziałas go?

Temat wystarczył nam na resztę drogi, aż wjechaliśmy na zwirowy podjazd przed domem, ale przez cały czas czułam na sobie gniewne spojrzenie Amerykanki – nawet wówczas, gdy zastęp lokajów

w pełnej liberii prowadził nas do holu. Rupertowi świetnie szło bagatelizowanie problemu, ale ja miałam coraz bardziej dojmujące wrażenie, że w przypadku Mackenzie w grę wchodzi osobista awersja. Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego Pratt tak mnie nie lubi, ale nie miałam zamiaru jej o to wypytywać.

Dom Novaka okazał się niezwykle uroczym osiemnastowiecznym budynkiem z szarego kamienia. Gmach był delikatnie porośnięty winoroślą i zwieńczony frontonem, na którego skrzydłach wybudowano dwa pawilony z wysokimi oknami. Lokaje przedstawili się, co lekko zszokowało Ruperta, a potem poprowadzili nas przez jedno ze skrzydeł do oranżerii.

W pomarańczarni owoce na drzewach zastąpiono małymi dyskotekowymi kulami, które błyszczały nad grupką zajętych nalewaniem herbaty pokojówek w pastelowych fartuszkach z lat pięćdziesiątych. W tym domu było więcej służby niż w całym cholernym Downton Abbey.

Niełatwo było popsuć niezwykłą architekturę tego pomieszczenia, ale nasz gospodarz starał się, jak mógł: boazeria na ścianie została pobielona, przy oknie postawiono wypchanego nosorożca w jankeskiej czapce, a po jego bokach wazon z ufarbowanymi na srebrno piórami strusia. Rombowe pola starych okien również udekorowano wizerunkami zwierząt – zwisającą głową żyrafy, turbotem z rozdziawionym pyskiem czy zebłą – każde z nich dowcipnie ozdabiając kompletnie niepasującym nakryciem głowy. Z ukrytego systemu nagłaśniającego łagodnie sączyły się przeniesione żywcem z Ibizy rytmy, a wielki kominek zamieniono na lśniący chromem i srebrem bar.

– Czyż to nie okropne? – szepnął radośnie Rupert, częstując się połówką biszkoptu udekorowanego masą bitej śmietany i malinami.

– Odrażające – szepnęłam w odpowiedzi, sięgając po filizankę earl greya i karmelową eklerkę.

– Ale klienci to kochają. A, jest i Willy! – Rupert wykonał

imponujący zwrot, w jednej chwili przechodząc od pogardy do promiennego zadowolenia.

Przywitaliśmy się z Novakiem, a kiedy pomieszczenie wypełniło się gośćmi, gospodarz zaczął mnie z ekscytacją ciągać od jednej grupki do drugiej, kolejny raz przedstawiając wszystkim „dziewczyne, która znalazła Gauguina”.

– A to jest Larry Kincardine.

– Dobry wieczór, Lawrence. Miło cię tu widzieć.

– Dobry wieczór, kochanie.

Widziałam, że Rupert spojrzął na mnie z aprobatą, kiedy w naszej „grze w nazwiska” sięgnęłam po tego asa. Lawrence był moim starym znajomym z czasów szalonych, londyńskich imprez. Prowadził wówczas mały, tajny bar we własnym mieszkaniu na Chester Square i był powolny i zniewieściały, teraz natomiast wyglądał na pulchnego i wojowniczego. Nie spotkałam nikogo, kto wyglądałby lepiej po rzuceniu hery. Nie przejmowałam się zupełnie tym, czy Larry sobie przypomni moje imię. O ile w ogóle je kiedykolwiek poznał, bo zawsze zwracaliśmy się do siebie per „kochanie”, zgodnie z obowiązującymi wówczas zasadami.

– Dawno cię nie widziałem – stwierdził Lawrence pomiędzy nerwowymi sztachnięciami elektronicznym papierosem o zapachu fiołków.

– Trochę... podróżowałam. Masz ochotę na prawdziwego szluga?

Wymknęliśmy się przez drzwi oranżerii na wyprasowany trawnik, gdzie rodzina białych jeleni zabawiła się malowniczo przy kończącym ogród uskoku. Podałam Lawrence’owi paczkę marlboro gold, a on z wdzięcznością się poczęstował.

– Co robisz na tej imprezce?

– Ojciec kazał mi tu przyjść. Uznał, że to mi dobrze zrobi. Ostatnio głównie siedzę w Szkocji, rzadko wpadam do Londynu.

– Nuda, co?

– Taaa... ale zatrzymałem mieszkanie. Stary Kevin nadal tam mieszka.

– Pamiętam Kevina.

– Prawdę mówiąc, myślałem, żeby po obiedzie gdzieś pójść. Co powiesz na Waldgrave?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie znam.

– To chyba coś bardziej w twoim klimacie. – Lawrence pociągał lekko nosem i wyglądał na podekscytowanego. Może zastąpił heroinę czymś mocniejszym.

Z wnętrza domu dobiegł dźwięk gongu.

– To chyba oznacza, że powinniśmy się przebrać. Zobaczymy się później, Lawrence.

– Chcę się urwać około jedenastej. To niedaleko. Zdążymy wrócić przed kościołem.

Brzmiało nieźle. Nawet bardzo nieźle.

Pokoje gościnne na pierwszym piętrze ciągnęły się wzdłuż centralnej galerii. Przy drzwiach każdego z nich w srebrnych edwardiańskich okienkach umieszczono karteczki z nazwiskami. Pamiątka po starych, dobrych czasach, kiedy skakanie z łóżka do łóżka było popularnym wiejskim sportem. Pomiedzy drzwiami pokoi stały gipsowe reprodukcje klasycznych rzeźb. Ja zostałam ulokowana przy Wenus z Milo. Pratt mieszkała dwoje drzwi dalej, w sąsiedztwie Laokoona.

Pokręciłam się chwilę po wyłożonej carrareńskimi płytkami łazience – miałam wrażenie, że w tym domu wszystko, co nie było białe albo martwe, wykonano z marmuru – przywdziałam cekiny i zapukałam delikatnie do drzwi Pratt.

– Przepraszam, Mackenzie. Masz może nurofen? Głowa mi pęka.

– Och, kochanie. Masz migrenę? Wejdz, proszę.

Mackenzie właśnie umieszczała swoją drobną postać w długiej, usztywnionej, czarnej sukience od Issey Miyake, i głowa tonęła jej w jednym z rękawów kreacji.

– W łazience – wymamrotała przez fałdy krepy.

– Bardzo ci dziękuję. Przepraszam za kłopot.

Przeszłam po dywanie z lamparciej skóry (w moim pokoju leżał ocelot) i weszłam do łazienki wyłożonej marmurem, który odcieniem zmierzał w kierunku fuksji (u mnie królowały złoto i czerń). Przy umywalce znalazłam nieduży, skórzany necessaire, a w nim standardowe kremy do twarzy, jedwabną maseczkę na oczy i pudełko środków przeciwbólowych.

– Mam! – zawołałam radośnie.

Nalałam wody do kubka do mycia zębów, jednocześnie zaglądając do szafki. Relanium, zoloft, lexapro. *A więc Mackenzie cierpi na zaburzenia depresyjne. Ciekawe.* Małeńka, czarna, jedwabna piżama wisiała na drzwiach obok grubego, białego szlafroka, na którego kieszeni wyszyto srebrnymi literami napis „Lancing Park”. W moim pokoju znalazłam identyczny.

Mackenzie z wciąż przytwierdzonymi do twarzy okularami przeciwstóncznymi wychynęła z Miyake. Skinęłam głową w jej stronę i ruszyłam do wyjścia, ale małeńka stopa w czarnych lakierkach z paskiem wysunęła się nagle i zatrzasnęła kopnięciem drzwi.

– No, to jesteśmy same, Elisabeth.

19.

– Ładny dom, prawda?

– Możesz darować sobie te bzdety, Słonko. Ja nie lubię ciebie, a ty mnie.

– Ja widzę to nieco inaczej.

– I przekonałaś ich wszystkich, że masz pierwszą wersję *Kobiety z wachlarzem*?

– W tej chwili należy do mojego klienta. Masz zamiar licytować? – zapytałam swobodnym tonem.

– Szczerze wątpię. – Mackenzie podeszła bliżej i położyła mi na ramieniu swoją kościstą dłoń. Okulary wpatrywały się we mnie złowrogo, ale w głosie nadal pobrzmiwała południowa miękkość. – Nie kupuję falsyfikatów.

– Nie sądzę, żeby to był falsyfikat. A British Pictures podziela moje zdanie.

– To taka sama fałszywka jak ty. Widziałam cię tam. „Badania”, jasne. Wiem, co robiłaś. Może nie jestem w stanie tego udowodnić, ale to nie znaczy, że nie wiem.

Zaczęłam czuć do Mackenzie pewnego rodzaju sympatię. Może wyglądała jak z kreskówki, ale do tej pory była jedyną osobą, która widziała mojego Gauguina i nie pragnęła uwierzyć w jego autentyczność.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Miło, że wspomogłaś mnie tabletkami, ale teraz zachowujesz się nieuprzejmie. Do zobaczenia na obiedzie. – Spojrzałam na nią z góry.

Pratt powoli cofnęła nogę i pozwoliła mi przejść.

Obiad podano w innej sali wyłożonej pobieloną boazerią. Biały, marmurowy stół udekorowano srebrnym bieżnikiem i stosami posrebrzanych owoców oraz ustawiono wzdłuż niego dwadzieścia

krzesel. Zazdrościłam Mackenzie jej okularów przeciwśonecznych. Obok każdego nakrycia – mnie Novak przydzielił honorowe miejsce po swojej prawicy – leżał katalog czerwcowej aukcji w British Pictures.

Przy pierwszym daniu, chłodniku ogórkowym z ostrygami i chrzanowymi tostami, dyskutowaliśmy o remoncie Lancing Park. Kiedy lokaj, teraz występujący w białym, aksamitnym smokingu, podawał carpaccio z sarny oraz kompot z wiśni, odwróciłam się w lewo.

– Jestem Elisabeth. Chyba się jeszcze nie poznaliśmy.

– Ned.

Mój sąsiad był bardzo wysoki – tak bardzo, że musiał się nisko pochylać nad talerzem. Na wręczonym mi przez Ruperta zaproszeniu dress code określono jako „baśniowy” i większość siedzących przy stole mężczyzn mocno się postarała: było kilka kamizelek w krzykliwych kolorach, a nawet pomarańczowe kowbojki. Tylko Ned najwyraźniej nie otrzymał tej informacji. Ze swoim wzrostem i w zielonkawym smokingu wyglądał dość ponuro, a styl, w jakim prowadził konwersację, jedynie to wrażenie pogłębiał. Zadałam kilka coraz to bardziej desperackich pytań i otrzymawszy na każde z nich zdawkową odpowiedź, haniebnie chwyciłam się ostatniej deski ratunku: zapytałam swego rozmówcę, czym się zajmuje.

– Ja...

Nachyliłam się ku niemu zachęcająco.

– Taaak...?

Nastąpiła przerwa, podczas której wycięto kilka kilometrów kwadratowych dżungli amazońskiej, a Grecy wybrali nowego premiera.

– Ja... poluję.

– Och. Z kim?

– W... – Ned wzniosł się na wyżyny swoich towarzyskich możliwości – Shropshire.

Oparł się, oszołomiony ogromem wkładu, który wniósł tego wieczoru w życie towarzyskie. Przez chwilę kroiliśmy resztki

przezroczystych plasterków sarniny na cienkie paseczki, a potem wpatrywałam się z rezygnacją w umieszczoną na stole dekorację. Zalegającą między nami ciszę przerwał w końcu Novak, stukając w kieliszek i przedstawiając Ruperta, który miał opowiedzieć gościom o aukcji.

Szacowny prelegent dźwignął się z krzesła, trzymając w dłoni kieliszek pomerola rocznik siedemdziesiąty pierwszy (być może Novak miał gust cygańskiego boksera, ale nikt mu nie mógł zarzucić, że skąpi procentów). „Baśniowy” strój Ruperta stanowiła obszerna bonzurka od Favourbrook z nadrukowanym na szantungu ananasowym wzorem, który gryzł się paskudnie z jego siniejącą cerą. Mój były szef wygłosił kilka pochlebnych zdań na temat swojej firmy, z których można by wywnioskować, że British Pictures samodzielnie utrzymuje rynek sztuki na powierzchni, a potem przeszedł do prezentacji najważniejszych dzieł. Finał wieczoru należał do mnie i mojej opowieści o odkryciu Gauguina. Wśród zainicjowanych przez Ruperta oklasków wstałam z miejsca, czując na sobie dochodzące z drugiego końca stołu, przyciemnione okularami, gniewne spojrzenie Mackenzie. Miejsce pomiędzy nią a szwedzką modelką, żoną założyciela jednego z funduszy hedgingowych, było puste – najwyraźniej Lawrence wyskoczył sztachnąc się MDMA.

Przedstawiłam skróconą wersję prezentacji, którą wygłosiłam w British Pictures, podkreślając fakt, iż Rupert i jego zespół potwierdzili proveniencję obrazu. W ten sposób przypisałam atrybucję dzieła głównie im, nie sobie. Rupert obserwował mnie z aprobatą, uśmiechając się i potakując, a ja wbrew samej sobie doświadczyłam podobnej fali przyjemności jak podczas pierwszego wystąpienia – ogarnęło mnie poczucie uznania i przynależności. To właśnie, i tylko to, pragnęłam od niego otrzymać. Pomyślałam, że wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej.

– A jeśli się mylisz? – Głos Mackenzie przerwał moją wypowiedź, przynajmniej na chwilę wzbudzając zainteresowanie zgromadzonych. O ile bowiem kobiety słuchały do tej pory w skupieniu, chcąc pokazać, jak to są obeznane i wykształcone,

o tyle mężczyźni nie czuli potrzeby udawać i w większości szperali w telefonach. – Co, jeśli nie masz racji? Jeśli to falsyfikat?

Mackenzie najwyraźniej nie żałowała sobie bordeaux i wypłała dużo więcej, niż jest to wskazane dla podstarzałej karlicy. Tak czy inaczej, słowo „falsyfikat” było w języku sztuki tak samo nie na miejscu jak nazywanie ciemnoskórych czarnuchami. Pytanie Amerykanki zawisło w ciszy, która z każdą chwilą gęstniała. Podczas gdy lokaje zbierali brudne talerze i podawali perliczkę z truflami w żółtym winie z Jury, wymieniliśmy z Rupertem spojrzenie nagle pełne solidarności. Oboje byliśmy zupełnie odstonięci, narażeni na atak.

– Myślę, że nikt z nas nie pojawiłby się tu dzisiaj, gdybyśmy nie ufali bezwarunkowo ekspertyzie Ruperta i jego zespołu – odparłam w końcu. – W świecie sztuki nie ma innej równie rzetelnej instytucji. Właśnie dlatego chciałam sprzedać obraz za pośrednictwem British Pictures. Chciałam mieć całkowitą pewność co do jego autentyczności. Ty, Mackenzie, jako poważna kolekcjonerka na pewno się ze mną zgodzisz.

– Phi! – rzuciła Pratt.

– Hola, hola, paniusiu. – Głos dochodzący z okolic mojego łokcia należał do Neda, który chyba jednak posiadał jakieś uczucia.

– Widziałam ją w Essen. – Mackenzie dźgnęła krwawoczerwonym paznokciem w płomień świecy. – Z Żółtkiem! A z czego znane są Żółtki?

– Cóż – uśmiechnęłam się, pokazując, że tego rodzaju insynuacje nie robią na mnie wrażenia. – Pytasz o Ai Weiweia? Czy masz może na myśli jakiegoś innego artystę?

Rzuciłam Rupertowi błagalne spojrzenie. *Ratuj mnie, proszę. Nie pozwól, by zła wróżka zniszczyła mój piękny sen.* Osiągnęłam zamierzony efekt, gdyż Rupert się wyprostował, ściągnął podbródki i niesiony ananasową falą ruszył mi z odsieczą.

– Mackenzie, Elisabeth jest moją klientką i gościem i nie pozwolę jej obrażać. Poza tym uważam twoje uwagi za rasistowskie i nadzwyczaj niestosowne. Może jesteś zmęczona? Powinnaś się chyba położyć. Tymczasem – sięgnął kieliszek – wznieśmy toast za

Willy'ego, ten cudowny wieczór i wspaniałych koneserów niezwykłych dzieł. – Rupert zaakcentował słowo *koneser* tak mocno, by Mackenzie zrozumiała, że jej ono nie dotyczy.

Goście posłusznie wstali z krzeseł, wnosząc kieliszki w toaście, Rupert podszedł i mnie uściskał, a Mackenzie wymaszerowała z sali. Nie zdążyła nawet dotrzeć do drzwi, gdy jeden z lokajów sprzątnął jej talerz.

– Przepraszam, Elisabeth. – W głosie Ruperta brzmiała łagodna zachęta. – Nie powinienem był jej zapraszać. Jest potwornie uparta. Te wszystkie opowieści o prywatnym życiu Gauguina... Kompletnie się na tym punkcie zafiksowała. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowała.

– Ani trochę. – Topniałam z wdzięczności w jego silnych ramionach, podczas gdy pozostali goście wydawali odgłosy, które zazwyczaj pojawiają się w odpowiedzi na jakieś żenujące zdarzenie. Szwedzka modelka podeszła do mnie chwiejnym krokiem i oznajmiła, że Mackenzie to suka.

Nie włożyłam zegarka, ponieważ to oczywiste, że dama nie musi się martwić upływem czasu, ale usłyszałam, jak zegar wybija za kwadrans jedenasta, i rozejrzałam się w poszukiwaniu Lawrence'a. Jego propozycja urwania się na imprezę wydawała mi się świetnym pomysłem. Novak wstał i podszedł do ukrytych drzwi, zza których popłynęło kuszące, różowe światło, i gdy oznajmił, że deser zostanie podany w „tajemnej piwnicy”, wszyscy zeszli tłumnie po kręconych schodach. Na dole z ogromnej beczki zamienionej w budkę didżeja powitała ich energicznymi dźwiękami Elise Massoni. Również tutaj kule dyskotekowe wisały nad niewielkim parkietem, który po chwili stał się prywatnym królestwem Ruperta. Ocenivszy swych gości, didżejka z rezygnacją przeszła z berlińskiego undergroundu na „Blurred Lines”. Nigdy wcześniej nie widziałam Ruperta w imprezowym nastroju i po krótkim momencie osłupienia, w które wprowadził mnie widok jego kocich ruchów wykonywanych w kierunku szwedzkiej modelki, uznałam, że wołałabym tego nigdy więcej nie doświadczyć.

– Nadal masz ochotę się stąd wyrwać? – Lawrence zdążył się już usadowić z papierosem na aksamitnej, srebrnej kanapie.

– Koniecznie.

– W stajni mam samochód. Daj znać, kiedy będziesz gotowa.

– Jeszcze chwila, okej? Muszę zmienić buty. Jakies pół godziny?

– Jasne. Wyjdź od frontu, skręć w lewo i przejdź przez bramę do ogrodu.

Zebrałam się w sobie i zaczęłam bujać się lekko na parkiecie naprzeciw Novaka, który z zaangażowaniem wywijał w powietrzu pięścią. Wytrzymałam do momentu, gdy lokaje wnieśli sześciolitrową butelkę kruga i wymknęłam się do swojego pokoju, niosąc w ręce delikatne sandały od Stuarta Weitzmana. Postawiłam buty przy drzwiach i na wszelki wypadek wzięłam ze swojego pokoju pasek od szlafroka. Potem ruszyłam powoli w stronę drzwi Mackenzie, słuchając, jak dwa piętra niżej rozkręca się impreza.

Wyłączyłam światło na korytarzu, a następnie bardzo powoli nacisnęłam klamkę. Gdyby to był prawdziwy wiejski dom, drzwi zaskrzypiałyby albo stawiały opór, ale te otwały się bezszelestnie.

Nie licząc stojącej na skórze lamparta świeczki zapachowej Feu de Bois od Diptyque oraz snopu światła bijącego z ekranu telefonu, w którym błysnęła czarna, jedwabna piżama Mackenzie, w pokoju panował mrok. Pratt siedziała po turecku ze słuchawkami w uszach i nuciła pod nosem. Nie poruszyła się, gdy przez otwarte drzwi wpadły odgłosy imprezy. Czułam, że na całym piętrze nie ma nikogo prócz nas. Medytacja i aromaterapia – znakomite na rozedrgane nerwy.

Zareagowała dopiero, gdy stanęłam za jej plecami. Chwyciłam jej ciało między kolana i zanim zdążyła krzyknąć, odwróciłam jej głowę w prawo i przytrzymałam swoim watowanym ramieniem w zgięciu szyi, lewą ręką szukając newralgicznego punktu za uchem. Szamotała się, ale trzymałam ją mocno, a była tak mała, tak cholernie mała, że próby wyrwania się zupełnie ją wycieńczyły i już po chwili skurcz zatrzymującego się serca całkowicie stłumił jej opór. Odczekałam minutę, aż jej głowa opadła mi łagodnie na ramię.

Siedzieliśmy jak czarno-srebrna pieta, gdy zegar na podwórzu stojącym wybił jedenastą. Odczekałam jeszcze minutę i rozluźniłam mięśnie ud. Silne antydepresanty mogą powodować zwyrodnienie tętnicy szyjnej i zawał serca. Początkowo planowałam powiesić Mackenzie na szynie do zasłony prysznicowej – po to właśnie wzięłam pasek od szlafroka – ale biedna karlica okazała się tak stara i drobna, że nie warto było zawracać sobie tym głowy. Łagodnie opadła na twarz, a jej okulary zsunęły się na dywan. I wtedy nagle coś odrażająco żywego zaszeleściło wokół moich kolan. Prawie upuściłam Pratt, ale po chwili zorientowałam się, że to jej włosy – jaskraworuda fryzura była peruką. Głowa zwisająca na poziomie moich bioder była tysa – nie licząc kilku pasemek wypłowiałych włosów – i pokryta łuszczącą się skórą. Wzdrygnęłam się, ale ten widok podsunął mi pewien pomysł. Zawał serca był dobrym rozwiązaniem, ale pożar całego domu wydał mi się jeszcze lepszym. Pozostali goście nie spali, więc mieli dość czasu, by uciec, podczas gdy biedna Mackenzie zamieni się w popiół. Na wsi trzeba będzie trochę poczekać na przyjazd straży pożarnej.

Kiedy wychodziłam z pokoju, Pratt leżała na lamparce skórze z lewą słuchawką wbijającą się w szyję. Wiedziałam, że wkrótce pod wpływem ciężaru ciała powstanie tam siny ślad. Założenie biedaczce okularów byłoby miłym gestem, ale nie miałam już na to czasu, gdyż koniec zsuniętej peruki dotknął właśnie płomienia świecy.

Wróciłam do swojego pokoju, umyłam ręce, a potem zatrzymałam się na moment przed zamkniętymi drzwiami Amerykanki. Pod delikatną wonią aromatycznej świecy wyczułam wyraźny, intensywny zapach palonych włosów. Piętro niżej czarno-białe płytki na podłodze korytarza błyszcząły perłście w świetle kinkietów, odbijając połysk gładko wypolerowanego drewna balustrady. Nie mogłam się powstrzymać. Podciągnęłam sukienkę, usiadłam okrakiem na poręczu i puściłam się w dół.

Otoczyły mnie ostre zapachy nocy: rozmaryn z okolonych murem

grządek, kompost, delikatna woń starego kamienia. Lawrence czekał na mnie na dziedzińcu stajennym, paląc papierosa. W ciemności bardziej przypominał siebie z dawnych czasów. Oczywiście zależało mi nie tyle na imprezie, co na alibi, ale jego pochylona, długonoga sylwetka przypominała mi inne noce, a na wspomnienie pachnącego bzu przed domem na Chester Square załała mnie fala niecierpliwego oczekiwania – tak intensywna, że aż zaparło mi dech w piersiach. Lawrence ruszył swoim starym volvo i zaproponował mi jedną z dwóch usypanych już na desce rozdzielczej ścieżek.

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz, kochanie. W takim razie zostanie dla mnie, działka dzisiaj i działka jutro. Potrzyjmy.

Chwyciłam kierownicę i lekkim zygzakiem wyprowadziłam nas z zakrętu, podczas gdy Lawrence dał nura pod moją ręką, by wciągnąć kreskę.

– Łał! Nieźle kopie! – Otrząsnął się i usiadł prosto.

– To co się dzieje w... Waldgrave?

– Jest pewna Francuzeczka, przychodziła kiedyś na Square. Wynajmuje dom na imprezy, wiesz jakie. Kurwa, ciemno tu jak w dupie. Nienawidzę wsi. Gdzie jest nawigacja, kochanie?

Przejechanie ośmiu kilometrów zajęło nam godzinę, przede wszystkim dlatego, że Lawrence wdał się w kłótnię z panią z nawigacji. Kiedy dotarliśmy do prowadzącej na podjazd bramy na obrzeżach wsi, mój towarzysz uparł się na jeszcze jedną kreskę i kilka szlugów, a potem strzelił konfidencjonalną tyradę na temat niedorzecznego skąpstwa swego ojca, aż w końcu przypomniał sobie, że musimy wystać gospodyni uprawniający do wjazdu kod. Stwierdził, że gdzieś go zapisał, i zaczął poszukiwania. Tajemniczym miejscem okazał się paragon z Hertford Street 5 przycajony w przepastnych czeluściach samochodowego schowka, więc kiedy wreszcie otwarto nam bramę, było już dobrze po północy.

– Będziesz zachwycona – ekscytował się Lawrence, kiedy ochroniarz w pełnym rynsztunku wskazał nam miejsce parkingowe. – Imprezy u Estelle są naprawdę eleganckie.

- Lawrensie, jeszcze jedno, zanim wejdziemy.
- Co?
- Lepiej wyjmij z nosa tego piąta.

Kolejny ochroniarz uwolnił nas przy drzwiach od telefonów, po czym załaty nas dźwięki „Hark, my Damilcar, hark!” Purcella. Wygładziłam cekiny i nerwowo zapragnęłam włożyć sobie do buzi gumę do żucia. Lubię przed imprezą umyć zęby, ale przeszkodziła mi ta wścibska karlica.

– Kochani! Jesteście ostatni! Wchodźcie, wchodźcie. I zrzucicie te mokre ciuchy. A któż to taki, Lawrensie? – Estelle miała komicznie francuski akcent.

– Jeszcze jedna niewolnica miłości – odparłam.

Kobieta klasnęła drobnymi dłońmi w czarnych, koronkowych rękawiczkach.

– Och, podobasz mi się! Wchodźcie, wchodźcie!

Dobrze, że nie skusiłam się na kokę Lawrence’a, bo chyba bym dostała zawału. Stojąca naprzeciw nas kobieta mogłaby być bliźniaczką Mackenzie. Równie drobna i zaszuszone, w okularach przeciwsłonecznych i wymyślnej, czarnej sukience. Różnica między nimi polegała jedynie na tym, że bob Estelle był czarny, a ona sama trzymała w dłoni bat z rączką z kości słoniowej, który ciągnął się za nią, kiedy poprowadziła nas korytarzem i otworzyła podwójne drzwi.

Dom wyglądał na imitację gotyku. Staliśmy na kamiennym balkonie dla orkiestry, z którego widać było długi hol w stylu magnackim. Musiałam mrugnąć kilka razy, zanim wzrok przyzwyczaiał mi się do blasku świec, które były tu jedynym źródłem światła. W powietrzu unosił się intensywny, ciężki zapach palących się perfum, piżmowy i staromodny. Po obu stronach balkonu znajdowały się kręcone schody, a na każdym stopniu stał nagi mężczyzna z oczami zasłoniętymi czarną, jedwabną przepaską. Pomiędzy nimi, z twarzami zwróconymi w naszą stronę, siedział kwartet smyczkowy w strojach wieczorowych. Gospodyni zaczęła szperać w zawieszanej

przy pasie nylonowej szaszetce i po chwili mignął mi jej iPhone. Śpiew ucichł i muzycy zaczęli piłować „Della crudele Isotta” Donizettiego. Estelle klasnęła w dłonie, na co tłum gości trzymających wysokie kieliszki z rżniętego kryształu zwrócił się ku balkonowi. Wszyscy byli całkowicie ubrani – mężczyźni w białe koszule, kobiety w czarne suknie.

– Oglądajcie stąd – szepnęła Estelle, wskazując wbudowaną w ścianę ławkę. – Ja muszę mieć symetrię! Otworzyć klatkę. – Strzeliła batem w ramię stojącego najbliżej nagiego mężczyzny, który nawet nie drgnął, kiedy skórzany knut przeciął mu skórę. Na drugim końcu sali dwóch mężczyzn w obcisłych, czarnych spodniach i czerwonych, jedwabnych szarfach zaczęło otwierać wąską, żelazną klatkę przypominającą ustawioną pionowo trumnę. Kiedy jej drzwi stanęły otworem, przytoczono przed nią małe, podwójne łóżko przykryte czarną, satynową pościelą, a mężczyźni pomogli wyjść z klatki kobiecie. Nie licząc opaski na oczach, była zupełnie naga, a jej skóra błyszczała w łagodnym blasku świec jak pergamin, podkreślając róż brodawek wieńczących małe, sterczące piersi. Kobieta w milczeniu położyła się na plecach i zaplotła ręce za głowę, a wtedy jeden z mężczyzn nachylił się i założył jej kajdanki. Stłumiłam śmiech. Estelle ponownie strzeliła batem i mężczyźni z zasłoniętymi oczami jak jeden mąż obrócili się o dziewięćdziesiąt stopni, stając naprzeciw siebie. Gospodyni strzeliła batem trzeci raz, po czym łóżko zostało przetoczone i ustawione pomiędzy schodami. Leżąc na nim kobieta lekko rozchyliła uda i wyczekująco wygięła plecy. Lawrence mnie szturchnął.

– Mówiłem ci, że będzie warto.

Kiedy łóżko się zatrzymało, mężczyźni chwycili fiuty w prawe dłonie i zaczęli się masturbować, wykorzystując wszelkie techniki pocierania, głaskania i pociągania. Muzycy grali niewzruszenie, aż pierwszy z mężczyzn pochylił się naprzód, wystrzelił spermą na wyczekujące ciało kobiety i zaraz potem odwrócił się do niej plecami. W sumie naliczyłam dwadzieścia dziewięć postaci, które jedna po drugiej tryskały nasieniem i odwracały się od leżącej

kobiety, powoli pokrywając jej ciało błyszczącą warstwą spermy. Kobieta kręciła się i wiła, z rozkoszą przyjmując każdy kolejny, gorący ładunek, podczas gdy goście obserwowali tę scenę w całkowitym bezruchu. Również Estelle patrzyła w skupieniu, gładząc wypolerowaną rączkę swojego bicia. W końcu został tylko jeden mężczyzna, w połowie przeciwległych schodów. Pochylony nad krótkim, grubym fiutem zawzięcie machał ręką. Muzycy nagle przestali grać i sala wypełniła się odgłosem szybkiego, intensywnego sapania. Estelle wprawnym ruchem posłała koniec bicia w stronę twarzy marudera, zostawiając czerwoną pręgę na jego policzku. Pod wpływem uderzenia mężczyzna doszedł i powstał strumień spermy w stronę leżącej kobiety – tuż obok jej otwartych wyczekująco ust. Wiem, że zabrzmi to absurdalnie, ale w głębi duszy pragnęłam znaleźć się na jej miejscu, uległa i triumfująca.

Jedna z obserwujących widowisko osób, długowłosa blondynka, zsunęła z siebie sukienkę i zupełnie naga, w samych tylko szpilkach podeszła do łóżka. Następnie zerknęła na Estelle, a gdy ta przyzwalająco skinęła głową, pochyliła się nad leżącą modelką i zaczęła spijać z niej spermę. Po chwili w jej ślady poszły pozostałe kobiety, podczas gdy mężczyźni zaczęli rozpinać koszule. Gospodyni włożyła dłoń do saszetki i z głośników ponownie popłynęła muzyka. Potem zwróciła w naszą stronę swą drobną postać i ukloniła się lekko, a gdy otworzyły się drzwi, opuściła salę tą samą drogą, którą przyszliśmy. W progu zawahała się na moment i odwróciła.

– Podaj mi swoją dłoń, moja droga. – Zrobiłam, o co prosiła, ona zaś obróciła mój nadgarstek i zbliżyła swoje wysuszone wargi do miejsca, gdzie widać było zielonkawę żyły.

– Podobała ci się ceremonia?

– *C'était sublime*²³.

– *Ah bon*²⁴ – kontynuowała Estelle. – Skoro mówisz po francusku, zadam ci zagadkę. Dlaczego w języku francuskim fiut jest rodzaju żeńskiego?

23 *C'était sublime* (fr.) – Była cudowna.

24 *Ah bon* (fr.) – To dobrze.

– Ponieważ sługa dostaje imię po swojej pani.

Francuzka zaśmiała się zachrypniętym, przenikliwym skrzekiem.

– Bardzo dobrze! Proszę, *ma chère*²⁵. – Wyjęła z torebki czarną, jedwabną poduszczkę wyszywaną złotymi literami.

– Która, *Laurence*, dla twojej pięknej przyjaciółki? Ta?

Kobieta wyciągnęła z poduszcзки długą, groźnie wyglądającą szpilkę zakończoną czymś, co w blasku świecy przypominało biały szafir w oprawie ze starego złota, i dźgnęła mnie nią w kłęb kciuka. Wiedziałam, że lepiej nie reagować. Obie patrzyłyśmy, jak na skórze rośnie rubinowa kropla krwi. Przez chwilę myślałam, że Estelle ją wysie, lecz ona uśmiechnęła się tylko i podała mi ciężką, czarną tabliczkę z wygrawerowanym numerem, również złotym.

– Jesteś teraz jedną z nas.

– *Merci bien*²⁶, *madame*.

– Do usług, moja droga. *Bonsoir*²⁷.

Poczekalam, aż zamkną się za nią drzwi, i zaraz potem ścisnęłam nadgarstek i przyłożyłam usta do małej ranki.

– To było... intensywne doznanie.

– Chyba się jej spodobałaś, kochanie – odparł Lawrence. – Niewielu osobom wręcza tabliczki. To co teraz?

– Nie wiem. Zabawimy się?

– Nie, Słonko, ja jestem zbyt naćpany. Ale ty idź, baw się dobrze.

Zaskoczył mnie fakt, że przez chwilę nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uprawiałam seks. Poprzedniego wieczoru odrzuciłam propozycję najprzystojniejszego faceta w Londynie. Dlaczego? Czyżbym miała nadzieję, że tęskni za mną jakiś podrzędny włoski policjant? Co ja sobie myślałam?

Rozejrzałam się po pełnej gości sali i zaczęłam się wtapiać w masę łagodnie splatających się ciał. Jedna z kobiet stała nieco na uboczu tego kłębowa, powoli rozpinając obcisłą, odstaniającą ramiona sukienkę. Zsunęła ją do pasa, a potem niżej, gładząc swoje szerokie

25 *Ma chère* (fr.) – moja droga.

26 *Merci bien* (fr.) – Bardzo dziękuję.

27 *Bonsoir* (fr.) – Miłego wieczoru.

biodra i wypukły, blady brzuch. Taki, jaki lubię najbardziej.

– W takim razie rozepnij mi sukienkę – zwróciłam się do Lawrence’a.

Gdy Larry spełnił moją prośbę, przez chwilę stałam nago w samych tylko kozakach, a potem zeszłam po schodach wyprostowana w kierunku upatrzonej zdobyczy.

20.

Straż pożarna przyjechała około drugiej w nocy, kiedy dotarliśmy z Lawrence'em z powrotem do Lancing Park. Razem ze strażakami pojawiły się radiowóz, karetka oraz tłum gapiów w szlafrokach. Kiedy wybuchł pożar, goście Novaka oczywiście jeszcze nie spali i nadal mieli na sobie imprezowe stroje. Instruowani przez skrzeczącego szefa lokaje wynosili z domu różne przedmioty, które ustawione na podjeździe przypominały stoisko na pchlim targu.

– Kurwa – syknął Lawrence. – Co tu się dzieje? Mam w samochodzie trzy gramy towaru.

– Nikt się chyba nie będzie tym zajmował. Och, co za szkoda! – westchnęłam, gdy zawałała się środkowa część dachu nad skrzydłem z pokojami gościnnymi dla pań.

Strażacy w ponurym skupieniu kierowali węże na stertę zwęglonych belek widocznych w mocnym świetle reflektorów na tle rozgwieżdżonego nieba. Turbot miał szczęście – w przeciwieństwie do Mackenzie. Dwóch ratowników pochylało się nad noszami, na których leżało małe ciało. Spod koca zwisała dziecięcych rozmiarów stopa. Patrząc z daleka, nie byłam pewna, ale zwłoki wyglądały na obiecująco zwęglone. Jeden z ratowników palił papierosa, podczas gdy drugi wypełniał jakieś papiery – najwyraźniej, nie było już nadziei. Nagle ponad trzaskiem dochodzącym z policyjnego radia i rozpaczliwymi rozkazami Novaka rozległ się piskliwy krzyk. Dwóch strażaków trzymało szwedzką modelkę, która szarpała się z nimi jak szalona, chcąc wrócić do budynku.

– Nic nie rozumiecie! – lamentowała. – W przyszłym tygodniu jest *couture*. Tam została moja suknia od Ralpha&Russo!

Gdy wysiadaliśmy z volvo, podbiegła do nas góra podskakujących ananasów.

– Elisabeth! Dzięki Bogu, jesteście cali. Szukali was! Są tutaj! – Ostatnie słowa Rupert skierował do strażaków. Zgromadzeni goście

wyglądali na zawiedzionych, że nie utknęliśmy z Lawrence’em gdzieś w tłących się jeszcze zgłiszczach.

– To tych dwoje gości, których szukaliśmy? – Policjant podbiegł do samochodu.

– Tak, panna Teerlinc i lord Kincardine – potwierdził Rupert.

Panika szybko znikła z twarzy Lawrence’a i zagościł na niej wyraz pełnego szoku zatroskania. Muszę przyznać, że lord Kincardine zrobił tym na mnie duże wrażenie.

– Co się stało? Jak mogę pomóc?

– Wszystko jest pod kontrolą. Muszą państwo jedynie odpowiedzieć na kilka pytań.

– Oczywiście – odparłam. – Ale proszę mi powiedzieć... – Zamilkłam, wskazując nosze.

– Z przykrością muszę panią poinformować, że w jednym z pokoi na piętrze znaleźliśmy ciało. Pan Novak zidentyfikował je jako... panią Mackenzie Pratt.

– Och, mój Boże! Jak to się stało? – Westchnęłam gwałtownie.

– Nie mamy na razie pewności. Tymczasem proszę nam powiedzieć, o której opuściła pani posiadłość.

– Tuż przed jedenastą – rzuciłam, zanim Lawrence zdążył odpowiedzieć. – Za kwadrans. Słyszałam, jak zegar wybija godzinę.

Lawrence przytaknął. Wiedziałam, że usłyszawszy moją sugestię, poda ją teraz jako moment naszego spotkania na podwórzu stajennym.

– Pojechaliśmy z wizytą do znajomych Lawrence’a, którzy urządzali przyjęcie – dodałam ze względu na Ruperta. Na łodzi Steve’a, gdzie latem pełniłam rolę jego przykrywki, odstrasząc łasę na kasę panienki, przekonałam się, że jeśli kobieta jest, choćby tylko tytułarnie, własnością samca alfa, inni mężczyźni w grupie zachowują się wobec niej potulnie. A Lawrence, choć może nie był najbogatszym gościem na imprezie, to z pewnością najbardziej wytwornym, co czyniło go w oczach Ruperta największym gorylem w stadzie.

Dotknęłam dołu sukienki i spokojnie namacałam fragment

delikatnego jedwabiu w miejscu, z którego odpadł jeden z cekinów, prawdopodobnie w pokoju Mackenzie. Ćwiczyłam swoje wyjaśnienia przez całą drogę do Waldgrave. Cekin mógł odpaść, kiedy przed obiadem poszłam do Amerykanki po tabletkę od bólu głowy. Przy okazji zamierzałam wspomnieć o antydepresantach w łazience, tych samych, które od czasu do czasu zażywała moja matka i dlatego je rozpoznałam – co w sumie było nawet prawdą. Pożar udał się lepiej, niż się spodziewałam, a biorąc pod uwagę wiek Mackenzie, atak serca, który ją zabił, był całkowicie prawdopodobny. Oczywiście pod warunkiem, że zostało z niej dość, by przeprowadzić sekcję zwłok. Ciągłe stosowanie leków podnoszących poziom serotoniny wiąże się ze zwiększonym ryzykiem zatrzymania akcji serca, a ślad mojego kciuka został zamaskowany siniakiem spowodowanym przez słuchawkę douszną, którą ofiara przycisnęła, upadając w kierunku płonącej świecy. Mimo to na wypadek, gdyby śledczy zdołali określić dokładny czas zgonu, zapewniłam sobie alibi, a Lawrence nieumyślnie zdążył już je potwierdzić. Odciski palców? Cóż, biedna Mackenzie usłyszała moje kroki na korytarzu, kiedy szłam zmienić buty, i rozmawialiśmy chwilę. Przeprosiła mnie za swoje komentarze podczas obiadu, a ja ją uściskałam.

Podstawiono białe rolls-royce'y, które miały zawieźć gości do Londynu – tylko Lawrence poprosił o podwózkę na Gatwick, by polecieć do Edynburga. Była prawie siódma rano, kiedy pożegnałam się z Rupertem, który przez większość podróży wysyłał wiadomości i od czasu do czasu troskliwie kładł dłoń na moim ramieniu. Ratownicy owinęli mnie kocem termicznym, który miałam na sobie nawet w ciepłym samochodzie, podtrzymując wrażenie, że jestem w szoku. Straciłam swoją turkusową walizkę, a ponieważ Bottega wypuściła tylko dziesięć partii w tym kolorze, doskonale rozumiałam, co czuła szwedzka modelka. Dzięki Bogu przed wyjściem włożyłam przynajmniej na rękę swojego vacherona.

– Kurwa! Przepraszam, Elisabeth – wykrzyknął nagle Rupert, po czym wyjaśnił, że właśnie dostał esemesa od Charlesa Eaglesa. Licytator napisał, że obudził go telefon z „Daily Maila”. Dziennikarz pytał, czy to prawda, że tragiczny incydent w Lancing Park nastąpił zaraz po tym, jak jedyna ofiara pożaru zdecydowanie podważyła autentyczność Gauguina. I czy ową ofiarą rzeczywiście była ta sama kobieta, której tyradę na temat artysty gazeta tak hucznie opisała tydzień wcześniej. Rupert stwierdził, że któryś z gości musiał zadzwonić do redakcji.

– Charlie uważa, że powinniśmy udzielić wywiadu. Przepraszam, że pytam w takim momencie, ale... dałabyś radę wziąć w nim udział?

– Oczywiście, ale... może powinniśmy poczekać i zobaczyć, co zrobi rodzina biednej Mackenzie? Możliwe, że jeszcze o niczym nie wiedzą.

– Och, nią tak naprawdę nikt się nie przejmuje. Chodzi o obraz, dramatyczną historię związaną z Gauguinem. Charlie uważa, że te sensacyjne wydarzenia zwiększą zainteresowanie aukcją. A potem powinien się ukazać artykuł w jednym z niedzielnych wydań. Myślę, że Charles ma rację.

Rupert wyglądał na autentycznie zasmuconego – bynajmniej nie tym, że pomyśl był odrażająco bezduszny, ale tym, że nie wpadł na niego pierwszy.

Gdy wreszcie wróciłam do pokoju i chciałam wyłączyć komórkę, przyszedł esemes od da Silvy.

Judith, daj znać, że jesteś cała.

Wszystko w porządku.

Widziałem pożar domu, do którego miałaś jechać. Pokazywali w BBC. Podobno zginęła kobieta.

Na szczęście nie ta.

Cieszę się, że nic ci nie jest. Zadzwoń później.

O co da Silva się martwił? Przecież nie nosiłam tego cholernego obrazu w torebce. Wzięłam jeden z wielkich hotelowych ręczników, objęłam go i zanurzyłam w nim twarz, delektując się delikatną miękkością. Tego wieczoru moja wybranka pachniała Mitsouko i smakowała solą morską i cytrynami.

21.

Kiedy ja spałam, Charles Eagles najwyraźniej nie próżnował, bo po przebudzeniu miałam na poczcie głosowej dwie pełne współczucia wiadomości od dziennikarek z „Daily Maila” i „Evening Standard” z pytaniem, czy czuję się na siłach opowiedzieć o pożarze. Do tego pięć nieodebranych połączeń od Ruperta i niezwykle emocjonalny mail z działu PR British Pictures z pytaniem, czy mogłabym udzielić wywiadu *Channel 4 News*.

Rupert nie posiadał się z radości, kiedy do niego wreszcie oddzwoniłam. Okazało się, że jest już w hotelu, ale nie spieszyłam się do niego za bardzo. W końcu zeszałam na dół w prostej, luźnej, czarnej sukience z lnu, która wyrażała odpowiedni szacunek dla drogiej zmarłej. Mój były szef pałaszował grzanki z serem i popijał je Krwawą Mary. Ja poprosiłam o dzbanek herbaty lapsang, a do tego spodek z cząsteczkami pomarańczy.

– Jak się czujesz, Elisabeth?

– Cóż, nadal jestem w szoku. Dla rodziny Mackenzie to musi być straszne.

– Zawał serca – oznajmił Rupert, polewając trzecią kromkę sosem. – Nasi pijarowcy właśnie dowiedzieli się od policji. Paskudna sprawa, rzeczywiście, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by dalej rozkręcać imprezę. To świetna promocja aukcji! – Wzniósł toast szklanką z gęstym, czerwonym płynem.

– Pewnie tak... – odparłam cicho.

Rupert odstawił drinka.

– Jeśli masz coś przeciwko...

– Nie, nie. Po prostu... Strasznie mi jej szkoda. Tak miło się zachowała, kiedy... no wiesz, kiedy po obiedzie poszłam na górę. Przeprosiła za swoje komentarze. Powiedziałam jej, że to nie ma znaczenia, ale jednak... – Zaryzykowałam ciche chlipnięcie. Rupert położył mi dłoń na ramieniu, co najwyraźniej stało się jego

firmowym gestem.

– Postuchaj. Wiem, że to wszystko jest... okropnie nie na miejscu. Te wywiady, artykuły i tak dalej... ale tak to się teraz odbywa. Musimy iść z duchem czasu, zaakceptować zmiany.

Przez moment myślałam, że Rupert dławi się tostem, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że próbuje kopiować akcent Pandory.

– Wiemy, na czym polega ten biznes, prawda, Elisabeth? I jeśli to oznacza, że musimy przypodobać się kilku głupkom, zrobimy to. Przystosuj się albo zgiń, do tego się to wszystko sprowadza.

Oczywiście, że doskonale to rozumiałam. Od zawsze. Dlatego poradziłam Pandorze, by tak jak ja kiedyś trzymała język za zębami i nie mówiła nikomu o pułkowniku Morrisie. Jeśli ci, którzy naprawdę sprawują władzę, mogą skorzystać na naśladowaniu zachowań i przekonań tych, którzy pozbawieni są mocy sprawczej, to tę możliwość wykorzystają. Sztuka kamuflażu. Niech głupcy myślą, że wygrali, i nic nie będzie musiało się zmieniać.

Tym razem jednak Charles Eagles chyba się przeliczył. A może to mnie zawiódł instynkt. Tak czy siak, Mackenzie Pratt okazała się jeszcze bardziej upierdliwa po śmierci niż za życia. Początkowo historia z pożarem wywołała chorobliwe współczucie, ale po kilku dniach brukowce zaczęły szerzyć teorię, że *Kobieta z wachlarzem II* jest przeklęta, a Mackenzie padła jej ofiarą. Biedna wojowniczką o prawdę została rzucona na pastwę płomieni, podczas gdy bezduszni amatorzy dzieł sztuki raczyli się bez umiaru krugiem. Prawdę mówiąc, najgorsze w tym wszystkim było to, że dziennikarze wcale się tak bardzo nie mylili.

Potem w „Guardianie” pojawił się sensacyjny artykuł o życiu Gauguina, w którym przedstawiono go jako wykorzystującego kobiety cwaniaka i hochsztaplera ekscytującego burżuazyjnych, paryskich nabywców egzotycznym erotyzmem swoich obrazów, dzięki czemu uzyskiwał lepsze ceny za swoje dzieła. W końcu działającej w sieci niemieckiej grupie nacisku, której nazwę można

przetłumaczyć jako „Wykorzeńić wykorzystywanie”, udało się przekonać muzeum Folkwang do wycofania się z licytacji, w związku z czym lista potencjalnych nabywców zaczęła sukcesywnie topnieć. Szefowie British Pictures zaczęli się łamać. Rupert poinformował mnie o zwołaniu zebrania zarządu, na którym rozważano wystawienie obrazu na mniejszej, bardziej kameralnej aukcji na jesieni. Brzmiało to całkiem rozsądnie, ponieważ wycofanie się poważnych kupców musiało wpłynąć na ceny pozostałych obrazów, ale nie mogłam pozwolić, by do tego doszło. Wiedziałam, że Raznatović nie będzie czekał tak długo. Poza tym wybuch Mackenzie podczas obiadu dał początek pogłoskom, że Gauguin jest podejrzany i gdyby poddano go ponownej weryfikacji, mógłby jej nie przejść.

Dlatego jakiś tydzień po pożarze pojechałam metrem na wschód, do Kingsland Road, po drodze zatrzymując się w jednym z wietnamskich zagłębi na porcję pikantnej zupy pho z wieprzowiną. Chociaż uwielbiałam włoską kuchnię, miło było wrócić do kraju, w którym słyszano o anyżu gwiazdzistym.

Dom Azerbejdżański mieścił się w obskurnym budynku pomiędzy pralnią a domową kawiarnią. W oknie za połamaną żaluzją, która nie była odkurzana od czasów, gdy młody Stalin trafił do Baku, wisiał wypłowiały kilim. Zadzwoiłam do drzwi, w zasadzie nie spodziewając się, że ktoś mi otworzy, ale po chwili w progu pojawił się niski mężczyzna w okrągłych okularach i czarnym garniturze niemal tak zakurzonym jak żaluzja. Zdziwił się, gdy zapytałam, czy mogę skorzystać z czytelnii, ale wpuścił mnie do wąskiego holu wyklejonego ulotkami promującymi koncerty i inne wydarzenia kulturalne.

– Pierwsze piętro – powiedział, wskazując schody z surowych desek, i zniknął w małej kuchni na zapleczu. Wspinając się pomiędzy pudłami pełnymi nowych ulotek, usłyszałam piknięcie mikrofalówki.

Uznałam, że sprawdzanie Zulfugarly’ego w sieci nie ma sensu. Oficjalne zdjęcia i opisy, które znalazłam poprzedniego wieczoru, przedstawiały Azerbejdżan jako kraj atrakcyjny i postępowy – o ile ktoś uważa, że butiki Bulgari i salony Lamborghini oznaczają postęp.

Nie potrafiłam czytać po azersku, gdyż język ten należy do rodziny języków tureckich i nie ma nic wspólnego z rosyjskim, ale ze strony organizacji Index on Censorship dowiedziałam się, że nawet gdybym potrafiła, to i tak trudno byłoby mi uzyskać miarodajne informacje na temat sytuacji panującej w tym kraju. Na pierwszy rzut oka dwa laminowane stoły w bibliotece nie wyglądały bardziej obiecująco, gdyż większość złożonych niedbale na stosie materiałów napisano po azersku, jednak szybko się zorientowałam, że zorganizowano również niewielki dział anglojęzyczny, w którym znalazłam coś na kształt samizdatu – skserowaną i oprawioną w plastikową okładkę książeczkę zatytułowaną State Kidnap! Kiedy dwie godziny później przykurzony mężczyzna zjawił się na piętrze, nadal ją czytałam.

Zulfugarly pojawiał się na jej stronach dość często. Dowiedziałam się między innymi, że ów – jak go powszechnie nazywano – „czarny łupieżca” należy do pokolenia byłych urzędników państwowych, którzy jakby nigdy nic napisali na nowo ustawy dotyczące majątku narodowego, po czym się na tym majątku zwyczajnie uwłaszczyli. Oczywiście sam Zulfugarly wołał, gdy nazywano go „przedsiębiorcą”. Zapowiedź otwarcia przez niego fundacji kulturalnej autor książki nazwał „jawną demonstracją braku poszanowania dla prawa krajowego”, co bynajmniej nie odwiódło prestiżowych firm architektonicznych z całej Europy od udziału w konkursie na projekt siedziby nowej instytucji. Był to typowy schemat działania w świecie sztuki: ponieważ w tym segmencie rynku jeszcze bardziej niż gdziekolwiek indziej o wszystkim decyduje wysokość kwoty wypisanej na czeku, wystarczy znaleźć opresyjnego, najlepiej wojskowego despotę sprawującego kontrolę nad zasobami paliw kopalnych i już po chwili Luwr będzie gotów otworzyć pod swymi auspicjami nową placówkę – tuż obok wyrzutni rakiet. Od Astany po Taszkient nic nie podnosi wiarygodności tak jak zakup dzieł sztuki, więc Zulfugarly wcale nie był taki oryginalny, pozując na współczesnego Medyceusza. Można się upierać, że zawsze tak było, ale nie zmienia to faktu, że Romanowowie i Burbonowie byli przynajmniej tyranami z gustem.

Bibliotekarz przez chwilę patrzył smętnie, jak studiuje zdjęcie przedstawiające Zulfugarly'ego na skuterze wodnym. W tle widać było Ogniste Wieże w Baku. Wyglądały jak obrzydliwe, aluminiowe puszki.

– Interesuje panią mój kraj?

Niegrzecznie byłoby odpowiedzieć „niespecjalnie”, więc wskazałam włochatą postać na zdjęciu.

– Raczej ten człowiek.

– Zna go pani?

– Mam się z nim jutro spotkać.

Drobny mężczyzna zdjął okulary i przetaił je brzegiem koszuli.

– To kanalia – oznajmił kategorycznie. – Przykro mi, ale muszę teraz zamknąć. Czytelnia nie jest już dostępna.

– Kanalia – powtórzyłam Rupertowi. – Właśnie tego nam trzeba.

Siedzieliśmy w jego biurze. Kiedy mnie tutaj prowadził, zauważyłam, że wszyscy eksperci z działu wpatrują się pilnie w monitory i wyglądają na bardzo zajętych. Co ciekawe, Rupert był w bojowym nastroju. Pamiętając zapewne o własnej premii, za wszelką cenę chciał przeprowadzić aukcję, toteż nasze spotkanie nabrało charakteru „my przeciwko nim”. Fatman i Robin.

– Nie łapię.

– Zulfugarly, ten Azer. Ma gdzieś nastoletnie ślicznotki Gauguina. Chce kupić obraz dla swojej fundacji. I nadal zamierza go licytować. Uważam, że powinniśmy zabrać Gauguina na wycieczkę do Baku.

Mówiąc o „wycieczce”, miałam na myśli praktykę polegającą na organizowaniu prywatnych pokazów szczególnie cennych dzieł, tak aby najważniejsi klienci mogli je zobaczyć in situ.

– A co z ubezpieczeniem? Nie zdążymy tego zorganizować przed aukcją.

Oczywiście Gauguin nie był faktycznie ubezpieczony, bo nie miał przecież żadnej wartości, ale pamiętałam, by do proweniencji dołączyć dostarczone przez Li dokumenty.

– Rozmawiałam już z Palermo – odparłam. – Masz rację, mój klient ma prawo niepokoić się o bezpieczeństwo obrazu, ale możemy

obejść tę kwestię. Jeśli pan Zulfugarly zgodzi się obejrzeć dzieło w ambasadzie brytyjskiej w Baku, formalnie rzecz biorąc, pozostanie ono na ziemi brytyjskiej, więc będzie objęte ubezpieczeniem.

– A przewóz?

– Masz chyba samolot? To znaczy... British Pictures...

Rupert już się uśmiechał.

– Rzeczywiście. Możesz go przewieźć w ten sposób.

– Ja? A ty nie chcesz jechać?

Nie miałam ochoty spędzać weekendu nad Morzem Kaspijskim w towarzystwie Ruperta, ale do momentu aukcji chciałam go mieć na oku.

– Nie mogę. Oficjalnie nie możemy wziąć udziału w prezentacji. Mamy jednak... strategię, która sprawdziła się wcześniej w podobnych sytuacjach. Ponieważ obraz został powierzony naszemu domowi aukcyjnemu, możemy wysłać z nim ochroniarza. Już kiedyś jeden z młodszych ekspertów wystąpił w tym charakterze. Ta taktyka świetnie zdała egzamin.

– Aha. Widzę, że wszystko przemyślałeś. – *Jeszcze parę pochlebstw i uwierzy, że to jego pomysł.* – Oczywiście, jestem gotowa pojechać.

Przez chwilę chciałam go zapytać, czy mogłabym zabrać jako „ochroniarza” Pandorę, ale potem pomyślałam, że to mogłoby przekreślić jej karierę. No a poza tym miała trochę za dobre oko.

– Jest jeszcze jedna sprawa, Rupercie. Cała ta burza w prasie. Uważam, że powinniśmy przejąć kontrolę nad tą historią. No wiesz, obrócić ją na naszą korzyść. Dlatego potrzebujemy nowego licytanta, jakiejś grubej ryby. Wtedy głównym tematem stanie się rywalizacja o Gauguina.

Rupert chwycił się za grzbiet nosa.

– Straciliśmy tak wielu potencjalnych nabywców... Zresztą kto mógłby się zmierzyć z Zulfugarlym?

Nachyliłam się.

– A gdybym ci powiedziała, że mogę ściągnąć Pawła Jermołowa?

CZEŚĆ TRZECIA

RYSA

22.

Rupert tak posmarował w rozmowach telefonicznych, że już trzy dni później wylatywałam z Londyn-City. Zulfugarly był podobno zachwycony, że British Pictures poświęca mu tak szczególną uwagę. W samolocie domu aukcyjnego towarzyszył mi wynajęty goryl z prywatnej firmy ochroniarskiej oraz Hugh, pracownik niższego szczebla z działu Ruperta. Wielki jak stodoła i mówiący z silnym polskim akcentem ochroniarz przedstawił się jako Karol. Pomimo to gdy wchodziliśmy po schodach na pokład, Hugh uznał za stosowne poinformować mnie, że faktycznie to on jest tajnym agentem British Pictures. Cóż, może domyśliłabym się tego, patrząc na jego jasne, opadające na oczy włosy i espadryle Sebago wystające spod czarnych spodni przepisowego uniformu. Przed startem stewardessa zaproponowała mi kruga. Poprosiłam o kieliszek, ale nie po to, by pić, tylko trzymać go w dłoni, kiedy brzoskwińowe, letnie chmury zamykały się nad turnerowskim pejzażem nad Tamizą. Sprzedałam wszystko, w co wydawało mi się, że wierzę, i w tamtym momencie, z miękką skórą fotela pod plecami i dochodzącym z kuchni zapachem croissantów, czułam się bardzo, bardzo dobrze.

Jak wszystkie udawane demokracje, Azerbejdżan ma superodjechane lotnisko. Terminal Alijewa zachwycił mnie kaskadą stali i szkła, chociaż zdołałam go zobaczyć jedynie z zewnątrz, gdyż zgodnie z wymogami polisy ubezpieczeniowej natychmiast po wylądowaniu zapakowano nas z Gauguinem do czekającego na pasie startowym samochodu.

Po dostarczeniu dzieła na miejsce miałam udać się do hotelu Four Seasons, gdzie Zulfugarly wynajął dla mnie apartament.

– Jedziesz ze mną do hotelu? – zapytałam Hugh, patrząc, jak skrzynia z Gauguinem zostaje wwieziona do holu pod czujnym okiem Karola oraz spoglądającej z portretu Jej Królewskiej Mości.

– Nie, zostaję tutaj. Brat mojego chrzestnego pracuje w konsulacie brytyjskim, więc będę gościem rezydencji.

– Oczywiście. W takim razie do zobaczenia rano.

– Chyba że chcesz, żebym poszedł z tobą na obiad? – zapytał Hugh z nadzieją w głosie.

– Nie, Rupert na pewno wolałby, żebyś został z obrazem. Nie chcemy cię przecież zdemaskować!

– No tak, jasne.

Po podpisaniu dokumentów związanych z depozytem wsiadłam do taksówki – takiej jak w Londynie, tyle że w kolorze intensywnego fioletu – i pojechałam do hotelu, objeżdżając Miasto Wewnętrzne, czyli średniowieczne centrum, obecnie przyćmione przez otaczające je nowoczesne wieżowce. Przed umówionym z Zulfugarlym obiadem miałam godzinę na to, by podziwiać biel apartamentu o wdzięcznej nazwie *Sztuki Piękne*, ale gdy tylko wyjęłam przygotowany na tę okazję strój – sukienkę z wzorzystego jedwabiu od Erdema, którą miałam na sobie poprzedniego lata na ślubie Carlotty – poczułam się niespokojna. Zupełnie jakby zamknięto mnie w klatce. Klimatyzacja działała na pełny regulator, a rozpościerający się z uszczelnionych okien pompatyczny pejzaż postsowieckiego miasta działał bardziej deprymująco niż betonowe ściany mojej kalabryjskiej celi. Do tego pokój był pełen lilii – pozbawionych łodyg, pasożytniczych kalii. Nacisnęłam przycisk przywołujący obsługę i kazałam je zabrać, ale ich zapach pozostał w pokoju zawieszony w stęchłym, lodowatym powietrzu.

Z hotelu do restauracji było niedaleko, lecz mimo to Zulfugarly przysłał po mnie ogromnego bentleya z szoferem w czapce

i ochroniarzem, który nosił broń w małej, skórzanej saszetce. Na tylnym siedzeniu czekała na mnie przystrojona kokardami torebka Bulgari, a w niej jedna z tych okropnych potrójnych, złotych bransoletek z wygrawerowaną nazwą firmy. Zapięłam ją niechętnie na nadgarstku.

Kiedy dotarliśmy do lokalu o nazwie Karawanseraj Bucharą, ochroniarz poinformował mnie, że pan Zulfugarly czeka w prywatnym pokoju. Wiadomość ta nieco mnie rozczarowała, ale szybko się okazało, że restauracja mieści się na powietrzu – dziedziniec ze starodawną fontanną otaczały kamienne pawilony z łukami ozdobione białymi, jedwabnymi zasłonami. Winorośle i drzewa granatu sprawiały, że całość przypominała oazę.

Zulfugarly czekał przed centralnym pawilonem.

– Witamy w Baku, pani Teerlinc!

Azerski oligarcha wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewałam: szyta na miarę, rozpięta u góry koszula, pod którą widać było włosy na klatce piersiowej, nieco bardziej ambitne jeansy, mokasyny Guccio, pasek od Hermès, a na lewym nadgarstku zegarek Hubolta – standardowy strój upośledzonego społecznie magnata.

– Cóż za piękne miejsce! Bardzo się cieszę, że mogę tu być!

– Jestem Heydar Zulfugarly. Przyjaciele mówią na mnie Hay-Z! – powiedział Azer, po czym nastąpiła pauza. Nachyliliśmy się niezręcznie i musnęliśmy się nawzajem obydwoma policzkami, a następnie Zulfugarly wytłumaczył mi, że Karawanseraj to jedno z tych miejsc, gdzie przez tysiące lat spotykali się kupcy podróżujący Jedwabnym Szlakiem. Gdy już otrząsnęłam się po szoku wywołanym przytłaczającą wonią jego wody po goleniu i wydałam kilka stosownych okrzyków zachwytu na temat starożytnych kupców i jego hojnego prezentu w postaci bransoletki, nastąpił kolejny moment ciszy. Ochroniarz dołączył do swojego sobowtóra przy ustawionym na dziedzińcu drewnianym stole. Zulfugarly przez chwilę bawił się telefonem, aż w końcu nagle przerwał milczenie.

– To zabytek znajdujący się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. – Ton jego głosu sugerował, że bardzo nad tym boleje.

Weź się w garść, Judith. To jest ta łatwa część. Dlaczego tak stoisz i się gapisz?

Otrząsnęłam się i kolejne dwie godziny poświęciłam na to, by Zulfugarly czuł się jak najlepiej – aczkolwiek przed zrobieniem mu laski się powstrzymałam. Hay-Z, jak większość mężczyzn, najbardziej lubił rozmawiać o sobie, więc wystarczyło, że od czasu do czasu zadawałam przygotowane wcześniej pytanie, a on mówił dalej. Przy drinkach – japońska whisky dla niego i piźmowe, słodkawe białe wino dla mnie – przedstawił mi spis swoich posiadłości, uraczył własną wizją przyszłości Azerbejdżanu, która z grubsza sprowadzała się do zrobienia z niego drugiego Dubaju, wymienił swoje kontakty w Dolinie Krzemowej i zadeklarował miłość do Nowego Jorku. Kiedy pracowałam jako hostessa w londyńskim barze, nauczyłam się triku, dzięki któremu można powstrzymać się od ziewania – trzeba przycisnąć język do podniebienia. Podczas tego spotkania często go stosowałam.

Obiad był przepyszny – składał się z małych, grubych naleśników nadziewanych szpinakiem i dynią, sałatki z ostrego białego sera przyprawionej estragonem i trybulą oraz nadzwyczajnego dania z jagnięcych pulpecików podanych na ruszcie, pod którym kelner umieścił wiadro z osmaloną, rozżarzoną wcześniej na węglach podkową.

– Fisindżan – wyjaśnił Zulfugarly, kiedy mięso polano ciemnym, gęstym sosem. Potrawa miała wędzony, słodki smak i wyraźnie czuć było w niej śliwki i melasę. Jedliśmy ją z małymi ciasteczkami z szafranowo-migdałowego ryżu zawiniętego w cienkie ciasto, popijając gęstym winem, niemal tak czarnym jak sos.

– *Czerniła*²⁸ – skomentowałam, gdy unieśliśmy kieliszki.

– Mówi pani po rosyjsku?

– Trochę. Ale proszę mi opowiedzieć o swoich planach dotyczących fundacji.

Nim skończył, zdążyliśmy opróżnić butelkę wina i zostać najlepszymi przyjaciółmi. Dowiedziałam się też, że niestety Zaha

28 Czerniła (ros.) – atrament.

Hadid zmarła, zanim Zulfugarly zdążył zaangażować ją do swojego przedsięwzięcia, za to zatrudnił francuskiego architekta, który stworzył projekt do złudzenia przypominający jedną ze szklaneczek w kształcie tulipana, w których podano nam herbatę z wiśniową konfiturą. Hay-Z kupił teren przy słynnym bakijskim bulwarze – szerokiej promenadzie nad brzegiem Morza Kaspijskiego – a sam projekt, jak mnie z radością poinformował, kosztował go już ponad sto milionów.

– I to przed zakupem twojego Gauguina!

– Masz zamiar go licytować?

– Mam zamiar go kupić.

– Jesteś bardzo pewny siebie. – Uśmiechnęłam się. – Jeszcze go nawet nie widziałeś. Może ci się nie spodobać.

Wyglądał na zdumionego.

– Ale to przecież Gauguin.

Na dziedzińcu ustawiło się trio muzyków w wyszywanych tunikach założonych na błękitne koszule i luźne, czarne spodnie. Jeden z nich trzymał między kolanami instrument przypominający czterostrunową gitarę, drugi miał pękatą mandolinę, a trzeci uderzał opuszkami palców w skórzany bębenek wielkości dużego talerza. Zaczęli grać zawodzącą melodię w tonacji durowej, osobliwie opadającą i odpływającą, figlarną, a zarazem melancholijną, a przy tym zwodniczo powtarzalną, tak że w końcu zdołałam usłyszeć w niej wszystkie warstwy przeplatających się ze sobą dźwięków zmierzających w kierunku jednego motywu, który wszelako nigdy nie zabrzmiał. Utwór był piękny i przez chwilę żałowałam, że go nie rozumiem, a potem doszłam do wniosku, że tak zapewne będzie brzmiał największy komplement, jaki Zulfugarly usłyszy od nieoświeconych gości na temat swojego instytutu.

Oligarcha dalej przynudzał na temat swojej „artystycznej krucjaty”, a ja się zastanawiałam, czy on rzeczywiście wierzy w cokolwiek z tego, o czym mówi, czy faktycznie uważa, że to będzie coś więcej niż tylko szansa na reklamę w czasopiśmie oferowanych w samolotach, i czy można jakoś powiązać ową dziwną, skrępowaną

dzikość muzyki, którą ignorował w tym niesamowitym, starożytnym miejscu, z kolekcją barwnych kwadratów, które w oczach jego gości będą tak monotonne i obce, jak mnie powtarzalny i monotony wydaje się wzór muszaraby. Oczywiście, nie powiedziałam tego wszystkiego na głos. Otwierałam szeroko oczy, pocierałam knykiem szczękę i przytakiwałam gorliwie, spoglądając na niego z lekko przekrzywioną głową spod rzęs, aż suma tych niewielkich, oczywistych gestów zmieniła układ sił między nami tak bardzo, że Zulfugarly zupełnie zapomniał, że to ja miałam zabiegać o jego względy. Czasami mężczyźni naprawdę są aż tak głupi.

- A przy okazji, czy mogę zapytać, kto dokona oceny obrazu?
- Solomon Mathis, przyleci dziś wieczorem.
- Rety. Jest świetny.

Ruch wykonany zza grobu przez Mackenzie Pratt był imponujący – zwłaszcza jak na kogoś, kto za życia dorównywał wzrostem dziewięciolatce. To Mathis był tym ekspertem, który zadzwonił do Ruperta, by ostrzec go przed oskarżeniami Pratt. Ciekawe, czy przyjął zlecenie Azera z ciekawości, czy też chciał pogrążyć British Pictures?

Zulfugarly objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Martwi się pani, pani Teerlinc? Czyżby obawiała się pani, że Solomon stwierdzi, że chce mi pani sprzedać falsyfikat? Ha, ha! – Śmiech azerskiego oligarchy brzmiał tak, jakby czytał kwestię bohatera komiksu.

– Jeśli to faktycznie fałszywka, to znalazłeś odpowiedniego człowieka, by to udowodnić! – Przetknęłam głośno ślinę. – Nikt nie nabierze Haya-Z!

Jakie jest ryzyko? Mathis jest głównym ekspertem od Gauguina, więc jeśli obraz przejdzie jego weryfikację, Zulfugarly na pewno weźmie udział w aukcji. Może się udać. A jeśli nie? Zostałam jeszcze przez chwilę przyklejona do intensywnie woniejącego ciała Azera. A jeśli nie, to może będę po prostu musiała zostać w Baku.

Zulfugarly nalegał, byśmy poszli do nowo otwartej filii klubu Pacha, gdzie – jakżeby inaczej – miał zarezerwowany najlepszy stolik, ale

niewiele było rzeczy, na które miałabym mniejszą ochotę niż wieczorne wyjście z mniej okrzesanym kuzynem Borata, więc najładniej, jak umiałam, wymówiłam się zmęczeniem, w międzyczasie zastanawiając się, gdzie najchętniej cisnęłabym podkowę spod rusztu. Uznałam jednak, że nie zaszkodzi podtrzymać zapach Azera.

Kiedy oligarcha odprowadził mnie uroczyście do bentleya, poprosiłam szofera, by poczekał, aż jego pryncypał już bez takich ceremonii zapakuje się do swojego wyłożonego czarnym aksamitem ferrari, a gdy tylko Zulfugarly z warkotem odjechał, stwierdziłam, że mam chęć na krótki spacer. Ochroniarz doskoczył do mnie gorliwie, ale po kilku minutach bezowocnego tłumaczenia mu, że chcę wrócić do hotelu sama, ostatecznie zdołałam rozwiązać jego obawy kilkoma banknotami po pięćdziesiąt euro.

Zaplotłam ręce za plecami i przeciągnęłam się, a potem przeszłam przez obszerny plac przed Karawanserajem i zanurzyłam się w uliczki starego miasta. Nie miałam ochoty wracać do przypominającego białą trumnę pokoju.

Alejki Miasta Wewnętrzznego przypomniały mi medynę w Tangerangze, tyle że tutaj były one nienaturalnie czyste i wyludnione. Pora była wczesna, a noc nadal ciepła, z satynową bryzą znad morza snującą się pod łukami bram, ale nie licząc sporadycznie mnie mijających, furkoczących po wypolerowanym bruku taksówek, stare miasto wyglądało na opuszczone. Nie żeby mi to przeszkadzało – wręcz przeciwnie, czasem lubię sobie przypomnieć, że jestem kotem, który chadza własnymi ścieżkami. Na rogach ulic paliły się żółte lampy, wydłużając cienie niskich drzwi. Szłam i muskając palcami ściany budynków, czułam bijące od nich ciepło kończącego się dnia.

Chociaż dokoła panowała cisza, upłynęło kilka minut, zanim się zorientowałam, że ktoś mnie śledzi. Miałam na nogach płaskie, wysadzone ćwiekami sandałki od Valentino, które nie stukwały po bruku, a mimo to wyraźnie słyszałam kroki. Kiedy się zatrzymałam, kroki ucichły, a kiedy przeszłam kawałek, ruszyły za mną.

Zatrzymałam się ponownie i zapaliłam papierosa, zerkając za siebie w blasku płomienia zapalniczki. Pusto. Skręciłam w prawo, by zawrócić w kierunku placu przed Karawanserajem, ale od razu trafiłam na mur fortecy. Zawróciłam i ruszyłam stromą uliczką w lewo. Kroki się zbliżały. Czułam, że ten, kto mnie śledzi, stara się iść jak najciszej. Sądząc po ciężarze, był to zapewne mężczyzna. Przyspieszyłam, tak że kątem oka ledwie widziałam ściany mijanych budynków. Moje źrenice wypatrywały każdej kolejnej, jasnej plamy światła. W końcu podciągnęłam sukienkę i zaczęłam biec. W kopertówce niewiele miałam przedmiotów przydatnych do obrony: telefon, karta do pokoju hotelowego i błyszczak. I wtedy przypomniałam sobie o grubej, złotej bransoletce na nadgarstku, prezencie od Zulfugarly'ego. Na szczycie wzgórza alejka wychodziła na mały, otoczony wysokim murem plac. Skoczyłam za róg budynku i wstrzymując oddech, zaczęłam rozpinać bransoletkę. Po kilku chwilach śledząca mnie postać wyłoniła się na placu i minęła mnie, rozglądając się na prawo i lewo – ale nie za siebie. Zanim mężczyzna zdążył się odwrócić, wyszłam z ukrycia, lewą ręką chwyciłam go za poję marynarki, a prawą uderzyłam bransoletką w skroń – najmocniej, jak potrafiłam. Złota obręcz odbiła się od bruku, a mój prześladowca zatoczył się bezgłośnie, próbując mnie po omacku chwycić. Zrobiłam unik w lewo i prawym sierpowym wymierzyłam mu cios w tchawicę, po którym padł na ziemię. Rozsądna kobieta w tym momencie dałaby nogę, ale ja usiadłam na nim okrakiem i chwyciłam za włosy z zamiarem rozkwaszenia jego gęby o kamienną nawierzchnię placu.

– Jezu! Zaczekaj! Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłeś mnie. Mam nadzwyczaj niski próg reakcji na bodźce awersyjne. Nie zauważyłeś tego?

– Co?

Uniosłam się lekko, by da Silva mógł się odwrócić. Przyłożyłam dłoń najpierw do jego serca, potem musnęłam obojczyk, a w końcu dotknęłam głowy w miejscu, gdzie go uderzyłam.

– Przyjechałem aż z Bari. Chciałem tylko...

– Zamknij się. – Nachyliłam się i go pocałowałam. Najpierw delikatnie, rozważnie złożyłam na jego wargach kilka powolnych, pełnych ciekawości muśnięć, a potem gwałtowniej zaczęłam szukać jego języka, wsuwając swój głęboko w jego usta. Objął mnie, a po chwili ścisnął mocniej i przyciągnął do siebie. Moje włosy opadły mu na twarz, gdy sięgnęłam za plecami pod sukienkę i usadowiłam się na wzniesieniu jego fiuta.

– Co robisz?

– Cóż, pomyślałam, że skoro już dotarliśmy do tego punktu...

Uderzył mnie w twarz, wystarczająco mocno, by mnie zabolalo, ale czułam, że się uśmiecha.

– *Puttana*²⁹.

Owinęłam palce wokół jego posiniaczonej szyi i zacisnęłam.

– Czyżby?

– Wiesz o tym.

Zerwał mi majtki i wszedł we mnie, a potem jednym ruchem wstał i zatopił się głębiej. Zaplotłam mu nogi za plecami, a on ze spodniami wokół kostek niezdarnie podreptał w stronę ściany, za którą wcześniej czekałam, by go zaatakować. Wbiłam mu paznokcie w tyłek, a on odgiął mi przedramieniem głowę i ugryzł mnie w szyję.

– Mocniej – rozkazałam, ale on już wcześniej odczytał moje myśli i uderzył moimi plecami o mur, po czym jego gruby fiut znalazł ponownie moją rozgrzaną cipę. Rozszerzył ją, a ja przyjęłam jego okazałą męskość.

– Powiedziałam mocniej.

– *Troia*³⁰. – Znowu mnie uderzył, tym razem w usta. Poczułam pieczenie i mrowienie, podczas gdy on chwycił mnie rękoma za pośladki, by wbić się we mnie głębiej. Cegły szorowały mi po plecach, a cipa ślizgała się po nim, aż wreszcie znaleźliśmy szybki, gwałtowny rytm, z każdym pchnięciem zbliżając się do szczytu. W końcu poczułam rozplywającą się po moim ciele falę rozkoszy. Moja pulsująca cipa oblała sokami jego gorącego fiuta, kiedy dźgnął

29 *Puttana* (wł.) – Suka.

30 *Troia* (wł.) – Kurwa.

mnie ostatni raz i spuścił się we mnie trzema długimi, drżącymi chluśnięciami.

Miałam tak szeroko rozłożone nogi, że musiał mnie z siebie zdjąć. Wygładziłam resztki sukienki i chciałam znaleźć majtki, ale dałam sobie spokój. Zamiast tego skupiłam się na szukaniu bransoletki, która mogła mi się przydać. Znowu czułam swój puls – a właściwie niemal go słyszałam. Tymczasem Romero doprowadzał się do porządku, zapinając pasek i poprawiając rozerwaną klapę marynarki.

Okazało się, że Karawanseraj jest zaraz za rogiem. Wyszliśmy ze starego miasta pod rękę.

– Po co przyjechałeś? – zapytałam w taksówce, kiedy wracaliśmy do hotelu.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko z tobą okej.

– Mogłam do ciebie zadzwonić.

– A może za tobą tęskniłem.

– Czyli zostajesz?

– Do twojego wyjazdu. Jeśli nie masz nic przeciwko. Potem zobaczymy się w Londynie, na aukcji.

Nie miałam nic przeciwko. Zbyt wiele duchów czyhało wokół mojego łóżka, więc uznałam, że dobrze będzie mieć w nim da Silvę.

23.

Solomon Mathis czekał na mnie następnego dnia o dziesiątej przed ambasadą. Był łysawy, z ciemną brodą, w eleganckim, błękitnym, lnianym garniturze. Zapoznaliśmy się, a potem Mathis zapytał, czy moglibyśmy zamienić słowo przed przybyciem Zulfugarly'ego.

– Muszę pani powiedzieć, pani Teerlinc, że dzwoniła do mnie Mackenzie Pratt. Kilka tygodni temu, mniej więcej w tym czasie, gdy zapowiedziano aukcję.

– Wiem o tym – odpowiedziałam ostrożnie.

– W takim razie wie pani również, że... hmm... świętej pamięci pani Pratt stwierdziła, że obraz jest falsyfikatem?

– Tak, słyszałam o tym.

– Oczywiście, miało to miejsce na długo przed tym, jak pan Zulfugarly poprosił mnie o pomoc.

Nagle zrozumiałam, do czego to wszystko zmierza. Sądząc po nienaturalnie beznamiętnym wyrazie twarzy mego rozmówcy, oboje to wiedzieliśmy. Pozwoliłam mu kontynuować.

– Chciałem jako pierwszy zapewnić panią, że żywię najwyższy szacunek do kolegów z Londynu. Chociaż, oczywiście, wywiążę się z zadania powierzonego mi przez pana Zulfugarly'ego, postrzegam tę całą procedurę jako czystą formalność – stwierdził Mathis, po czym dodał szybko: – Powinna też pani wiedzieć, że dokonam oceny w imieniu IFAR-u.

– Rozumiem.

IFAR, czyli Międzynarodowa Fundacja na rzecz Poszukiwania Dzieł Sztuki, świadczy usługi stwierdzania oryginalności dzieł, jednak w jej procedurach istnieje pewna luka prawna: eksperci mają prawo zachować anonimowość. Mathis cieszył się solidną reputacją, której nie chciał nadszarpnąć, a jednocześnie Zulfugarly gotów był wiele zapłacić, by usłyszeć to, co chciał usłyszeć. Działając z ramienia Fundacji, Mathis mógł zgarnąć swoje – prawdopodobnie pokaźne –

honorarium i zachować twarz, gdyby obraz okazał się jednak fałszywką. Tymczasem Zulfugarly niekoniecznie zdawał sobie sprawę z różnicy pomiędzy oceną IFAR-u a ostatecznym potwierdzeniem autentyczności.

Ekspert przyglądał mi się uważnie. Wyjawiał mi swoje stanowisko, ale najmniejsza oznaka ulgi malująca się na mojej twarzy mogła wszystko zmienić.

– To straszne, co się stało – oznajmiłam poważnie. – Wie pan, byłam tam owej nocy... Na obiedzie dla klientów British Pictures.

– Tak, czytałem o tym. Musiała pani doznać ogromnego szoku.

– Będzie nam jej ogromnie brakować.

– Oczywiście. Może byłoby bardziej... taktownie nie ujawniać opinii pani Pratt. O ile to, rzecz jasna, możliwe?

– Całkowicie się z panem zgadzam. Dziękuję. Cieszę się, że rozmawiał pan ze mną tak szczerze. Oczywiście, zachowam wszelkie informacje dla siebie.

Nie było do końca jasne, czy mówimy o oskarżeniach wygłaszanych przez Pratt, czy gwarantowanej przez IFAR anonimowości, lecz ani mnie, ani jemu to nie przeszkadzało. Uścisnęliśmy sobie dłonie jak tenisiści przed meczem.

– Mam nadzieję, że spodoba się panu obraz.

– Z pewnością.

Ponieważ nie pozwolono mi pozostać w pomieszczeniu podczas oględzin, usiadłam w kawiarni po drugiej stronie ulicy, zamówiłam gęstą, pachnącą kardamonem kawę i patrzyłam, jak Zulfugarly w towarzystwie ochroniarzy podjeżdża obciachowymi, terenowymi mercedesami. Cały orszak zniknął w budynku, a kilka minut później mój telefon piknął, informując, że otrzymałam wiadomość od Hugh.

On tu jest. Z Solomonem Mathisem. Będę miał oczy szeroko otwarte!

Idiota, pomyślałam. Naprawdę sądził, że Zulfugarly nie będzie chciał być obecny przy oględzinach?

Zapaliłam papierosa i szybko go zgasiłam. Wiedziałam, że będą tam przez kilka godzin – w każdym razie na pewno Mathis oraz stojący na straży obrazu Hugh i Karol. Dziwnie się poczułam, nie mając nic konkretnego do roboty. I wtedy mój telefon piknął ponownie. Da Silva.

Chcesz wrócić do łóżka?

Nie mogłam opanować uśmiechu. Może jednak miałam co robić.

Hugh zadzwonił tuż po trzeciej po południu. Drzemałam na piersi da Silvy z jedną ręką na jego fiucie, a on głaskał mnie po głowie.

– I co? – rzuciłam do słuchawki.

– Jest dobrze. To znaczy Mathis powiedział, że musi spisać wnioski z oceny, ale widziałem, jak kiwa głową w kierunku Zulfugarly’ego. Będzie licytował.

– Powiedziałaś już Rupertowi?

– Nie. Pomyślałem, że chciałabyś dowiedzieć się o tym pierwsza.

Da Silva usiadł na łóżku i zaczął szukać spodni. Jakimś cudem znalazły się na balkonie.

– Cudownie. Dzwon do Ruperta, na pewno czeka na wiadomość. Przyjadę za godzinę, żeby podpisać odbiór obrazu.

– Jasne. Mam powiedzieć, żeby szykowali samolot? – Czułam, że Hugh nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł o to spytać.

– Tak. Dzięki.

Da Silva pociągnął mnie z powrotem na skotłowaną pościel.

– Wyjeżdżasz?

– Nie jesteś ciekaw, co powiedzieli o obrazie?

– Nie dbam o to. Zostań.

Wyrwałam mu się.

– To niemożliwe, wiesz przecież. Ale... – Nie mogłam uwierzyć, że

to mówię, ale słowa mimowolnie wyszły z moich ust. – Może pojedziesz ze mną? Zostaniesz w Londynie aż do aukcji. Załatwię, żeby wpuścili cię na pokład samolotu.

Kiedy się zastanowiłam, doszłam do wniosku, że spędziłam ogromną część życia, czekając na da Silvę. Ciągące się w nieskończoność dni nad jeziorem po zabiciu Camerona Fitzpatricka, długa podróż z Nicei do Wenecji, gdzie Romero czekał przy kościach Alvina Spencera, powoli upływające godziny mojej niewoli w Kalabrii. Mimo to miałam wrażenie, że to właśnie te kilka sekund oczekiwania na jego odpowiedź w pachnącym naszym seksem pokoju hotelowym upływa najwolniej w moim życiu.

– Tak, Judith – odpowiedział w końcu. – Chętnie.

– Fasolka w sosie pomidorowym – wykrzyknął da Silva, kiedy taksówka podjechała na Brook Street.

– Co?

– Fasolka w sosie pomidorowym. No wiesz, te obrzydliwe, pomarańczowe gruziołki. To właśnie pamiętam z Anglii.

Jak na powiązanego z mafią funkcjonariusza organów ścigania da Silva zadziwiająco mało podróżował. Odwiedził Londyn zaledwie raz, podczas jednodniowej wycieczki, kiedy odbywał kurs językowy w Leicester.

– Mieszkaliśmy u angielskich rodzin – wyjaśnił, gdy odźwierny wziął od nas bagaże i powitał mnie z powrotem w Claridge's. – Kolacje jadaliliśmy o szóstej po południu. Było ciągle lodowato i pochmurno. Musiałem w lecie nosić sweter. I całe jedzenie było pomarańczowe. Te... palce rybne?

– Paluszki.

– I płatki kukurydziane. To było traumatyczne przeżycie. Schudłem wtedy kilka kilogramów.

– Fasolka w sosie pomidorowym jest pyszna. Zresztą zobaczysz, Anglia jest zupełnie inna.

– Pani Teerlinc, wiadomość dla pani – zawołał konsjerż.

Zulfugarly zadzwonił do hotelu i poprosił, bym się z nim skontaktowała, osobiście. Wysłałam da Silvę do pokoju, by wziął prysznic, i zadzwoniłam z lobby do Baku. Azer odebrał po pierwszym sygnale, starając się przekrzyczeć dudniącą house'ową muzykę. W Azerbejdżanie była druga nad ranem, więc Hay-Z musiał siedzieć w filii Pachy. Coś zatrzeszczało w słuchawce, gdy Zulfugarly wychodził na zewnątrz, a potem usłyszałam go dużo wyraźniej.

– Rozmawiałem z panem Mathisem!

– Jesteś zadowolony?

– Jak najbardziej. Jeśli nie masz żadnych planów, chciałbym cię zaprosić w ten weekend do Saint-Tropez. Chcę z tobą omówić pewną kwestię.

– Nie możemy porozmawiać przez telefon?

– Wolałbym zobaczyć się z tobą osobiście. Mam tam dom, miło mi będzie cię gościć.

– Hmm, pozwól, że się zastanowię. Muszę sprawdzić kalendarz.

Da Silva leżał wyciągnięty na łóżku – w ręczniku kąpielowym, pachnący żelem pod prysznic Cowshed o zapachu paczuli. Wyciągnął do mnie ręce, ale zrobiłam unik i zaczęłam się rozbierać.

– Czuję się obrzydliwie po locie. Wezmę prysznic, a potem może coś zamówimy? Żadnej fasolki.

– Idealnie, *amore mio*.

Kochana. Powiedział do mnie „kochana”, nie trzymając we mnie swojego fiuta. To musi coś znaczyć.

Z samego rana zadzwoniłam do Carloty.

– O, mój Boże! Gdzieś ty się podziewała? Jestem w piątym miesiącu ciąży!

– To wspaniale, gratulacje. Bardzo się cieszę! To...

– Bliźniaczki. Franz jest wniebowzięty.

– Będziecie latem w Monako?

Carlotta westchnęła ciężko.

– Tak... To znaczy ja chciałam polecieć na Mykonos, ale Franz stwierdził, że to byłoby dla mnie zbyt męczące. A przecież nie jestem chora, tylko w ciąży. Więc będę tkwić w tej dziurze, aż wrócimy do Szwajcarii.

„Tą dziurą” był piękny dom Franza w stylu art déco niedaleko Palais des Princes.

– Masz ochotę wyskoczyć do Saint-Tropez? Oczywiście, jeśli ci mężulek pozwoli.

– Nie gadaj! Jasne! Siedzę tu sama i umieram z nudów. Zatrzymamy się w Byblos?

– Pewnie, zarezerwuję dla nas pokoje.

– To będzie mój dziecięcy miesiąc miodowy! – pisnęła Carlotta. – Tyle że bez Franza. A przy okazji, co się stało z tym Rosjaninem?

– Możliwe, że spotkam się z nim w Saint-Tropez.

– Powiedziałałabym, że to super, ale jestem teraz strasznie gruba.

– Co to za „on”? – zapytał da Silva, obracając się, by polizać mnie w kark.

– Ktoś, z kim muszę się spotkać. Właściwie będzie ich dwóch. Muszę pojutrze pojechać na południe Francji.

– Dopiero tu przyjechaliliśmy. Mogę pojechać z tobą?

– Nie. To sprawa służbowa, kochanie. Warta zachodu.

– A co ze mną?

– Nie bądź zaborczy, to takie mało seksowne. Zostaniesz tutaj i pójdziesz do Muzeum Brytyjskiego, na London Eye albo gdzie indziej. Zrób sobie wakacje. Oczywiście, jeśli dogadasz się z Franci – dodałam złośliwie.

Da Silva wstał i poszedł do łazienki. Wysłałam szybką wiadomość do Jeremołowa z pytaniem, czy jest na Lazurowym Wybrzeżu, a potem napisałam Zulfugarly’emu, że sama zorganizuję sobie zakwaterowanie i zaproponowałam spotkanie na lunch w klubie 55.

Da Silva spuścił wodę w toalecie i skulony wrócił do łóżka. Zaczęłam całować go po całym ciele, muskając językiem spięte mięśnie.

– Nie dąsaj się. Zaprosiłam koleżankę, więc będę mieć przyzwoitkę.
Wrócę za dwa dni.

– Dwa dni to wieczność, *amore*.

Nadal muskałam go językiem po klatce piersiowej i brzuchu, aż moje usta dotarły do celu. Podejrzewam, że nie jestem pierwszą kobietą, która podczas seksu oralnego myślała o zakupach. Potrzebowałam na ten wyjazd nowej garderoby. Wybierałam się na babski weekend i sądząc po tym, co miałam w ustach, znalazłam też chyba chłopaka. Oto panna Normalińska.

24.

Widok Morza Śródziemnego w chwili, gdy samolot podchodzi do lądowania nad lotniskiem w Nicei, nieodmiennie przyprawia mnie o dreszczyk emocji. Może dlatego, że pas startowy wygląda tak, jakby wchodził w morze, i zawsze czuję to cudowne napięcie, kiedy pilot omija fale. Sporo czasu upłynęło od mojej pierwszej wizyty w tym mieście. Wtedy byłam niezmiernie podekscytowana weekendem w Eden Roc, lecz do tej pory zdążyłam się już nauczyć, że zachwywanie się Riwierą jest dość obciachowe. Była gęsto zabudowana, krzykliwa i wiecznie zatłoczona, ale ilekroć ją odwiedzałam, jak nigdzie indziej czułam, że w *końcu dotarłam*. Co prawda pod pewnymi względami tamta wizyta nie wypadła imponująco, jako że moi dwaj towarzysze podróży jej nie przeżyli, ale tym razem miało być inaczej. Bugenwille były tak samo jaskrawe jak poprzednio, a niebo nad Cap Ferrat równie błyszczące, ale za pobyt płaciłam sama, gotówką, a nie robiąc laskę jakiemuś grubasowi. Na widok czekającej na mnie przy bramce Carlotty pomyślałam, że obie przeszłyśmy daleką drogę, każda w swoim kierunku.

Nie licząc ciężowego brzucha, Carlotta wyglądała tak samo jak ostatnim razem. Oprócz gigantycznych piersi od razu rzucił mi się w oczy olbrzymi diamentowy wisiołek spoczywający w zagłębieniu pod jej szyją.

– Prezent z okazji porodu – wyjaśniła po obowiązkowych uściskach i piskach, kiedy bagażowy wiózł nasze torby do samochodu. – Tylko jakby z wyprzedzeniem.

– Na kiedy masz termin?

– Formalnie na październik, ale jestem zapisana na wrzesień na cesarkę w Zurychu.

– Z bliźniakami nigdy za wiele ostrożności.

– To samo powiedziałam Franzowi. Ale tak naprawdę chodzi o to,

że chciałabym zdążyć zapisać je do Le Rosey.

Jedną z wielu cech, które podziwiałam u Carlotty, nie licząc umiejętności wykorzystywania każdej okazji do osiągnięcia własnych korzyści, była jej dyscyplina. W innym życiu mogłaby zostać generałem.

– To co z tym Rosjaninem? – zapytała, gdy usadowiliśmy się w mercedesie i ruszyliśmy w dwugodzinną podróżą do Saint-Tropez.

– Nazywa się Paweł Jeremołow. Zaprasza nas dzisiaj na kolację. Oczywiście, jeśli nie będziesz zbyt zmęczona.

– Zmęczona? Całe lato nic, tylko odpoczywam. W tym cholernym Monako. Straaaszna nuuuda.

Pamiętałam czasy, kiedy Carlotta gotowa była oddać swoje sztuczne piersi za mieszkanie w Monako, ale przemilczałam tę kwestię.

– To tylko znajomy, nic poważnego. Ale poznałam kogoś. Włocha.

Usłyszałam, że zaczynam mówić piskliwym, wysokim tonem, którego używałam, kiedy byłyśmy z Carlottą na jachcie i polowałyśmy na facetów.

– Milutko. Jest bogaty?

– Nie, za to szczery.

Przynajmniej jak na moje standardy szczerości.

– Jak seks?

– Dobrze. Bardzo dobrze. Wręcz zajebiście.

– Franz mnie nie dotknął, odkąd dostaliśmy wyniki testu ciążowego.

Nie postrzegałam tego w kategoriach straty, zwłaszcza że Franz był po siedemdziesiątce i miał lekką urofilie, ale próbowałam powiedzieć coś pokrzepiającego.

– Na pewno się martwi o dzieci. To nielogiczne, ale całkowicie normalne.

– Taaa. Tylko obawiam się, co będzie po porodzie.

Po przyjeździe do Byblos Carlotta stwierdziła, że jednak potrzebuje

się zdrzemnąć, więc spędziłam popołudnie, przepływając kolejne długości basenu, czytając książkę i analizując swoje plany na dzień po aukcji. Bilet kolejowy nadal czekał w szafce w przechowalni bagażu Metro Express na stacji St. Pancras, ale pomyślałam, że może nie będę musiała go użyć. Odwróciłam się na plecy i machając lekko rękami, przez chwilę unosiłam się w wodzie z twarzą zwróconą w stronę kobaltowego, śródziemnomorskiego nieba. Chyba się trochę rozmarzyłam.

O szóstej poszłam do pokoju się ubrać. Na myśl o tym, że po siedmiu miesiącach znów spotkam Jermołowa, czułam się podekscytowana bardziej, niż mi się to wydawało wskazane, więc, ma się rozumieć, za nic na świecie nie chciałam wyglądać tak, jakbym się wystroiła. Ostatecznie wybrałam jasnoszarą sukienkę z surowego lnu od Caravane, brązowy, skórzany pasek z dwiema klamrami od Isabel Marant i proste sandałki na płaskiej podeszwie – wyznaję bowiem teorię, iż po tym, jak mężczyzna zobaczy cię nago, nie musisz się już przejmować noszeniem butów na wysokim obcasie. Za to włosy czesałam dłużej niż zwykle i przez dwadzieścia minut nakładałam makijaż, by po chwili całkowicie go zmyć.

Napisałam do Jermołowa esemesa z przypomnieniem, by nie zwracał się do mnie „Judith”, tylko „Elisabeth”, gdyż poprzedniego lata podczas wesela wyjaśniałam Carlotcie, że z powodów zawodowych zmieniłam imię, a wcześniej знаła mnie jako Lauren. O Boże, moje życie było takie wyczerpujące.

Gdy wyszłam, Carlotta miała na sobie falującą, muślinową sukienkę od Luisy Beccari. Z podwyższoną talią i w kolorze złamanej bieli moja przyjaciółka wyglądała tak, jakby miała pozować Elisabeth Vigée le Brun, jednej z dwóch artystek, od których wzięłam swój nowy pseudonim. Na widok mojego stroju Carlotta podniosła brwi.

– W tym idziesz, kochanie? To znaczy... wyglądasz przepięknie, ale... Mówiłaś, że ten Włoch jest biedny. Nie chcesz chyba się ograniczać?

– Lubię go, Carlotto. Wiele nas łączy.

– Coś jak więź duchowa?

- Można to tak nazwać.
- W takim razie musisz to uszanować. Mam takie same odczucia wobec Franza.

Pożałowałam wyboru sukienki, jak tylko weszliśmy do La Vague d’Or, gdzie Jermołow zarezerwował stolik na ósmą. Ponieważ Paweł odrzucił moją propozycję, byśmy zjedli obiad w jego domu za miastem i jeszcze raz obejrzeni obrazy, spodziewałam się, że przyjdzie z osobą towarzyszącą, ale nie przypuszczałam, że osoba ta będzie mieć sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wysokie obcasy. Nic dziwnego, że Mackenzie Pratt była taka zgorzkniała. Kiedy Tatiana nachyliła się, by zdawkowo cmoknąć mnie w policzek na powitanie, poczułam się jak robaczek. Ale ponieważ niewiele jest na świecie rzeczy nudniejszych niż wroga kobieta, a mój rosyjski nie całkiem jeszcze wyparował mi z głowy, mimo kiepskiego akcentu starałam się z całych sił podtrzymywać uprzejmą konwersację, pociągając przy tym pokaźne łyki cudownego corton-charlemagne. Carlotta dotrzymywała mi kroku, prowadząc z Jermołowem po angielsku typową europogawędkę o tym, gdzie kto był i gdzie się wybiera, czyli międzynarodową wersję gry w nazwiska.

Tatiana zdradziła mi, że zajmuje się projektowaniem biżuterii. Powstrzymałam się od złożenia jej wyrazów współczucia i zapytałam, czy sprzedaje swoje prace w Londynie.

– Chciałabym, ale jestem bardzo zajęta. No wiesz, podróżuję z Pawłem. – Wyciągnęła swą wątlą rękę nad nietkniętą tartą z homarem i zaborczo przyłgnęła do Jermołowa. Rzuciłam Carlocie wymowne spojrzenie. Chciałam porozmawiać z Pawłem na osobności, ale Tatiana najwyraźniej nie miała zamiaru spuścić go z oczu. Carlotta przeprosiła wszystkich i wstała, by pójść do łazienki. Kiedy podnosiła się z krzesła, Jermołow wstał uprzejmie, po czym chwycił ją za rękę, gdy się zachwiała, a jej brzuch zakołysał się, wylewając Tatianie cosmopolitana na obcisły kombinezon od Alai.

Kelnerzy podbiegli z serwetkami, ale towarzysze Pawła nie pozostało nic innego, jak oddalić się w celu naprawienia szkody. Carlotta podreptała za nią, przepraszając za swą niezdarność.

Jermołow przeszedł na angielski.

– To było podłe, Judith.

– Cóż, jeśli wiążesz się z kobietami, które piją drinki do kolacji... Nie martw się, zaraz wróci. A korzystając z tego, że zostaliśmy sami... Chcę, żebyś piątego czerwca przyszedł na aukcję do British Pictures. I chcę, żebyś licytował obraz. Nie kupił, ale licytował. Graj wysoko. To Gauguin, *Kobieta z wachlarzem II*.

– Tak, widziałem katalog. Prawdę mówiąc, czytałem również gazety. I nie rozumiem, dlaczego miałbym zrezygnować z kupna tak ważnego obrazu.

– Uwierz mi, nie chciałbyś go. Za to ja chcę, żebyś udawał, że bardzo ci na nim zależy. Pomożesz mi?

– Zawsze jestem gotów pomóc... przyjaciółce. Ale skąd ten pośpiech?

– Dejan Raznatović.

– Aha.

W tym czasie miliardy Jermołowa były już całkowicie legalne, ale wiedziałam, że nie muszę mu wyjaśniać, kim jest Raznatović.

– Z pewnością są inne sposoby...

– Pawle, proszę. I tak planuję go unikać. Ale najpierw załatwmy tę sprawę. Muszę zyskać na czasie.

– A co dostanę w zamian?

– Czy mam coś, czego mógłbyś chcieć?

– Wyglądasz dziś bardzo poważnie.

– Chcesz powiedzieć: abnegacko?

– Abnegacko? Tak, o to słowo mi chodziło. Może to poprawi ci nastrój. Otwórz później. – Podał mi pod stołem małą paczuszkę. – Jakie masz plany? Po aukcji? – zapytał.

– A co z nią?

– Z Tatianą? Ona jest... tymczasowo.

– W takim razie jestem otwarta na propozycje. Chociaż niczego nie

mogę obiecać. Muszę zobaczyć, jak potoczą się sprawy w... Londynie. Dlatego chcę, żebyś licytował ten obraz.

– W takim razie odwiedzę cię w Londynie. I wtedy zobaczymy.

– Wiesz, że śniłam o twoich obrazach?

Jermołow wstał ponownie, bo panie właśnie wróciły do stolika. Tatiana *ad hoc* zmodyfikowała swój kombinezon, obcinając poplamione nogawki. Tuż za nią szedł kelner, niosąc zawieszony na przedramieniu rurki materiału. Nawet tu, na wypełnionym wybitnymi rywalkami tarasie trzygwiazdkowej restauracji w Saint-Tropez odślonięte nogi Tatiany utworzyły w czerwcowym powietrzu tymczasowy tunel próżniowy. Jermołow ucałował swą towarzyszkę od tyłu w ramię.

– Jutro pójdziemy na zakupy, kochanie – szepnął, ale oczy miał nadal utkwione w mojej twarzy. Dziwnie się poczułam na myśl o tym, że kiedyś się go bałam.

– On ma na twoim punkcie totalną obsesję!

Siedzieliśmy z Carlottą na jej hotelowym balkonie, popijając rumianek. Przez wzgląd na bliźniaki nie zapaliłam papierosa.

– Kiedyś coś nas łączyło, ale widziałaś tę Brienne z Tarthu.

– Coś ty, dziewczyn takich jak ona jest tu na pęczki. My chyba coś o tym wiemy, prawda? – Carlotta mrugnęła porozumiewawczo norkowymi rzęsami.

– Dał mi coś. – Rzuciłam jej pudełko skrywane dotychczas w mojej torebce.

– Asprey? Nuuada. Od Rosjanina oczekiwałamby przynajmniej Harry'ego Winstona. Zaraz, wróc. Tylko popatrz na te cudeńka!

Spojrzałam na kolczyki w duchu belle époque – diamentowe gruszki wielkości kłębu mojego kciuka osadzone w przytrzymującym je z trzech stron rzeźbionym wisiorku.

– A nie mówiłam?! – pisnęła Carlotta.

Odwróciłam jeden z kolczyków do góry nogami. Pod tym kątem szlif brylantu przypominał pióra w wachlarzu. *Nieźle, Pawle,*

naprawdę nieźle.

– Franz przynajmniej kupuje mi porządną biżuterię – stwierdziła z samozadowoleniem Carlotta, bawiąc się naszyjnikami. – Wcześniej byłam zaręczona z Hermannem. Pamiętasz go?

– To ten, który poszedł do więzienia?

– Tak. Był kompletnym prosiakiem. Tak czy inaczej, spotykałam się kiedyś z jednym facetem, który kupił mi parę sztyftów od Tiffany’ego. Wyobrażasz sobie?

– Twoje życie to padół łez, Carlotto.

– Chcesz pójść na chwilę do Les Caves?

– Jasne.

– To załóż kolczyki i zmień ten wór.

Zulfugarly poinformował mnie z dumą, że o pierwszej po południu mamy spotkanie w klubie 55, po czym wyjaśnił – jakbym nie wiedziała – że tylko stali klienci mogą liczyć na stolik przed trzecią. Wysłał również łódź, by zawiozła mnie na plażę Pampelonne. Uznałam, że ponad trzydziestometrowa Cerri dla jednej osoby to lekka przesada, lecz mimo to usiadłam po turecku na dziobie i z powiewającymi na wietrze włosami patrzyłam, jak fale wykonują swoje lazurowe, błyszczące akrobacje. Lawirując pośród flotylli zakotwiczonych w zatoce Ramatuelle luksusowych jachtów, doświadczyłam czegoś, co można by nazwać duchowym spełnieniem.

Kiedy motorówka z rykiem podpłynęła do klubu, Hay-Z już czekał na mnie na molo. Podałam mu sandały i podciągnęłam swój cieniutki, błękitny kaftan od Prism, a po chwili członek załogi sprowadził mnie na ląd. Pod spodem miałam na sobie białe, asymetryczne bikini Eres, które Zulfugarly’emu najwyraźniej się spodobało.

– *Bonjour*, Patrice! – Właściciel klubu 55 wzdrygnął się prawie niezauważalnie, gdy Azer poklepał go po przyjacielsku po plecach.

– *Bonjour madame, monsieur* Zulfugarly, miło znów pana widzieć.

Kiedy posadzono nas wśród niebiesko-białych Inianych dekoracji z butelką różowego wina oraz porcją okonia morskiego oraz ratatouille, azerski oligarcha poinformował mnie, że zamierza kupić Gauguina. Odparłam, że jestem zachwycona tą informacją, ale, jakkolwiek miło mi go zobaczyć, nie rozumiem, dlaczego zaprosił mnie aż do Saint-Tropez, by mi to oznajmić.

– Myślałem, że może dojdziemy do porozumienia.

– Ma pan na myśli sprzedaż prywatną?

– Właśnie.

– I jak pan sobie to wyobraża? Proszę pamiętać, że obraz nie należy do mnie, ja występuję jedynie w charakterze marszandki.

Azer posłał mi spojrzenie, które prawdopodobnie miałam odebrać jako przebiegłe. Czarne kosmyki jego włosów wiły się jak pędy, opadając na ramiona koszuli od Vilebrequina.

– W rzeczy samej, dlatego w przypadku prywatnej sprzedaży za ustaloną wcześniej cenę jestem gotów zapłacić pani galerii stosowną prowizję. Gentileschi, tak?

Pociągnęłam maleńki łyk wina, patrząc, jak siedzące dookoła kobiety bawią się sałatkami z grillowaną rybą i pomidorami, unosząc widelce do ust i odkładając je na talerze z niemal nietkniętą potrawą. Miałam wrażenie, że moje sąsiadki biorą udział w jakimś spisku – jakby całe życie towarzyskie nad Morzem Śródziemnym toczyło się wokół niekończących się lunchów i obiadów, na których oczekiwano, że kobiety nie będą jadły dosłownie nic, jak Scarlett O’Hara na barbecue w *Przemienęto z wiatrem*. Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i spojrzałam Zulfugarly’emu w oczy.

– Ile?

– Sto za obraz plus dziesięć dla ciebie.

Nie musiał dodawać, że chodzi o miliony.

– Przyjemna oferta. Byłabym nią bardzo zainteresowana, tyle że...

– Piętnaście.

– Panie Zulfugarly, nie obraziłabym pana targowaniem się. Jak wspomniałam, pracuję dla Società Mutuale, a bank nalegał, by obraz został wystawiony na aukcję publiczną. Wie pan, że dzieło zostało

już powierzone pieczy domu aukcyjnego, więc trzeba by rozważyć opłatę za rezygnację.

– Jaka jest cena wywoławcza?

– Sto.

– Dziesięć procent od tej kwoty plus piętnaście dla ciebie daje w sumie sto dwadzieścia pięć. Mógłbym...

Przerwałam mu.

– Jest jeszcze jeden powód. Moim obowiązkiem jest dopilnowanie, by klient dostał jak najlepszą cenę. A ostatnio dowiedziałam się, że jest jeszcze jeden zainteresowany.

– Kto?

– Nie mogę powiedzieć.

– Oczywiście.

Kontynuowaliśmy lunch, podczas którego Zulfugarly próbował ukryć irytację, kończąc szybko wino i zamawiając kolejną butelkę. Przy stoliku ustawionym najbliżej wody grupa Arabów pryskała na wijącą się dziewczynę szampanem dom perignon rocznik osiemdziesiąty piąty. Dwaj kelnerzy podbiegli do nich, lecz nie po to bynajmniej, by powstrzymać rozrywkowych klientów, tylko żeby odepchnąć gumowy ponton z turystami, którzy podpłynęli zbyt blisko pomostu i zaczęli wymachiwać selfie stickami. Obok nas dwoje jasnowłosych dzieci zajętych było swoimi iPadami, ignorując specjalnie przygotowane dla nich hamburgery oraz ciągnący się kusząco wzdłuż wody pas mokrego piasku. Tę samą obojętność okazał cały klub, kiedy weszła doń z plaży sławna aktorka w brudnych, postrzępionych szortach. Co zrobiliby ci ludzie, gdyby wśród tych wyziewów kapitalizmu morze wyrzuciło na brzeg łódź pełną uchodźców? Wykorzystaliby okazję i naprędce zorganizowali elegancki bal charytatywny, na którym przejmującą mowę wygłosiłby Leonardo DiCaprio? *Jakby cię to naprawdę obchodziło, Judith*. Istniało tylko jedno miejsce, w którym chciałam się znaleźć, i nie była to część plaży zarezerwowana dla gapiów.

– Właściwie – nachyliłam się rezolutnie do Zulfugarly’ego. – Mogę ci w tajemnicy powiedzieć, że ten nabywca to Paweł Jermołow.

Będiesz na aukcji osobiście?

– Muszę być wtedy w Nowym Jorku.

– Jaka szkoda. – Sięgnęłam w kierunku leżącej na stoliku dłoni Azera i spojrzałam na bransoletkę Bulgari, którą przed spotkaniem niechętnie włożyłam na swój nadgarstek. – Miałam nadzieję, że uczymy razem twój zakup.

Zulfugarly pogłaskał wewnętrzną stronę mojego przedramienia.

– To znaczy, że nie mam szans? – spytał.

– Wręcz przeciwnie.

Oparłam się na krzesło. *Dobra, misja wykonana. Przekonajmy się, kto ma większego fiuta.*

25.

Czasami siedzisz w pomieszczeniu całe popołudnie, na przykład czytając, i nagle ktoś wchodzi do środka, zapala światło i dopiero wtedy zdajesz sobie sprawę, że na zewnątrz zapadł już zmrok. A ty, nie mając o tym pojęcia, siedziałeś w ciemności. Tak właśnie się czułam podczas tych dni spędzonych w Londynie z da Silvą – jakby Romero zdjął z mojego świata warstwę ponurej bezbarwności. Jakby usunął werniks z obrazu. Być może czułam się tak dlatego, że da Silva w ten czy inny sposób był obok mnie, odkąd to wszystko się zaczęło, i widział moją prawdziwą twarz – dlatego nie musiałam przed nim niczego ukrywać. Wiem, że może to brzmieć niepokojąco, ale ja nie odbierałam tego w ten sposób. Czułam się wspaniale.

Ponieważ wszystko było już przygotowane do aukcji, nie pozostało mi do zrobienia nic oprócz pokazania się na kilku koktajlach z Rupertem lub Charlesem Eaglesem. Angelica „pracowała z domu” – a dokładniej: z czyjegoś domu na Formenterze – ale miała wrócić na aukcję. Rupert był niesłychanie dumny z tego, jak zręcznie udało mu się przejąć kontrolę nad historią Gauguina. Jak wyjaśnić całemu działowi, chodziło o „przejęcie narracji medialnej”. Charles Eagles przyszedł mu z pomocą, dzwoniąc do swych przyjaciół z „Tatlera”, i gdy ci opublikowali na swej stronie internetowej artykuł zatytułowany „Licytujemy!”, moralne wątpliwości zasiane przez Mackenzie Pratt zostały ostatecznie rozwiane. Gazety zamieszczały biogramy Jermołowa i Zulfugarly’ego, spekulując, który z nich zdobędzie obraz, a ja wysłałam Pandorę z dziesięciofuntowym banknotem do Williama Hilla, by obstawić zwycięzcę, po czym – oczywiście dyskretnie – zadzwoniłam do działów plotkarskich.

Jednak całe to zamieszanie wokół aukcji wydawało mi się jakby nierzeczywiste. Dla mnie istniał jedynie Romero. Zwlekałam się

z łóżka, biegłam na zaplanowaną na dany dzień imprezę, gdzie odbywałam półgodzinną, bezmyślną pogawędkę o niczym, podczas gdy w głowie jak biały szum cały czas buzowała mi tęsknota za da Silvą, aż w końcu uznawałam, że mogę już uciec z powrotem do niego i wciąż ciepłego gniazdka, które nasze ciała uwiły w pościeli. Nie wiem, czy któreś z nas kiedykolwiek przedtem naprawdę się z kimś kochało. Chyba nigdy nawet o tym nie myślałam. Podczas naszego pierwszego razu w jego pożądaniu była jakaś niezdarność, co wydało mi się niezmiernie urocze. Seks był dla niego czymś jeszcze nieznanym, zestawem czynności, które powinien wykonać, a nie grą słów i gestów, którymi może i chce coś wyrazić. Nigdy wcześniej na to nie zwracałam uwagi – kochankowie byli tylko dobrzy lub kiepscy – a tu nagle z mieszaniną odwagi i czułości, o które się nie podejrzewałam, odkryłam, że chcę go tego nauczyć. I uczyłam go, a przy okazji siebie, co było cudowne, ponieważ żadne z nas już nie udawało. Nie zawsze zachowywaliśmy się delikatnie i czule, ale często tak właśnie było. Pod ubraniami nasze ciała zamieniły się w mapy niezgłębionej rozkoszy: jego palce odbite na zawsze na delikatnej skórze po wewnętrznej stronie mych ud, poczwórna krwawa pręga na jego ramieniu. Byłam opuchnięta, pogryziona i posiniaczona, a kiedy nie było go we mnie, czułam jedynie pusty ciężar jego nieobecności.

Nie dbałam o to, że niewiele czyta i nie interesuje się sztuką, a ja czasem nie potrafię wytłumaczyć mu czegoś po włosku. Żadne z nas nie miało wątpliwości, że będziemy razem – pozostawało jedynie pytanie „kiedy”, które wisiało nad nami od pierwszego spotkania. Nasze rozmowy stały się fascynujące, ponieważ zaczęliśmy rozmawiać o nas: *Jak się wtedy czułeś? Skąd to wiedziałas?* Nawet nasze współnictwo w zbrodni, które obiektywnie było czymś potwornym, nam wydawało się dziwne i piękne, jak przywilej kochanków, którego nie śmiałabym zniszczyć. Jedynym tematem, którego nie poruszaliśmy, było to, co miało nastąpić po aukcji. Wiedziałam, że pod moją nieobecność rozmawiał z żoną i dziećmi na FaceTime, i doceniałam fakt, że starał się to robić dyskretnie. Nie

byłam w stanie stanąć oko w oko z okropnym stereotypem romansu z żonatym mężczyzną, więc robiłam to, co robi większość kobiet – udawałam, że temat nie istnieje.

Nie licząc matki i Dave'a, nigdy nie miałam bliskiej osoby, której mogłabym kupować prezenty. Gust da Silvy był dość przewidywalny, ale bawiło mnie dogadzanie mu. Jego zachwyty nad nowymi rzeczami przypominał mi mnie samą sprzed lat i czasami myślałam, że jeśli go lepiej ubiorę, może będzie bardziej skłonny zapragnąć nowego życia. Kiedy więc nie leżeliśmy w łóżku ani nie siedzieliśmy w jednej z restauracji, które za dawnych londyńskich czasów chciałam odwiedzić, ale na które nie było mnie wówczas stać, zabierałam Romero na zakupy. Zamawialiśmy koszule u Turnbull&Assera i buty u Edwarda Greena, mięciusiętkie szaliki, kaszmirowe swetry i prawdziwy angielski garnitur z Savile Row. Chciałam go rozpieszczać, kupować mu prezenty – aż stanie się idealny.

W przeddzień aukcji poszliśmy wieczorem do małej francuskiej restauracji w Bermondsey. Nalano nam wino i wtedy mu wręczyłam pudełko. W środku był rolex daytona. Sama bym takiego nie wybrała, ale wiedziałam, że on będzie zachwycony. Zaniósłam go do jubilera na Marylebone Lane, by wykonał na odwrocie grawerunek. *Sempre*. Na zawsze. Romero trzymał go przez chwilę w rękach, po czym zapiął bransoletę.

– Dziękuję, Judith. Jest piękny, fantastyczny. Żałuję, że sam nie mogę dawać ci takich prezentów.

– Więcej przyjemności sprawia mi dawanie niż branie.

– Nie będę mógł go nosić – dodał ze smutkiem.

– Będiesz. Powiesz, że to część... tajnej operacji.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale wiesz, że to niemożliwe.

– Proszę, nie mówmy o tym. Nie ma o czym. Cieszymy się tą chwilą.

Później, kiedy już wróciliśmy do hotelu – najpierw szliśmy brukowanymi wiktoriańskimi ulicami, a następnie pod latarniami wzdłuż Embankment i wokół St. James's Park – i nasączyliśmy potem skotłowaną pościel w naszym łóżku, wreszcie zadałam mu pytanie, które krążyło mi po głowie od wiosny.

Wymacałam w ciemności jego twarz, pocałowałam go w powieki, kąciaki ust i urocze zagłębienie pod uchem.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – Położyłam głowę w zgięciu jego szyi, ustami wyczuwając znajomy, miarowy puls.

– O co tylko chcesz, kochanie.

– Kiedy dokładnie zamierzałeś mnie zabić?

Nadal leżał spokojnie. Nie wyczułam napięcia ani żadnej innej reakcji. W końcu uniósł się na łokciu i dotknął wargami moich ust. Był to pocałunek z czułą obietnicą bólu.

– Jutro, kochanie. Albo pojutrze.

Uderzyłam go poduszką.

– Ty draniu!

– Skąd wiesz, że żartuję?

Usiadłam na łóżku z kołdrą między kolanami.

– Nie wiem, ale mam propozycję.

Romero położył się na plecach i pstryknął swoją zapalniczką. W Claridge's palenie było surowo zabronione.

– My... To, co jest między nami, nie musi się skończyć. Możemy uciec.

– Wiesz, że to niemożliwe, *tesoro*³¹.

– Wiem, że Raznatović chce mnie zabić. A co, gdybym po aukcji wróciła z tobą do Kalabrii, a ty zamiast wrzucić mnie do wykopanego przez Salvatore dołu po prostu byś ze mną... zniknął? – Umilkłam na chwilę, by się oswoić z tą myślą. – Myślę, że obraz osiągnie cenę wyższą niż wywoławcza. Ten facet z Baku za wszelką cenę chce go zdobyć. Jermołow ma go przebijać, więc ostateczna kwota będzie wysoka. Pieniądze idą najpierw do Società Mutuale. Ty masz ich poinstruować, gdzie mają wysłać część Raznatovicia, więc będziesz mógł też wziąć moją. To dużo pieniędzy, Romero. Prawdziwych pieniędzy. A potem znikniemy.

Da Silva leżał na plecach z założonymi za głowę rękami. Wyjęłam spomiędzy jego warg papierosa i mocno się zaciągnęłam. Widziałam, że podoba mu się to, jak żyjemy – uprzejma obsługa, stroje i to, że

31 Tesoro (wł.) – skarbie.

najtrudniejszą decyzją dnia jest wybór pomiędzy ostrygami a *foie gras*. Nie raziło mnie to – byłam taka sama jak on.

– Nie mogę wyjechać.

– Możesz. Nowe papiery, nowa tożsamość, nowe życie. Już to przerabiałam.

– Chodzi o to, że nie mogę zostawić dzieci.

Wbrew sobie zaczęłam się irytować.

– Widziałam cię z dzieckiem naszej restauratorki. Jak ona się nazywała? Mariangela? Z jej małym synkiem. *Nauczyłeś się tego*, ale tego nie czujesz. Wiesz, że o tym wiem, ponieważ jesteśmy tacy sami.

Zapadła długa cisza.

A potem Romero powiedział po angielsku:

– I tu mnie masz.

Uśmiechnęłam się w ciemności. Nauczył się tego wyrażenia ode mnie.

– A gdybyś... – przetłknęłam głośno ślinę i wytoczyłam ostatni argument. – A gdybyś chciał jeszcze jedno... Mam na myśli dziecko... Moglibyśmy, to znaczy... mogłabym...

Wziął mnie za rękę.

– Mówisz serio?

– Tak.

– Ale jak to zrobić?

– Wszystko przemyślałam. Uda nam się. Musisz tylko... Udawać, że się mnie pozbyłeś. Raznatović ci uwierzy. A potem polecimy do Amsterdamu po dokumenty, znam tam jednego gościa. I wiem, gdzie ukryć pieniądze. Skończysz z tym życiem. Zapomnisz o nich.

– Zawsze mówiłem, że jesteś dobra.

– Czy to znaczy „tak”?

– Jesteś szalona.

Zrobiło mi się niedobrze.

– A więc „nie”?

– Szalona, ale dobra. Tak.

Delikatnie położyłam głowę na jego piersi. Drżałam. Wszystko, co

powiedziałam, było prawdą, choć nigdy nie wierzyłam, że byłoby to możliwe. A jednak czułam jego ramiona wokół mnie i przecudowny zapach jego skóry. To mogło się stać rzeczywistością. To naprawdę mogło się stać rzeczywistością! Dla mnie. Leżeliśmy tak dłuższą chwilę, aż poczułam, jak Romero się wierci i zaspana przylgnęłam do niego.

– Ciii, kochanie. Zaraz wracam.

Odwrociłam się na drugi bok i usłyszałam puszczonej w łazience wodę. Ten dźwięk wydał mi się wówczas bardziej intymny niż wszystko, co nasze ciała zrobiły razem. Czułam się oczyszczona, świetlista, promieniejąca miłością. Był tu i w końcu poczułam spokój. Zamknęłam oczy i usłyszałam, jak kurant na Piccadilly wybija północ.

Nie wiem, dlaczego to robiłam. Dlaczego musiałam się upewnić. Ale później, gdy Romero zasnął, wyśliznęłam się z jego objęć, owinęłam szlafrokiem i poszłam do salonu, by uruchomić laptopa. Nie powiedziałam mu, że czytałam jego maile. Wstydziłam się. Mógł pomyśleć, że wtrącam się w jego związek z Franci, że jestem typem zaborczej i zazdrosnej kobiety. Wpisałam hasło i przeczytałam ostatnią wiadomość. Zapisano ją o jedenastej pięćdziesiąt siedem wieczorem.

Za czterdzieści osiem godzin lokatorka zostanie eksmitowana.

Zegar wybił trzecią. Kiedy skończyłam wszystko w sobie upychać i zgniatać jak śmieci, którymi w istocie było, wróciłam do sypialni i położyłam się obok niego w ciemności. Nie płakałam. Przeczytałam kiedyś, że kobieta staje się zwyczajna w momencie, gdy zaczyna być smutna. A ja najwyraźniej nie byłam jeszcze gotowa zrezygnować ze swojej niezwykłości. Jeszcze nie.

26.

Oto ten dzień! – zadzwieczał radośnie mój telefon. Rupert już latał jak poparzony, lecz ja powoli ubierałam się w elegancką spódnicę i bluzkę oraz mokasyny na płaskim obcasie, tłumacząc na wpół śpiącemu jeszcze da Silvie, że przed aukcją muszę omówić z domem aukcyjnym kilka ostatnich szczegółów.

– Przepraszam, muszę lecieć, ale wrócę wieczorem, kochanie. *Ti amo*³².

Oczywiście w dniu aukcji słońce postanowiło wyjść zza chmur.

Najpierw odwiedziłam kantor na Regent Street i o ósmej zero pięć wypłaciłam ze swojej karty kredytowej dziesięć tysięcy funtów. Potem wypitałam podwójne espresso i wypaliłam papierosa przed Pret, wysłałam esemesa z trzema buziakami do da Silvy i pojechałam taksówką do Belgravii, do domu Lawrence’a na Chester Square. W głębi duszy czułam, że dziwnie jest jechać tam za dnia, ale okazało się, że ostatnie bzy w ogródkach o tej porze pachną tak samo jak w nocy. Zamknęłam oczy i poczułam się jak jedno z moich wcieleń z dalekiej przeszłości. Zawsze uwielbiałam tę dzielnicę, jednocześnie pogodną i tajemniczą. Drzwi otworzył mi batmano-ochroniarz Lawrence’a, relikwiarz dawnych czasów. Pamiętałam go, jak stał w wypchanej mięśniami koszulce i z założonymi na piersiach rękami obserwował nieustępliwie pokój pełen nagich ciał, które łączyły się i rozdzielały, formując i zmieniając kształty tak płynnie jak wpuszczony w wodę atrament.

– Cześć, Kevinie.

Bramkarz był już przebrany w świeże luźne spodnie i koszulkę polo. Czułam zapach wody po goleniu.

Kevin zmierzył mnie wzrokiem – uprzejmie, acz wnikliwie. Raczej mnie nie rozpoznał, ale ponieważ znałam jego imię, domyślił się, jak się poznaliśmy.

³² *Ti amo* (wł.) – Kocham cię.

– Przykro mi, ale lorda Kincardine’a nie ma dzisiaj w domu, proszę pani.

– Właściwie to przyszłam do ciebie. Wybacz, że tak wcześnie, ale to dosyć pilne. Czy mogę wejść?

Kevin zaprowadził mnie do małego saloniku na parterze. Podobnie jak reszta pomieszczeń w domu Lawrence’a, również ten pokój urządzone w taki sposób, by pogodzić elegancję antyków z domową funkcjonalnością, uzyskując w rezultacie efekt, którego nie byłby w stanie odtworzyć żaden dekorator wnętrz. Przycupnęłam na wypłóviałym niebieskim fotelu z IKEI ustawionym obok wspianiałego parawanu z okresu Edo – srebrno-niebieskiej płaskorzeźby z żurawiami, z której w rogu zwisała jaskrawopomarańczowa pikowana kurtka.

– Jak mogę pani pomóc?

Zawsze miałam przeczucie co do Kevina. Był osobą, którą chce się mieć po swojej stronie. Zwłaszcza podczas bójki. Albo kiedy trzeba komuś połamać nogi.

– Mam pewien problem i pomyślałam, że może mógłbyś mi pomóc – zaczęłam.

– Rozumiem.

Cisza, która między nami zapadła, była równie niewymuszona jak rozmowa. Kevin bawił się pokaźnym sygnetem na lewej ręce. Po wewnętrznej stronie jego dłoni dostrzegłam wytatuowaną niebieską błyskawicę.

– Potrzebuję kierowcy. Kierowcy z furgonetką. Kogoś... sprawnego. I dyskretnego. Bardzo dyskretnego. Musi tylko wynająć samochód, spotkać się ze mną w wyznaczonym miejscu o konkretnej godzinie i pomóc mi przy załadunku. Potrzebuję wozu dzisiaj, jutro mogę go zwrócić. Nic trudnego. Trzy tysiące w gotówce dla kierowcy, tysiąc dla... pośrednika. Oczywiście z góry.

– Myślę, że kogoś znajdę. Jeśli pani pozwoli, wykonam telefon. Czy mogę zaproponować herbatę?

– Nie, dziękuję.

Wyjęłam z torebki kopertę firmową z Claridge’s i umieściłam ją na

oparciu fotela.

Pod nieobecność Kevina ułożyłam w głowie listę spraw i ustaliłam kolejność działań. Tak po prostu.

Ochroniarz wrócił po około piętnastu minutach z numerem telefonu i adresem zapisanym na wytłaczanym papierze listowym Lawrence'a.

– Wspaniale, Kevinie. Nawet nie wiesz, jak wiele znaczy dla mnie twoja pomoc.

– Proponuję pojechać metrem, proszę pani. Ruch o tej porze...

– Oczywiście. Muszę już iść. Miło było cię znowu zobaczyć, Kevinie.

– Panią również. Zawsze z chęcią pomagam przyjaciółom lorda Kincardine'a.

Koperta, której obecność zgodnie zignorowaliśmy, odprowadziła nas wzrokiem do drzwi pokoju.

Tuż po dziesiątej przyjechałam do centrum handlowego Tottenham Hale, by spotkać się z kumplem Kevina. Elvis, bo tak miał na imię, napisał do mnie, że zrobi, co trzeba. Zastanawiałam się, czy powinnam mieć ze sobą egzemplarz „The Timesa”, ale w McDonalddie czekał tylko jeden sobowtór Króla.

– Jak leci? Ty jesteś tą laską od Kevina?

– Tak. A plan jest taki, że trzeba coś przewieźć, dość ciężką rzecz.

W ulicze, na którą wychodziła tylna brama domu aukcyjnego, obowiązywał całkowity zakaz zatrzymywania, więc nie mogłam tam zaparkować samochodu i ryzykować, że jakiś policjant wszystko spieszy. A musiałam dostać się do magazynu zaraz po zakończeniu aukcji. Wyjaśniałam więc Elvisowi, że chcę, by wynajął furgonetkę, zaparkował w okolicy Haymarket i zaraz po moim esemesie podjechał na miejsce. Trzy kawałki za dziesięć minut. Na papierowej mapie zazaczyłam uliczkę i trasę dojazdu oraz dodałam do niej listę potrzebnych mi rzeczy i trzysta funtów w gotówce na wydatki. Furgonetka miała być zatankowana pod korek.

– Powinnam się odezwać około jedenastej wieczorem, ale na

wszelki wypadek musisz być na miejscu od dziesiątej.

– Dobra.

– Hmm, jeszcze jedna sprawa. Wyglądasz niesamowicie, ale do tej roboty może mógłbyś założyć coś mniej... przykuwającego uwagę?

Zamszowa kurtka z białymi frędzlami i srebrnym sznurowaniem na plecach, a do tego kowbojskie buty wyglądały bajecznie, ale mogły się nieco wyróżniać na St. James's.

– Dobra.

O jedenastej dojechałam taksówką na Mayfair. Zawsze uwielbiałam te dickensowskie sklepiki wokół Piccadilly: specjalistyczny zakład w Burlington Arcade, gdzie można znaleźć spinki do mankietów wysadzone zębami dawno nieżyjących dzieci, zegarmistrzów, krawców szyjących koszule, butik z kapeluszami Locka i sklep z regaliami, w którym na wystawie wiszą całe mundury i trójgraniaste kapelusze. Przed pójściem do St. John's Wood wstąpiłam do Trumpera, fryzjera męskiego na Curzon Street, gdzie kupiłam największą dostępną butelkę cytrusowej wody po goleniu Extract of Limes w pudroworóżowym pudełku oraz staromodną brzytwę z błyszczącą, szylkretową rączką. Potem przeszłam przez Shepherd Market na Jermyn Street, gdzie w sklepie New&Lingwood nabyłam kilka jedwabnych krawatów, a na koniec zajrzałam do Fosa, sprzedawcy tytoniu. Zanim około południa wsiadłam w kolejną taksówkę na Haymarket, kupiłam też w Tesco Metro paczkę metalowych zmywaków, a w Boots parę lateksowych rękawiczek.

– Pułkownik Morris?

Siwiejący mężczyzna o wąskich ustach, który otworzył drzwi otynkowanego na biało domu, wyglądał dokładnie tak jak podczas mojej pierwszej wizyty – miał nawet na sobie identyczne tweedowe spodnie i koszulę Viyella. Nachyliłam się, by wyjść z kadru wiszącej

nad wejściem kamery monitoringu, i uniosłam swoje wielkie okulary przeciwsłoneczne od Diora.

– Jestem z British Pictures. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy zrobić szybkie zdjęcie pańskiego Sargenta. Do katalogu.

– Nie jest na sprzedaż – burknął pułkownik.

– Oczywiście. Nie to miałam na myśli, przepraszam. – Byłam nierozgarnięta, zdenerwowana i wystraszona. – Po prostu mój szef... Pan jest tak ważnym klientem... Powiedział, że nie będzie pan miał nic przeciwko, żebym zerknęła na obraz. To do jesiennej wystawy portretów... – Spojrzałam na niego spod rzęs.

– Aha. Przysłał cię twój szef?

– Właśnie.

– Mam nadzieję, że nie zajmie to dużo czasu. Właśnie miałem zjeść lunch.

– Tylko minutkę. Dziękuję bardzo!

Pułkownik poprowadził mnie do znanego mi już salonu. Okna były zasłonięte lnianymi żaluzjami i ciężkimi, pastelowymi kotarami, które miały chronić obrazy przed słońcem. Rzeczony Sargent wisiał nad kominkiem. Był to utrzymany w odcieniach różu i szarości jedwabisty portret siedzącej na aksamitnym fotelu kobiety, której obszerne, bufiaste spódnice spływały w kierunku ramy. Włożyłam lateksowe rękawiczki i nabożnie przeciągnęłam palcami po gładkiej powierzchni obrazu.

– Nie dotykaj! – warknął gospodarz.

– Przepraszam, przepraszam! Ja tylko... wezmę aparat.

Postawiłam torbę na podłodze i pochyliłam się, prezentując tyłek jak pawian i paplając o tym, że oczekujemy *Après-Midi* Sargenta i chcielibyśmy zaprezentować go w katalogu z innymi obrazami artysty. Trzymając w ręce brzytwę, czułam, jak pułkownik się do mnie zbliża. Kiedy wyciągnął w moją stronę swoją dłoń z żółtymi paznokciami, którą tak dobrze pamiętałam z ostatniej wizyty, chwyciłam go za nadgarstek i natychmiast się odwróciłam, tnąc jednocześnie brzytwą w dół. Narzędzie spisało się lepiej, niż się

spodziewałam. Przez ułamek sekundy oboje wpatrywaliśmy się zaskoczeni w białą kość widoczną w siedmiocentymetrowej ranie na dłoni pułkownika, a gdy cięcie wypełniło się krwią, starzec ryknął, zataczając się w tył, w stronę korytarza. Byłam jednak szybsza i zanim dotarł do przycisku alarmowego, przyłożyłam ociekające krwią ostrze do płótna.

– Na pana miejscu, pułkowniku, usiadłabym. Tak, na sofie. Trzymaj. – Rzuciłam mu łososiowo-ogórkowy krawat w kolorach klubu Garrick.

– Możesz go użyć jako opaski uciskowej. Złap go zębami.

Krew rozlewała się po całej podłodze, wsiąkała w kwieciste narzuty na sofie i kapłała do mankietów spodni pułkownika. Zrobił, co powiedziałam – zawiązał krawat wokół nadgarstka i chwycił go, milcząco i wściekły, pomiędzy pieńki zębów w kolorze herbaty.

– A teraz chcę, żebyś wstał i przyniósł z sypialni książkę. Album fotografii, które pokazałeś mi, kiedy przyszedł tu ostatnim razem. – Pełne wściekłości oczy gospodarza zabłyśły. – O, pamiętasz! To dobrze. No już, idź i go przynieś, albo Sargent pójdzie w strzępy. Kapujesz? Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Nie mogłam wykluczyć tego, że wróci ze swoim wiernym służbowym rewolwerem, ale byliśmy w Anglii. Jeśli pułkownik był myśliwym, jego broń była rozładowana, zabezpieczona i schowana w zamkniętej szafie. Poza tym ryzyko sprawiało mi frajdę. Niemal poczułam zawód, kiedy wrócił z pokoju na tyłach domu, niezdarnie niosąc w zdrowej ręce ciężki album dziewiętnastowiecznych obrazów erotycznych. Kazałam mu go położyć, a on jak zahipnotyzowany wykonał moje polecenie, wlepiając wzrok w Sargenta, jakby ten był jego dzieckiem, które wzięłam w niewolę.

– Teraz ręce za plecy i odwróć się. Powoli. Chwyć krawat wyżej. Właśnie tak. Trzymaj mocno zębami za koniec. – Ścisnęłam w garści otwartą brzytwę, jednocześnie obwiązując nadgarstki pułkownika innym krawatem, tym razem szaro-bordowym. Kolory chyba Ampleforth College. – Teraz nogi.

Odsunęłam się nieco i kiedy zgodnie z moimi oczekiwaniami

gospodarz zaczął wierzgać, chwyciłam go za ociekającą krwią kostkę i przytrzymałam ją, tak że reszta ciała padła twarzą na ziemię. Pułkownik krzyknął i opaska uciskowa wypadła mu z ust. Ostrożnie podwinęłam mu nogawkę i przyłożyłam brzytwę do odzianej w cienką skarpetkę nogi.

– Ojej, to było głupie, prawda? Czyżbym słyszała chrzęst łamiącego się nosa? Teraz zwiążę ci nogi i pomogę wstać. Albo przetnę ci oba ścięgna Achillesa i będziesz mógł zadzwonić na policję zębami. Powodzenia! Rozumiemy się? No to w górę.

Wyciągnęłam krawat w jaskrawoczerwone i niebieskie pasy. Radley College. Chwyciłam kołnierz koszuli, przyłożyłam brzytwę do szyi pułkownika i dźwignęłam go do pozycji klęczącej – klasycznej pozycji zakładnika.

– Co za bałagan. Włożymy krawat z powrotem? – Wepchnęłam knebel w krwawy otwór pod przypominającą włochatą gąsienicę kępką wąsów, a potem dla lepszego efektu obwiązałam go brzydkimi, musztardowo-białymi kolorami Cranleigh School.

Kiedy pierwszy raz Rupert wysłał mnie do domu pułkownika, oszacowałam, że na jego ścianach wiszą obrazy o wartości około dziesięciu milionów: Sargent, Kneller, mały szkic Rembrandta, niewielki pejzaż Gainsborougha. Na oczach bacznie mnie obserwującego pułkownika podeszłam do nich i po kolei zdjęłam je z haczyków. Rembrandta zawięłam w egzemplarz „Metra” i schowałam do torby, a resztę płócien rozłożyłam na mniej zakrwawionej części dywanu.

– Ma pan kilka pięknych dzieł, pułkowniku. Ale zastanawiam się, czy nie przydałoby im się delikatne czyszczenie. Może wyjmemy je z ram... Oj!

Brzytwa z lekkim chrzęstem przeszła przez werniks i rozcięła delikatnie zaróżowioną twarz sportretowanej przez Sargenta kobiety. Pułkownik wpadł w głuchą histerię. Następną była pełna zwiewności wiosna Gainsborougha, a na koniec pozbawiłam głowy płaskolicego klechę z obrazu Knellera.

– Czas na szorowanie! Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałam

twój ulubiony zapach, pułkownika!

Przypomniałam sobie drażniący odór starczego potu zmieszany ze staromodną, ostrą wodą po goleniu i ciało pułkownika napierające na moje płuca.

Wylałam na rozplątane obrazy całą butelkę najlepszej wody kolońskiej Trumpera i ze zmywakiem w dłoni zabrałam się do roboty. Potrzeba było kilku minut, by alkohol zaczął się wżerać w farby, ale przyłożyłam się i już po niecałym kwadransie obrazy zamieniły się w oleiste kałuże. Do tego czasu pułkownik zdążył się już mocno wykrwawić i opadł na bok, rozpaczliwie rozciągając krępujące go więzy. Wyglądał jak przewrócony słup majowy.

– Ojej! Dom aukcyjny nie powinien chyba przysyłać niedoświadczonej pracownicy. Ale przecież zawsze o to właśnie prosisz, prawda? Żeby Rupert przysyłał ci ładne dziewczyny. Nie martw się, założę się, że obrazy są nieźle ubezpieczone. Mam rację? Wystarczy, że po moim wyjściu zadzwonisz po pomoc. Lepiej cię jednak podniosę. Masz telefon stacjonarny? Przysunę stolik. Proszę, wystarczy kabla. No, pięknie.

Przysunęłam kiczowaty stolik i postawiłam go pomiędzy sofą a kominkiem, jakieś dwa metry od miejsca, w którym podparłam pułkownika dekoracyjnymi poduszkami. Następnie przeciągnęłam kolejny krawat przez kłębek zakrwawionego jedwabiu na jego nadgarstkach i zawiązałam go wokół nogi sofy, nad metalowym kątkiem.

– A tak przy okazji, gdzie się uczyłeś? W Sandhurst? Niestety, ich krawatów nie mieli. Taki wojak jak ty powinien się bez trudu uwolnić. Jak już wspomniałam, szybko się uwinę i będziesz mógł iść na swój lunch.

Wzięłam do ręki album, przewróciłam kilka laminowanych stron i zatrzymałam się na pulchnej kobiecie z piórami w upiętych włosach.

– Kiedy byłam tu ostatnim razem, myślałeś, że mi się to spodoba, prawda? Użyłeś chyba słowa „niezwykły”, dobrze pamiętam?

Uklękałam i pogłaskałam pułkownika po kroczu.

– Kręci cię, co? Masz ochotę na cipę? To się dobrze jej przyjrzyj.

Oparłam album w zasięgu jego wzroku, obok wielkiego, staroświeckiego telefonu. Potem stanęłam za plecami pułkownika, chwyciłam w dłoń jego brodę i wygięłam ją w tył, na próbę łapiąc palcami powieki. A potem je odciąłam, pozostawiając dwa kształtne trójkąty. No, może nie aż tak kształtne, gdyż jedna z gałek ocznych trochę wypadła.

– Miłego oglądania, pułkowniku.

W Planet Organic na St. John's Wood zamówiłam latte z kurkumą i skorzystałam z łazienki, żeby się umyć. Dwa małe kawałki skóry zawinęłam w chusteczkę i spuściłam w klozecie, a zużyte rękawiczki wróciły do mojej kieszeni. Miałam zamiar później się ich pozbyć. Moje DNA było pewnie w całym mieszkaniu, ale właściwie jakie to miało znaczenie? Przecież Elisabeth Teerlinc nie istniała. Wreszcie to sobie uświadomiłam. Tyle zachodu, by stworzyć sobie nową tożsamość i stać się prawdziwą osobą, a potem okazuje się, że to wszystko na nic. Zdjęłam brudną spódnicę i bluzkę, a następnie włożyłam świeżą, białą, T-shirtową sukienkę Alexandra Wanga, którą trzymałam zwiniętą w torebce. Na koniec wytarłam sobie z kostki zdradziecką plamkę krwi, wzięłam zwieńczoną szafranową pianką kawę i wyszłam na zewnątrz, by zza okularów przeciwsłonecznych obserwować matki z dziećmi i cieszyć się przejrzystym lipcowym powietrzem. Kiedyś powiedziałam sobie, że nie interesuje mnie zemsta, ale mówię przecież mnóstwo bzdur. Może pułkownik zdołał dotrzeć do telefonu, ale nie dałabym za to głowy.

27.

Z Claridge's do British Pictures było parę kroków, ale dom aukcyjny stanął na wysokości zadania i przysłał po mnie samochód. Zanim wyszłam, wysłałam esemesa do Elvisa z potwierdzeniem czasu i miejsca wieczornego spotkania, a potem spędziłam dłuższą chwilę przed lustrem. Tak wiele oczu miało mnie tego dnia obserwować. Przypominałam sobie, jak stroiłam się na pierwszy wernisaż w Gentileschi – i tę niewinną satysfakcję, którą poczułam, obserwując efekt swoich zabiegów. Tamtego wieczoru włożyłam czarną sukienkę, lecz tym razem wybrałam białą – prostą, długą kreację od Marii Grachvogel, udrapowaną na dole i luźno zawiązaną na biodrach. Moją jedyną biżuterią były kolczyki od Jeremołowa.

Da Silva wetknął głowę przez drzwi łazienki.

– Fiu, fiu!

– Nie dotykaj! Masz mokre ręce.

– Psujesz całą zabawę.

– Zobaczymy się na aukcji, a potem w magazynie. O jedenastej.

Powiedziałam mu, że zaplanowałam coś specjalnego, romantycznego. Coś, co chciałam mu pokazać po aukcji, by przed powrotem do Włoch uczcić nasz sukces. Po wizycie w St. John's Wood zabrałam da Silvę do British Pictures i pokazałam mu drogę do magazynu. Skorzystałam z przepustki, którą dostałam od Ruperta. Idąc tymi korytarzami, wciąż miałam w pamięci gorącą atmosferę aukcji, szczelnie zapakowane dzieła, wózki ciągnięte między pracownikami a magazynem oraz tragarzy, którzy chociaż raz mieli okazję wydawać polecenia ekspertom. Pomachałam do Jima, który właśnie pakował do transportu mały obraz. Z radością zauważyłam, że był to wycofany z aukcji Utrillo z kolekcji Mackenzie Pratt.

– Powodzenia dziś wieczorem! – krzyknął tragarz, a ja posłałam mu całusa. Kiedy minęliśmy Jima, wetknęłam język w ucho da Silvy i zdradziłam mu kilka szczegółów dotyczących wieczornej

niespodzianki. Moje wyjaśnienia spotkały się z pozytywną reakcją.

Otrzymałam się ze wspomnień i wróciłam do rzeczywistości.

– To ci będzie potrzebne. – Podałam da Silvie swoją przepustkę. – Ty wejdiesz wejściem dla gości, a ja pójdę przez hol prosto na imprezę.

Romero ostrożnie wetknął przepustkę za pasek szlafroka.

– Nie spóźnij się!

– Bez obaw, kochanie. *In bocca al lupo!*³³ – odrzekł i pokazując mi nagie plecy, zamknął za sobą drzwi łazienki.

Kiedy ponownie usłyszałam wodę leącą z prysznica, otworzyłam szafę, a potem ukryty w niej sejf. Szyfrem była data urodzin Franci – podejrzałam ją, gdy da Silva chował po przyjeździe caracala. Tego wieczoru nie miał powodu wyjmować broni. Aby ją przemyścić do British Pictures, wybrałam dużą torbę na ramię z morelowej skóry jaszczurki – model Giant City od Balenciagi, poręczny i pojemny. Na drzwiach dla gości znajdowały się skanery rentgenowskie, ale mnie nikt nie sprawdzał, więc bez problemu mogłam przenieść broń.

Kiedy zesłam do holu, odniosłam wrażenie, że nagle zapadła w nim cisza (to podobno najlepszy dowód, że masz na sobie odpowiednią sukienkę). A potem zauważyłam, że wpadające z ulicy światło wypełnia powietrze drobinkami złota, i przypomniała mi się Kalabria – owe długie, upalne dni. Zostałam wówczas, ponieważ... Cóż, teraz to nie miało wielkiego znaczenia. Powód okazał się ulotny jak mroczki przed moimi oczami, gdy je przetarłam w rażącym słońcu. Ale jedno się nie zmieniło: nadal chciałam wygrać. Kiedy szłam przez hol do czekającego samochodu, jedynym odgłosem, jaki słyszałam, był stukot moich obcasów o marmurową posadzkę.

Od ulicy do głównego wejścia British Pictures rozwinięto czerwony dywan. Tłum był taki jak na premierach filmowych, toteż zarząd domu aukcyjnego kazał ustawić barierki, by odgrodzić gości od gapiów. Widząc, że wysoka aktorka telewizyjna w lejącej sukni

33 *In bocca al lupo!* (wł.) – Powodzenia, połamanie nóg! Dost.: w paszczę wilka.

pozuje właśnie grupce zgromadzonych na chodniku paparazzi, poprosiłam kierowcę, by objechał St. James's Square. Przed Biblioteką Londyńską zaparkowały dwa wozy transmisyjne, a mężczyzna, w którym rozpoznałam krytyka sztuki z „The Timesa”, udzielał wywiadu jednemu z dziennikarzy. Przystanęłam na uboczu, obserwując, jak paparazzi fotografują trzymającą się za ręce parę krzykliwych gwiazd reality show z katalogami w dłoniach, a potem wchodzi za nimi do budynku.

Rupert czekał w holu, z roztargnieniem witając klientów, zerkając ukradkiem na zegarek i od czasu do czasu wycierając głowę chusteczką z krzykliwym wzorem. Przywitał się ze mną wylewnie, cmokając w oba policzki, i zaprowadził mnie na górę do sali konferencyjnej, a następnie do saloniku prezesa. Kiedy pracowałam w British Pictures, nigdy nie przekroczyłam progu tego pomieszczenia.

Szczupłe kobiety o poważnym wyglądzie z kieliszkami szampana w dłoniach siedziały na osiemnastowiecznych, jedwabnych sofach, rozmawiając z grupą mężczyzn, z których część, tak jak Rupert, ubrana była w smokingi, a kilku młodszych w rozpięte pod szyją koszule, marynarki i dżinsy. Jeff Auerbach, prezes firmy technologicznej KryptoSocial, wyglądał dość wyzywająco w rozczłapanych adidasach i znoszonej koszulce polo. Przypominałam sobie, jak poprzedniej zimy w St. Moritz Carlotta próbowała mnie przekonać, bym się za niego zabrała. Skinęłam teraz głową w jego kierunku, a on uśmiechnął się do mnie szeroko. Rupert przedstawił mnie jedynie grupce osób stojących przy drzwiach, ale kiedy ruszyłam przez bursztynowy parkiet, kilkoro gości podeszło do mnie, by się przywitać. Wszyscy wiedzieli, że to ja sprzedaję Gauguina, i chociaż nikt nie był na tyle wulgarny, by wspomnieć o pieniądzach, równie dobrze mogłam mieć wypisaną na czole stosowną kwotę. Pomyślałam, że jeśli dom aukcyjny zarobi oczekiwaną sumę, zyskam całe grono nowych przyjaciół.

– Pięknie wyglądasz. – Usłyszałam za plecami łagodny głos i kiedy się odwróciłam, ujrzałam Jeremolowa.

– Dziękuję. Nie tak pięknie jak twój prezent.

– Musi być pani bardzo podekscytowana, pani Teerlinc. – Mój niegdysiejszy kochanek przybrał bardziej oficjalny ton.

Rupert nadal troskliwie mi towarzyszył, ale dystans, jaki tworzył między nami jego brzuch, powodował u niego panikę. Paweł Jermołow znany był w świecie sztuki z tego, że nigdy nie pojawiał się w salach aukcyjnych i wolał kupować dzieła poprzez anonimowych pośredników, a oto nagle zjawił się na aukcji Ruperta i wciął właśnie tartaletkę z grzybami leśnymi i białymi truflami. Paweł wyciągnął do niego rękę.

– Podziwiałem właśnie niezwykle oko pani Teerlinc – oznajmił.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – wybełkotał Rupert.

Salon się zapełnił i wkrótce mieliśmy zejść do sali aukcyjnej, toteż na obliczu Ruperta chciwość zaczęła walczyć z salonową grzecznością. Zresztą wszyscy w mniejszym lub większym stopniu udawaliśmy, że bierzemy udział w przyjemnym wydarzeniu towarzyskim, podczas którego nadchodząca aukcja ma być jedynie uroczą formalnością.

– Czy ma pan coś na oku dzisiejszego wieczoru, panie Jermołow? – zapytał Rupert takim tonem, jakby żaden przedstawiciel British Pictures nigdy nie zniżył się do śledzenia zamiarów potencjalnego klienta w brukowcach.

– Naturalnie.

Rupert przeprosił nas i – na ile pozwalała mu tusza – potruchtał do stojącego przy drzwiach pracownika. Zamierzał przekazać Pandorze Smith, że Jermołow potwierdził swój udział w aukcji. Ponieważ Zulfugarly miał licytować z Nowego Jorku, poprosiłam, by reprezentowała go właśnie Pandora. To była jej pierwsza aukcja i dziewczyna niezwykle się ucieszyła. Kiedy Rupert odszedł, inni goście zyskali do nas dostęp, a gdy rozpoznali Jermołowa, atmosfera zrobiła się jeszcze gęstsza. Przypomniało mi to inne imprezy, w których brałam udział, mieszkając w Londynie – ten niekończący się moment skupionego oczekiwania, zanim ktoś cię chwyci za rękę albo nachyli się do pocałunku. I tam, i tutaj wszyscy czekali na

krawędzi działania, spięci obietnicą ekstazy.

– Eliisabeth!

Zauważyłam, że Angelica szuka telefonu, by zrobić sobie selfie z Jermołowem, ale on bezceremonialnie wyszedł jej z kadru. Wdałyśmy się w pełne westchnień i pisków powitanie, które szczęśliwie przerwał dochodzący z megafonu komunikat:

– Panie i panowie, prosimy o zajęcie miejsc. Aukcja rozpocznie się za pięć minut.

Paweł podał mi ramię.

– Pozwolisz?

Na dole „półka z przyprawami” zajęta była sprawdzaniem zaproszeń, rozdawaniem tabliczek z numerami i przydzielaniem miejsc. Główni klienci zostali posadzeni pośrodku pierwszych rzędów, a za nimi miejsca zajęli sprzedawcy. Ponieważ aukcje są wydarzeniami publicznymi i teoretycznie każdy może wziąć w nich udział, po obu stronach widowni tłoczyli się właściciele galerii, studenci, dziennikarze i kilku ciekawskich turystów. Z tyłu sali, wciąż w brązowych kombinezonach, stali tragarze. Sprawdziłam, czy jest między nimi Jim. Podczas mniejszych aukcji tragarze sami wnosili dzieła na podium, ale na ten wieczór zarząd British Pictures wybrał do tego zadania parę wysokich, przystojnych chłopaków, podobnych do siebie niczym lokaje. Byli wystrojeni we fraki i białe rękawiczki jak kolesie zapewniający rozrywkę na wieczorne panieńskim.

Jermołow wziął drewnianą tabliczkę z numerem i odprowadził mnie na miejsce.

– Może zobaczymy się jutro? – zapytał cicho.

– Może.

Pocałował mnie w policzek i poszedł dalej w kierunku podium. Po obu stronach podestu przy swoich eleganckich, staromodnych telefonach stacjonarnych czekali przedstawiciele nieobecnych nabywców. Kolejną innowacją było to, że ubrano ich w firmowe kolory British Pictures: skupionych i poważnych młodzińców

w garnitury i jasnozłote, jedwabne krawaty, a młode kobiety w suknie wieczorowe na ramiączkach w tym samym odcieniu. Wszyscy oni stali w szeregu niczym konie wyścigowe przed wystrzałem startera, trzymając delikatnie dłonie na słuchawkach, a ich postawa potęgowała panujące w sali napięcie. Pandora pochwyciła moje spojrzenie i postąpiła mi szybki, konspiracyjny uśmiech. Wyglądała na dumną i zdenerwowaną. Kilka sekund przed zgaszeniem światła zauważyłam za swoimi plecami da Silvę. Miał na sobie granatową koszulę z dużym, białym logo Ralphi Lurena. Nie była to co prawda koszula ode mnie, ale to nie miało znaczenia. Ważne, że przyszedł. Poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie, ale nadal nie opuszczał mnie dreszczyk oczekiwania. Zaczynamy.

Z głośników ryknęła czwarta część IX symfonii Beethovena, błysnęły stroboskopy, a na ekranie za podium rozbłysło logo British Pictures. Chór telefonistów uniósł słuchawki i przy aplauzie tłumu rozpoczął się „pokaz”. Wystawiane na aukcji dzieła kolejno ukazywały się na ekranie, a następnie zamieniały się w litery składające się na nazwisko artysty. Nad głowami gości jak grzyby po deszczu wyrosły smartfony gotowe rejestrować projekcję. Pomyślałam, że jeszcze chwila i ich właściciele wyciągną zapalniczki. Film przeszedł gładko przez dwadzieścia najważniejszych dzieł, od Maneta po Pollocka, a potem nagle zapadła ciemność. I cisza, po której zabrzmiały pierwsze dźwięki motywu muzycznego z filmu Rocky. Jezu! Różowe i niebieskie strumienie światła wystrzeliły w górę niczym ognie bengalskie, a na ekranie pojawiły się obok siebie de Kooning i Gauguin – mój Gauguin. W tym samym momencie Charles Eagles w aksamitnym smokingu wbiegł środkowym przejściem i wskoczył na podium, wzbudzając aplauz rozentuzjzmowanego tłumu. Co się stało ze starym zacnym British Pictures? Biedny Rupert. Chłonąc wypełniające salę napięcie, Eagles czekał jak aktor, aż zapalą się światła. Dreamboys wnieśli na podium pierwsze płótno, czyli Basquiata, i nabożnie umieścili je na stojaku. No i się zaczęło.

Entuzjazm ustąpił miejsca skupieniu. Eagles poradził sobie

z kilkoma pierwszymi płótnami bez niespodzianek: Basquiat poszedł za osiemdziesiąt, a następnie Caillebotte i wspomniany Manet, każdy przekraczając cenę wywoławczą o kilkaset tysięcy. Czwarty w kolejce był Pollock, rozpoczynający od pięćdziesięciu. Telefonistka stojąca obok Pandory natychmiast podniosła swoją tabliczkę, ale przebiła ją inna dziewczyna, po czym padła oferta z widowni, znowu tabliczka telefonistki i dyskretny znak od Japonki z pierwszego rzędu.

– Sto pięćdziesiąt – zawołał Eagles. – Czy mamy jakieś oferty?

Cena zaczęła błyskać na ekranie za jego głową w funtach, dolarach, euro i rublach. Pojawiła się nowa oferta od licytanta telefonicznego, potem kolejna i cała sala odetchnęła. Sto osiemdziesiąt. Można by pomyśleć, że anonimowi kupujący zarazili się pożądaniem od zgromadzonego na sali tłumu. Eagles ledwie nadążał z ogłaszaniem kolejnych ofert, z których każda windowała cenę coraz wyżej i wyżej. Dwieście trzydzieści. Można by za to kupić szpital. Dwieście pięćdziesiąt. Dwieście sześćdziesiąt. Liczba licytujących malała, aż zostały tylko dwie osoby przy telefonach – dziewczyna, która zaczęła licytację, i niezwykle skoncentrowany chłopak. Mierzyli się nawzajem wzrokiem, mówiąc do zakrytych dłońmi słuchawek i motywując swoich kupców do walki. Dwieście siedemdziesiąt. Dwieście osiemdziesiąt. Nastąpiła dłuższa przerwa.

– Czy usłyszę dwieście dziewięćdziesiąt milionów?

Chłopak szeptał zawzięcie, ale jego twarz już zdradzała przegraną.

– Po raz pierwszy...

Chłopak zasygnalizował, że klient się rozłączył.

– Po raz drugi i... sprzedane! Panie i panowie, za dwieście osiemdziesiąt milionów dolarów.

Widownia zagrzmiała.

Licytacja dwóch kolejnych dzieł ciągnęła się bez końca, a ja, choć starałam się siedzieć prosto i wyglądać na beztroską i opanowaną, zaciskałam pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę dłoni. Jermolow jeszcze ani razu nie uniół swojej tabliczki.

– A teraz *Intersection* Williama de Kooninga.

Mierzące około czterech metrów kwadratowych dzieło nastroczyło

tragarzom nieco trudności. Nawet w świetle reflektorów obraz wyglądał na wyblakły, a zazwyczaj żywe u Kooninga kolory sprawiały wrażenie wypłowiałych. Krzykliwa składanka bambusa i bladocynowych wrzecion skulonych wokół pojedynczej plamy w odcieniu manganowego błękitu wytrąciła mnie z równowagi. Było w tym zagęszczeniu coś chłodnego i pajęczego, co, muszę przyznać, robiło mocne wrażenie. Energiczne i okropnie drapieżne formy przemieszczały się zwinnie po obrazie, w hipnotyczny niemal sposób przyciągając wzrok widza. Na pewno nie było to dzieło, do którego spokojnie można się odwrócić tyłem. Patrząc na nie, chciało się zobaczyć, do czego jest zdolne. Eagles ze zniecierpliwienia stanął na palcach, rozkoszując się panującym w sali napięciem.

– Panie i panowie – powiedział powoli, ścisząc głos do uwodzicielskiego szeptu. – Otwieram licytację kwotą sześćdziesięciu milionów.

Kwota gwarantowana była dwukrotnie wyższa, trąbiły o tym wszystkie gazety i taką sumę podano w katalogu, jednak sala zawrzała. Pandora niemal natychmiast podniosła słuchawkę. *Kurwa*. Zulfugarly zalicytował.

– Panie i panowie, mam siedemdziesiąt milionów. Czy słyszę osiemdziesiąt?

Oferty szybkowały, kwoty nad głową Eaglesa ledwie nadążały się zmieniać, a on sam machał rękoma jak dyrygent, zbierając coraz to wyższe oferty z sali. Cena przekroczyła kwotę gwarantowaną i zmierzała w kierunku dwustu milionów. Pandora nadal rozmawiała przez telefon, podnosząc rękę po każdej wywołanej kwocie. *Czyżby Zulfugarly zmienił zdanie? Czyżby licytował de Kooninga zamiast Gauguina?* Rupert dostałby zawału. Drań zasługiwał na to, ale w tej chwili jego zawał był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam.

Przy dwustu pięćdziesięciu milionach zostało trzech licytujących. Jeden na widowni – siwy Amerykanin, którego widziałam w salonie – i dwóch na linii. Amerykanin wycofał się przy dwustu siedemdziesięciu.

– Czy słyszę dwieście osiemdziesiąt? Dwieście osiemdziesiąt

milionów funtów?

Skinienie głowy od Pandory. A potem jej kolegi przy telefonie obok.

– Trzysta milionów funtów.

Jeśli pójdą dalej, pobiją rekord. Próbowałam uspokoić oddech, modląc się o to, by Zulfugarly działał według jakiejś strategii, na przykład aby wyczerpać amunicję potencjalnego rywala w walce o Gauguina.

Nagle rozległ się pisk z widowni. Dobięł z pierwszych rzędów, gdzie drobniutka, starsza Azjatka w czerni powoli podniosła swoją tabliczkę.

– Panie i panowie, trzysta dziesięć milionów funtów.

W tym momencie de Kooning stał się oficjalnie najdroższym obrazem na świecie. Zgromadzeni w sali dziennikarze stukali na telefonach, wysyłając sensacyjną wiadomość, podczas gdy Pandora kolejny raz zgłosiła ofertę, rzucając w moją stronę pełne niepokoju spojrzenie. Drobna staruszka ponownie wykonała delikatny gest.

– Mam trzysta trzydzieści milionów funtów. Teraz pani kolej.

Eagles skinął głową w stronę Pandory, która zamilkła na chwilę, powiedziała coś do słuchawki i znowu zamilkła. Czyżby przebijała? Nie, spasowała. *Dzięki Bogu.* Gdyby podbijali dalej, chyba bym się udusiła, gdyż przez ostatnie kilka minut, podobnie jak wszyscy inni na sali, zapomniałam, że trzeba oddychać.

– Ostateczna rozgrywka toczy się pomiędzy panią a klientem na linii. Czy słyszę trzysta czterdzieści milionów?

Kobieta podbiła stawkę, pomimo iż przedstawiciel klienta telefonicznego potrząsnął głową.

– Trzysta pięćdziesiąt milionów funtów za *Intersection* Willema de Kooninga! Sprzedany pani z numerem...

Suma wyssała z tłumu cały entuzjazm i w sali na chwilę zapadła pełna zdumienia cisza. A potem nastąpiło dzikie poruszenie i ogólne rozprężenie. Większość pracowników British Pictures zdołała zachować profesjonalny spokój, ale Eagles dyszał głośno do mikrofonu, wyciągając ręce do wielbiącego go tłumu.

– A teraz ostatni obraz dzisiejszego wieczoru: *Kobieta z wachlarzem II* Paula Gauguina.

Czułam, jak wszystkie osoby, które spotkałam na górze podczas przyjęcia, szukają mnie wzrokiem. Kiedy wniesiono obraz, nie mogłam się powstrzymać i spojrzałam na da Silvę. Wyglądał na spokojnego. Zapatrzony w ekran telefonu ledwie zerknął, kiedy pracę Li stawiano na stojaku.

– Uch! – zażartował Eagles, powtarzając gest Ruperta z chusteczką. – Co za wieczór, panie i panowie, co za wieczór. Czy usłyszę cenę wywoławczą w wysokości pięćdziesięciu milionów?

Przez jedną, potworną sekundę obawiałam się, że ktoś wstanie i zakwestionuje autentyczność obrazu. Ponieważ znałam go tak dobrze, nie potrafiłam spojrzeć na niego obiektywnie. Każda warstwa farby i każde pociągnięcie pędzla krzyczały: „Podróbła!”. Teraz, gdy dzieło zostało wystawione na widok publiczny, godziny spędzone na wnikliwym analizowaniu każdego centymetra kwadratowego w poszukiwaniu najdrobniejszych wad wydały mi się bez znaczenia. Sama chciałam wstać, zdemaskować fałszerstwo i rzucić to wszystko w diabły. Niby dlaczego miałoby mi zależeć, żeby Raznatović dostał swoje pieniądze, a da Silva uniknął egzekucji? Usiadłam na dłoniach i wpatrywałam się bez ruchu w sztywny kołnierzyk siedzącego przede mną mężczyzny. *Musi się sprzedać. Ale nawet jeśli się nie sprzeda, nadal jeszcze nie wszystko stracone.*

Kupujący zgłaszali już pierwsze oferty, a ja utkwiłam wzrok w plecach Jermołowa, wypatrując cienia ruchu. Kwota nad głową Eaglesa zatrzymała się na osiemdziesięciu pięciu. Jermołow uniósł tabliczkę. Zerknęłam przez ramię. Teraz już Romero był skupiony jak cholera i tak jak ja nie spuszczał wzroku z Pandory. Dziewczyna podniosła tabliczkę. Jermołow ją przebił. Kolejne oferty z widowni. Sto, sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt. Siedziałam kilka metrów od da Silvy, ale i tak poczułam, że odetchną z ulgą. Raznatović dostał już swoją cenę. Ale ja chciałam więcej.

– Panie i panowie, mam dwieście milionów funtów.

W miarę jak odpadali kolejni gracze, Eagles zniżył głos, skupiając

całą uwagę tłumu na pojedynku pomiędzy Jermołowem i Pandorą. Wbiłam wzrok w kolana, w duchu zaklinając Pawła, by przebijał dalej. *Tym ludziom nie chodzi o pieniądze. Łodzie, samoloty, dziewczyny, obrazy... To tylko sposób na zbieranie punktów. Muszę wierzyć, że żądza zwycięstwa weźmie górę nad rozsądkiem. Przy de Kooningu Zulfugarly doszedł do trzystu trzydziestu, więc jak wielki ma budżet?*

Dwieście trzydzieści, dwieście pięćdziesiąt. Jermołow nadal beznamyślnie podnosił tabliczkę – jakby grał w ping-ponga. Dwieście siedemdziesiąt. Było tak cicho, że słyhać by było upadającą słomkę. Dwieście dziewięćdziesiąt, trzysta. Przebijali dalej zachęceni milczącym, ledwie trzymanym w ryzach szaleństwem tłumu.

– Mam trzysta dwadzieścia milionów funtów.

Nastąpiła dłuższa przerwa. A potem Jermołow powoli podniósł tabliczkę. *Nie! Nie możesz go kupić! Nie mogę ci tego zrobić!* Pandora powiedziała coś szybko do słuchawki, po czym zamilkła i czekała. Eagles też czekał. Pandora ponownie zaczęła szeptać.

– Panu w pierwszym rządzie za trzysta trzydzieści?

Kurwa, nie! Zulfugarly musi to przebić, musi. Z niepewnością w oczach Pandora patrzyła w tłum. Cisza ciągnęła się w nieskończoność. I wtedy pochwyciłam spojrzenie dziewczyny. *Powiedz jego nazwisko, Pandoro, powiedz jego nazwisko. Przypomnij mu, że to Jermołow.* Byłam gotowa uwierzyć w telepatię czy Bóg wie co jeszcze, byle tylko wydobyć z jej ust te trzy sylaby. Zakryła szczelniej słuchawkę dłonią i odwróciła się. Grzeczna dziewczynka.

Nagle skinęła głową i podniosła rękę.

– Trzysta czterdzieści milionów za *Kobietę z wachlarzem II* Gauguina. Pana kolej.

Ale Jermołow już potrząsał głową, odkładając tabliczkę.

– W takim razie trzysta czterdzieści milionów funtów po raz trzeci. Poczulałam krew po wewnętrznej stronie wargi.

– Sprzedane.

Wystartowałam z bloków, zanim tłum zdążył wstać, i zaczęłam

przedzierać się w kierunku gabinetu Ruperta. Po drugiej stronie sali zobaczyłam Angelicę w kompletnym instagramowym szale, skaczącą między ludźmi jak reporterka wojenna. Wypadając przez drzwi, zdążyłam tylko spotkać się wzrokiem z da Silvą.

Rupert stał przy biurku pod ogromnym ekranem, na którym transmitowano aukcję, i oglądał panujące w sali zamieszanie. Eagles schodził dumnym krokiem z podium, jakby właśnie strzelił karnego na wagę mistrzostwa świata.

– Rupercie? – powiedziałam.

Odwrócił się powoli na wpół zahipnotyzowany oglądanym obrazem. Na jego obwisłym policzku błysnęła chyba łza.

– Trzysta czterdzieści – szepnęła. Zacisnęłam mocno powieki i pozwoliłam mu się objąć.

W salonie prezesa strzelały korki, lecz ja szłam już do magazynu. Wyjaśniłam Rupertowi, że jestem zbyt rozemocjonowana, by wziąć udział w przyjęciu, a on po krótkim wybuchu emocji odrzekł, że mnie doskonale rozumie. Po moim wyjściu Eagles mógł bez przeszkód skupić na sobie całą uwagę, a ja z wielką przyjemnością oddałam mu tę chwilę triumfu i chwały. Poczekałam w przejściu, aż obrazy zostaną sprawdzone przez eksperta domu aukcyjnego i zniesione do magazynu, gdzie miały czekać na dopełnienie wszystkich formalności. Kiedy Jim mijał mnie z wózkiem, pociągnęłam go za rękaw.

– Czyż to nie cudowne?

Tragarz uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Najlepsza aukcja na świecie. Za chwilę kończę. Jestem umówiony na imprezę w The York. Jeśli ma pani ochotę...

Zaśmiałam się.

– Dziękuję, ale niestety nie mogę. Muszę wrócić na górę. – Ze znużeniem przewróciłam oczami, wskazując głową tętniący hałasem salon. – Posłuchaj, chętnie zerknęłabym na nią jeszcze raz, ale mam przepustkę w płaszczu na górze. Mógłbyś?

– Nie ma problemu, proszę pani. – Wstrzymałam oddech, gdy wpuszczał mnie do środka.

– Dzięki. Zajrzę tylko na minutkę. Ojej... – Bezradnym gestem wskazałam swoją białą sukienkę. – Czy mogłabym pożyczyć...?

– Och, oczywiście. – Jim rozpiął swój brązowy fartuch.

– Jesteś cudowny. Zostawię go na wieszaku. A to dla ciebie. – Wręczyłam mu dwie pięćdziesiątki, które zawczasu schowałam w dłoni. – Postaw chłopakom kolejkę.

– To bardzo miło z pani strony. Gratulacje!

Gdybym kiedykolwiek planowała kradzież dzieł sztuki, wybrałabym właśnie ten moment – tuż po wielkiej aukcji, kiedy wszyscy są rozkojarzeni, a obrazy przenosi się z powrotem do magazynu – to była jedyna, minimalna luka w zabezpieczeniach British Pictures. Schowałam się w lektyce z Minionkiem i czekałam, aż ostatnie dzieło wróci na miejsce, a tragarze wyjdą do pubu.

28.

W piwnicy było chłodno i cicho – słycać było jedynie pomruk urządzeń kontrolujących temperaturę. Spojrzałam na zegarek. Wskazywał dziesiątą czterdzieści, więc da Silva miał przyjść za piętnaście minut. Napiisałam do Elvisa: *Ruszaj*, a sama udałam się na szybką przechadzkę.

Większość prac była schowana w skrzyniach, ale na tyłach magazynu, w części zarezerwowanej dla British Pictures, kilka płócien stało opartych o blat sąsiadujący z jednym z wielkich stelaży. Wymacałam pod blatem włącznik i zapaliłam lampy UV. William Ety. Kremowe wiktoriańskie uda i rumiane wiktoriańskie biusty więdnące we wstydlivych, tłumiących požądanie wiktoriańskich pozach. W sztucznym świetle ich skóra nabierała surrealistycznego, niebieskawego blasku. Idealnie. Wyciągnęłam z torby fartuch Jima, zsunęłam buty i zawiązałam na biodrach sukienkę, a potem, czując, jak fartuch powiewa mi wokół gołych nóg, pognałam do drzwi prowadzących do strefy załadunku. Pod ścianą stał ciąg zaparkowanych drewnianych wózków czekających na następną dostawę. Ostrożnie wprowadziłam jeden z nich z powrotem, oparłam metalową rączkę o stelaż, a torbę postawiłam w zasięgu ręki na blacie, za parą splątanych, nagich dziewczyn. Zdążyłam jeszcze rzucić sukienkę i fartuch i wskoczyć na stół, po czym usłyszałam głos da Silvy.

– *Amore, sei qui?*³⁴

– Tutaj – odpowiedziałam, podpierając się na łokciu i wyciągając się na drewnianym blacie świadoma opalizującego blasku mojej skóry na tle połyskujących werniksem obrazów.

Romero wyłonił się z mroku i westchnął ze zdumienia, a jego wzrok powoli powędrował po moim ciele, przechodząc następnie na płótna – wszystkie te na wpół otwarte usta, różowe sutki, miękkie,

34 *Amore, sei qui?* (wł.) – Kochanie, jesteś tu?

ociężałe ramiona i uda.

– Powiedziałaś...

Przyłożyłam palec do ust.

– Ciii. Nieważne, co powiedziałam. Chodź.

Da Silva ruszył w stronę stołu, a ja usiadłam i rozłożyłam szeroko nogi. Przeciągnęłam dłonią po szyi, piersiach i brzuchu, aż do warg sromowych i otworzyłam je przed jego ustami, gdy padł przede mną na kolana. Sięgnął ręką do moich piersi i zaczął je masować i ścisnąć, jednocześnie intensywnie pracując językiem. Odchyliłam głowę do tyłu, gdy zlizywał i wysysał mą wilgoć, a moje ciało odpowiadało mu nieustannie – nawet wtedy, gdy sięgałam już po torebkę. Wstał i wyjął nabrzmiałego, sterczącego fiuta, a potem przysunął się, by mnie na niego nadziać, ale wywinęłam mu się i klepnęłam w blat obok siebie.

– Moja kolej. No dalej, połóż się. – Zrobił, co powiedziałam, a ja kucnęłam nad nim w taki sposób, aby tylko czubek jego spragnionego fiuta dotykał warg mojej cipki. Potem powoli się opuściłam i wzięłam go w siebie, by po chwili znów się wycofać i musnąć go szparką. Romero jęknął, a ja wyciągnęłam mu ręce nad głowę, po czym zaczęłam wić się gwałtownymi ruchami w dół i wkoło, w dół i wkoło, za każdym razem przyjmując go głębiej, aż w końcu, gdy zatopił się w mnie całkowicie, uniosłam się nagle, zatrzymałam na szczycie, a potem nabiłam się na niego z taką siłą, że aż mnie samej zaparło dech w piersiach. Przycisnęłam mocno miednicę do jego bioder i trzymając w sobie mocno jego fiuta, zaczęłam powoli zataczać ósemki. Na szczycie każdego pchnięcia zaciskałam mięśnie.

– *Sei una meraviglia*³⁵.

Nadal go ujeżdżając, przyciągając coraz bliżej i obserwując jego twarz, nachyliłam się i pozwoliłam, by chwycił mnie zębami za brodawkę.

– Lubisz tak? Lubisz, jak cię tak rzną?

Przytaknął oniemiały, rozgorączkowany, o krok od eksplozji.

35 *Sei una meraviglia* (wł.) – Jesteś cudowna.

– A co powiesz na to?

Wyjęłam z torebki małej pojemnik i mój oszołomiony orgazmem, spazmatycznie chwytający powietrze kochanek pociągnął potężny haust butanu. To jego zapalniczka podsunęła mi ten genialny pomysł. Z bólu odrzucił głowę w tył, uderzając nią głośno o drewniany blat, i zanim się ocknął na tyle, by zacząć się szarpać, zdążyłam założyć mu na głowę reklamówkę. Pod nią podałam mu kolejną dawkę butanu, licząc do dwudziestu. Romero na zmianę parsknął i wiotczał. Zsunęłam się z niego, odwróciłam go na brzuch i skułam kajdankami. A potem zdjęłam mu z głowy torbę. Nie chciałam, by umarł. Włożyłam z powrotem fartuch, powiesiłam torebkę na rączce wózka i podniosłam platformę na wysokość blatu, po czym przeturlałam da Silvę na wózek i przymocowałam trytytkami. Potem zsunęłam wózek po wykonanej z listew rampie, od której transport dzieł zaczęto nazywać „zjazdem”. Romero był tak ciężki, że aby zachować równowagę, musiałam się mocno odchylić do tyłu. Jak tylko zjechaliśmy na dziedziniec, napisałam do Elvisa.

Jesteś?

Na zewnątrz.

Nocne powietrze zdawało się powoli cucić da Silvę. Jęczał i miał odruchy wymiotne. Dałam mu kolejny łycalek, by znowu go uspić, a potem za pomocą przepustki otworzyłam bramę magazynu. Teraz czekał mnie najtrudniejszy moment. W samym magazynie nie było monitoringu, gdyż dom aukcyjny bardzo dbał o prywatność klientów, ale kamery na zewnątrz musiały pokazać tragarza z wózkiem. Oczywiście nie byłoby to nic niepokojącego, ponieważ tragarze czasami w nocy przestawiają prace, które mają wyjechać z samego rana, ale ochroniarze mogli na wszelki wypadek sprawdzić magazyn. Mieliśmy zatem niewiele czasu. Budka strażników znajdowała się obok lobby, więc droga do magazynu zajęłaby im

maksymalnie kilka minut.

Zgodnie z planem Elvis wjechał w uliczkę, wycofał na dziedziniec magazynu i otworzył tylne drzwi furgonetki. Kiedy wysiadł, by mi pomóc, z uśmiechem zauważyłam, że ma na sobie zwykłą dżinsową kurtkę, a nawet poświęcił swoją stylową fryzurę. Bez słowa przywołałam go gestem, by pomógł mi z załadunkiem.

– To ta paczka? – szepnął cierpko.

– Przykryj go i odpalaj. Szybko. Ja odstawię wózek.

Brama zasunęła się, kiedy wyjeżdżaliśmy już z uliczki. Z magazynu nie dobiegł żaden odgłos.

– Masz moje rzeczy?

– Są tam, z tyłu. Razem z całą resztą.

Sięgnęłam za siedzenie. Wiedziałam, że spod fartucha wystaje mój goły tyłek, ale Elvis wpatrywał się w przejeżdżającą czarną taksówkę, która na chwilę zwolniła, jakby chciała wysadzić pasażera, ale zaraz pojechała dalej. Moja teczka i mały koszyk na zakupy leżały obok siedzenia, na którym ułożyliśmy da Silvē. Romero zaczął się budzić, więc z trudem sięgając ręką nad pasem, odwróciłam go na bok. Zbierało mu się na wymioty, a nie chciałam, by się zadławił. Wyciągnęłam z koszyka dżinsy, bluzę i tenisówki i szybko się w nie przebrałam.

– Przywiozłeś krzesło?

– Mam wszystko, tak jak chciałeś. Zestaw jest w plecaku pod siedzeniem – odpowiedział Elvis, po czym beznamytnie dodał: – Kevin kazał przekazać ci to. Powiedział, że masz do nich słabość.

Podał mi crunchie. Lawrence serwował kiedyś te batoniki zamiast kanapek. Miło, że Kevin pamiętał.

Elvis zapalił papierosa i zerknął na tylne siedzenie.

– Jak on wygląda? – zapytałam.

– Trochę zielony, ale ujdzie.

Wyjęłam z torebki grubą kopertę z dolą dla kierowcy.

– Proszę. Trzy kawałki w dwudziestkach, tak jak chciałeś. Cudownie się spisałeś, dziękuję. – Bóg raczy wiedzieć, dlaczego szeptałam.

– Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem wyświadczyć Kevinowi

przysługę.

– Nie jesteś gadułą, co, Elvis?

– Co?

– Nieważne. Lepiej już jedź. Odstawię tu furgonetkę jutro o czwartej.

– Na pewno dasz sobie z nim radę?

– Nie martw się.

Byłoby o wiele szybciej i łatwiej, gdyby Elvis pomógł mi z da Silvą i zestawem, ale nie chciałam mieszać go w to bardziej, niż musiałam. Poza tym chciałam to zrobić sama.

Nigdy wcześniej nie prowadziłam tak dużego samochodu. Prawdę mówiąc, nie prowadziłam niczego poza vauxhallem ze szkoły jazdy, na którym zdawałam egzamin. Nawet nie miałam pojęcia, gdzie podziało się moje prawko. Samochód zgąsł mi żenująco na Piccadilly, a potem jakimś cudem obok Chinatown znalazłam się na pasie dla autobusów, ale w Soho w końcu załapałam, o co w tym chodzi, i pojechałam dalej Dean Street w kierunku Oxford Circus. Turyści i imprezowicze tłumnie wchodzili do barów i równie tłumnie z nich wychodzili zawieszani w ciepłym, letnim powietrzu. Trzy dziewczyny, trzymając się pod ręce, zastukały mi koturnami przed maską, po czym piękne i bezczelne popłynęły dalej na alkoholowej fali wieczoru. Jedna z nich posłała mi buziaka. Wysłałam z podniebienia słodką, miodową masę. Podróż miała mi zająć około czterech i pół godziny, więc na miejsce powinnam była dotrzeć tuż przed świtem. Rozkoszowałam się batonikiem aż do Westway, a potem ruszyłam w kierunku M1 i dalej na północ. Włączyłam radio, aby nie zasnąć, podczas gdy samochód sunął w ciemności, wspinając się po kręgośłupie Anglii aż do Liverpoolu.

Kiedy byłam mała, mama zabrała mnie kilka razy na plażę Crosby Beach. Tyle że nikt jej tak nie nazywał: dla miejscowych to była

Erozja, ujście rzeki Mersey, gdzie statki podnosiły kotwice i ruszały majestatycznie za dymiącymi holownikami, by zacumować w liverpoolskim porcie. Statki z Ameryki, Grecji, Norwegii i Chin. Wyjmowałyśmy z kosza piknikowego jabłka i podwójne kanapki z białego chleba z dżemem i zgadywałyśmy flagi. Pamiętam skrzypienie szorstkiego, czerwonego piasku, który wchodził dosłownie wszędzie – nawet pod mój sweter i do mankietów dżinsów. W zasadzie nie wolno tam pływać, gdyż prądy i grząskie dno są zbyt niebezpieczne, ale brodziłyśmy z mamą w wodzie i raz chyba natknęłam się na rybacką sieć. Czasem kupowałyśmy z furgonetki lody 99 Flake – Mr Whippy z różowym, malinowym syropem. Wzruszające, prawda?

Moją podróż zakłócały od czasu do czasu niezbyt głośne, głucho uderzenia, sporadyczne włoskie przekleństwa i mamrotanie da Silvy oraz chrapliwa obecność Dartha Vadera z samochodowej nawigacji. Pod koniec trasy niemal przysnęłam i obudziłam się gwałtownie, kiedy Anakin Skywalker mruknął, bym skręciła w lewo w Marine Terrace, w kierunku jeziora. Zegar wskazywał czwartą trzydzieści pięć, do wschodu słońca zostało piętnaście minut. Otępiąta ze zmęczenia otworzyłam tylne drzwi i wyjęłam krzesło. Tutaj, na północy, powietrze było okropnie zimne, a przenikliwy wiatr znad Atlantyku nawiewał wodorosty i zgniłe śmieci, które osadzały się na barierce promenady. Wkoło panował mrok, ledwie rozpraszany przez ustawione wzdłuż brzegu latarnie. Trzymając w zębach małą latarkę, zabrałam krzesło i liny i zaczęłam niepewnie brnąć przez suchy piasek w kierunku strzegących horyzontu nieruchomych postaci.

Instalacja Anthony'ego Gormleya zatytułowana Another Place została ustawiona na plaży Crosby w dwa tysiące piątym roku. Sto żeliwnych figur, z których każda została odlana na wzór ciała artysty i ważyła sześćset pięćdziesiąt kilogramów. Rozlokowane wzdłuż wybrzeża na odcinku około trzech kilometrów spoglądają daleko

w fale. Według artysty mają one ukazywać miękkość ludzkiego życia w zderzeniu z czasem planetarnym, a ja przecież to właśnie planowałam zrobić – chociaż nieco inaczej niż pan Gormley. Po jakichś stu metrach piasek zrobił się wilgotny i mniej grząski. Pływy w ujściu powtarzają się w cyklu pięciodniowym. Poranny przyptyw ma miejsce mniej więcej od północy do szóstej trzydzieści. Tego dnia zapowiadano go na piątą czterdzieści siedem. Z ciężkim krzesłem poruszałam się bardzo powoli. Czas naglił, gdyż za plecami czułam już – bo przecież nie widziałam – pierwsze smugi świtu, wiedziałam jednak, że każdy krok muszę stawiać uważnie, sprawdzając grząskość nasiąkniętego wodą piasku. Minęłam kilka upiornych, wymoczonych przez morze figur, aż nagle ziemia się zapadła i z zachłannym siorbnięciem uwięziła moją nogę aż do kolana. Uwolniwszy ją, cofnęłam się o parę kroków, postawiłam krzesło, a potem biegiem wróciłam tą samą drogą, którą tu przyszedłam.

W furgonetce spragniona Selena Gomez szczebiotała o czystej whisky. Wyjęłam caracala i powiesiłam plecak na jednej z ustawionych wzdłuż promenady ławek. Romero kiepsko pachniał – płyn do zapalniczki pomieszany z na wpół strawionymi kanapkami nie daje zachęcającej woni. Wymiociny zastygły na szyi da Silvy długimi strugami i wsiąkły w kołnierz, a pod jego zdumionymi oczami widać było opuchnięte, sine worki. Włożyłam mu knebel i próbowałam podnieść go do przodu, ale opierał się, rozluźniając ciało, które wydawało się teraz jeszcze cięższe. Wbiłam mu więc caracala pod żebra i to najwyraźniej podziałało, bo w końcu się ruszył. Trzymając broń tak jak on podczas mojego marszu z kalabryjskiej celi, poprowadziłam go na plażę. To, co w północnej Anglii nazywa się słońcem, zdążyło już wzejść, ale z tyłu wyglądaliśmy jak para na romantycznym nocnym spacerze. Da Silva nadal był odurzony i kiedy szliśmy w stronę brązowych fal, co rusz się zataczał.

– Dobra, kochasiu. Kłapnij sobie.

Najpierw skrępowywałam mu nogi, dodatkowo przywiązując je do nóg krzesła, a potem ściągnęłam z niego okropną koszulę od Ralpha

Laurena, rozrywając ją wzdłuż szwów, tak aby rękawy przeszły przez kajdanki. Wtedy da Silva zaczął protestować, szarpiąc się na boki i próbując mnie kopnąć.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła. Możesz się tylko przewrócić, a to ci popsuje widok.

Drugą liną przywiązałam jego klatkę piersiową do oparcia krzesła, a trzecią owinęłam mu wokół szyi i ciasno wokół skutych nadgarstków, tak aby unieruchomić głowę. Cofnęłam się o krok i przez chwilę podziwiałam swe dzieło. Unieruchomiony da Silva od tyłu wyglądał jak beznamiętnie zastygła figura Gormleya.

– No to *ciao* – rzuciłam, po czym podniosłam pobrudzoną, podartą koszulę, a broń wsunęłam za pasek dżinsów.

Nie oglądałam się za siebie – dopiero na promenadzie usiadłam na ławce, zapaliłam papierosa i spojrzałam na morze, które zmieniało kolor z brązu mętnego na jasnomętne. Pięta rano. Zastanawiałam się, jak szybko da Silva zda sobie sprawę, że za mniej więcej czterdzieści minut morze zamknie mu się nad głową. Przecież sam próbował mnie zabić na plaży. Pomyślałam, że to nawet dość poetyckie. Woda zaczynała już swymi rozczapierzonymi, poplamionymi nikotyną palcami sięgać krzesła.

W patrzeniu na morze jest coś magnetyzującego. Może to świadomość, że bez względu na wszystko te oto fale będą rozbijać się o ten oto brzeg przez nieskończoną liczbę jutrz. Podejrzewam, że Gormley to właśnie chciał nam uświadomić – a zarazem wlać w nas osobliwą pociechę wynikającą z naszej znikomości. Czekaliśmy razem i po jakimś czasie wśród uspokajającego szmeru fal niemal zapomniałam, że siedząca na krześle postać jest bardziej ludzka niż jej towarzysze. Ale nie przejmowałam się tym zbyt. Dla da Silvy na pewno nie miałoby to żadnego znaczenia. Przypomniałam sobie, jak w Kalabrii opowiadał mi beznamiętnie, że łodzie czasami wyrzucają za burtę ludzki ładunek. Owa obojętność była jedynym prawdziwym fundamentem naszego porozumienia.

Ponieważ byliśmy do siebie podobni, on i ja. Obserwowałam go. Łatwość, z jaką wiódł swe podwójne życie, jego bezwzględność,

spokojną akceptację nieuniknionej przemocy. A ja, jak wszystkie smutne laski, które siadywały tutaj, wyplakując oczy przed obojętnymi falami, myślałam głupia, że właśnie dlatego może mnie naprawdę pokochać. Bądź sobą, a znajdziesz kogoś, kto pokocha cię taką, jaka jesteś. Da Silva mnie widział, wiedział, kim jestem i co robiłam. W Tangerze wyznałam mu, że najlepszą bronią kobiety jest zaskoczenie. Ale najlepszą ze wszystkich jest miłość. W końcu przekonałam samą siebie, że miłość go wybawi, że wybawi nas oboje. To naprawdę było możliwe. Tworzyłam się na nowo i zmieniałam tak wiele razy, ale on był moją prawdziwą szansą na nowe życie. I odebrał mi ją. Nie w momencie, gdy się zorientowałam, że mnie poświęci, ale kiedy zrozumiałam, że robi to i nic nie poczuje. Nie ocaliłby mnie, więc ja nie mogłam ocalić jego.

Woda obmywała już czoło promenady. Głowa da Silvy dawno zniknęła pod jej błyszczącą powierzchnią. Miłość sprawia, że robimy się łatwowierni i powolni. Lecz kiedy mężczyzna myśli, że kobieta taka właśnie jest, sam staje się podatny na cios. Owszem, byłam naiwna, powolna i łatwowierna, ale w końcu da Silva zobaczył w moich oczach fałszywy obraz samego siebie i to sprawiło, że się rozluźnił – na tyle, że mnie przestał doceniać. Myślał, że jestem przejrzysta, przezroczysta. Przez jakiś czas oboje wierzyliśmy, że był w stanie mnie przejrzeć, co dla niego okazało się fatalne w skutkach. Zwinęłam jego koszulę, rozejrzałam się szybko po brzegu, sprawdzając, czy nie ma na nim porannych biegaczy, i rzuciłam ją w fale. Rozwinęła się w wodzie, rozkładając bezradnie rękawy. Ponad hukiem i świstem atlantyckiego wiatru usłyszałam, że ktoś płacze. Być może byłam to ja. Być może dlatego, że „na zawsze” okazało się trochę za krótkie.

Wzięłam się w garść. Czas na kolejny punkt mego planu. Ale może najpierw śniadanie. Za promenadą, przy głównej drodze zobaczyłam otwartą kawiarnię. Buchający z niej zapach słonego tłuszczu mieszał się z równie słonym powietrzem.

– Jak się masz, księżniczko? – zapytał koleś za ladą.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– W porządku, dzięki.

Kanapka z bekonem i podwójnym jajkiem sadzonym, sos HP i rdzawa, wrząca herbata. Dobrze było wrócić do domu.

29.

Matka miała się ze mną spotkać o jedenastej w kawiarni w Tate Gallery w Albert Dock. O ósmej zaparkowałam furgonetkę na Hanover Street, a potem skuliłam się na przednim siedzeniu i ucięłam sobie kilkugodzinną drzemkę. Jakoś nie miałam ochoty kłaść się z tyłu. Kiedy zadzwonił budzik w telefonie, umyłam zęby, przepłukałam je wodą z butelki, wytarłam twarz wilgotną chusteczką, ubrałam się w odpowiedni na liverpoolskie lato granatowy sweter z kaszmiru i poszłam w dół do rzeki Mersey.

Matka wyglądała całkiem nieźle. Miała dopiero czterdzieści siedem lat, ale czasami czułam się tak cholernie stara, że o tym zapomniałam. Jej twarz sprawiała wrażenie ściągniętej, ale odkąd wstawiła sobie ząb i zrobiła pasemka, przy odrobinie fluidu jej cera wyglądała całkiem świeżo. Do tego ubrała się elegancko w białą koszulę z kolorową apaszką i brązowe botki pasujące do torby Mulberry, którą jej kiedyś przysłałam.

– Jak się masz, Judy? – Od śmierci mojej dawnej przyjaciółki Leanne nikt inny tak do mnie nie mówił. Jestem wyższa od matki, więc nachyliłam się, by ją pocałować w policzek. Z trudem oparłam się pokusie, by ją obwąchać, ale mama złapała mnie za rękę i przytrzymała ją przez chwilę na swoim policzku. – U mnie wszystko w porządku, kochanie.

– Tak. Ślicznie wyglądasz. Widać, że dbasz o siebie.

– Chodzę na basen w centrum rekreacyjnym. Z Mandy. Mają tam teraz saunę i inne atrakcje.

– To świetnie.

– Chcesz coś zamówić?

– Tylko kawę, czarną. Jadłam już śniadanie.

Miałam ochotę zapalić.

– To ja wezmę *cappuccino*. Czy ty... zostajesz? – W tym niepewnym pytaniu było tyle kruchości.

– Nie mogę... Muszę wracać do pracy.

– Do Włoch?

– Tak. Przyjechałam tylko coś dostarczyć. Jedno z dzieł.

Podano nam zamówienie i obie zabratyśmy się do mieszania. Kiedy jednocześnie podniosłyśmy filiżanki, matka pochwyciła moje spojrzenie i odstawiła swoją kawę, nie upiwszy ani łyka.

– Widziałam gazety. To naprawdę cudowne. Ale nikomu nic nie mówiłam – dodała natychmiast.

– Tak. Aukcja poszła bardzo dobrze. Moi klienci są zachwyceni.

– Tak. Posłuchaj, Judy... Przepraszam.

– Za co?

– Za wszystko. Za picie. Wiem, że nie mogę ci tego wynagrodzić, ale przepraszam. Ja... Rozumiem, dlaczego trzymasz się ode mnie z daleka.

Robiłam to przez dwanaście lat.

– Jestem z ciebie taka dumna. Cała ta sprawa z obrazem, w telewizji i w ogóle. Naprawdę odniosłaś sukces.

– Mamo, nie jesteśmy u Jeremy'ego Kyle'a. Daj spokój. Rozumiem, dlaczego piłaś. Jasne, że chciałaś się napić, skoro jedna z twoich córek zabiła drugą.

– Nie mów tak.

– Ale to przecież prawda. – Nachyliłam się nad stołem. Moją americano podano w słoiku po dżemie. – Zabiłam Katherine.

– To był wypadek. Obie to wiemy. Okropny wypadek.

– Ale pozwoliłaś, bym to ja wzięła na siebie winę?

– A miałam inne wyjście? Zabraliby cię.

– Nie. Zrobiłaś to dlatego, że to była moja wina. I dobrze o tym wiedziałaś.

– Po to przyjechałaś? Żeby mnie dręczyć?

– Nie. Chciałam cię zobaczyć. Chciałam...

– Zrozumieć? Sama tego nie rozumiem. Wiem, jak zniszczyłam sobie życie. Teraz robię wszystko, by iść na przód. Ale ty? Dlaczego jesteś taka...

Mam z matką wiele wspólnego. Twarz, sposób myślenia. Ale nigdy

wcześniej nie sprawiła, że poczułam się głupio. Zaciskała usta, jakby się powstrzymywała od płaczu, ale napięte, białe linie na jej makijażu nie zdradzały smutku. To była pogarda.

Położyła na stole dziesięciofuntowy banknot i wzięła torebkę.

– Do widzenia, Judy. Uważaj na siebie. Miło cię było zobaczyć. Zadzwoń kiedyś.

Zastanawiałam się, ile ma przy sobie gotówki. I jak szybko się podda. Czy wejdzie do najbliższego pubu. Wyobraziłam ją sobie, jak zalana wypada z niego o trzeciej nad ranem, a potem płacze w autobusie wiozącym ją do domu, i obraz ten sprawił mi dziwną przyjemność. Matka przypominała mnie pod wieloma względami, ale nie była tak silna jak ja. Była słaba. I to mnie wzmocniło.

Moja siostra Katherine pachniała migdałami. Urodziła się, gdy miałam dwanaście lat. Na początku było dobrze. Mama przestała pić. Wkładała Katherine do wózka i przychodziła po mnie do szkoły. Moja siostrzyczka miała maleńką, różową czapeczkę z puchatymi uchami. W piątki chodziłyśmy do piekarni u Gregga i mama kupowała mi gorącą czekoladę. Jadłyśmy na spótkę kawałek ciasta waniliowego, podczas gdy mięciutkie ciało Katherine siedziało na moich zakrytych ciemnozieloną szkolną spódniczką kolanach, a jej pulchne paluszki zawijały się wokół butelki z ciepłym mlekiem, które pomagałam jej pić.

Kochałam Katherine. Ale potem mama znowu zaczęła chodzić do pubu. Po powrocie spała do późna z przypadkowymi kolesiami, a rano krzyczała do mnie, żebym wstała i zajrzała do małej, podczas gdy oni walili sofę o ścianę. Byłam nieustannie zmęczona, oczy mi się kleiły. Upuszczałam różne rzeczy, zapominałam książek do szkoły, zasypiałam na lekcjach i dostałam tróję ze sprawdzianu z matematyki. Nie mogłam odrabiać lekcji, ponieważ ciągle musiałam pilnować Katherine, przewijać ją, karmić, ścielić jej łóżeczko, wynosić śmieci. Robiłam pranie i jeśli znalazłam w torbie mamy jakieś pieniądze, wkładałam matę do wózka i jechałam do

Tesco, a potem z dzieckiem na rękę próbowałam ugotować obiad. Tymczasem matka odsypiała noc przed telewizorem. W końcu uznałam, że łatwiej będzie wcale nie chodzić do szkoły. Nie chciałam zostawiać Katherine samej z mamą. Dyrektor zaprosił mnie na „pogawędkę” i zaczął tłumaczyć, że mogę się dużo nauczyć, dostać się na studia – ale wzrok miał utkwiony w zegarze na szarej ścianie gabinetu, który śmierdział papierosami. W szkole chodziły słuchy, że w szufladzie biurka dyro trzyma butelkę whisky. Odliczał czas, jak wszyscy na naszym osiedlu. Utknął. Czułam okropny zapach z jego ust, widziałam worki pod jego oczami i było mi go naprawdę żal. Zaczęłam znowu chodzić do szkoły, ale kiedy wracałam, Katherine płakała w łóżeczku z przemoczoną, brudną pieluchą. Czasami zostawiałam ją tam i zamykałam drzwi, bo czułam, że to niesprawiedliwe.

Gdy tamtego dnia otworzyłam drzwi, mieszkanie pachniało słodkimi migdałami. W łazience paliło się światło, ale w pokoju było ciemno i duszno. Mama przygotowała kąpiel dla Katherine ze specjalnym olejkiem dla niemowląt, a potem musiała o niej zapomnieć. Na kanapie obok mamy znalazłam puste butelki. Katherine siedziała oparta o szczebelki łóżeczka. Na mój widok próbowała znowu zapłakać, ale musiała już zachrypnąć, ponieważ z jej biednego ciała wydobył się jedynie rzęzący charkot. Podniosłam ją i przytuliłam.

I wtedy zrozumiałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę. Miałam dwanaście lat i za jakieś cztery, pięć lat mogłabym uciec. Ale Katherine była malutka i wiedziałam, że nie mogę jej po prostu zostawić. Tak by się to potoczyło. A po jakimś czasie skończyłabym jak moja mama, która czekała tylko na to, by zaraz po spieniężeniu czeku z opieki społecznej pójść i się upić. Stałam z Katherine nad matką. Nie obudziła się. Nachyliłam się i Katherine wyciągnęła rączkę w kierunku jej twarzy, ale wyprostowałam się i zaniosiłam matę do łazienki. Wyjęłam czysty ręcznik, rozpięłam mokre guziczki jej śpioszki, a potem dolałam do mętnej kąpieli gorącej wody. Nagą, różowitką i wyrywającą się Katherine ucałowałam

w delikatne miejsce w kąciku oka.

– Przepraszam, dziecinko – szepnęłam.

Nie trwało to długo. Po wszystkim zawinęłam ją w inny ręcznik – taki specjalny, dla niemowląt, żółty z kapturem. Miała szarą twarz i szkliste oczy. Nogi mi się trzęsły, kiedy niosłam ją z powrotem do kanapy.

– Mamo – powtarzałam w kółko. – Mamo.

Kawa mi wystygła. Wyszłam przez ciągnące się pod arkadami eleganckie sklepiki, a potem ruszyłam wzdłuż barierek nad rzeką. Nie miałam ochoty oglądać w Liverpoolu nic więcej, więc wkrótce wróciłam do furgonetki i wyjechałam na obwodnicę, a potem na M1. W radiu puszczali „Hot Love” T. Rexa, ale ja miałam randkę z Elvisem.

30.

Przez wzgląd na stare dobre czasy wybrałam The Bunch of Grapes na Duke Street. Specjalnie na tę okazję przywiozłam też z Włoch mój stary, czarny kostium od Chanel – z dopasowanym żakietem i luźną, plisowaną spódnicą.

Dave czekał już przy stoliku ze szklanką piwa i czymś, o czym wiedziałam, że okaże się paskudnym, białym winem.

– Mam coś dla ciebie. – Przesunął po szklanym blacie ciemnozieloną torbę z Hatchard's. – Moja książka, w twardej oprawie.

– Och, Dave. – Otworzyłam książkę na tylnym skrzydełku, gdzie wydrukowano notkę o autorze. Na zdjęciu w mundurze Dave wyglądał poważnie i elegancko. Potem przeskoczyłam na początek i przeczytałam dedykację: *Ściskam i dziękuję. Dave.*

– Za co te podziękowania?

– Wiesz, za co. – To z mojej winy Dave stracił ukochaną pracę w British Pictures, ale później podarowałam mu obraz Richtera, mój pierwszy nabytek jako marszandki. Pieniądze z jego sprzedaży pozwoliły Dave'owi przekwalifikować się na nauczyciela historii sztuki. Jednak wszystko to było niczym w porównaniu z tym, co ja zawdzięczałam jemu.

– Jestem z ciebie baaardzo dumna. To szczęście mieć takiego przyjaciela.

Sięgnęliśmy po nasze napoje i pociągnęliśmy po długim, brytyjskim łyku.

– Mam nadzieję, że masz dla mnie bilet na Bahamy. Teraz jesteś sławna i w ogóle. „Dziewczyna, która znalazła Gauguina”. Podoba mi się twoje nowe imię.

– Cóż, musiałam je zmienić z powodów zawodowych. Nie będę go już potrzebowała. Ale ty... – Położyłam teczkę na stół. – Ty naprawdę staniesz się sławny. BBC będzie zachwycone.

Zaczęłam wypakowywać notatki na temat proveniencji *Kobiety z wachlarzem II*, wydrukowane zdjęcia Li przy pracy. Uważałam, by ująć na nich tylko ręce Chińczyka. Dave wpatrywał się w fotografie, gładząc błyszczący papier.

– Co zrobiłaś?

– To falsyfikat. Rupert sprzedał falsyfikat. Za trzysta czterdzieści milionów. A to jest dowód fałszerstwa. Dave, możesz zniszczyć Ruperta. Jest twój.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Przecież cię zwolnił! Wyrzucił nas oboje jak... jak pety swoich pieprzonych fajek. To może ci przynieść sławę. Mógłbyś zostać ekspertem, felietonistą w gazecie, kim tylko zapragniesz! Nie chcesz?

Dave powoli i skrupulatnie ułożył notatki i zdjęcia w równy stos i przesunął je z powrotem w moją stronę. Wyraz twarzy zmienił mu się całkowicie. Zniknęły z niej całe ciepło i entuzjazm.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś i nie chcę wiedzieć – zaczął. – Ale to nie dla mnie, prawda? Zrobiłaś to dla siebie, Judith... albo Elisabeth... czy jakkolwiek się teraz nazywasz. Ponieważ zawsze musisz być gwiazdą, prawda? Ta cała sprawa ze Stubbsem w British Pictures. Wtedy też chodziło tylko o ciebie. Wykorzystałaś mnie wtedy i od tamtego czasu stale wykorzystujesz.

– Wynagrodziłam ci to – odparłam nadąsana.

– Tak, i zawsze będę ci za to wdzięczny. Ale nie o to chodzi. Po co miałbym ściągać na siebie to wszystko? Chcieliby wiedzieć, skąd mam te informacje, skąd cię znam. A ja chcę tylko żyć w spokoju. Zawsze tego chciałem.

– Więc dlaczego za każdym razem mi pomagales?

– Chyba... było mi cię po prostu żal. W głębi duszy jesteś dobrą dziewczyną. Ale zawsze czułem, że czegoś w tobie brakuje. Kiedy cię poznałem w British Pictures, ludzie mówili, że jesteś... dziwna.

– Ponieważ nie urodziłam się w bogatej rodzinie?

– Nie o to chodzi. Jakby czegoś w tobie brakowało. Ludzie mówili, że patrzysz na nich, jakby nie byli prawdziwi.

Nieustanna obserwacja, naśladowanie, odkrywanie, czego ludzie oczekują. Przecież wszyscy tak robią, prawda? Ja tylko... jestem szybsza niż większość z nich.

– Przestań, Davidzie – rzuciłam. – Przestań.

– Dobrze, przepraszam. Mimo to zawsze uważałem, że jesteś w porządku. I kiedy się wpakowałaś w kłopoty, chciałem ci pomóc. Ale to... to nie dla mnie. Przykro mi.

Wstałam i starannie schowałam proveniencje z powrotem do teczki. Potem nachyliłam się i spojrzałam na życzliwą, szczerą twarz Dave'a. Było w niej współczucie, które mogłoby być nie do zniesienia – gdybym tylko rozumiała to słowo. Powiedzieliśmy sobie już wszystko. Nie byłam zła, bo Dave miał całkowitą słuszność. Nie mogłam go już do niczego wykorzystać. Stał się nieistotny. Wyprostowałam się i odeszłam.

Milczenie Dave'a szło za mną aż do St. James's Street.

Myślałam, że tak właśnie powinno się to potoczyć: my przeciwko nim, odważni bojownicy o prawdę niszczący oszustów, snobów, krętaczy i karierowiczów. Kolejno, jednego po drugim. Tych, którzy uważali, że piękno to jedynie biznes, a farba olejna może przykryć krwawe plamy. Ale to nigdy tak nie wygląda. Dlatego wracałam do British Pictures sama.

Nie zawracałam sobie głowy rozmową z dziewczynami z recepcji, tylko od razu ruszyłam do rzeźbionych schodów w głównym holu, po których zawsze z taką dumą wchodziłam.

– Elisabeth! – Po swojej rekordowej sprzedaży Rupert cały promieniał. – Jak się masz? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Muszę z tobą pilnie porozmawiać. Na osobności. Mógłbyś zamknąć drzwi na klucz, by nam nikt nie przeszkadzał?

– Oczywiście. – Rupert minął mnie biegiem, zamknął drzwi, odwrócił się i zobaczył mnie siedzącą na jego biurku z caracalem wymierzonym w jego otłuszczone serce. Jego pierwszą reakcją był piskliwy chichot, absurdalny pierd wydobywający się z głębi cielska.

– Mnie nie jest do śmiechu, Rupercie. Podejdz i usiądz. – Czubkiem swojej szpilki od Saint Laurenta popchnęłam w jego kierunku fotel. Kiedy Rupert wpasował się między podłokietniki, zeskoczyłam z biurka i odwróciłam go, a wylot lufy w kształcie idealnego „o” wylądował na pofałdowanej skórze nad jego kołnierzykiem.

– Otwórz teczkę, wyjmij papiery i przyjrzyj im się. Jeśli zrobisz cokolwiek innego, wówczas to, co nazywasz swoim mózgiem, trafi na Whitehall. Ochroniarze nie zdążą kiwnąć palcem. No, dalej.

Patrzyłam, jak wyklada zdjęcia, i zastanawiałam się, w jakim sensie mój obraz był fałszywy. Przecież to idealny Gauguin, tyle że namalowany inną ręką.

– O ja pierdołę.

– Wyrażaj się, Rupercie! Chociaż w sumie... Masz rację: Pierdolony skurwiel został rozpierdolony. A tym skurwielem jesteś ty.

– Czego chcesz? Pieniędzy? – Rupert ogarnął sytuację z godną podziwu szybkością. Nie tracił czasu na niedowierzanie, a jego głos był zupełnie opanowany. Byłam naprawdę pełna uznania.

– Nie.

– To czego?

Pomyślmy... Istnieje kilka odpowiedzi na to pytanie. Opcja pierwsza: zabieram papiery, jadę taksówką na Kensington i składam je w „Daily Mail”. Au revoir kariero Ruperta. Opcja druga: pozwalam mu wycofać obraz. British Pictures okrywa się wstydem, a Raznatović zabija da Silvę. A nie, chwileczkę, przecież da Silva już nie żyje. Opcja trzecia: pozwalam Zulfugarly’emu powiesić obraz w mauzoleum jego rozdętego ego i na tym kończę sprawę. Tylko Rupert i ja znamy prawdę. Ubaw po pachy do końca życia. Kusząca wizja.

Rupert, który do tej pory starał się zachowywać zimną krew, najwyraźniej osiągnął kres swych możliwości, gdyż wydał z siebie głośny, nieprzyjemny szloch.

– To tylko obraz. To tylko cholerny obraz – wydyszał.

Opcja czwarta: rozsmarowuję szpik Ruperta – przynajmniej tyle posiada – po jego biurku. Zawsze lubiłam grać uczciwie. Co takiego

zapropował Raznatović? Opcję zbiorową.

– Neeee. Nie chcę pieniędzy. Nie chcę cię zrujnować. Nawet niespecjalnie chcę cię zabić. Chcę tylko... – Obeszłam go wkoło, co, zważywszy na jego rozmiary, było niezłym treningiem, usiadłam z powrotem na biurku i przyłożyłam lufę caracala w miejsce pomiędzy głową a sercem Ruperta. – Chcę zagrać w grę, bardzo prostą. Musisz wypowiedzieć moje imię. Jeśli wypowiesz je poprawnie, spakuję papiery i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Gauguin zostaje na swoim miejscu, ty dostajesz awans, a w końcu nawet pieprzony tytuł szlachecki. Jeśli ci się nie uda, cóż... O, rety...

W jednym z samochodów na King Street włączył się alarm, a ponieważ od Caravaggia nauczyłam się, by zawsze dostosowywać działania do okoliczności, wykorzystałam dźwiękowy kamuflaż i strzeliłam Rupertowi w stopę. Pocisk przeszedł przez brogsa od Edwarda Greena i utknął w parkiecie. Rupert wyskoczył z fotela i próbował się chwycić za zranioną stopę, ale nie pozwoliła mu na to tusza.

– Żadnych krzyków – ostrzegłam.

Policzki Ruperta były białe i wilgotne jak świeża mozzarella. Gdy załała go fala bólu, przełknął gwałtownie ślinę i wciągnął powietrze, ale nie krzyknął.

– Usiądź z powrotem. Dobrze. Gotów? Ułatwię ci trochę zadanie. – Skromnie zapięłam swoją jedwabną bluzkę pod samą szyję, jak zwykłam to czynić, będąc tu asystentką, i szybko związałam włosy w kucyk.

– Przypominasz sobie?

Nigdy wcześniej nie widziałam, by ktoś ślinił się z bólu. Ślina spływała Rupertowi po brodzie i mieszała się z potem na kołnierzyku. Miałam wrażenie, że czuję smród jego lęku.

– No, dalej, spróbuj.

– Eee... eee... – Jego przepętnione rozpaczą oczy nadal wyrażały niezrozumienie.

– No, ciepło, ciepło...

– Proszę – wybełkotał Rupert. – Nic nie rozumiem. Co ja takiego

zrobiłem? Nikogo nie zabiłem!

Przynajmniej ty masz czyste sumienie.

– Podpowiedzieć ci?

Gorączkowo pokiwał głową.

– To cię będzie kosztowało. – Nachyliwszy się, przeciągnęłam bronią po jego twarzy i mokrej koszuli na piersi. – Który kawałek jesteś gotów oddać za podpowiedź? Kolejny palec? A może ucho?

– Proszę, proszę – znów zaczął łkać.

– No, dalej, zacznym się nudzić. Stubbs?

– Yyy... yyy... Georgina?

– Nie. Ale podoba mi się twój tok myślenia. George Stubbs, więc Georgina. *Książę Richmond z małżonką przyglądający się koniom w galopie.* Pamiętasz ten obraz? Powinieneś. – Wskazałam fotografię dłoni malujących tło pod Gauguina. – Ten sam facet zmodyfikował go dla ciebie, kiedy zachciało ci się interesów z Cameronem Fitzpatrickiem.

– Nie wiem, przysięgam, naprawdę nie... Och, och.. – Moment objawienia był naprawdę piękny. – Judith? *Judith?*

– Bingo, Rupercie. Odgadłeś. – Trzymając caracala jedną ręką, drugą zaczęłam zbierać papiery.

– Judith, nie rozumiem, ale przepraszam. Przepraszam, jeśli...

– Daruj sobie. Jak to mówią, „nigdy się nie skarż, nigdy się nie tłumacz”. Chociaż wołałabym inny frazes. Może „niewczesne żale”?

Rupert wiedział, jak zmarł jego kumpel Cameron Fitzpatrick. Biedak został zamordowany w Rzymie, nad rzeką, a obraz, który podrobili, ten, przez który mnie zwolniono, zniknął.

– Czy mam ci opowiedzieć, Rupercie, jak zginął Cameron Fitzpatrick? To znaczy... czy chciałbyś znać szczegóły?

Jednym dźwignięciem przepchnęłam tors przez kraniec nabrzeża. Lewe ramię znowu podskoczyło w geście zombie. Wygiął się do tyłu gibki jak gimnastyk. Potylicą trzasnęła o kamienny mur. To nie bolało. Przycisnęłam kolanem klatkę piersiową, żeby wyciągnąć knebel, po czym zaparłam się o jego udo i pchnęłam, aż ciało obróciło się i wpadło do wody.

– To byłeś ty. – Powiedział Rupert zupełnie bez emocji.

– Tak, to byłam ja. Znowu zgadłeś. Ale nie bardzo mam teraz czas na pogaduszki o starych dobrych czasach w British Pictures. Posłuchaj, Rupercie, za chwilę stąd wyjdę. Możesz wycofać Gauguina, jeśli chcesz, albo podpisać pokwitowanie i wysłać go do Baku. Podejrzewam, że wybierzesz drugą opcję, ponieważ twoja uczciwość jest odwrotnie proporcjonalna do rozmiaru twojego odrażającego dupska. A skoro o tym mowa, rozepnij spodnie.

– Co?

– No już. Teraz wstań. Ręce na biurko i pochyl się. A teraz pluń. – Wyciągnęłam broń. – Napluj na lufę.

Da Silva opowiadał mi kiedyś, że w szeregach mafii funkcjonuje całkiem sporo terminów określających kapusiów: *vomitini*, czyli „rzygacze”, *muffuti*, „rozkładający się”, czy moje ulubione – *ammalati di sbirritudine*, „cierpiący na glinowatość”. Konfidenci rzadko dożywają sędziwego wieku, a jeśli znajdą się w więzieniu z „ludźmi honoru”, zostaje im wymierzona szczególnie poniżająca forma kary – zostają cwelami. Zastanawiałam się kiedyś, czy obyczaj ten, podobnie jak jasne włosy i niebieskie oczy, które czasami pojawiają się w genowej puli południowców, nie jest przypadkiem pamiątką po wikingach, którzy po zwycięskiej walce zwykli gwałcić swych jeńców.

Kiedy broń była już wystarczająco śliska, obeszłam pochylone ciało Ruperta, ostrożnie włożyłam lufę za gumkę jego slipów i zsunęłam je aż do kostek.

– Jeśli dasz radę zachować milczenie jeszcze przez chwilę, to myślę, że uda nam się kontynuować to spotkanie w cztery oczy, tak?

– Tak.

– O, Chryste. Tak, co?

– Tak, Judith.

Nie miałam zamiaru zagłębiać się bardziej w anatomię Ruperta, ale zdjęłam palec ze spustu i ostrożnie umieściłam lufę na miejscu.

– Proponuję, żebyś zatkał usta pięścią. I bądź ostrożny, wyjmując pistolet, bo zrobisz sobie z dupy jesień średniowiecza.

No to jedziemy. Napięłam prawe przedramię i uderzyłam w nie lewą pięścią tuż pod łokciem. Większość lufy caracala zniknęła w Rupercie, który jednak zdołał utrzymać emocje na wodzy.

– Jak powiedziałam, bądź ostrożny. Pod żadnym pozorem nie dotykaj spustu, bo twoje śniadanie wróci do Wolseley. Żegnaj, Rupercie.

Wzięłam teczkę i dumnie wyszłam z gabinetu, stukając szpilkami.

Na schodach zobaczyłam Angelicę. Prawie mnie minęła, ale w ostatniej chwili coś kazało jej się odwrócić. Być może sprawił to mój czarny kostium i spięte włosy.

– Och, cześć Elisabeth. Elisabeth?

Pomachałam jej delikatnie.

Większość artystów nie odchodzi z tego świata pięknie. Artemisia umarła rozpalona gorączką, wyczerpana i pokonana przez dżumę, Caravaggio – jako bezradny, zataczający się włóczęga na pustej, włoskiej plaży, Gauguin – oszalały i głodny w swoim lubieżnym raj. Wolimy wyobrazić sobie życie malarzy na podstawie ich obrazów. Tę trójkę łączyły przemoc, poświęcenie i krew. Caravaggio tylko raz podpisał swój obraz – i zrobił to krwią świętego. Kiedy zabił w Rzymie męczycznę i papież wyznaczył nagrodę za jego głowę, mistrz w ramach ugody zaproponował Kościołowi swój talent i wylądował na rządzonej przez joannitów Malcie. Wstąpienie do zakonu miało złagodzić spodziewany wyrok. Źródła mówią, że Caravaggio nie zrozumiał zasad ugody i zamienił szafot na więzienie, które sam sobie stworzył, ale ja wolę myśleć, że za wszelką cenę chciał znowu malować, dlatego postanowił zaryzykować. Zawsze wolał kłopoty od posłuszeństwa. Ścięcie św. Jana Chrzciciela, największa nastawa, jaką artysta wykonał w swojej karierze, została namalowana dla katedry w La Valetcie. Caravaggio umieścił świętego na mrocznym dziedzińcu więzienia, podobnym nieco do chłodnych, kamiennych ścian przy Rue de la Roquette, gdzie Gauguin oglądał ścięcie Prado. Na obrazie kat pochyla się nad

skrępowaną ofiarą, a obok niego na ziemi leży miecz. Oprawca nie dopełnił jeszcze swojego dzieła, gdyż miecz zatopił się głęboko w szyi Jana, lecz głowa nie została odcięta i z otwartej rany tryska krew. Chwyciwszy proroka za włosy, kat sięga beznamiętnie do pasa po nóż, by przeciąć ostatnią kość i ostatnie ścięgno. Ofiara ani nie żyje, ani też nie jest martwa. Trwa przerażona w niekończącej się, bezlitosnej agonii. Krew rozlewa się niczym szkarłatna włóczka rozwijająca się z kłębka i gdy się przyjrzymy uważnie, zauważymy, że jej pełzający strumyk maluje na ziemi imię Caravaggia. Obraz można rozumieć jako metaforę odkupienia: malarz zostaje ponownie ochrzczony, a jego śmiertelny grzech zostaje zmyty krwią gasnącej śmiertelności świętego. Ale być może Caravaggio oznajmia w ten sposób coś innego: tutaj zostaną na zawsze, uwięzieni na progu bezlitosnej łaski.

Było około szóstej wieczorem, pora, kiedy miasto znów kręci się wokół własnej osi. Czekałam na peronie stacji Green Park na pociąg linii Piccadilly. Zwyczajna kobieta w czarnym kostiumie pośród zrezygnowanych, bladych ludzi wracających z pracy. *Robię to, co każe moja natura.* W mojej sfatygowanej, skórzanej teczce znajdowała się karta z numerem, proweniencje fałszywego Gauguina, mały, ale oryginalny Rembrandt, stukaratowe brylantowe kolczyki i paszport. W magazynie we Francji czekały na mnie obraz i skrzynia z bezgłowymi zwłokami, w amsterdamskim hotelu wypatrywał mnie człowiek, który właśnie ustanowił rekord, jeśli chodzi o kwotę uzyskaną ze sprzedaży podrobionego dzieła sztuki, a na południu Francji oczekiwał mnie inny mężczyzna. A w Nowym Jorku trzeci. Za moimi plecami przez tłum przetoczyła się fala jęku. Pewnie ktoś spadł na tory.

KONIEC

Pragnę podziękować następującym osobom:

Jane, Kate, Julianowi, Jamesowi, Stephenowi, Angie, Georgii i Imogen z Bonnier Zaffre, Billowi Masseyowi, Emily Burns z Brandhive, Annabelle Robinson, Carol i Andrei z Roca, Camille, Glennowi i Sandrine z Laffont, Giuseppe, Tommasiemu i Raffaelli z Longanesi, Stefano, Cristinie i Achille Mauriemu, Henrikowi z Norstedt, Tomasowi z House of Books, pełnemu energii Jochemowi Bouwensowi, Frankowi McGrathowi za trucizny, Erikosowi, ponownie, Rosie Apponyi za więcej, niż jestem w stanie wyrazić, Dominique de Bastarrechea i Christopherowi Maclehose'owi, dzięki którym ta książka ujrzała światło dzienne, i Michaelowi Plattowi, który wykonał najtrudniejsze zadania.

I Markowi Smithowi – nadzwyczajnemu wydawcy, wizjonerowi, Erniemu. Marku, zmieniłeś moje życie. Nigdy nie zdołam wystarczająco ci podziękować. Oraz Kate Smith, której cierpliwość i szczodrość sprawiły, że to wszystko stało się możliwe.

Wszystkim dziękuję za ich pasję, oddanie i niezwykle ciężką pracę.

Drogi Czytelniku!

Ultima to ostatnia część trylogii zapoczątkowanej tomem *Maestra*, dlatego chciałabym podziękować tym wszystkim, którzy zostali z Judith do samego końca. Dziękuję Wam za listy, cudowne wiadomości i bardzo pomocne sugestie. Jedną z korzyści, które wiązały się z pracą nad tą serią, była możliwość poznania tak wielu z Was – we Francji, Włoszech, Holandii, Australii, Belgii, Hiszpanii, Szwajcarii, Indiach, Niemczech, Szwecji oraz Stanach Zjednoczonych – i kontaktowania się z osobami z tak różnorodnych miejsc, jak Bułgaria, Singapur, Norwegia czy Ukraina. Kiedy wprowadzaliśmy książki na rynek, mój wydawca Mark Smith określił czterdzieści dwa kraje, które wydawały serię *Maestra*, mianem „rodziny”. Jestem zaszczycona, że zostaliście częścią mojej rodziny.

Mam nadzieję, że czytając *Ultimę*, będziecie przewracać strony aż do ostatniej (i pierwszej?) sceny. Jestem bardzo ciekawa Waszych opinii o zakończeniu. Można powiedzieć, że Judith Rashleigh zatoczyła w swojej historii pełne koło, ale gdzie mogłaby się teraz udać? Z przyjemnością znów zaprosiłam na karty ostatniej części Jeremolowa, Dave’a, Ruperta i Carlottę i mam nadzieję, że ta opowieść sprawi przyjemność również Wam – czy to jako część spójnej narracji, czy jako oddzielna lektura. Jedno z pytań, które pojawiło się podczas procesu redakcyjnego, brzmiało: dlaczego po Artemisii Gentileschi i Caravaggiu głównym bohaterem trzeciego tomu jest właśnie Gauguin? Otóż wybrałam go po części z tego względu, iż dwoje pierwszych malarzy tworzyło w baroku, a Gauguin jako symbolista moim zdaniem wiele zawdzięcza tamtej epoce. Innym powodem był fakt, iż artystów tych łączy zmysłowość i przemoc, co odpowiada specyficznemu charakterowi samej Judith i jej podejściu do świata. Mówiąc bardziej obrazowo, lecz bez

zdradzania szczegółów – wszystkich moich bohaterów łączą... no cóż... obcięte głowy.

Judith jest pod wieloma względami złożoną i niepokojącą bohaterką, ale budowanie tej postaci sprawiało mi ogromną przyjemność. Jej świat, pełen seksu i egzotyki, wydaje się szalenie kuszący, lecz znajdziemy w nim też elementy humorystyczne. Dlatego *Ultima*, chociaż pod wieloma względami najmroczniejsza z trzech części cyklu, jest również najzabawniejsza. Seria wywołała wiele gwałtownych reakcji, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych, ale jako zapalona czytelniczka uważam, że każda lektura, która angażuje ludzi, zmusza ich do dyskusji, wywołuje gniew albo śmiech, spełnia swoje zadanie. Dlatego jestem szalenie ciekawa, jakie emocje wywoła w Was ostatni tom mojej trylogii, i nie mogę się doczekać Waszych reakcji.

Jeśli chcecie otrzymać więcej informacji, odwiedźcie stronę www.bit.ly/LSHilton i dołączcie do Klubu Czytelnika. Zapisanie się zajmie Wam tylko chwilę, członkostwo w Klubie jest bezpłatne i nie wiąże się z żadnymi ukrytymi zobowiązaniami, a nowi członkowie natychmiast otrzymają od mnie osobistą wiadomość. Bonnier Zaffre będzie dbać o to, by Wasze dane pozostały poufne i nigdy nie zostały ujawnione osobom trzecim. Nie będziemy spamować Waszych skrzynek niezliczoną liczbą maili, tylko od czasu do czasu prześlemy Wam najnowsze informacje na temat książek. W dowolnym momencie możecie też zrezygnować z członkostwa w Klubie.

A jeśli macie ochotę zaangażować się w dyskusję na temat moich publikacji na większą skalę, recenzujcie *Ultimę* na Amazon, GoodReads czy stronach innych księgarni internetowych, na własnym blogu albo na profilach w mediach społecznościowych. I rozmawiajcie o niej z przyjaciółmi, rodziną i podczas spotkań klubów książki! Dzielenie się przemyśleniami pomaga innym czytelnikom, a ja zawsze z przyjemnością czytam i słucham o tym, jak ludzie odbierają moje pisarstwo.

Jeszcze raz dziękuję Wam za zainteresowanie tą powieścią.

Z niecierpliwością czekam na Wasze opinie na temat *Ultimy* i z chęcią podzielę się nimi z szerszym gronem.

Z najlepszymi życzeniami
Lisa